

Delphine de Vigan

nic nie oprze się nocy



NAGRODA PRIX FNAC ORAZ GRAND PRIX DES LECTRICES DE ELLE!



Delphine de Vigan

Nic nie oprze się nocy

Któregoś dnia malowałem, czerń zalała całą powierzchnię płótna, bez kształtów, bez kontrastów, bez prześwitów.

W pewnym sensie dostrzegłem w tej skrajności zaprzeczenie czerni.

Różnice w splocie tkaniny słabiej lub mocniej odbijały światło, z ciemności zaś emanowała jasność, malarskie światło, którego wyjątkowa emocjonalna siła ożywiała moje pragnienie malowania.

Moim narzędziem już nie była czerń, tylko owo tajemnicze światło pochodzące z czerni.

PIERRE SOULAGES

Gdy tamtego styczniowego poranka znalazłam matkę w jej domu, była sina, bladą sinością pomieszaną z popiołem, lecz dłonie o dziwo miała ciemniejsze od twarzy. W zgięciach palców widniały jakby plamy atramentu.

Nie żyła od kilku dni.

Nie wiem, ilu sekund, a nawet minut potrzebowałam, by to zrozumieć pomimo oczywistości sytuacji (matka leżała wyciągnięta na łóżku i nie reagowała na mój głos), była to bardzo długa, niezręczna i gorączkowa chwila, dopóki z płuc nie wyrwał mi się krzyk, jak po trwającym parę minut bezdechu. Jeszcze dzisiaj, choć minęły ponad dwa lata, pozostaje dla mnie tajemnicą, za sprawą jakiego mechanizmu mój mózg zdołał odsunąć od siebie widok, a szczególnie zapach ciała matki, jak mógł potrzebować aż tyle czasu, aby zaakceptować oczywistą informację. Jej śmierć pozostawiła po sobie nie tylko to pytanie.

* * *

Kilka tygodni później, w stanie wyjątkowo mrocznego otępienia, odebrałam Nagrodę Księgarzy za powieść, do której bohaterów należała zamknięta w sobie i wycofana ze wszystkiego matka, zaczynająca mówić po latach milczenia. Mojej wręczyłam książkę, jeszcze zanim się ukazała, z pewnością przepełniona dumą z tego, że skończyłam kolejną powieść, ale też mając świadomość, że nawet poprzez fikcję obracam nóż w ranie.

Zupełnie sobie nie przypominam miejsca, gdzie odbywało się wręczenie nagród, ani samej uroczystości. Przeżalenie chyba mnie nie opuściło, mimo to się uśmiechałam. Parę lat wcześniej ojcu moich dzieci, który zarzucał mi „ucieczkę do przodu” (miał na myśli denerwującą umiejętność zachowania zadowolonej miny w każdej sytuacji), odpowiedziałam pompatycznie, że trzymam się życia.

Uśmiechałam się także podczas wydanego na moją cześć obiadu, przejmując się wyłącznie tym, by ustać na nogach, następnie wysiedzieć, nie runąć znienacka na talerz, ruchem nurka podobnym do tego, który wrzucił mnie głową w dół do pustego basenu, kiedy miałam dwanaście lat. Przypominam sobie fizyczny, a nawet atletyczny wymiar, jaki przybrał ów wysiłek, wytrzymać, tak, chociaż nikt nie dał się nabrać. Wydawało mi się, że lepiej opanować smutek, związać go, zdusić, uciszyć aż do chwili, gdy nareszcie zostanę sama, zamiast pozwolić sobie na coś, co mogłoby się stać jedynie przeciągłym wyciem albo jeszcze gorzej, rzężeniem, i co z całą pewnością powaliłoby mnie na podłogę. W ciągu ostatnich miesięcy dotyczące mnie wydarzenia następowały po sobie w osobliwie szybkim tempie, a życie po raz kolejny ustawiło poprzeczkę zbyt wysoko. Sądziłam zatem, że podczas upadku nie pozostaje mi nic innego, jak robić dobrą minę, albo też stawić czoło (choćby nawet udawać).

I właśnie dlatego wiem od dawna, że lepiej stać, niż leżeć, i że lepiej unikać patrzenia w dół.

W ciągu następnych miesięcy napisałam kolejną książkę, do której robiłam notatki od dłuższego czasu. Patrząc wstecz, nie mam pojęcia, jakim cudem tego dokonałam. Chyba po prostu tuż po wyjściu dzieci do szkoły, znalazłszy się w pustce, mogłam usiąść tylko na krześle przed włączonym komputerem, nie miałam innego wyboru. Po jedenastu latach

spędzonych w tej samej firmie - i silnej, dzierżonej żelazną ręką władzy, która mnie wykończyła - zostałam zwolniona. Czułam z tego powodu pewien zawrót głowy i właśnie wtedy znalazłam Lucile u niej w domu, taką siną i nieruchomą, a wówczas zawrót głowy przekształcił się w przerażenie, które z kolei przekształciło się w mgłę. Pisałam codziennie i tylko ja wiem, jak bardzo ta książka, niemająca nic wspólnego z matką, nosi jednak ślad jej śmierci i rozgoryczenia, w jakim mnie pozostawiła. Po czym książka się ukazała, tylko że już nie było matki, która by zostawiła na poczcie głosowej najbardziej komiczne wiadomości na temat moich wystąpień w telewizji.

Pewnego wieczoru tej samej zimy, kiedy wracaliśmy od dentysty, idąc obok siebie wąskim chodnikiem ulicy Folie-Mericourt, mój syn zapytał znienacka, chociaż nic w naszej dotychczasowej rozmowie nie mogło go naprowadzić na to pytanie:

- Babcia... w pewnym sensie popełniła samobójstwo?

Nawet dzisiaj, kiedy o tym myślę, pytanie to wywołuje we mnie wstrząs, nie jego treść, lecz forma, owo „w pewnym sensie” w ustach dziewięcioletniego dziecka, jakaś ostrożność w stosunku do mnie, sposób wybadania terenu, poruszania się na paluszkach. Może jednak z jego strony było to prawdziwe zapytanie: czy biorąc pod uwagę okoliczności, należy traktować śmierć Lucile jako samobójstwo?

Tego dnia, gdy znalazłam matkę w jej domu, nie mogłam odebrać dzieci. Zostały u swojego ojca. Nazajutrz zawiadomiłam je o śmierci babci, zdaje się, że powiedziałam coś w rodzaju „Babcia nie żyje”, na zadawane zaś pytania odrzekłam: „Postanowiła zasnąć” (choć czytałam Françoise Dolto). Kilka tygodni później syn przywołał mnie do porządku: nazywając rzeczy po imieniu. Owszem, babcia popełniła samobójstwo, strzeliła sobie samobójca, opuściła kurtynę, wycofała się z gry, dała sobie spokój, powiedziała stop, basta, finito, i miała ku temu dobre powody.

Już sama nie wiem, skąd się wziął pomysł, żeby napisać o matce, wokół niej czy począwszy od niej, wiem, jak bardzo odsuwałam ten pomysł, odpychałam od siebie jak najdłużej, sporządzając niekończącą się listę autorów, którzy pisali o swoich matkach, od najstarszych po tych najbardziej współczesnych, tylko po to, aby samej sobie udowodnić, jak mocno to zaminowany teren i ograny temat, odrzucałam zdania, przychodzące mi do głowy o świecie albo pod wpływem jakiegoś wspomnienia, niczym pierwszy rozdział powieści we wszelkich możliwych postaciach, którego początków nie chciałam usłyszeć, sporządziłam spis przeszkód, na które z pewnością natrafię, i niewymiernych zagrożeń, na które się narażę, porywając się na takie przedsięwzięcie.

Matka stanowiła zbyt rozległy, zbyt ciemny, zbyt beznadziejny, krótko mówiąc - zbyt ryzykowny obszar.

Pozwoliłam mojej siostrze pozbierać listy, dokumenty i teksty napisane przez Lucile, i spakować do specjalnej walizki, którą miała wkrótce zanieść do piwnicy.

Sama nie miałam na to ani miejsca, ani siły.

* * *

Potem zaś nauczyłam się myśleć o Lucile, nie tracąc przy tym oddechu: o jej sposobie chodzenia, z górną częścią tułowia pochyloną do przodu, z torbą przewieszoną przez ramię i przyciśniętą do biodra, o sposobie trzymania papierosa, zmiażdżonego między palcami, o wpadaniu do wagonu metra ze spuszczoną głową, o drzeniu rąk, o precyzyjnym słownictwie, o krótkim śmiechu, który zdawał się zadziwiać ją samą, o zmianach głosu pod wpływem emocji, po których na jej twarzy czasem nie pojawiał się żaden ślad.

Pomyślałam, że nie powinnam zapomnieć ani odrobiny jej śmiertelnie poważnego, marzycielskiego humoru i jej wyjątkowej umiejętności fantazjowania.

Pomyślałam, że Lucile była zakochana kolejno w Marcello Mastroiannim (dodawała: „Dostanę go na wynos?”), w Joshce Schidlowie (krytyku teatralnym z „Teleramy”, którego nigdy nie widziała, za to wychwalała jego styl i inteligencję), w biznesmenie zwanym Edouardem, którego prawdziwej tożsamości nigdy nie poznaliśmy, w Grahamie, autentycznym kloszardzie z XIV Dzielnicy, który był swego czasu skrzypkiem i został zamordowany. Nie mówię tu o mężczyznach, którzy naprawdę dzielili z nią życie. Pomyślałam, że matka kosztowała gotowanej kury razem z Claude'em Mo netem i Immanuelem Kantem, podczas wieczoru na dalekim przedmieściu, skąd wróciła Szybka Koleją Podmiejską, i przez całe lata nie miała książeczki czekowej, ponieważ rozdawała pieniądze na ulicy. Pomyślałam, że matka sprawowała kontrolę nad systemem informatycznym swojej firmy, a także nad całą siecią Autonomicznego Zarządu Transportu Paryskiego i tańczyła na kawiarnianych stolikach.

Sama już nie wiem, w którym momencie się poddałam, być może w dniu, kiedy zrozumiałam, jak bardzo pisanie, moje pisanie jest z nią związane, z jej zmyśleniami, chwilami obłędu, gdy życie stało się dla niej tak ciężkie, że musiała od niego uciec, gdy nie mogła wyrazić bólu inaczej niż poprzez bajkę.

Poprosiłam więc jej braci i siostry, żeby porozmawiali ze mną o niej, żeby mi o niej opowiedzieli. Nagrałam ich, a także innych, którzy znali Lucile oraz radosną i spustoszoną rodzinę, jaką jest nasza rodzina. Zgromadziłam na komputerze całe godziny nagranych cyfrowo słów, całe godziny nabrzmiałe od wspomnień, od ciszy, od łez i od westchnień, od śmiechów i od zwierzeń.

Poprosiłam moją siostrę, żeby przyniosła z piwnicy listy, zapiski, rysunki, szukałam, szperałam, drapałam, kopałam, dokonywałam ekshumacji. Spędziłam wiele godzin, czytając po kilka razy, oglądając filmy, zdjęcia, zadając ciągle te same i kolejne pytania.

A potem, podobnie jak dziesiątki autorów wcześniej, spróbowałam napisać o mojej matce.

Lucile przyglądała się od ponad godziny braciom, ich susom z ziemi na kamień, z kamienia na drzewo, z drzewa na ziemię, w niekończącym się balecie, za którym z trudem nadaża, teraz skupionym wokół czegoś, co jak się domyśliła, było owadem, ale czego nie zdołała dojrzeć; czym prędzej dołączyły do nich siostry, rozgorączkowane i gorliwe, usiłując utorować sobie

drogę do środka kręgu. Na widok robaczka dziewczynki zaczęły wrzeszczeć, zupełnie jakby je ktoś zarzynał, pomyślała Lucile, tak bardzo ich krzyki były przenikliwe, zwłaszcza głos Lisbeth, skaczącej jak kozłátko, gdy tymczasem Justine przywoływała Lucile swoim najbardziej przeszywającym głosem, żeby natychmiast przyszła zobaczyć. Lucile, w jasnej sukience z jedwabnej krey, z nogami skrzyżowanymi w taki sposób, żeby nic się nie pogmiotło, w skarpetkach idealnie naciągniętych na kostki, nie miała najmniejszego zamiaru się ruszyć. Siedząc na ławce, nie uroniła ani sekundy z rozgrywającej się przed nią sceny, lecz za nic na świecie nie zmniejszyłaby dystansu dzielącego ją od braci i sióstr, do których przyłączyły się zresztą inne dzieci, zwabione okrzykami. W każdy czwartek Lianę, ich matka, wysyłała cały swój drobiazg bez wyjątku na skwer, przy czym najstarsze dzieciaki miały przykazane pilnować młodszych i nie wracać wcześniej niż za dwie godziny. Całe bractwo opuszczało więc apartament przy ulicy Maubeuge z piekielnym hałasem, zbiegało pięć pięter, przemierzało ulicę Lamartine, następnie ulicę Rochechouart, po czym wkraczało triumfalnie na skwer, przyciągając uwagę ogółu, jako że nie dało się nie zauważyć tych dzieci, pomiędzy którymi istniało ledwie parę miesięcy różnicy, ich blond włosów, niemal białych, jasnych oczu i hałaśliwych zabaw. W tym czasie Lianę kładła się na pierwszym z brzegu łóżku i spała jak zabita, dwie godziny snu, żeby dojść do siebie po ciąży, porodach i nieustannym karmieniu piersią, po nocach zakłócanych płaczem i koszmarami, po praniu i brudnych pieluchach, po powtarzających się nieubłagane posiłkach.

Lucile zawsze siadała na tej samej ławce, nieco z boku, jednakże dostatecznie blisko punktu strategicznego, który stanowiły huśtawki wiszące i stojące, skąd miała idealny widok na całość. Czasami przyjmowała zaproszenie do zabawy, czasami zostawała na miejscu, żeby, jak wyjaśniała, poukładać sobie wszystko w głowie, nigdy nie precyzując co, albo tylko wskazując dokoła nieokreślonym gestem. Lucile układała sobie ustawiczne krzyki, śmiechy, płacz, chodzenie w tę i z powrotem, hałas i ruch, wśród których żyła. Tak czy inaczej Lianę znów była w ciąży, wkrótce będzie ich siedmioro, potem zapewne ośmioro, a może i więcej. Niekiedy Lucile zadawała sobie pytanie, czy istnieje jakiś limit płodności matki, czy jej brzuch może się tak bez końca napełniać i opróżniać, produkując różowe i gładkie bobasy, które Lianę pożerała śmiechem i obsypywała pocałunkami. Może jednak kobietom przysługuje ograniczona liczba dzieci, którą Lianę niedługo osiągnie, a wtedy wreszcie jej ciało pozostanie bezczynne. Siedząc dokładnie pośrodku ławki, z nogami dyndającymi w powietrzu, Lucile rozmyślała o bobasie, który miał się urodzić w listopadzie. Czarnym bobasie. Codziennie wieczorem bowiem, przed zaśnięciem w sypialni dziewcząt, mieszczącej już trzy łóżka, Lucile marzyła o siostrzyczce, która miałaby absolutnie nieodwołalnie czarną skórę, byłaby tłuściutka i gładziutka jak serdelek, do której bracia i siostry nie ośmielaliby się zbliżyć, o siostrzyczce, której płaczu nikt by nie rozumiał, która bez przerwy by wrzeszczała, aż w końcu rodzice by ją *jej* oddali. Lucile wzięłaby bobasa pod swe skrzydła i do swego łóżka, i chociaż sama nienawidziła lalek, tylko jej wolno by było się nim opiekować. Od tej pory czarny bobas miałby na imię Max, tak jak mąż pani Estoquet, jej nauczycielki, który był kierowcą ciężarówek. Bezgranicznie czarny bobas należałby do niej, słuchałby się jej bez względu na okoliczności i by ją chronił.

* * *

Z rozmyślań wyrwały Lucile krzyki Justine. Milo podpałił owada, który zajął się ogniem w niecałą sekundę. Justine schroniła się w nogach Lucile, jej ciałkiem wstrząsały łkania, główka spoczywała na kolanach siostry. Gładząc ją po włosach, Lucile spostrzegła spływającą po sukience strużkę zielonych smarków. To nie był odpowiedni dzień. Podniosła twarz Justine stanowczym gestem i kazała jej wytrzeć nos. Mała chciała jej pokazać trupa, Lucile więc w końcu wstała. Po robaku pozostała zaledwie kupka popiołu i skrawek stwardniałego pancerza. Lucile nogą przegarnęła na nie piasek, po czym podniosła stopę, napluła na dłoń i oczyściła sandał. Następnie wzięła z kieszeni chusteczkę i wytarłszy łyż oraz nos Justine, chwyciła jej twarz w dłonie i pocałowała. Całus był głośny jak buziaki Lianę, wargi dokładnie przylegały do krągłości policzka.

Justine, której pieluszka się rozwiązała, podbiegła do reszty grupy. Dzieci zdążyły już rozpocząć nową zabawę, tym razem skupiwszy się wokół Barthelemego. On z kolei wydawał głośno polecenia. Lucile wróciła na swoje miejsce na ławce. Patrzyła, jak bracia i siostry najpierw się rozpraszają, następnie zbijają w gromadkę, po czym znów się rozpierzchają; miała wrażenie, że obserwuje ośmiornicę lub meduzę albo, jeśli się nad tym zastanowić, jakieś nieistniejące lepkie zwierzę o kilku głowach. Coś w owym wielokształtnym stworze, którego nie potrafiła nazwać — chociaż była pewna, że stanowi jego część, podobnie jak każdy pierścień stanowi część dżdżownicy, nawet jeśli się od niej oderwie — przesłaniało ją całą, pochłaniało.

Lucile zawsze była najcichsza z nich wszystkich. Kiedy zaś Barthelemy czy Lisbeth pukali do drzwi łazienki, gdzie chowała się, by czytać lub uciec przed hałasem, rozkazywała stanowczym głosem, który zniechęcał do wszelkiej ponownej próby:

- Spokój.

Matka Lucile ukazała się w furtce wiodącej na skwer, na piaszczystej ścieżce, z uniesioną ręką, promienna i piękna. Lianę chwytiała światło w niewytłumaczalny sposób. Może za sprawą swych jakże jasnych włosów i jakże szerokiego uśmiechu. Może za sprawą owej ufności, którą pokładała w życiu, owej skłonności, by wszystko postawić, niczego nie zatrzymywać. Dzieci podbiegły do niej, Milo rzucił się jej w ramiona i wczepił w ubranie. Lianę się roześmiała i powtórzyła kilka razy swym śpiewnym głosem:

- Moje królewiatka.

Przyszła po Lucile, żeby zabrać ją na sesję zdjęciową. Gdy to oznajmiła, posypały się okrzyki entuzjazmu lub protestu (a przecież sesja była zaplanowana od kilku dni), totalny harmider, pośród którego Lianę pogratulowała starszej córce nieskazitelnego stroju i zdołała jej udzielić paru instrukcji. Lisbeth miała zapakować czwórkę malców do wanny, nastawić ziemniaki i zaczekać na powrót ojca.

Lucile wzięła matkę za rękę i obie ruszyły w stronę metra. Od kilku miesięcy Lucile była modelką. Prezentowała na wybiegu kolekcje Virginie oraz L'Empereur, dwóch firm produkujących markowe ubrania dla dzieci, pozowała do reklam i do zdjęć na strony z modą rozmaitych czasopism. W zeszłym roku Lianę zwierzyła się Lisbeth, że za wieczерę wigilijną i wszystkie prezenty zapłacili dzięki zdjęciom, które się ukazały w „Marie-Claire” i

„Mon Tricot”, w dwóch seriach, gdzie gwiazdą była Lucile. Jej bracia i siostry niekiedy brali udział w jakichś sesjach, lecz najbardziej ze wszystkich rozchwytywana była Lucile. Dziewczynka lubiła zdjęcia. Kilka miesięcy wcześniej ściany metra pokrywały ogromne plakaty reklamujące pewną markę odzieży; widniała na niej jej twarz w zbliżeniu, z włosami zaczesanymi do tyłu, czerwony sweter i uniesiony kciuk, a pod spodem hasło reklamowe „Intexa to jest to”. Wszystkie dzieci z jej klasy i ze wszystkich klas w Paryżu otrzymały bibuły, na których wydrukowano zdjęcie twarzy Lucile.

Lucile lubiła zdjęcia, najbardziej na świecie wszakże lubiła spędzać czas z matką. Droga do metra i z powrotem, oczekiwanie na ujęcia, bułki z czekoladą kupowane po wyjściu w pierwszej napotkanej piekarni, ów skradziony czas poświęcony wyłącznie jej, kiedy to żadne inne dziecko nie mogło się domagać trzymania Lianę za rękę. Lucile wiedziała, że wkrótce tych chwil już nie będzie, Lianę uznała bowiem, że w następnym roku szkolnym Lisbeth osiągnie odpowiedni wiek, aby zawozić ją na sesje zdjęciowe, albo że Lucile będzie jeździła sama.

Lucile włożyła pierwszy strój, obcisłą sukienkę w niebiesko-białe prążki, spod której wystawało kilka centymetrów falbanki. Kiedy obracała się wokół własnej osi, sukienka otwierała się niczym korona kwiatu, odsłaniając kolana. Fryzjerka uczesała jej starannie włosy, następnie upięła je z boku spinką w kształcie serca. Lucile wpatrywała się w czarne lakierowane sandaalki, które właśnie włożyła, o idealnym połysku i bez ani jednej zmarszczki, wymarzone sandaalki, na których widok jej siostry by pobladły z zazdrości. Przy odrobinie szczęścia mogłaby je zatrzymać. Do pierwszej sesji Lucile miała pozować na siedząco, trzymając w rękach małą klatkę na ptaki. Gdy tylko usiadła, podeszła asystentka, aby ułożyć wokół niej falbankę sukienki. Lucile nie mogła oderwać oczu od ptaka.

- Od jak dawna nie żyje? - zapytała.

Fotograf, zaabsorbowany ustawianiem aparatu, najwyraźniej nie usłyszał. Lucile powiodła wokół wzrokiem, zdecydowana przyciągnąć spojrzenie kogoś, kto zdołałby udzielić jej odpowiedzi. Zbliżył się do niej stażysta około dwudziestki.

- Zapewne od bardzo dawna.
- Od kiedy?
- Nie wiem, od roku, dwóch...
- Zdechł w tej pozycji?
- Nie, niekoniecznie. Praca pana, który się tym zajmuje, polega na tym, żeby ułożyć go w takiej pozycji, jak sobie życzy.
- On jest wypychaczem zwierząt?
- Owszem, zgadza się.
- Co wkłada do środka?
- Chyba słomę i z pewnością inne rzeczy.

Fotograf poprosił o ciszę, sesja miała się rozpocząć. Lucile nadal jednak obserwowała ptaka, od spodu, w poszukiwaniu otworu.

- Którędy wkłada się te rzeczy?

Lianę nakazała Lucile zamilknąć.

Następnie na polecenie stylistki Lucile włożyła strój narciarski z wełnianej dzianiny (pozowała z kijkami w dłoniach na jasnym tle z grubego papieru), strój do tenisa, którego biała plisowana spódniczka byłaby marzeniem każdej przyjaciółki, a na końcu strój pływacki, składający się z koszulki, wysokich spodenek i kąpielowego czepka z grubego plastiku, który uznała za śmieszny. Lucile posiadała wszakże niezaprzeczalną urodę. Wszędzie, gdzie się znalazła, towarzyszyły jej spojrzenia, podziw. Wychwalano jej regularne rysy, długie rzęsy, oczy, których kolor zmieniał się z zielonego na niebieski, przechodząc przez wszystkie odcienie metalu, nieśmiały bądź swobodny uśmiech, niezwykle jasne włosy. Przez długi czas wzbudzone zainteresowanie krępowało Lucile, wywołując uczucie, że coś kleistego oblepia jej ciało, lecz w wieku siedmiu lat wzniosła mury wokół ustronnego terytorium, które należało wyłącznie do niej, terytorium, gdzie nie istniał hałas ani spojrzenia innych.

Ujęcia następowały po sobie w pełnej skupienia ciszy, w rytmie zmian dekoracji i oświetlenia. Lucile przechodziła z garderoby na plan i z planu do garderoby, przebierała się, markowała jakiś ruch, rozpoczynała te same gesty po dziesięć, dwadzieścia razy, bez najmniejszych oznak zmęczenia czy zniecierpliwienia. Lucile była grzeczna, idealnie grzeczna.

Po skończonej sesji, kiedy dziewczynka się ubierała, stylistka zaproponowała Lianę kolejną sesję dla „Jardin des Modes”, przewidzianą po lecie. Lianę wyraziła zgodę.

- A ten mały, który przyszedł razem z Lucile, trochę młodszy od niej?
- Antonin? Właśnie skończył sześć lat.
- Jest do niej bardzo podobny, prawda?
- Tak mówią, owszem.
- Proszę go przyprowadzić, zrobimy sesję z dwójką.

W metrze Lucile chwyciła matkę za rękę i nie puszczała przez całą drogę.

Gdy weszły do pokoju, stół był już nakryty. Georges, ojciec Lucile, dopiero wrócił i właśnie czytał gazetę.

Dzieci zjawiły się jak jeden mąż, Lisbeth, Barthelemy, Antonin, Milo i Justine, ubrani w takie same welurowe piżamy, które Lianę kupiła na początku zimy, w promocji i w sześciu egzemplarzach, oraz w jednakowych luksusowych pantoflach na trójwarstwowej podeszwie, ofiarowanych przez doktora Baramiana. Otóż kilka miesięcy wcześniej, zmęczony hałasem, dobiegającym z wyższego piętra w porze wizyt pacjentów, i przekonany, że dzieci Lianę i Georges'a chodzą w drewniakach, doktor Baramian posłał na górę swą sekretarkę, żeby spisała rozmiary ich obuwia. Następnie kazał im dostarczyć jak najszybciej po parze kapci dla każdego. W rzeczywistości, poza ogólnym poruszeniem, okazało się, że Milo, który przemieszczał się na nocniku z ogromną prędkością (nocnik-nogi-nocnik-nogi), jest ze wszystkich najgłośniejszy. Lianę, wzruszona uprzejmością lekarza, postarała się spacyfikować synka, sadzając go, rzecz jasna, na nocniku, na komodzie. Milo złamał sobie obojczyk i hałas trwał nadal.

Lianę kazała Lucile wziąć prysznic, podczas gdy pozostali zasiedli do stołu.

Od niedawna Lianę zrezygnowała z nakłaniania dzieci do odmawiania modlitwy przed obiadem. Błazeństwa Barthelemy ego (który powtarzał głosem zza kadru modlitwę matki, co

wieczór rozpoczynając od słów „W imię Ojca i Syna i Ducha Świntucha” i wywołując tym powszechną wesołość) wyczerpały jej cierpliwość.

Właśnie kończyli zupe, gdy do stołu zasiadła Lucile, z bosymi stopami i mokrymi włosami.

- Jak tam, ślicznotko, miałaś zdjęcia?

Spojrzenie, jakim Georges omiół córkę, zdawało się przepelnione zdziwieniem. W Lucile było coś ciemnego, co ją doń upodabniało. Już od najmłodszych lat go intrygowała. Ta jej skłonność do izolacji, do pograżania się w rozmyślaniach, do przysiadania na brzegu krzesła, tak jakby na kogoś czekała, do przesadnej oszczędności w słowach, ta jej skłonność do tego, by — jak czasem sądził - się nie narazić. Wiedział jednak, że nic nie ujdzie uwagi Lucile, ani jeden dźwięk, ani jeden obraz. Chłonęła wszystko. Wszystko przyswajała. Podobnie jak pozostałe dzieci, Lucile chciała mu się przypodobać, wyczekiwała jego uśmiechu, aprobaty, pochwał. Podobnie jak reszta, czekała na powrót ojca i niekiedy, pod wpływem zachęty Lianę, opowiadała, jak jej minął dzień. Tylko że Lucile była doń przywiązana bardziej niż ktokolwiek inny.

Georges zaś, zafascynowany, nie potrafił od niej oderwać wzroku.

Po latach jej matka będzie opowiadać o uroku, jaki Lucile rzucała na ludzi, o tej mieszance piękna i roztargnienia, o umiejętności, z jaką wytrzymywała spojrzenia innych, zatopiona w myślach.

Po latach, kiedy sama Lucile umrze, na długo przedtem, nim stanie się starszą panią, znajdziemy wśród jej rzeczy zdjęcia reklamowe uśmiechniętej, swobodnej dziewczynki.

Po latach, kiedy przyjdzie uprzątnąć mieszkanie Lucile, na dnie szuflady odkryjemy kliszę pełną zdjęć, które zrobiła własnoręcznie, fotografując ze wszystkich możliwych stron zwłoki ojca w beżowym albo brunatnożółtym garniturze, w kolorze wymiocin.

Możliwość śmierci (albo raczej świadomość, że śmierć może nastąpić w każdym momencie) pojawiła się w życiu Lucile latem 1954 roku, przed jej ósmymi urodzinami. Od tamtej chwili myśl o śmierci miała się stać częścią Lucile, rysą czy piętnem, tak samo nie do wywabienia jak później okrągły zegarek, który da sobie wytatuować cienką linią na nadgarstku.

Pod koniec lipca Lianę wyjechała wraz z dziećmi do L., małej wioski w Ardeche, gdzie mieszkali rodzice Georges'a. Dołączyło do nich kilkoro kuzynów, do kompletu brakowało tylko Barthelem/ego, który w ciągu tygodni poprzedzających wakacje tak bardzo rozrabiał, że rodzice postanowili go wysłać na kolonie. Lianę była w siódmym miesiącu ciąży. Lucile tęskniła za starszym bratem, którego za sprawą żywotności, ciętego języka i nieprzewidywalnego zuchwalstwa wszędzie było pełno. Uważała, że chociaż Barthelemy sprawia kłopoty, stanowi jakąś odmianę.

Dni upływały w sierpniowym upale, przyjemne i pełne zajęć, dzieci bawiły się w ogrodzie, kąpały w Auzon, lepiły w rzecznej glinie. W wielkim nauczycielskim domu położonym pośrodku wioski, Lianę, dzięki pomocy teściów, mogła odpocząć. Georges został w Paryżu, żeby pracować.

Pewnego popołudnia, gdy Lucile właśnie ćwiczyła grę na pianinie, w ogrodzie rozbrzmiały krzyki. Nie krzyki typowe dla zabawy czy kłótni, których już nawet nie słyszała, nie, były to jeszcze bardziej przenikliwe wrzaski przerażenia, których nie znała. Lucile zastygła z dłońmi nad klawiaturą, nasłuchując słów, lecz ich nie rozumiejąc, jednakże cienki głosik Mila (a może należący do innego dziecka?), całkowicie wyraźny, w końcu do niej dotarł:

- Wpadli, wpadli!

Lucile poczuła łomot serca w brzuchu, potem we wnętrzu dłoni, i odczekała kilka sekund, nim się podniosła. Coś się stało, wiedziała to, coś nieodwracalnego. Następnie usłyszała wrzask Lianę i wypadła z domu. Zastała dzieci zgromadzone wokół studni, Justine uczeploną matczynej spódnicy, gdy tymczasem Lianę, pochylona nad czarną dziurą, której dna nie mogła dostrzec, wrzeszczała imię swego syna.

Antonin bawił się wraz z kuzynem Tommym na zakrywających studnię deskach, które zmienacka się złamały. Chłopcy wpadli do środka na oczach reszty dzieci.

Tommy natychmiast wydostał się na powierzchnię, dało się wyczuć jego obecność, porozmawiać z nim, chociaż woda była lodowata, najwyraźniej się trzymał. Antonin nie wypłynął. Zanim przyjechała straż pożarna, trzeba było przytrzymać Lianę, która chciała skoczyć, teściowie musieli się zaprzeć we dwójkę, żeby jej dać radę. Po kilku minutach Tommy się rozplakał, jego głos brzmiał dziwnie, daleko i blisko zarazem, Lucile pomyślała, że od spodu czai się pewnie na niego jakiś potwór, podgryza mu stopy, gotów go wciągnąć w głęboką otchłań.

Przez cały ten czas pozostała na uboczu, metr za matką, która szamotała się z nieznaną jej dotąd siłą. Lucile po raz pierwszy odmówiła modlitwy po cichu, wszystkie, jakie tylko znała, Ojciec nasz i Zdrowaś Mario, bez wahania, bez pomyłki. Kiedy przybyli strażacy wraz ze sprzętem, odesłano dzieci do sąsiadów. Długo szukali ciała Antonina, nim je znaleźli. Studnia łączyła się ze zbiornikiem na deszczówkę. Antonin zmarł z powodu szoku termicznego.

Georges przyjechał z Paryża jak najszybciej. Antonina ubrano na białe, położono w pokoju na ostatnim piętrze, Lianę zaś wyjaśniła dzieciom, że ich braciszek stał się aniołkiem. Od tej pory mieszka w niebie, wysoko i może na nich patrzeć.

W trakcie czuwania tylko starsi mieli prawo go oglądać. Podczas modłów Lucile gładziła pulchne, zimne i miękkie dłonie martwego dziecka, po kilku godzinach jednak dłonie Antonina zeszytywniały, toteż Lucile jęła powątpiewać w jego zmartwychwstanie. Spoglądała na jego gładką twarz, ręce ułożone wzdłuż ciała, rozchylone usta, jakby dopiero co zasnął i nadal oddychał.

Pogrzeb odbył się parę dni później. Lisbeth i Lucile włożyły identyczne sukienki (stroje okolicznościowe uszyto naprędce z tego, co znaleziono w bagażach) i przytuliwszy się mocno jedna do drugiej, przybrały poważne miny, które nakazywał im status starszych sióstr. Kiedy tylko trumnę spuszczone do dołu, stanęły obok rodziców wyprostowane jak struna, żeby przyjąć kondolencje. Rodzina i sąsiedzi defilowali w ciemnych strojach, Lisbeth i Lucile śledziły rytuał: uściski dłoni, klepięcia po ramieniu, całusy, objęcia, powstrzymywane łkania, szepty do ucha, słowa pocieszenia i otuchy, z których docierał do nich zaledwie świst albo współczujący szmer, powtarzany po dziesięć, dwadzieścia razy. Wkrótce nie słyszały już

nic innego, zerkając na siebie przy każdym kolejnym syknięciu, i powoli ogarnął je szaleńczy, niepohamowany śmiech. Georges przepędził je, żeby się uspokoiły.

Antonin stał się aniołkiem i patrzył na nich. Lucile wyobrażała sobie jego ciało unoszące się w powietrzu, z rozpostartymi ramionami, w stanie nieważkości.

Jeszcze przez kilka dni wierzyła, że brat wróci, że będą razem paść kozy na wzgórzach ponad wioską, że pójda popatrzeć na małe króliczki do pani Lethac, że będą spacerować wzdłuż wyschniętego koryta rzeki w poszukiwaniu złóż gliny.

Pod koniec miesiąca przyjaciółka rodziny pojechała po Barthelemy'ego na Południe. Kiedy Barthelemy wrócił z kolonii, jego brat już nie żył i leżał w ziemi. Chłopiec płakał przez trzy dni i nic nie było w stanie ukoić jego żalu. Głośno płakał, dopóki nie zabrakło mu sił.

Od tamtej pory śmierć Antonina miała pozostać jedynie podziemną, sejsmiczną falą, która oddziałuje, nie robiąc żadnego hałasu.

Lucile i Lisbeth wyglądały przez okno różowego pokoju dziewczęcego, stojąc na paluszkach przechylone przez parapet, gdy tylko odezwał się brzęczyk otwierający drzwi wejściowe. Pomimo chłodu Lucile było gorąco. Wręcz się dusiła. Od jej powrotu ze szkoły Lianę zastanawiała się, czy córka nie ma gorączki, lecz kiedy zabrała się do szukania termometru, zaczął płakać dzidziuś. Kilka tygodni wcześniej z brzucha Lianę wyszła mała, śliczna i okrągła jak lalczka, różowa dziewczynka o imieniu Violette, która wybuchała śmiechem, gdy się ją połaskotało. Z początku Lucile poczuła rozczarowanie: dzidziuś był taki jak wszystkie. Jednakże zawód minął za sprawą uśmiechów Violette, zainteresowania, jakie przejawiała na widok starszego rodzeństwa (machala rączkami, ledwie któreś z nich weszło do pokoju), delikatnych włosków, w które Lucile z upodobaniem dmuchała, żeby fruwały wokół jej główki. Rzecz jasna, Violette nie miała czarnej skóry ani nie należała wyłącznie do Lucile, ale przynajmniej Lianę, całkowicie pochłonięta maleństwem, nie siedziała już bez końca w kuchni, patrząc niewidzącym wzrokiem. Violette domagała się brania na ręce, mleka z butelki i uwagi. Wraz z nią powrócił słodki zapach talku i kwaśniejsza woń maści pośladowej. Mimo to powietrze w mieszkaniu nadal przepełniała gorycz, jakby nią przesiąkło. Georges wracał wieczorem i czasem siadał bez słowa wyczerpany, ze ściągniętą twarzą.

Ani Lucile, ani żadne z jej braci i sióstr nie widzieli, by rodzice płakali.

Lucile chuchnęła i obserwowała obłoczek pary utworzony przez jej oddech. Na dziedzińcu panowała cisza. Lisbeth tupiała z niecierpliwością. Obok nich Justine bawiła się na łóżku starą lalką, której zmieniała pieluchę po raz dziesiąty. Chłopcy zaszyli się w swoim pokoju, jako że Barthelemy zarządził spodziewany odwrót, który Milo z naburmuszoną miną potraktował dosłownie.

Zaraz się zjawi. Lada chwila. Za moment na schodach rozlegną się kroki, zgrzyt klucza w zamku, a potem już tu będzie, w salonie, zostanie na całe życie. Do kogo jest podobny? Czy ma ubranie, buty, czy może chodzi całkiem nago, otulony burką niczym żebrak? Czy jest brudny? Czy umie się bawić w chowanego, w berka, w raz dwa trzy baba jaga patrzy, zwisac głową w dół na drabinkach, robić fikołki na trzepaku?

Nie mogąc już dłużej wytrzymać, Lisbeth wybiegła z pokoju, by złowić jakies

informacje. Wróciła z niczym. Lianę nie wie nic więcej, trzeba czekać. Ojciec poszedł po niego, a to nie jest wcale tuż obok, może natrafił na korki.

Zaraz się zjawi. Lada chwila. Czy jest duży, większy od Antonina, czy przeciwnie, całkiem chudy i malutki? Czy lubi szpinak, pasztetową? Czy ma na ciele, twarzy blizny? Czy ma torbę, walizkę, czy też tobolek zawieszony na kiju jak w baśniach Andersena?

Niewiele było wiadomo na jego temat. Nazywa się Jean-Marc, ma siedem lat, był bity przez matkę i został jej odebrany. Nazywa się Jean-Marc i trzeba być dla niego miłym. Jest „męczennikiem”. Słowo to krążyło wśród rodzeństwa w nocnej porze, męczennikiem jak Jezus Chrystus, męczennikiem jak Oliwer Twist, męczennikiem jak święty Stefan, święty Wawrzyniec i święty Paweł. Od tej pory Jean-Marc zamieszka pod ich dachem, będzie spał w łóżku Antonina, którego ubranka zapewne będzie nosił, będzie chodził na mszę, do szkoły, wsiadał do samochodu, żeby wyjechać na wakacje, stanie się ich bratem. Kiedy słowo to wpadło jej do głowy, pod wpływem gniewu Lucile poczuła przyspieszone bicie serca. W tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi.

Dziewczynki wybiegły na spotkanie ojca. Lucile ujrzała napiętą, zmęczoną twarz Georgesa, to musiała być długa droga. Przez sekundę, zaledwie sekundę Lucile doznała wrażenia, że jej ojciec się waha. A jeżeli Georges żałuje, że pojechał po dziecko? A jeżeli ojciec, który od kilku tygodni zapowiadał przybycie chłopca i nalegał, by przyjęto go jak swojego, nie chce go?

Jean-Marc stał za Georges'em, schowany za jego wielką postacią, za którą podążał niepewnym krokiem. Georges chwycił chłopca i zachęcił, by się pokazał. Lucile zerknęła na Jeana-Marca, posyłając mu zrazu szybkie spojrzenie z góry na dół i z dołu do góry, następnie poszukała jego wzroku. Chłopiec miał bladą twarz, odznaczającą się najwyższym odcieniem bladości, czarne włosy, za krótki, zniszczony sweter, cały drżał. Wbił oczy w podłogę, skulił się, jakby ze strachu przed ciosem. Lisbeth, Lucile i Justine kolejno postąpiły naprzód, żeby go uściskać. Barthelemy i Milo w końcu opuścili pokój i zmierz yli chłopca, przybrawszy jednakowe, pełne zwątpienia miny. Milo nie mógł się powstrzymać, żeby się do niego nie uśmiechnąć. Jean-Marc był tego samego wzrostu co on. Jego torba sprawiała wrażenie niemal pustej, toteż Milo pomyślał, że mógłby mu podarować kilka rzeczy, na przykład ołowiane żołnierzyki, które miał po dwa, albo talię kart, której już nie używał. Miał ochotę złapać Jeana-Marca za rękę i pociągnąć za sobą, ale na widok wrogiej miny Barthelemy'ego zrezygnował.

Lucile, podobnie jak reszta, nie mogła oderwać od chłopca wzroku. Szukała w jego twarzy śladów uderzeń, ropiejących ran, świeżych blizn. Jean-Marc wcale nie wyglądał na aż takiego męczennika. Nie nosił zresztą ani gipsu, ani bandażu, ani kuli, nie utykał, nie krwawił z nosa. A jeżeli to tylko oszust? Łobuz, którego spotyka się w książkach albo przy wiejskich drogach, z obojętną miną i twarzą uwalaną błotem, który próbuje się wkręcić do jakiejś rodziny, żeby tym łatwiej ją okraść? Chłopiec w końcu podniósł oczy, zatrzymując wzrok na Lucile, i czym prędzej wbił je z powrotem w podłogę. Wówczas dziewczynka dostrzegła jego brudne paznokcie, łyse i białe placki prześwitujące spod czupryny, czarne kręgi, jakby wyżłobione przez łyż. Ogarnął ją ogromny smutek, poczuła się nagle rozdarta między pragnieniem, by przegonić chłopca na cztery wiatry, i wziąć go w ramiona. Lianę zapytała Jeana-Marca, jak mu minęła podróż, czy nie jest zmęczony, czy nie jest głodny. Z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, malec najwyraźniej nie był zdolny pokiwać ani pokręcić głową.

Georges zaproponował Lisbeth, żeby oprowadzić go po mieszkaniu. Lisbeth poprosiła przybysza, żeby poszedł za nią, zaczęła od niebieskiego pokoju chłopców, reszta dzieci ruszyła za nimi, rozpychając się łokciami, dały się słyszeć śmiechy, potem szepty. Jean-Marc miał skarpetki dziwnego koloru. Barthelemy pozostał z tyłu. Przyglądał się chłopcu z daleka i nie było w nim nic, absolutnie nic, co wytrzymałoby porównanie. Jean-Marc był niski, ciemnowłosy i brudny, a jeśli mają odrobinę szczęścia, niemy. Jak ojciec mógł w ogóle pomyśleć, że może zastąpić Antonina takim bucem, tak, bucem, jak mawiał sam Georges, który piętnował wszystkich buców świata, a teraz bezwiednie wpuszcza jednego z nich pod własny dach? Barthelemy poczuł, że wzbiera w nim gwałtowny ból, jakby właśnie połknął jakieś ciało obce, ubłocony kamyk albo odłamek szkła. Nigdy nie zdoła pokochać Jeana-Marca, ani nawet się z nim zaprzyjaźnić, ani nawet wyjść z nim na ulicę, a tym bardziej bawić się wspólnie w parku czy na plaży, nigdy nie zdoła mu powierzyć tajemnicy ani zawrzeć z nim żadnego paktu. Tamten może sobie patrzeć wzrokiem zbitego psa, opuszczając chudziutkie ramionka, on i tak się nie podda. Jego brat nie żyje, jego brat jest niezastąpiony

Przerwałam w tym miejscu. Minął jeden tydzień, potem drugi, a ja ciągle nie byłam w stanie dopisać choćby wiersza, ani nawet słowa, tak jakby tekst zastygł w tymczasowej postaci, jakby miał pozostać na zawsze tylko szkicem, poronioną próbą. Codziennie zasiadałam przed komputerem, otwierałam plik zatytułowany „Nic”, czytałam go na nowo, wymazywałam zdanie lub dwa, przesuwałam kilka przecinków, a potem nic, właśnie, zupełnie nic. Nie szło mi, to nie było to, nie miało nic wspólnego z tym, czego chciałam, co sobie wyobrażałam, straciłam wenę.

Obsesja jednak ciągle trwała, nadal budziła mnie w nocy, podobnie jak za każdym razem, gdy zaczynam nową książkę, do tego stopnia, że przez kilka miesięcy w myślach przez cały czas piszę, pod prysznicem, w metrze, na ulicy, już to przeżyłam, taki stan pochłonięcia bez reszty. Tyle że po raz pierwszy gdy nadeszła pora, by coś zanotować czy wystukać na klawiaturze, okazało się, że nie ma nic poza ogromnym znużeniem albo bezgranicznym zniechęceniem.

Przeorganizowałam sobie przestrzeń do pracy, kupiłam nowe krzesło, pozapalałam świece, kadzidelka, wyszłam, przespacerowałam się po ulicach, przeczytałam na nowo notatki, porobione w ciągu ostatnich miesięcy. Fotografie Lucile z dzieciństwa, pogniecione strony z magazynów, stykówki serii reklamowych, jak również słynna bibuła rozdawana w szkołach zostały porozkładane na stole.

Chcąc mieć poczucie, że posuwam się naprzód, postanowiłam spisać ze słuchu przeprowadzone rozmowy, spisać słowo po słowie, tak jak to się robi w zawodzie, który długi czas wykonywałam, pod kątem analizy ich zawartości, według z góry ustalonego klucza, do którego dochodzą tematy spontanicznie poruszane przez pytane osoby. Zaczęłam i spędziłam przy tym wiele dni, ze słuchawkami na uszach, z piekącymi oczyma utkwionymi w ekran, z bezsensownym pragnieniem, by niczego nie uronić, by wszystko zachować.

Słuchałam następujących po sobie głosów, strzelania zapalniczek, wydmuchiwanie dymu papierosowego, szelestu, z jakim szuka się na próżno chusteczek higienicznych, i głośnego wycierania nosa, milczenia, słów, które uciekają, i tych, które wymykają się niechcący.

Lisbeth, Barthelemy, Justine, Violette, bracia i siostry matki, Manon, moja własna siostra, i wszyscy ci, z którymi się spotkałam w ciągu ostatnich tygodni, obdarzyli mnie zaufaniem. Powierzili mi swoje wspomnienia, opowieści, wizje, które tworzą sobie dzisiaj na temat własnej historii, obnażyli się, jak tylko mogli, aż do granic wytrzymałości. Teraz czekali, zastanawiając się zapewne, co ja zrobię z tym wszystkim, jaką to przybierze formę, jaki będzie efekt.

I nagle wydało mi się to nie do zniesienia.

W potoku słów i chwil ciszy znalazło się tamto zdanie Barthelemy'ego o śmierci Antonina, zdanie, które w ustach człowieka mającego dziś sześćdziesiąt pięć lat mną wstrząsnęło:

- Gdybym tam był, to by nie umarł.

I kolejne, które padały to tu, to tam, podkreślone na żółto, wyrażające żal, lęk, brak zrozumienia, ból, poczucie winy, gniew, a niekiedy ukojenie.

A potem słowa Justine, gdy odprowadzałam ją do metra późnym popołudniem, które spędziła u mnie na rozmowie o Lucile:

- Napiszesz pozytywne zakończenie tej powieści, no bo sama rozumiesz, wszyscy wzięliśmy się stamtąd.

Jedząc obiad z przyjaciółką w okresie, gdy kończyłam spisywanie ze słuchu i nadal miałam przerwę w pracy nad powieścią, usłyszałam własny głos:

- Moja matka nie żyje, ale ja obrabiam żywy materiał.

* * *

Opisałam śmierć Antonina - w rodzinnej legendzie uznanej za tę początkową tragedię (miało ich być więcej). W tym celu spośród podanych mi wersji musiałam wybrać tę, która wydała mi się najbardziej prawdopodobna, w każdym razie najbliższa opowieściom Lianę, mojej babki, siedzącej na stołku w owej niewiarygodnej kuchni musztardowego koloru, która wywarła wpływ na moje dzieciństwo, a dzisiaj już nie istnieje. W drugiej wersji Lianę i Georges, moi dziadkowie, wspólnie spędzają wakacje w L. Wraz z dziećmi, które zostawiają same i idą na obiad do sąsiadów, trzysta metrów dalej. Antonin i Tommy wpadają do studni, ktoś ich powiadamia, przybiegają, jest za późno. Według jeszcze innej wersji - zaalarmowana przez dzieci babka wskakuje do studni ze swym wielkim brzuchem, co jakiś czas się wynurza, żeby nabrać powietrza. Zdaniem jednych obaj chłopcy skaczą po deskach dopóty, dopóki te się nie połamią, zdaniem innych spokojnie lepią różne rzeczy z gliny, aż w końcu deski, przegniłe i nadgryzione przez zwierzęta, trzaskają pod ich ciężarem. Jeszcze inna wersja podaje, że tylko Antonin wpadł do studni, a Tommy uszedł cało.

Co sobie wyobrażałam? Że mogę opowiedzieć o dzieciństwie Lucile z pozycji narratora obiektywnego, wszechwiedzącego i wszechmogącego? Że wystarczy czerpać z powierzonego mi materiału i dokonać wyboru, tak jakbym robiła zakupy? Tylko jakim prawem? Zapewne miałam nadzieję, że z tej osobliwej materii wyłoni się jakaś prawda. Lecz prawda nie istniała. Miałam zaledwie rozproszone kawałki i już samo ich porządkowanie stanowiło fikcję.

Cokolwiek bym napisała, i tak zawsze pozostanę w bajce. Jak mogłam wyobrazić sobie choć przez chwilę, że zdołam przedstawić życie Lucile? Czego w gruncie rzeczy szukałam, jeśli nie zbliżenia się do bólu mojej matki, zbadania jego konturów, tajemnych zakamarków, rzuconego przezeń cienia?

Ból Lucile stanowił część naszego dzieciństwa, a później dorosłego życia, zapewne ból Lucile ukształtował nas, moją siostrę i mnie. Każda próba wyjaśnienia skazana jest wszakże na porażkę. Będę się zatem musiała zadowolić napisaniem strzępów, fragmentów, hipotez.

Pisanie nie jest w stanie nic zdziałać. Co najwyżej umożliwia zadawanie pytań i przeszukiwanie pamięci.

W ciągu całej swej historii rodzina Lucile, a w konsekwencji i nasza, wywołała liczne komentarze i hipotezy. Ludzie, na których się natknęłam w czasie poszukiwań, mówią o fascynacji; często słyszałam to w dzieciństwie. Moja rodzina ucieleśnia to, co w radości najbardziej hałaśliwe, widowiskowe, niezmordowane echo umarłych, pogłos katastrofy. Dzisiaj wiem również, że podobnie jak tyle innych rodzin odzwierciedla ona niszczycielską potęgę słowa i ciszy. Dzisiaj bracia i siostry Lucile (ci, którzy zostali) są rozproszeni po całej Francji. Lianę zmarła półtora miesiąca przed moją matką i chyba nie pomyłę się, twierdząc, że śmierć Lianę, która zdążyła już stracić trójkę dzieci, dała Lucile wyczekiwane zielone światło, by targnąć się na życie. Każdy zachował własną wizję wydarzeń składających się na rodzinną historię. Wizje te różnią się od siebie, niekiedy przeczą sobie wzajemnie, stanowią mnóstwo porzrzucanych odłamków, których zbiór czy zlepek nic nie wnoszą.

Pewnego poranka wstałam i pomyślałam sobie, że powinnam pisać, nawet gdybym musiała się w tym celu przywiązać do krzesła, i kontynuować poszukiwania, nawet mając pewność, że nigdy nie znajdę odpowiedzi. Być może książka nigdy nie będzie niczym innym jak opowieścią o tych poszukiwaniach, zawierając w sobie własną genezę, narratorskie błędzenie, niedokończone próby. Będzie wszakże stanowiła mój zryw ku niej, pełen wahania i niespełniony

Moja babka Lianę była znakomitą gawędziarką. Gdy o niej myślę, poza legendarnym szpagatem i licznymi wyczynami sportowymi, widzę, jak siedzi w kuchni opatulona w niesamowitą pizamę z czerwonej wełny zrobioną własnoręcznie na drutach (Lianę aż do osiemdziesiątki nosiła rozmaite prototypy nocnej bielizny własnej produkcji, w jaskrawych kolorach i z kapturem lub bez) niczym filuterny chochlik albo domowy skrzat, i po raz setny opowiada tę samą historię, śmiejąc się śpiwnie z błyskiem w oku. Lianę lubiła opowieści. Na przykład o tym, jak w wieku dwudziestu dwóch lat zerwała zaręczyny, bo kilka dni przed feralną datą matka wyjaśniła jej dokładnie, na czym polega rola żony. Lianę, podobnie jak wiele dziewcząt w jej wieku i z tego środowiska, nie wiedziała prawie nic na temat seksu. Parę miesięcy wcześniej zgodziła się zaręczyć z pewnym młodzieńcem z dobrego domu, najwyraźniej bowiem odpowiadał jej wyobrażeniom o dobrym mężu. Cieszyła się na myśl, że zostanie damą. Ale żeby zaraz się kłaść nago obok tego mężczyzny i znosić, by robił jej te rzeczy, o których wspomniała zbyt późno matka, co to, to nie. Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że nie ma mowy. Lianę lubiła opowiadać o rygorystycznym

mieszczkańskim wychowaniu, które otrzymała, o tym, że nie wolno rozmawiać przy stole, o wymaganiach ojca i o tym, jak ten uznany urzędnik państwowy miasta Gien w końcu się zgodził, by zerwała zaręczyny, chociaż obiad został już zamówiony i opłacony. Kilka miesięcy później Lianę poznała mojego dziadka na przyjęciu-niespodziance, przyjechawszy z wizytą do jednej ze swych starszych sióstr, mieszkającej w Paryżu. Lianę pracowała wtedy jako nauczycielka gimnastyki na pensji dla dziewcząt, do której sama uczęszczała. Georges oświadczył, że Lianę jest czarującą małą błękitną wróżką; miała na sobie zieloną sukienkę. Georges nie był daltonistą, potrafił zaskakiwać kobiety. Lianę wkrótce się w nim zakochała. Tym razem wizja leżenia w łóżku nago z mężczyzną wydała jej się nie tylko możliwa, ale wręcz upragniona.

Georges pochodził z rodziny przemysłowców, doprowadzonej do ruiny przez przodka hazardzistę. Jego ojciec, który przez długi czas był kolejarzem, zaczął pracować jako dziennikarz dla „La Croix du Nord”. Ponieważ za okupacji niemieckiej gazeta przestała się ukazywać, rodzina Georges'a wpadła w poważne tarapaty. Mimo że Georges należał do burżuazji stojącej o wiele niżej w hierarchii niż Lianę, został zaakceptowany przez rodziców babki, oboje pobrali się więc w 1943 roku. Lisbeth urodziła się parę miesięcy później.

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że dziadkowie się kochali. Lianę podziwiała Georges'a za inteligencję, poczucie humoru, naturalny autorytet. Georges kochał Lianę za nieprzeciętną żywotność, melodyjny śmiech, wieczną prostoduszność. Tworzyli dziwną parę: on, z pozoru kompletny mózgowiec, lecz kierujący się całkowicie emocjami, ona na pierwszy rzut oka taka uczuciowa, za to mocna niczym skała i przekonana o własnej głupocie.

W kuchni domu, gdzie mieszkali od lat siedemdziesiątych aż po kres życia, za drzwiami przepastnej szafy, które przez długi czas pełniły funkcję okienka do wydawania posiłków, zapisywano daty narodzin (i ewentualnie śmierci) wszystkich potomków. Gdy byłam dzieckiem, daty te zapisywano kredą na żółtej tablicy, potem z kolei, kiedy kuchnię pomalowano na żółto (nie znam daty tej zmiany), czarna tablica zniknęła i zastąpił ją plakat, na który przekopowano je niebieskim markerem.

Moja matka Lucile była trzecim z dziewięciorga dzieci. W chwili gdy piszę te słowa, miałaby sześćdziesiąt trzy lata. Kiedy zaczynałam poszukiwania, Lisbeth przysłała mi e-mailem zeskanowane zdjęcia drzwi, zrobione dwa lata wcześniej, gdy trzeba było opróżnić mieszkanie. Wydrukowałam je w kolorze i wkleiłam na pierwszej stronie notesu, z którym się nie rozstaję. Oto treść fotografii odpowiadająca lewemu skrzydłu drzwi, dotycząca zaledwie dwóch pierwszych pokoleń:

GEORGES 06.09.1917-2000 LIANĘ 07.12.1919 LISBETH 19.07.1944
BARTHELEMY 15.11.1945 LUCILE 17.11.1946 ANTONIN 10.05.1948-
1954 JEAN-MARC 07.07.1948-1963 MILO 08.08.1950-1978 JUSTINE
18.03.1952 VIOLETTE 06.11.1954 TOM 10.07.1962

Teraz już nikt nie będzie mógł uzupełnić tych list. Nie figurują na nich daty śmierci ani Lianę (listopad 2007), ani Lucile (kilka tygodni później, 25 stycznia 2008). Nie znajdują się także przyszłe dzieci. Śmierć mojej matki oznaczała koniec domu w Pierremont, małej miejscowości w Yonne, gdzie przepływa Kanał Burgundzki, stanowiącego własność jej

rodziny, potem naszej. Dom, nabyty dzięki prawu pierwokupu przyznanemu przez merostwo, dzisiaj został zapewne zrównany z ziemią pod budowę przedłużenia drogi krajowej. Walka z tym projektem była jedną z poważnych batalii stoczonych przez mojego dziadka Georges'a, który wielokrotnie ocalił dom przed zniszczeniem.

Spoglądam na zdjęcie i jego osobliwą geometrię. Dokładnie pośrodku rodzeństwa, jakby w samym jego centrum, śmierć trzech braci matki: trzy kolejne linijki, dłuższe ze względu na tę drugą datę, długie niczym ich niewyczerpane echo w żywej materii.

Ostatnim razem gdy poszłam do Violette, najmłodszej siostry Lucile, przetrząsnęłyśmy piwnicę w poszukiwaniu rozmaitych rzeczy, które chciałam obejrzeć lub przekartkować. Violette odzyskała większość papierów z domu w Pierremont, kiedy go opróżniano. W wypełnionych starymi fotografiami kopertach, przyporządkowanych poszczególnym dzieciom, natrafiłyśmy na zdjęcie Jeana-Marca, którego żadna z nas nigdy nie widziała, zrobione krótko po jego przybyciu do rodziny. Jean-Marc spogląda w obiektyw, jego ręce są krótkie, brzuch wydaje się wydęty jak u niedożywionych dzieci, ma ogoloną głowę. W jego oczach czai się niepokój. To dziecko, które się boi. Patrzyłyśmy na fotografię w milczeniu, będąc pod wrażeniem emanującego z niej bezbrzeżnego smutku, po czym odłożyłam ją na miejsce wraz z innymi. Nie odezwałyśmy się ani słowem.

Tego samego dnia Violette wręczyła mi powiększoną odbitkę innego zdjęcia, zrobionego latem 1955 roku, czyli rok po śmierci Antonina i kilka miesięcy po przybyciu Jeana-Marca. Cała rodzina siedzi w kabriolecie Peugeot 202, którego ojciec miał w tamtym okresie, stojącym pośrodku, jak się domyślamy, wiejskiej drogi obsadzonej drzewami. Na pierwszym planie Lianę trzyma w ramionach Violette, która ma jakieś osiem, dziewięć miesięcy, obie siedzą przodem do fotografa. Georges jest widoczny z profilu, z twarzą zwróconą w kierunku dzieci. Na tylnej kanapie znajdują się obok siebie Barthelemy i Jean-Marc, na dalszym planie zaś Milo, Justine, Lisbeth i Lucile, siedzący na jej oparciu, patrzą w obiektyw. Wszyscy uśmiechają się w letnim świetle, nie sztucznym uśmiechem typowym dla pozowanych zdjęć, ale prawdziwym, radosnym. Włosy Jeana-Marca zdążyły odrosnąć, policzki stały się pyzate. Lucile opiera się o drzwi, włosy ma związane w koński ogon, jest urocza, roześmiana. Dzieci jakby mimo woli skupiły się po prawej stronie fotografii, natomiast obok Mila zostało puste miejsce

Niekiedy Jean-Marc bez powodu osłaniał twarz gwałtownym gestem, jakby przed niewidzialną groźbą ciosu. Wtedy Lianę podchodziła do niego, rozplatała jego dłonie zaciśnięte wokół głowy, uwalniała jego twarz, gładziła po policzku. Należało być wobec niego miłym, pomagać mu w lekcjach, pokazać, jak się wiąże sznurowadła, jak się zachować przy stole i nauczyć modlitw odmawianych w czasie mszy. Należało mu pożyczać zabawki i książki, grzecznie z nim rozmawiać. Lucile nie kochała Jeana-Marca. Nie kochała go tak jak Lisbeth czy Barthelemy'ego, tak jak kiedyś Antonina: nie myśląc o tym. Usiłowała poczuć do niego coś łagodnego, czasem jej się to udawało, gdy Jean-Marc spoglądał na nią z tą swoją miną, „od której topnieje serce”, jak mawiała jej matka, zawsze jednak wracało przeświadczenie, że jest bezradna. Lucile czuła się winna, że zachowuje dystans, że obserwuje go jak ciało obce, odmienne, że tak trudno jej go dotknąć. Nie chciała siedzieć obok niego przy stole ani w

samochodzie, ani w metrze. Jean-Marc był dziwny, mówił innym językiem, zachowywał się w odmienny sposób. Lucile nie kochała Jeana-Marca, ale przywykła do niego. Jean-Marc stanowiął część tła, odnalazł tam swoje miejsce. Za nic w świecie nie zakwestionowałyby jego obecności. Był tutaj, z dala od swej prawdziwej rodziny, próbował się przystosować do ich rodziny, przyswoić sobie jej zasady, rozkład dnia, język. Poza tym Lucile dzieliła z nim coś, o czym reszta nie miała pojęcia. Otóż Lucile także się bała. Bała się hałasu, ciszy, samochodów, bała się złodziei dzieci, tego, że się przewróci, podrze sukienkę, zgubi coś ważnego. Nie wiedziała, kiedy pojawił się strach. Strach był od zawsze. Lucile potrzebowała Lisbeth, żeby zapalić światło w korytarzu i przejść przez dziedziniec po zmroku. Potrzebowała Lisbeth, żeby opowiadała jej rozmaite historie, kiedy nie mogła zasnąć, i żeby stała za nią, kiedy wchodziła na drabinę. Barthelemy kpił z niej. Nie potrafił zrozumieć. Barthelemy rzucał wyzwania matce, bezustannie dokonywał nowych wyczynów, wdrapywał się na mury, wymykał się z pola widzenia, znikał. Nic go nie przerażało, nic nie było w stanie powstrzymać jego zapędów. Pewnego dnia, gdy postawiono go do kąta, na oczach osłupiałych rodziców metodycznie zerwał tapetę. Kiedy zaś Lianę, wyczerpana i u kresu wytrzymałości, zamykała go w łazience, wychodził przez okno i okrążał dziedziniec, wędrując po gzymsie, z plecami przyklejonymi do ściany budynku, żeby dotrzeć do swego pokoju albo uciec przez klatkę schodową. Na widok chłopca wiszącego nad przepaścią sąsiedzi podnosili rwetes. Tylko że Barthelemy lubił wysokość, rozszerzał swe terytorium od rynny do okapu i od okapu do gzymsu, aż wkrótce umiał przejść po dachach od numeru 15 bis do numeru 25.

Kiedy trzeba było pomyśleć życzenie z okazji pierwszego razu (pierwszych truskawek, pierwszego śniegu, pierwszych motyli), Lucile zawsze myślała o tym samym. Marzyła, żeby stać się niewidzialna: wszystko widzieć, wszystko słyszeć, wszystkiego się dowiadywać, lecz samej nie zdradzać niczym namacalnym własnej obecności. Stałaby się jedynie falą, podmuchem, być może zapachem, czymś, czego nie da się dotknąć ani schwytać. Jak daleko sięga pamięcią, Lucile zwracała na siebie uwagę. Ledwie weszła do pokoju czy przystanąła na chodniku, dorośli pochylali się nad nią, zachwycali, brali za rękę, głaskali po włosach, zadawali pytania, jaka urocza dziewczynka, jaka ona śliczna, jakaż ona piękna, wygląda na taką mądrą, dobrze się uczysz? Po kampanii reklamowej odzieży Intexy Lucile została „małą gwiazdą”. Brała udział w *Wybiegu pod giuiazdami*, prowadzonym przez Pierre'a Tchernię, następnie w wielkim przedstawieniu Georges'a Cravenne'a na wieży Eiffla, kiedy to sfotografowano ją na kolanach Brigitte Bardot. Domagali się jej wszyscy markowi producenci ubrań. Georges i Lianę przyjmowali tylko niektóre zlecenia. Zdarzały się miesiące, gdy pieniądze ze zdjęć pomagały opłacić czynsz, ale przecież Lucile musiała nadal chodzić do szkoły.

W klasie, od chwili rozdania bibuły, Lucile nie miała już żadnych szans> żeby się zgubić w tłumie. Poznała, co to podziw, zawiść, zazdrość, skierowane pod jej adresem w ścisłej postaci, która ją dławiała. Lucile wyczuwała pragnienie części dziewcząt, by się do niej zbliżyć, by zająć miejsce obok niej, ale także zacięcie, z jakim doszukiwały się w niej jakichś wstydlivych braków bądź śmiesznej wady, która skalałaby jej wizerunek i pozwoliła ją unicestwić. Mimo wszystko Lucile była dumna. Dumna z tego, że zarabia pieniądze, dumna, że została wybrana spośród innych, dumna z tego, że Georges jest dumny z niej i że cieszy się

z jej sukcesów.

Kiedy udało jej się uciec przed innymi, puszczała na adapterze piosenki Charles'a Treneta. Stojąc przed lustrem uśmiechnięta i starannie uczesana, śpiewała *Boum, Diabelską jawę* albo *Trzymam cię za rękę*, które znała na pamięć.

Przez długie lata niedzielne poranki były czasem pieszczot: dzieciaki pakowały się dwójkami do ciepłej pościeli w łóżku Lianę i Georges'a, przytulając swe małe ciała do ciał rodziców (Lisbeth z Barthelemy, Lucile z Antoninem, Milo z Justine). Jednakże po śmierci Antonina, po powrocie z wakacji w L., zaniechali tego rytuału.

Dwa lata wcześniej Georges założył własną agencję reklamową, szukał nowych klientów i pracował bez wytchnienia. W ciągu tygodnia dzieci ledwie go widywały. Wracał późnym wieczorem, kiedy były już po kolacji, całował po kolei z jednakowo nieobecną miną, zaś brak Antonina przypominał mu o sobie codziennie w ten sam zdradziecki sposób - gdy oddalali się jedno za drugim ubrani we wzorzyste piżamy, na koniec zawsze kogoś brakowało. Georges się zmienił. Nie nagle, gwałtownie, lecz powoli, stopniowo, tak jakby pod wpływem głuchej urazy, której odmawiał zwycięstwa. Georges nie stracił nic ze swej werwy, z ciętego języka, ze zmysłu krytycyzmu. Nadal miał niezmiennie twarde spojrzenie i upodobanie do kpin. Natomiast im mniej się stawał delikatny, tym był bystrzejszy. Podczas kolacji i przyjęć rozśmieszał wszystkich, nieustannie skupiając na sobie uwagę. Słowo stanowiło środek wyrazu dla władzy, potęgi. Georges wysławiał się górnolotnie, precyzyjnie, w sposób akademicki. Piętnował u innych niezręczny styl, błędy składniowe, niewłaściwe użycie słów. Georges opanował gramatykę francuską do perfekcji i znał absolutnie każde żargonowe określenie. Czasami jakiś wieczór, rozmowa czy kiepski film pozostawiały w nim ślady goryczy, toteż wkrótce w gardle pojawiała mu się gula złości, która nie przestawała rosnąć.

* * *

Pewnego dnia, gdy wpatrywał się w pustkę od kilku minut, nieświadomy otaczającego go hałasu, zaniepokojona Lisbeth zagaiła matkę w kuchni.

- To nie jest tatuś.
- Jak to?
- To człowiek w masce, który jest podobny do tatusia. Ale jestem pewna, że to nie on.

Wieczorem Georges przyglądał się dzieciom i chłopcykowi, którego sprowadził do domu, o ciemnej czuprynie, podczas gdy cała reszta miała blond włosy, łagodnemu i bojaźliwemu chłopcu, który przez kilka tygodni unikał jego wzroku. Georges przyglądał się swej rodzinie, zastanawiając się nad wyborami, których dokonali. Ożenił się z kobietą, której największym pragnieniem było rodzić i wychowywać dzieci. Dużo dzieci. Nie należał do tych, co zrzedzą, wykręcają się, skąpią. Do pozbawionych ambicji, małostkowych tchórzcy. Nie ma dość pieniędzy i co z tego? Zdobędzie! Nie ma dość miejsca? No cóż, przesunie ściany i zrobi łóżka chowane w szafie. Życie musi się nagiąć do jego pragnień, pragnienia zaś były ogromne. Przestrzeń wypełniał hałas, krzyki, kłótnie. Potrzebował jej ilości, obfitości. Tak samo było z kobietami, choć kochał tylko jedną. Aż do tej pory żadna mu się nie oparła. A miał jeszcze tyle ciał do odkrycia. W gruncie rzeczy jednak (i zapewne właśnie o tym

rozmyślał Georges wieczorami, ze wzrokiem utkwionym w szpary między klepkami parkietu) bez względu na to, gdzie się znajdował, w kobiecych ramionach, w środku długiej biesiady skupiającej przyjaciół, za kierownicą samochodu, którym jechał na skróty, z dziećmi ścisniętymi z tyłu, bez względu na to, gdzie się znajdował, owszem, w gruncie rzeczy był sam.

Lianę znów zaczęła się śmiać i śpiewać. Jako młoda dziewczyna opanowała cały repertuar wyliczanek i piosenek, które teraz nuciła dzieciom, mały żołnierz do domu wrócił, lecz na wojence postradał bucik. Czasami brzuch przeszywało jej coś parzącego, czego żadna ciąża nie byłaby w stanie uśmierzyć. Lianę wierzyła wszakże w niebo, w miłosiernego Boga, w wieczny odpoczynek. Pewnego dnia w ludzkim rajku albo i w jakiejś nieznanym przestrzeni, gdzie miękkość miesza się z ciepłem, odnajdzie swojego synka. Kilka miesięcy po pogrzebie Antonina, kiedy urodziła się Violette, jeszcze bardziej pulchna i żwawa od reszty, Lianę pomyślała sobie, że Bóg daje jej znak. Albo prezent. Narodziny Violette przesłoniły jej smutek woalem zmęczenia i spełnienia. Violette pochłaniała całą jej energię i jednocześnie utrzymywała ją przy życiu. Lianę kochała niemowlęta, ich zapach w zagłębieniu szyi, maleńkie paluszki i mleko wyciekające jej z piersi w środku nocy. Dzidzius, wraz z nocnym budzeniem i żarłocznymi pragnieniami, całkowicie ją pochłoniął. Violette gaworzyła do niej, uśmiechała się, patrzyła. Kiedy z kolei Justine, malutka córeczka, wyciągała rączki i czepiała się spódnicy, Lianę ją odpychała. Justine chciała do matki i domagała się tego, co jej się należało. Lianę jednak nie miała siły. Już dłużej nie mogła.

Pozostali byli duzi. Dawali sobie radę. Lisbeth odgrywała rolę starszej siostry, pomagając matce w kuchni, wycierając naczynia, pilnując malców. Barthelemy spędzał większość czasu na dworze, kpił sobie z Pana Boga i zawsze znajdował jakąś wymówkę, żeby się wykręcić od mszy. Milo bawił się z Jeanem--Markiem, kolekcjonował samochodziki i kostki do gry, Lucile wpatrywała się w dorosłych, nie roniąc ani słowa z ich rozmów, zapamiętując wszystko.

Najbardziej córeczką Georges'a była Lucile. Wykapany ojciec, miała identyczne usposobienie jak on, identyczne spojrzenie, identyczny sposób mówienia. Lianę chciałyby umieć ją bardziej pokochać, uspokoić, przełamać mur milczenia. Zamiast tego Lucile pozostała tajemniczym dzieckiem, które zbyt szybko dorasta i które przestała brać na ręce.

Lucile wkrótce miała się stać bardziej błyskotliwa, bardziej inteligentna, bardziej bystra od niej. Lianę sama nie wiedziała, kiedy doznała tego uczucia. Lucile zaś przyglądała jej się nieustannie z miną, jakby pozjadała wszystkie rozumy, chociaż niczego nie umiała, z miną jakby tu była, chociaż jej nie było, jakby wiodła równoległe życie do ich życia, a czasem jakby ją osądzała

Monety leżały pod powierzchnią, tuż pod spodem, ledwie zanurzone w piasku. Wystarczyło lekko pograbić rękami albo małymi grabkami. Lucile wydała okrzyk i wyciągnęła przed siebie zdobycz, czekając na reakcję brata. Barthelemy gwizdnął z podziwem. Dziewczynka dorzuciła pieniądze do tygodniowego łupu: piętnaście franków w drobnych monetach. Każdego wieczoru, kiedy plaża pustoszała, wracali na placyk do ćwiczeń i starannie przeczesywali piasek. Przez cały dzień letnicy wspinali się po drabinkach, zwisali zaczepieni stopami, huścili się aż do nieba i rozsiewali swe bogactwo. Każdego wieczoru dzieci znajdowały zgubione spinki do włosów, monety i futerały na klucze, za co mogły sobie kupić

jeden, dwa rożki frytek albo nawet, przy udanych łowach, pójść do kina. Tym razem Lucile miała szczęście. Schowała pieniądze do kieszeni. Barthelemy także przeliczył swój łup. Po dodaniu do tego monet, które rano podebrał z portmonetki Lianę, był bogaty jak Krezus.

- Zapraszam cię! — oświadczył Lucile.

Ruszyła za bratem, nie wiedząc dokąd. Maszerowali wzdłuż promenady, po czym Barthelemy przystanął na tarasie lodziarni. Lucile rozejrzała się dokoła. Miejsce wydawało jej się nadzwyczaj eleganckie.

- Jesteś pewny, że wystarczy ci pieniędzy?

- Nie bój nic...

Zaczesane do tyłu włosy podkreślały zadziwiająco regularne rysy Barthelemy'ego. Chłopiec siedział prosto, lekko odchylony do tyłu, z ręką wspartą na poręczy krzesła, rozluźniony w niedbałej pozie, jak myślał, typowej dla młodego mężczyzny. Kiedy zamówił dwie porcje banana split, kelnerka spojrzała na niego niepewnie, następnie zapytała, czy ma dość pieniędzy. Gdy pokazał jej monety, zapytała o rodziców: czy wiedzą, że oni tu są? Lucile obdarzyła ją swoim reklamowym uśmiechem, skłaniając nieznacznie na bok głowę, kładąc dłonie płasko na udach, robiąc tę swoją mądrą minę, którą tak doskonale potrafiła udawać, kelnerka odeszła więc uspokojona. Teraz Lucile przebierała nogami z niecierpliwości. Siedzą tu sobie oboje, jak dorośli, z dala od zgielku panującego w domu, w porze, kiedy wszyscy wracają z plaży, z dala od mokrych i zapiaszczonych kostiumów kąpielowych porzuconych na posadzce w łazience, z dala od krzątania wokół prysznic i kłótni o to, czyja kolej rozwiesić ręczniki. W tym roku Georges miał dość pieniędzy, żeby wynająć dom na cały sierpień i wysłać rodzinę nad morze. Tak czy inaczej nie było już mowy, żeby wyjechać do L. Byli w Nauzan dwa lata wcześniej, dzieciom bardzo przypadła do gustu ogromna plaża, lodziarnia i włości po lesie. Poza swoją świętą Lianę i Georges zabrali syna dozorczyńni. Decyzja zapadła na parę dni przed wyjazdem; mijając chłopca na schodach, Georges uznał, że jest bledziutki, „chuchrowaty”, zawyrokował, po czym doszedł do wniosku, że malcowi potrzeba powietrza. Georges już taki był. Zapraszał włóczęgów do stołu, dawał gościnę wszelkiej maści uchodźcom, zabierał cudze dzieci na wakacje, jakby nie miał dość własnych. Po czym Lianę gotowała posiłki, ścieliła i rozścielała łóżka, ponosząc ciężar przyływu empatii męża.

Lucile patrzyła, jak na stół wjeżdża olbrzymi puchar lodów z okazałą górą tłustej bitej śmietany. Zaczęła od lewej strony, metodycznie, nabierając śmietanę, lody i owoce w równych porcjach, i zamknęła oczy, żeby delektować się smakiem. Po dziesięciu dniach słońca jej włosy stały się niemal białe, podobnie jak delikatny puszek na ramionach, który z upodobaniem gładziła pod włos albo próbowała wrywać palcami. Gdyby mogła wybierać, wolałaby być włóchatym potworem, z prawdziwą długą i gęstą sierścią, albo sztywną i kłującą jak kolce jeża. Włożyła sandały, nie otarłszy stóp, i teraz piasek kleił jej się do kostek. W taki sam sposób odczuwała obecność soli na skórze, lubiła to uczucie, miała wówczas wrażenie, że jej ciało pokrywa ochronna błona, ledwie widoczna gołym okiem. Lucile bała się wody, za to uwielbiała plażę. Na plaży, pod gołym niebem, napięcie hałasu, jaki robiła jej rodzina wszędzie, gdzie tylko się znalazła, było prawie niesłyszalne. Głosy, śmiechy, wrzaski brzmiały tam ciszej. W bezmiarze piasku, między wydmami a brzegiem, Poirierowie

byli zaledwie garstką maleńkich, ruchliwych i barwnych postaci, które zlewały się z otoczeniem, w końcu się w nie wtapiając. Lianę wbijała parasol, umieszczała lodówkę w cieniu, po czym wyciągała się na ręczniku, wystawiając skórę do słońca. Urodziła się po to, by się opalać. Około południa rozchylała bagietki i każdy komponował sobie własną kanapkę. Dzieci spędzały cały dzień w wodzie, wymyślając zabawy, czepiając się małego nadmuchiwanego pontonu, dzieląc między siebie maski i rurki. Wieczorem wracały zmordowane, z potarganymi włosami i codziennie coraz bardziej brązowe.

Lucile nie zdążyła jeszcze napocząć drugiej połowy lodów, gdy dostrzegli zbliżającą się do nich sylwetkę Jeana-Marca. Barthelemy westchnął.

- Cholera, nadchodzi Łącznik!

W ciągu roku Jean-Marc otrzymał to przezwisko z jednej strony nawiązujące do tak lubianego przez Georges'a rugby, przede wszystkim zaś dlatego, że znajdował się na styku dwóch obozów, pomiędzy starszymi a młodszymi, łaskawie zaakceptowany przez pierwszych, jednogłośnie przyjęty przez drugich. „Łącznik” nie był ani całkiem duży, ani całkiem mały, lecz wszystko naraz.

Teraz Jean-Marc zrównał się z nimi.

- Mama was szuka, martwi się.

Barthelemy mierzył go przez chwilę wzrokiem. Nie miał ochoty go oglądać. I tak nie wystarczyłoby mu pieniędzy, żeby postawić chłopcu lody. A poza tym znajdowali się wśród ludzi z towarzystwa, Jean--Marc zaś zaraz narobi im wstydu tym swoim dziwacznym akcentem, którego nie potrafił się pozbyć, nie było wszakże błędem go poprawiać czy kazać mu powtarzać. Jean-Marc nie mógł się powstrzymać przed zapuszczeniem żurawia w pucharki, na twarzy malował mu się wyraz zazdrości.

Lucile go obserwowała. Przy opaleniznie blizny na jego nogach wydawały się bledsze, niemal fosforyzujące. Przez długi czas biologiczna matka Jeana-Marca zmuszała go do klęczenia w kominkowym żarze. Lekarz powiedział Lianę, że ślady pozostaną mu na całe życie, że nic nie da się zrobić. Jean-Marc zerkał na Lucile spod oka, z niepokojem. Nagle ogarnął ją przypływ czułości, jeszcze trochę, a wzięłaby go w ramiona.

- Chcesz to samo?

Jean-Marc kiwnął potakująco głową. Lucile wyjęła z kieszeni drobne, Barthelemy przywołał kelnerkę wielkopańskim gestem.

- Proszę pani, to samo dla tego młodzieńca.

Pewny siebie, niemal władczy, Barthelemy naśladował ojca. Jean-Marc nie mógł powstrzymać uśmiechu dumy. Rozpierała go radość nie tyle z powodu perspektywy skosztowania deseru banana split, wcale bowiem nie miał pewności, że zdoła zmieścić całą porcję, ile fakt, że dostał zaszczytu siedzenia na tarasie lodziarni wraz z Barthelemy i Lucile. Dziewczyna obdarzyła go uśmiechem.

- Widziałam dzisiaj, jak pływasz. Szybki jesteś.

Jean-Marc nie odpowiedział.

- Mógłbyś startować w zawodach - dodał Barthelemy mimo ukłucia zazdrości.

Pomysł ten uradował Lucile.

- Zostaniesz mistrzem świata - ciągnęła - i matka zobaczy twoje zdjęcie w gazecie, w pięknych kąpielówkach, przetrze oczy i oszaleje z wściekłości!

- Przede wszystkim będziesz bardzo bogaty, jak Krezus! - dokończył Barthelemy, który przejął to wyrażenie od ojca, uznając, że jest zdecydowanie bardzo błyskotliwe.

- Wyobraź sobie własne zdjęcie na pierwszej stronie, z ogromnymi mięskami, i matkę, która trzęsie się ze strachu na myśl, że przyjdiesz się zemścić!

Na słowa Lucile Barthelemy podniósł się z krzesła i stanął na rozstawionych nogach w pozycji ciężarowca, wypinając pierś i pokazując mięśnie. Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Kelnerka postawiła przed Jeanem-Markiem pucharek lodów. Jego porcja wydała mu się większa od pozostałych. Posławszy Lucile spojrzenie w poszukiwaniu aprobaty, chłopiec rzucił się na deser, zaczynając od bitej śmietany, i smakował w milczeniu

Gdy nadeszła jesień, Lucile odniosła wrażenie, że wszystko, nawet jeśli nie wróciło do normy, przynajmniej się uspokoiło; widzialna strona smutku spłynęła wraz z wodą do mycia naczyń i prania, zaś brzuch Lianę od kilku miesięcy pozostawał pusty. Jean-Marc znalazł swoje miejsce przy stole i w pokoju chłopców, nie krzyczał już w środku nocy i nie spuszczał wzroku, kiedy ktoś się doń odezwał. Jean-Marc wszedł w ramy, uśmiechał się na zdjęciach, wtopił się w otoczenie, jakby zawsze tu był. Niemal zapomniano, że przybył z zewnątrz. Lucile pomyślała, że być może jej rodzina osiągnęła wreszcie swój ostateczny kształt: trzech chłopców, cztery dziewczynki — konfiguracja, która wydawała jej się aż nadto wystarczająca w przydzielonej im przestrzeni i zapewniała jej zaszczytną pozycję pośród starszych. Cokolwiek by się działo, pozostanie ulubienicą ojca, tą, na której wzrok ojca spoczywał w pierwszej kolejności, tą, która zawsze mogła liczyć na jego zachętę, uśmiech i wyrozumiałość, mimo że przejawiała słabe upodobanie do nauki i przynosiła marne oceny. Georges bardziej niż ktokolwiek inny dostrzegał wyjątkowy umysł córki, rzeczowe słownictwo, bystrość spojrzenia. Lucile miała nadzieję, że stan ten będzie trwał nadal, w owej niewidzialnej geometrii, łączącej ich wszystkich nawzajem, teraz już ustabilizowanej, do której każde z nich najwyraźniej się przystosowało. Odczuwała osobliwą potrzebę trwałości, bała się wyjazdów, wyjść, oddalenia.

Kiedy rodzice oznajmili, że wyjeżdżają na weekend do Londynu, na zaproszenie jednego z klientów Georges[^], Lucile przyjęła tę nowinę jak nieuchronnie zbliżające się trzęsienie ziemi. Cały weekend. Okres ten wydał jej się nie do pokonania, zaś myśl, że w czasie nieobecności Lianę i Georges'a może się wydarzyć poważny wypadek, zaparła jej dech. Przez kilka minut Lucile wpatrywała się w dal, pochłonięta przerażającymi wizjami, których nie potrafiła odegnąć, wizjami uderzeń, upadków, poparzeń, obejmującymi kolejno każdego z braci i siostr, zanim wreszcie ujrzała samą siebie wpadającą pod pociąg metra. Nagle dotarło do niej, że są tak bardzo bezbronni, że w gruncie rzeczy ich życie wisi zaledwie na włosku, że wystarczy jeden nieostrożny krok, jedna sekunda za mało albo za dużo. Wszystko może się zdarzyć, a zwłaszcza to najgorsze. W mieszkaniu, na ulicy, w mieście czyha nieskończona ilość zagrożeń, możliwych wypadków, nieodwracalnych tragedii. Lianę i Georges nie mają prawa. Czując spływające po policzkach łzy, cofnęła się o krok, aby schować się za Lisbeth, która słuchała słów ojca z uwagą.

Georges objaśniał im dalej plan organizacji weekendu, za którą miała odpowiadać całkowicie ich starsza siostra; będzie to wymarzona okazja do udowodnienia własnej dojrzałości. Starsi będą się opiekować młodszymi, przygotowywać posiłki, zabierać na skwer,

zapewniać ogólne zaopatrzenie, jak również program przewidziany przez Lianę, wyszczególniony dokładnie w notesie w kratkę, wraz z jadłospisem i wskazówkami na temat zużywania resztek. Marie-Noelle, koleżanka Georges'a, zajrzy do nich przynajmniej raz w ciągu weekendu i będzie przez cały czas pod telefonem. Czy to jasne?

Dozwolona strefa pozostaje ta sama co zawsze: ulica Clauzel, ulica Miliona, ulica Buffault, skwer Montholon. Skwer Anvers jest zakazany.

Kiedy Lisbeth przytaknęła, Barthelemy przybrał swoją najpoważniejszą minę i zrobił to samo. Obserwując twarz brata, Lucile zdawała się odgadywać, jak bardzo podnieca go perspektywa weekendu bez rodziców. Potarła policzki wierzchem dłoni, za to teraz po ciele przebiegały jej dreszcze. Bała się. Ona jedna się bała. Ona jedna zdawała sobie sprawę, jak bardzo ich życie zależy od pękających desek, od pędzących na oślep samochodów, od zawrotnych upadków. W oddali narastały krzyki kuzynów, chociaż najwyraźniej nikt ich nie słyszał: „Wpadli, wpadli!”.

Gdy nadszedł ten dzień, Lianę i Georges dołączyli do całusów odpowiednie przykazanie dla każdego. Barthelemy'ego poprosili, żeby słuchał się siostry i nie zakradał przez okno. Lucile zasugerowali, żeby porzuciła książki i przyłączyła się do prac domowych, maluchom, żeby były grzeczne i bawiły się bez hałasu. Instrukcje dotyczące karmienia Violette zostały zapisane czarno na białym i powierzone Lisbeth.

Lucile nie rozplakała się, gdy zatrzasnęli za sobą drzwi. Pomachała przez okno, patrząc, jak rodzice wsiadają do auta, które miało ich zawieźć na dworzec. Kiedy samochód zniknął jej z pola widzenia, pomyślała, że być może nigdy ich już nie zobaczy. Pociąg może się zderzyć z innym pociągiem, prom zatonać na kanale La Manche, budynek, w którym zamieszkają w Londynie, spłonąć. Lucile zamknęła oczy, chcąc się uwolnić od strumienia katastroficznych wizji, który zalewał jej wyobraźnię. A jeśli zostaną sami, całą siódmką, jak Tomcio Paluch, porzucony w środku lasu wraz z braćmi i siostrami? A jeśli będą musieli się nauczyć żyć bez pieniędzy i bez rodziców? Lucile zdążyła jeszcze dojrzeć ich wychudzone ciała, podarte ubrania, po czym otworzyła oczy. Była sama w pokoju. Zastała Lisbeth i Barthelemy'ego w kuchni, chyba nie mieli nic do roboty, przez kilka minut przyglądała się ich bledszym niż zazwyczaj twarzom, niepewnym gestom. Wcale nie czuli się jak zwycięzcy. Podobnie jak ją, zżerał ich ogromny i niejasny lęk. Mieszkanie pograżyło się w wyjątkowej ciszy.

Sobota minęła bez problemów, każdy drobiazgowo wykonywał pozostawione zalecenia. Jean-Marc urządził kilka zabaw z Justine i Milem, którzy byli tak posłuszni, jakby startowali w finale narodowego konkursu na najgrzeczniejsze dziecko. Barthelemy'ego nigdy jeszcze nie cechował taki spokój i domatorstwo. Pod koniec dnia zajrzała do nich Marie-Noelle, aby sprawdzić, czy niczego nie potrzebują. Widząc, że są w jak najlepszym nastroju, pełna otuchy wróciła do siebie.

W nocy Violette zaniósł się płaczem. Lisbeth zapaliła światło w pokoiku dziewczynek, wzięła ją na ręce i zaczęła kołysać. Violette rozplakała się jeszcze bardziej, jej ciałkiem wstrząsało łkanie. Rozglądała się wszędzie dokoła przerażona. Lucile także spróbowała ją uspokoić, głaszcząc po włosach, całując w policzki. Violette wrzeszczała coraz głośniej, buzia

czerwieniła jej coraz mocniej, czoło płonęło. Do trójki dziewcząt wkrótce dołączyli chłopcy, których obudziły krzyki. Ktoś rozrobił mleko w butelce, śpiewano piosenki, ktoś włączył tranzystor. Violette wrzeszczała jednak na całe gardło, niepocieszona. Lucile czuła narastający w niej strach, krzyki Violette rozbrzmiewały w jej głowie, wzmagając się z każdą sekundą. Krzyki Violette zawierały wiadomość, której nie umiała odczytać, zapewne powinni płakać razem z nią, płakać nad tym, co nigdy nie zostanie wypowiedziane, nad dziecięcym smutkiem, nad pędzącym coraz szybciej, pełnym zagrożeń, zgiełkliwym światem, gdzie mogą zniknąć bez uprzedzenia. Violette cierpi na ciężką chorobę, Lucile jest tego pewna, zaraz umrze, na ich oczach i z ich winy, trzeba jej zmierzyć temperaturę, wezwać straż pożarną, zawieźć ją do szpitala. Po policzkach Lucile płynęły łzy, których w zamieszaniu nikt z rodzeństwa nie zauważył.

O trzeciej w nocy wyczerpana i skołowana Lisbeth zadzwoniła do drzwi sąsiadów. Oni zaś wzięli małą do siebie, wreszcie zdołali ją uspokoić, a kiedy Violette z powrotem usnęła, położyli ją do łóżeczka

Po powrocie z ferii bożonarodzeniowych Lucile i Lisbeth przeniosły się do służbówki, na szóste piętro budynku. Georges w końcu nakłonił właściciela, żeby opróżnił pokój i mu go wynajął za niewielką dopłatą, gotów się zgodzić na większy czynsz później, gdy agencja stanie na nogi. Odkąd Violette wprowadziła się do pokoju dziewczynek, zwiększając liczbę jego mieszkańek do czterech, nie sposób było się tam uczyć. Lisbeth potrzebowała spokoju. Na górze mogła zająć się nauką w ciszy. Dla Lucile, która ustawicznie unikała odrabiania lekcji i powtarzania materiału, niewiele to zmieniło, Lianę uznała jednak, że odosobnienie wpłynie być może dodatnio na jej koncentrację.

Służbówka była maleńka, bez umywalki i ubikacji. Na tym samym piętrze mieszkała Gilberte Pasquier, młoda kobieta, która zdobyła mistrzostwo Francji w pisaniu na maszynie i dla której Lucile żywiła ogromny podziw. Gilberte Pasquier nosiła szare kostiumy i obcasy zawrotnej wysokości i codziennie malowała usta na różowo.

Po śniadaniu zjedzonym w kuchni - chleb z masłem i czarna czekolada — Lucile i Lisbeth wdrapywały się po schodach po dwa stopnie naraz, świadome przywileju, jaki stanowił dystans dzielący je od reszty rodziny (cztery piętra) i możliwość zamknięcia drzwi na klucz. Były u siebie, gdzie Barthelemy nie mógł już szperać w ich rzeczach, dokąd hałas docierał jedynie z daleka i tylko zrywami (na przykład wrzaski Justine, której napady złości osiągały rzadko spotykany poziom decybeli), gdzie bałagan był wyłącznie ich sprawą. Lisbeth opowiadała o minionym dniu, o przyjaciółach, o nauczycielach, natomiast Lucile nie opowiadała o niczym, za to zgadzała się czasem pokazać siostrze otrzymane listy miłosne; ostatni był od dziewczyny z klasy, której literackie zacięcie i poetycki styl przykuły jej uwagę. Georges wstawił im piętrowe łóżko i zrobione własnoręcznie składane biurko, przy którym Lisbeth mogła odrabiać lekcje, siedząc na dolnym posłaniu. Tymczasem Lucile nasłuchiwała energicznych kroków Gilberte Pasquier, rozpoznawalnych na kilometr, kiedy zaś młoda kobieta zbliżała się do drzwi, wychodziła na klatkę schodową, żeby się przywitać. W ciągu paru sekund rejestrowała wszystko: kolory, stroje, pończochy i makijaż. Pewnego dnia będzie taka jak Gilberte Pasquier, kobietą, na którą mężczyźni ledwie ośmielą się

spojrzeć, którą będą podziwiać z daleka, w kamiennym milczeniu.

Następnie obie siostry dołączały do reszty rodziny, brały prysznic i pomagały Lianę w przygotowaniu posiłku. Wieczorem, gdy nadeszła pora spania, Lucile nie była w stanie sama przekroczyć progu pokoju, Lisbeth musiała przemierzyć klatkę schodową, by zapalić światło, pokonać cztery piętra wraz z nią i dopóty opowiadać jej rozmaite historie, dopóki nie zasnęła. Z początku Lucile zażądała górnego łóżka, ponieważ jednak moczyła się w nocy, wkrótce cierpliwość siostry się wyczerpała. Lucile zajęła więc dolne, zmuszona siusiać do fajansowego nocnika, który jedna z nich opróżniała każdego ranka w toalecie na piętrze, przy czym Lisbeth robiła to częściej.

Po feriach Barthelemy mu przydzielono obowiązek zawożenia Lucile do dentysty. Lucile urodziła się tuż po wojnie i miała słabe zęby. Zamiast się tam jednak udać, ruszali w przeciwną stronę, włączyli przez kilka godzin albo wchodzili do sali kinowej, oglądali sklepowe witryny i podkradali cukierki ze sklepu ze słodyczami na rogu. Lucile podziwiała brata, jego coraz większe zuchwalstwo i swobodę w każdej sytuacji. Była dumna, że wybrał ją na współniczkę wybryków, że zdradza jej swoje plany i tajemnice, właśnie jej, a nie Lisbeth, bo Lisbeth zrywała się na jego występki i nie wahała się na niego donieść. Pod nieobecność Lianę jedna z ulubionych zabaw Barthelemy'ego polegała na przygważdżaniu starszej siostry do ziemi i pod groźbą ohydnych tortur zmuszaniu, by wypowiedziała dziesięć razy jego imię: Kto jest najpiękniejszy? Kto jest największym śmiałkiem? Kto jest najmądrzejszy? Kto jest najzabawniejszy? Kto jest najdowcipniejszy? Kto jest najbardziej wygadany?

Z Lucile nigdy. Lucile robiła na nim wrażenie. Wystarczyło jedno jej spojrzenie, żeby stracił ochotę na zapasy. Lucile stanowiła mur ciszy pośród hałasu. Za sprawą malującego się na jej twarzy smutku Barthelemy nazywał ją Blue, a w dniach szczególnej melancholii Blue-Blue. Czasem pragnął ją chronić albo zabrać gdzieś daleko, tam, gdzie mogliby się tylko włączyć, nie musieliby już w ogóle zwracać sobie głowy szkołą.

Niekiedy Lianę wysyłała Lucile po zakupy na ulicę Martyrs. Od każdej kupionej rzeczy Lucile pobierała małą sumkę, prawie nic, minimalny procent przeznaczony na dostawę. W ten sposób dokonywała w myślach obliczeń, które były mniej odpychające niż operacje nauczane w szkole. Pod koniec miesiąca na ogół była w posiadaniu jakichś dwudziestu franków, które natychmiast wymieniała na cukierki.

Na skwerze św. Piotra krążyły opowieści o dzieciach, które znikają na zawsze, owinięte w białe prześcieradła przez czarownice. Lucile wspinała się po kilka razy po schodach wiodących do bazyliki, po czym zbiegała po dwa stopnie naraz z żołądkiem ściśniętym ze strachu. Na dole handlarze drobiazgow sprzedawali małe woreczki z piaskiem, uwiązane na sznurku i ozdobione krepiną, którymi kręciła w powietrzu i patrzyła, jak spadają niczym różnobarwne motyle. Właśnie tę zabawę lubiła najbardziej.

W księgarni przy ulicy Maubeuge Lucile spędzała całe godziny, stojąc przed półką przeznaczoną dla małych dziewczynek. W końcu wybierała książkę, którą wsuwała pod pachę, następnie zapinała płaszcz i oświadczywszy, że niestety nic jej nie przypadło do gustu, mówiła sprzedawczyni „do widzenia”. Po latach Lucile miała zrozumieć, że owa kobieta o

czułym spojrzeniu była cichą współniczką jej czytelniczej inicjacji.

Pewnego popołudnia doktor Baramian, którego hałas nie zdołał jeszcze przepędzić, zaprosił Lucile i Lisbeth do swego gabinetu, żeby im pokazać magnetofon. Obydwie nawet nie miały pojęcia o istnieniu podobnego ustrojstwa. Doktor Baramian poprosił, aby wyrecytowały do mikrofonu wiersz, w samym środku jednak się pomyliły. Przez kilka sekund dukały, starając się powtórzyć chórem ten sam wers, aż wreszcie im się udało. Następnie doktor Baramian cofnął taśmę i puścił im nagranie. Lucile uznała to za podstęp ze strony lekarza. Nie mogła w to uwierzyć: przecież to niemożliwe, to nie są ich głosy. Aż w końcu nadeszła chwila pomyłki, śmiech Lisbeth, trudności z rozpoczęciem na nowo od właściwego miejsca, a wtedy nie było już żadnych wątpliwości. Doktor Baramian to czarodziej.

* * *

Od powrotu z wakacji raz albo dwa razy na tydzień pewna pani z sąsiedztwa przychodziła pomagać Lianę cerować skarpetki, obrębiać ubrania i łątać dziury. Kobieta, która zyskała przydomek Pani Igiełki, w każdy czwartek jadała obiad z rodziną Poirierów. Lucile przyglądała się pilnie Pani Igiełce, jej sflaczałej i pomiętej skórze podziurawionej maleńkimi kraterami, jej rzadkim włosom. Lucille zastanawiała się, czy nawet jeśli wyglądałaby jak Gilberte Pasquier, pewnego dnia również się tak zmieni i stanie się starszą, pokurczoną i przygarbioną panią, unikającą ludzkiego wzroku. Wtedy będzie wreszcie mogła swobodnie wchodzić i wychodzić, nieskończenie lekka i prawie przezroczysta. Wówczas już się nie będzie bała, niczego nie będzie się bała.

Pani Igiełka miała mały wąsik i lekki puszek na brodzie. Kiedy żuła, nierzadko zdarzało się, że okruszek chleba albo innego pokarmu wypadał jej z buzi, przyklepiając się gdzieś w okolicy. Pewnego czwartku, na widok ziarenka ryżu, które podskakiwało od kilku minut uczezione jej górnej wargi, Barthelemy zwrócił jej na to uwagę z wymownym gestem:

- Schmoulz, pani Igiełko!

Lucile, która lubiła nowe słowa, uśmiechnęła się. To słowo zaś zrobiło furorę wśród rodzeństwa i z miejsca zyskało szansę, że zostanie przekazane potomności. (Jeszcze dzisiaj dla wszystkich potomków Lianę i Georges'a, a dzięki osmozie także dla wielu ich przyjaciół, *schmoulz* oznacza każdą bardziej lub mniej przeżutą drobinę pożywienia przyklepioną w kąciku ust albo na brodzie).

Georges, którego praca pochłaniała coraz bardziej, rzadko widywał dzieci. Wraciał późnym wieczorem, kiedy hałas już zdążył ucichnąć i kiedy zbliżała się pora spoczynku. Całował każde z czułością w czoło, podczas gdy Lianę opowiadała o najważniejszych wydarzeniach dnia. W niedzielę budził ich o wczesnej godzinie, wpuszczał pojedynczo do peugeot 202 według ustalonej kolejności, dzięki której samochód **był** w stanie wszystkich pomieścić, i mknął ku innym krajobrazom. Lucile spoglądała na umykające wzdłuż szosy drzewa, na tablice z nazwami miejscowości na drodze krajowej. Любиła to uczucie, jakby uciekali. Poirierowie spotykali w lesie Rambouillet albo Fontainebleau inne rodziny, z którymi urządzali zabawy z coraz większym rozmachem. Georges'owi nie brakowało ani współników, ani wyobraźni. Lubił wyprawy po skarb, podchody, marsze na orientację według fałszywych

wskazówek. Po pikniku, gdy bracia i siostry rozpierzchali się z jednakowym okrzykiem radości, Lucile podążała powoli po ścieżkach z ubitej ziemi, posuwając się ostrożnie, wyczulona na każdy odgłos, ledwie muskając dywan z zeschniętych liści i oglądając się za siebie przy każdym kroku.

Jakiś czas temu ukochany mężczyzna, którego miłość nieobecnością wystawiam niekiedy na próbę, zaniepokoił się, widząc, że zabieram się do tej pracy. W każdym razie właśnie tak odczytałam pytanie, które zadał mi z pewną ostrożnością: czy rzeczywiście czuję potrzebę, żeby to napisać? Na co bez wahania odparłam, że nie. Czułam potrzebę, żeby pisać, i nie mogłam pisać o niczym innym, niczym innym niż t o. Była to ogromna różnica.

Zawsze tak się działo z moimi książkami, w gruncie rzeczy same się narzucały z powodów, które zdarzało mi się odkryć na długo po ukończeniu tekstu. Osobom obawiającym się zagrożeń czyhających na mnie w związku z tego typu przedsięwzięciem tak krótko po śmierci matki odpowiadałam stanowczo, że nie, w żadnym razie, też coś, ależ skąd. Dzisiaj — chociaż nie jestem nawet w połowie olbrzymiego przedsięwzięcia, w które się wpakowałam (o mały włos nie napisałam: olbrzymiego bajzlu, w który się wpięprzyłam) — wiem, jak bardzo przeceniłam własne siły. Dzisiaj wiem, w stan jakże szczególnego napięcia wprawia mnie to pisanie, na jaką mnie wystawia próbę, jak bardzo burzy mój spokój, wyczerpuje mnie, jednym słowem ile mnie kosztuje w sensie fizycznym. Z pewnością pragnęłam złożyć kolejny hołd Lucile, ofiarować jej papierową trumnę - moim zdaniem właśnie takie są najpiękniejsze ze wszystkich - i los bohaterki. Wiem jednak również, że poprzez pisanie szukam źródła jej cierpienia, tak jakby istniała konkretna chwila, w której sama istota jej osoby uległa definitywnemu i nieodwracalnemu uszkodzeniu, i nie mogę ignorować faktu, że poszukiwania te są nie tylko trudne, ale też bezowocne. Właśnie przez pryzmat tego wypytywałam jej braci i siostry; u niektórych z nich ból objawiał się z co najmniej jednakową siłą jak u mojej matki, wypytywałam ich z równą determinacją, chciała szczegółów, w pewnym stopniu czyhając na jakąś obiektywną przyczynę, która mi umyka, ilekroć mi się wydaje, że jestem bliska jej znalezienia. Właśnie w taki sposób ich wypytywałam, chociaż ani razu nie postawiłam pytania, na które i tak odpowiedzieli: czy cierpienie już wtedy było obecne?

W wordowskim pliku, do którego przenieśliśmy wszystkie przeprowadzone rozmowy, „ulica Maubeuge” figuruje jako całkiem odrębny temat. Lianę i Georges sprowadzili się tam w 1950 roku (przenieśli się z małego mieszkania przy ulicy Presles, które tak naprawdę nie zachowało się we wspomnieniach nikogo z rodzeństwa mojej matki), po czym opuścili je w roku 1960. Lucile mieszkała tam zatem od piątego do piętnastego roku życia. Jak to się zdarza w wielu rodzinach, poszczególne epoki zawierają się w miejscach, w których następowały. Tak więc na „ulicę Maubeuge” składają się zarówno początki pierwszej agencji reklamowej założonej przez Georges'a, jak i jej rozwiązanie, narodziny Justine, utworzenie kolejnej agencji, śmierć Antonina, narodziny Violette i przybycie Jeana-Marca.

Nawet dzisiaj nie sposób opowiadać o „ulicy Maubeuge” bez jej legendarnej części: oddania Lisbeth, wybryków Barthelemyego na gzymsie drugiego piętra, sukcesu zdjęć Lucile, hałaśliwych napadów gniewu Justine, wzorowego apetytu Violette, *schmoulz* Pani Igiełki, niedzielnych pikników, wiecznego uśmiechu Lianę.

Za legendą kryje się śmierć jednego dziecka i przybycie następnego: „kawałka układanki, który usiłuje się wepchnąć na siłę”, jak powie Violette w czasie wywiadu. Z notatek, które Lucile sporządziła na temat swojego dzieciństwa, a które znalazłam u niej na dnie kartonu, wyłuskałam takie oto zdanie dotyczące przybycia Jeana-Marca: „W ten sposób, pomimo wyjaśnień i zaprzeczeń, niejasno odkryłam, że jesteśmy wymienni. Nigdy potem, ani w miłości, ani w przyjaźni, nic nie zdołało mnie przekonać, że jest inaczej”.

Za legendą kryje się ogromne zmęczenie Lianę, niemożność opiekowania się Justine po odejściu Antonina, pewna forma zacierania różnic, typowa dla rodzin wielodzietnych, więzy zależności, rywalizacji, porozumienia, łączące dzieci w tajemnicy, ich słowa, fantazje, owa niewidzialna cyrkulacja pomiędzy nimi, niedostrzegalna dla dorosłych.

Za legendą kryje się Milo, o którym niewiele się mówi poza tym, że jest jak cicha woda, gładka i pozornie nieruchoma. Oraz Barthelemy, który trafia na obserwację na oddział psychiatryczny szpitala Necker, dziś już sam nie jest pewien dlaczego, prawdopodobnie dlatego, że był niezwykle niesforny i ciągle siusiał do łóżka. Dwa lata po śmierci Antonina Lianę sama zawozi go do szpitala. Gdy tylko umieszcza Barthelemy'ego w białym pokoiku, wychodzi pod pretekstem kupienia czasopism i nie wraca. Barthelemy spędzi tam wiele dni, w absolutnej rozpacz, w przekonaniu, że rodzice go porzucili, dopóki go stamtąd nie zabiorą, zaalarmowani przez przyjaciółkę rodziny, która odwiedziwszy chłopca, wpada w panikę na widok jego stanu.

Marie-Noelle była współpracownicą Georges'a przez dwadzieścia lat i jedną z najbliższych przyjaciółek rodziny. Uczestnicząc zarówno w jej życiu codziennym, jak i w wielkich wydarzeniach, stała się uprzywilejowanym świadkiem jej żywotności, jednakże żadna tragedia ani rozpacz, które nawiedziły tę rodzinę, nie uszła jej uwagi. To ona pojechała po Barthelemy'ego po śmierci Antonina i przywiozła go do Ardeche, to ona wzięła Justine na jakiś czas do siebie, gdy Lianę nie była już w stanie się nią opiekować, to ją wezwie Lianę, gdy znajdzie Jeana-Marca martwego w pokoju. To ona powie na temat Lucile, podobnie jak inni: „To było tajemnicze dziecko, owiane totalną tajemnicą”.

Za radą rodzeństwa Lucile spędziłam zatem długie popołudnie u Marie-Noelle, wypytyując ją o wszystko. Dzisiaj to starsza pani, licząca ponad osiemdziesiąt lat. Sama nie wiem, czy słowo „starsza” tutaj pasuje, tak bardzo bowiem ma krotochwilny umysł i coś mi mówi, że właśnie tym ujęła Georges'a, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, ową łagodną ironią wyzierającą zza słów, ową miną, że nie da się nabrać, że dokładnie wie, co myśleć. Nieco później Marie-Noelle wysłała mi e-mailem parę wyjaśnień, a także daty, o które prosiłam. Jeszcze później z kolei przesłuchałam kilkugodzinne wspomnienia, którymi mnie uraczyła, aby je zapisać. Wzmianka o „ulicy Maubeuge” ciągle wywołuje wzruszenie, kiedy zaś Marie-Noelle opowiada o tym, jak po raz pierwszy zobaczyła moją babkę, nie mam wątpliwości, że obraz w jej pamięci pozostał nietknięty: Lianę, wtedy w ciąży z Justine, okutana ohydny szlafrokiem z pirenejskiej wełny, otwiera jej drzwi, z jasną czupryną i brzuchem, który nie sposób obejść, podczas gdy w całym mieszkaniu króluje zapach sików, którego już nikt zdaje się nie zauważać (prawie wszyscy bracia i siostry Lucile siusiali do łóżka przez długie lata). Marie-Noelle przychodzi na spotkanie z Georges'em, moim dziadkiem, dziennikarzem „Radio-Cinema”, magazynem, który kilka lat później przerodzi się w „Teleraşe”. Od ich

wspólnego przyjaciela dowiedziała się, że zamierza on założyć agencję reklamową.

W zabałaganionej klitce, która posłużyła im za biuro, Marie-Noelle i Georges ustanowią pierwsze przepisy statutowe agencji, zanim znajdą dla niej lokal. Po kilku miesiącach Georges inkasuje wreszcie pierwszy czek: agencja obmyśliła i wydrukowała wizytówki dla Soulier de Ninon, sklepu, którego klientelę stanowią głównie prostytutki z placu Pigalle. Po wyjściu z budynku zaciąga Marie-Noelle do pewnego Włocha zajmującego się cateringiem i wydaje połowę tej sumy na pożywienie dla rodziny, wystarczające na kilka dni. Wszystko zostanie pochłonięte jeszcze tego samego wieczoru, podczas uczty, na którą ją zaprasza.

Podobnie jak inni, Marie-Noelle przypomina sobie weekend, który Lianę i Georges spędzili w Londynie, oraz wizytę, którą złożyła dzieciom. Chociaż wzmianka o tamtym weekendzie pojawia się wielokrotnie i to na ustach różnych osób, nigdy jednak pod postacią zarzutu w stosunku do moich dziadków, a przynajmniej nie w sposób wyraźny. Jak Lianę i Georges, którzy zaledwie parę miesięcy wcześniej stracili w wypadku dziecko, mogą wyjechać aż tak daleko, **zostawiając** takie maluchy bez opieki? Jaka beztroska bądź niewiedza pozwala im na wybranie się w tę podróż? Wzbudza to we mnie najwyższe zdumienie. Rzecz jasna patrzę na tę historię przez pryzmat czasów, w których żyję. Rzecz jasna mam dziś dość niejasne wyobrażenia na temat tego, jaki mógł być Paryż w latach pięćdziesiątych i jaki może być stopień dojrzałości jedenastoletniego dziecka, najstarszego z siedmiorga rodzeństwa. Rozpatruję te wyobrażenia z perspektywy własnej epoki, z lękiem, z którym bezustannie się zmagam, że coś się stanie moim dzieciom (lękiem, który muszę przyznać, raczej wyrasta ponad przeciętną i który nie pozostaje bez związku z historią mojej rodziny, czego jestem świadoma).

W ich wyjeździe dostrzegam raczej nie brak konsekwencji, lecz ucieczkę do przodu, dowód niepodważalnej i ślepej ufności, które Lianę i Georges nadal - nawet w tamtej chwili - pokładają w życiu, w ich własnym małżeństwie i w założonej przez siebie rodzinie

Violette i Justine były całkowicie gotowe i czekały przed drzwiami w czapkach na głowach i w płaszczach zapiętych po samą szyję. Lianę zawołała po raz kolejny, jeszcze głośniejszym głosem, Lucile, która grzebała się w łazience od ponad godziny, pani Richard powiedziała wyraźnie punktualnie o drugiej, zaraz się spóźnią. Lucile oglądała sobie twarz w lustrze, pyzate policzki, krótko obcięte włosy, cerę, która przestała być taka gładka, obrzydliwy pryszcz na brodzie. Cofnęła się o krok. Jej ciało się zmieniło, pod stanikiem sterczały piersi, podczas gdy Lisbeth, chociaż starsza o dwa lata, na próżno wypatrywała przemian w swoim ciele. Lucile zmusiła się do uśmiechu, aby się upewnić, że ciągle jest w stanie, patrząc na swe odbicie, tak jak wkrótce miała patrzeć w obiektyw, en face, potem lekko z profilu, nieznacznie odwrócona w bok, tak, nadal potrafi się uśmiechać, a nawet się śmiać i robić miny, mimo że wcale nie ma na to ochoty.

Stojące w progu dziewczynki zaczęły się niecierpliwić. Nie mogły się doczekać, aż dotrą na miejsce, będą przymierzać sukienki, rajstopy, kapelusze, szczególnie Violette cieszyła się na myśl o zdjęciach, o pozach, o mierzeniu nowych butów. Może tym razem także będą miały prawo zatrzymać jeden czy dwa stroje, o ile pani Richard pozwoli. Wreszcie Lucile zdecydowała się opuścić łazienkę z ociąganiem i włożyła płaszcz powolnym, wystudiowanym gestem.

-Jeżeli straciłaś ochotę, żeby tam pójść, moja królewno, to więcej nie pójdziesz. Tylko że

tym razem umówiłaś się na spotkanie, a pani Richard liczy na ciebie i twoje siostry. Już miałyście zdjęcia do katalogu Pingouina, były znakomite!

Lianę wręczyła córce kilka biletów do metra, które Lucile wepchnęła do kieszeni, nie zwracając już na nie uwagi.

-Jeżeli nie będzie padać, wróćcie na piechotę, to zaoszczędzimy bilety.

Lianę ucałowała obie młodsze dziewczynki i kazała im obiecać, że będą grzeczne u pani Richard, której zalecenia trzeba ściśle wykonywać, bez szemrania i bez czochrania włosów.

Znalazłszy się u stóp budynku, Lucile przejrzała się w sklepowej witrynie. Jest gruba i tyle. Gruba i paskudna. Wcale nie miała ochoty wchodzić na górę ani oglądać pani Richard, ani wkładać czegokolwiek. Westchnęła głęboko i wcisnęła guzik od domofonu.

Kiedy drzwi się otworzyły, młodsze siostry wpadły do środka i pognały do windy.

Pani Richard otworzyła drzwi i serdecznie powitała Lucile. Ależ wyrosła na dużą pannę i to zaledwie w parę miesięcy! Jak zawsze jednakowo piękna! Następnie schyliła się, by ucałować dziewczynki, i poprosiła, by zdjęły płaszczyki. Pogratulowała Violette kampanii Germalyne, której została twarzą, widoczną we wszystkich paryskich aptekach, dzięki ogromnej liczbie plakatów i wielkich tablic reklamowych.

- Mama musi być z ciebie dumna...

Violette przytaknęła z buńczuczną miną, która rozczuliła panią Richard.

- Zaczniemy od Lucile, a potem zrobimy zdjęcia wam obu razem. Nadine da wam rzeczy do włożenia, ale najpierw umyjecie ręce!

Lucile weszła do szatni. Czują zimno i zwlekała ze zdjęciem ubrania. Z miejsca, w którym się znajdowała, widziała studio. Ustawiono już światła, dekoracje były gotowe. Pani Richard poleciła jej zwiększyć tempo, czeka je sporo ujęć, nie ma co się ociągać. Wręczyła Lucile czarno-biały sweter z golfem, który tamta starannie rozłożyła, następnie wiszącą na wieszaku plisowaną spódniczkę. Pani Richard została jeszcze chwilę, nim do niej dotarło, że Lucile nie chce się rozebrać w jej obecności. Wyszła z pokoju ze śmiechem.

- Trzeba było powiedzieć, moja śliczna, rzeczywiście urosłaś!

Lucile włożyła strój. Z braku lustra nie mogła się zobaczyć z przodu, ujrzała się za to z góry i widok ten wydał jej się okropny. Ubrania były ohydne i ciasne. Zwłaszcza spódniczka, śmieszna w tym wieku, nadawała jej wygląd zakonnicy. Lucile wkroczyła do studia i stanęła przed szarym tłem, aby fotograf wyregulował ustawienia. Gdy skończył, jęła postępować według jego instrukcji, kilkakrotnie zmieniając kąt, pozę, wkładając kolejne stroje, grając w serso przed obiektywem. Nigdy w życiu nie czuła się taka sztywna, obnażona przez białe światło i wtłoczona w ubranie, które jej nie pasowało. Później dołączyły do niej obie siostry, które mierzyły rozmaite swetry i kamizelki do paru wspólnych zdjęć, następnie całą serię uroczych wełnianych sukienek. Teraz pozowały oddzielnie albo obie razem. Lucile wymknęła się do szatni, by włożyć swoje rzeczy. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że po policzku sływa jej łza, chociaż wcale nie czuła, jak wzbiera ani jak się zsuwa, chociaż nie poprzedziła jej ani nie pójdzie w jej ślady żadna inna. Nie chce więcej pozować do zdjęć, ot i wszystko, zaraz powie o tym matce. Nie jest tą dziewczynką w plisowanej spódniczce, już nie gra w piłkę ani w serso, nie ma nic wspólnego z tą sztuczną słodyczą, którą kazali jej udawać. Już dłużej nie może. Od tej pory coś za sobą zostawiła, coś, co już się oddała, o czym powoli za-

pomni albo zachowa ledwie parę fragmentów wspomnień, coś, czego zapewne kiedyś pożałuje, co należy do dzieciństwa i gaśnie wraz z nim.

Pani Richard podarowała Justine i Violette dwie sukienki, co przyjęły z okrzykami radości. Kazała obiecać Lucile, że pozdrowi od niej Lianę i przekaże serdeczności. Obydwie dziewczynki włożyły z powrotem płaszczyki, grzecznie się pożegnały i zeszły po schodach, szepcząc z zadowoleniem. Na dworze nie padało. Lucile postanowiła iść piechotą aż do ulicy Maubeuge; siostry trzymały ją za ręce, obie stukały o chodnik podeszwami sandałów, coraz głośniejszej, czekając na reakcję Lucile.

Lucile uśmiechała się, czując pod palcami ciepło ich dłoni.

Kiedy otworzyły drzwi wejściowe, Barthelemy kartkował właśnie niedbale jakieś pismo, siedząc w fotelu w salonie. Lisbeth prała ręczniki w łazience, Milo i Jean-Marc klócili się w pokoju, na co wskazywały dobiegające zza zamkniętych drzwi odgłosy. Po podłodze wałała się brudna bielizna, zużyte ściereczki i zeszyty szkolne, w mieszkaniu panował nieopisany bałagan. Lianę zniecka poszła do kina, rzuciwszy wszystko.

Lianę zniknęła nagle, ot tak, gdy natężenie hałasu albo bałagan przekraczały granice jej wytrzymałości. Lianę od zawsze czuła potrzebę ulotnienia się w samym środku popołudnia, żeby się zaszyć w ciemnej sali kinowej albo zwalić na łóżko. I nic nie mogło tego zmienić, choćby zbliżała się pora posiłku, choćby w zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, albo choćby nastąpiło trzęsienie ziemi. Już od ich najmłodszych lat zostawiała dzieci same w mieszkaniu przy ulicy Presles, żeby się spotkać z Georges'em, ignorując z wyższością pełne oburzenia uwagi sąsiadów

Scenariusz był taki sam od wielu tygodni, lecz wstyd wcale nie zniknął. Lucile chwyciła linę oburącz, odbijała się od ziemi w taki sposób, żeby stopy owijały się po raz pierwszy w dolnej części, podnosiła tułów, żeby się wyprostować, następnie zastygała w tej pozycji, nie potrafiąc wznieść się bardziej. Chwycić linę wyżej, wypuścić dolną część i ponownie owinać ją wokół stóp, to było ponad jej siły. Lina była beznadziejnie gładka, toteż Lucile tkwiła tak dwadzieścia centymetrów nad podłogą, lekko się kołysząc. W najlepszym razie udawało jej się utrzymać pozycję przez kilka chwil, zanim zrezygnowała. Panna Mareuil, nauczycielka wychowania fizycznego, z początku uznała to za kokieterię, później za prowokację, aż wreszcie musiała się pogodzić z oczywistym faktem: Lucile nie potrafi się wspinać po gładkiej linie, zresztą, jak miała się wkrótce zorientować, po linie z supłami także nie. Podczas gdy większość jej koleżanek docierała do końca w trzech, czterech idealnie skoordynowanych ruchach, Lucile tkwiła na dole, udając bez większego przekonania, że podrywa się do góry, nie będąc w stanie pokonać, choćby tylko dla formy, kilkudziesięciu centymetrów. Panna Mareuil nie szczędziła jej uszczypliwych uwag, które z każdym tygodniem stawały się coraz bardziej zjadliwe. Czyż nasza piękna Lucile nie wygląda śmiesznie, wisząc jak szynka na sznurku? Trzeba przyznać, że nie miała zbyt dużo mięśni w ramionach ani w nogach. Huśtający się na wietrze, jakże bezbronny owad. Panna Mareuil spodziewała się kpiących parsknięć, stłumionych śmiechów ze strony przyglądających się temu dziewcząt. Nic do niej jednak nie docierało, ani szept, ani pomruki. Na żadnej twarzy

nie pojawiał się uśmiech. Zazwyczaj uczennice były wobec siebie takie okrutne. Dlaczego Lucile cieszyła się aż taką nietykalnością? Ani panna Mareuil, ani żadna z dziewcząt, co tydzień będących świadkami tej samej sceny, nie umiały na to odpowiedzieć. Lucile zaś kołysała się na końcu liny w grobowej ciszy.

Lucile nie lubiła sportu. Bała się piłek, rakiet, koni z łąkami. Nie umiała szybko biegać, nie potrafiła rzucić dalej niż na metr, nigdy nie złapała piłki, zamykała oczy, kiedy tylko coś działo się zbyt prędko. Lucile nie była w stanie zrobić skłonu i dotknąć palcami podłogi ani zrobić mostka, ani w siadzie płaskim wyciągnąć się tak mocno, by chwycić się za stopy. Nigdy nie umiała zrobić przerzutu bokiem ani wyskoku w półszpagacie, ani stanąć na głowie. Potrafiła wykonać jedynie przewrót w przód, a i to jeśli była w doskonałej formie.

Panna Mareuil traktowała ów brak zdolności sportowych jako osobistą zniewagę, wypowiedzianą szeptem obelgę, powtarzającą się w każdy piątek od nowa. Nie znosiła Lucile, dając wyraz swojej pogardzie w odpowiedniej rubryce w dzienniku klasowym.

Fakt, że jej córka jest taka słaba w sporcie, sprawiał Lianę przykrość: zawsze niechętna do biegania, do skoków do wody, do rozegrania meczu w ping-ponga. Jednym słowem niechętna do wstawania z łóżka, tak jakby całe życie zawierało się w kartach książek, tak jakby wystarczyło siedzieć sobie w kącie i patrzeć na życie z daleka. Pomimo częstych ciąż Lianę zachowała atletyczną, postawną figurę, trzymała się prosto, z wysoko uniesioną głową. Kilka lat wcześniej oznajmiła przy świadkach, że w dniu siedemdziesiątych urodzin nadal da radę zrobić szpagat. Zakład został przyjęty.

Lucile stanowiła wyjątek wśród rodzeństwa. Lisbeth wykonywała wszelkie rodzaje skoków i piruetów, Barthelemy, poza legendarnymi akrobacjami, znakomicie grał w tenisa, Jean-Marc spędzał weekendy na zawodach pływackich, Milo był dobrym biegaczem. Co do młodszych dziewczynek, wystarczyło popatrzeć, jak skaczą, tańczą czy zwyczajnie gestykują, by zdać sobie sprawę z ich lekkości i zwinności.

Po wielu tygodniach lekcje wychowania fizycznego w liceum Lamartine'a stały się dla Lucile męką, której perspektywa nie pozwalała jej spać. Na początku roku szkolnego wymawiała się migreną, bolesną miesiączką, bólem brzucha. Lianę nie dawała się jednak nabierać zbyt długo. Co piątek Lucile szła zatem do szkoły ze ściśniętym żołądkiem, ze spoconymi dłońmi, połknąwszy przedtem łyżkę *schoum* albo tabletkę aspiryny.

W drugim trymestrze, z braku jakiegokolwiek legalnego usprawiedliwienia, Lucile zaczęła opuszczać lekcje wychowania fizycznego. Włóczyła się po ulicach albo przesiadywała na ławce przy skwerze, pozwalając mijać godzinom. Potem zaś jęła opuszczać inne lekcje, równie nudne. Podrabiła podpis Lianę, to się stało takie łatwe. Musiała odetchnąć

Na wakacje Lianę wybierała się z dziećmi regularnie do Pierremont, gdzie jej rodzina miała dom. Georges dojeżdżał do nich w weekendy. Lucile, jej bracia i siostry uwielbiali to miejsce, unoszący się w nim zapach kredy, kurzu i wilgoci, krakanie wron, bliskość rzeki i kanału. W okolicznych domach znaleźli sobie kolegów w swoim wieku. Stopniowo Lucile, Lisbeth i Barthelemy założyli małą bandę, teraz składającą się z nastolatków, z którymi spotykali się co wieczór, po tym jak każde z nich wymknęło się po kryjomu. U Poirierów wystarczyło zejść

przez balkon na pierwszym piętrze, nad pustym chodnikiem. Cała operacja odbywała się w tajemnicy i nie przedstawiała sobą większego niebezpieczeństwa, chyba że Lucile, niepewnie opierając stopy, nadepnęła na dzwonek. Upewniwszy się, że droga wolna, biegli na rynek, którego jeden z nieoświetlonych zaułków stanowił idealne miejsce spotkań. Kiedy wszyscy się zebrali, wyruszyli na plażę, którą sobie urządzili nad brzegiem rzeki, popijali napoje gazowane lub piwo, starsi z kolei palili papierosy.

Pewnego wieczoru, kiedy spotkali się wszyscy razem, rozmowa zeszła na temat wstrętnego Picheta, miejscowego sklepikarza, znanego z upodobania do wina i z tego, że całkowicie bez skrupułów wykorzystywał jedną dziewczynę, którą opieka społeczna powierzyła mu na okres wakacji. Lucile była przekonana, że ją obmacuje. W dodatku od kilku miesięcy, chcąc zapobiec wszelkim próbom kradzieży, Pichet zabronił im wchodzić do swojego sklepu kolonialno-tytoniowego, będącego także barem, inaczej jak pojedynczo. Lucile zaproponowała ukaranie go, Barthelemy opracował plan działania. Akcja miała polegać na tym, żeby ukraść mu wielką metalową marchewkę, która w tamtych czasach była znakiem firmowym wszystkich sklepów tytoniowych. Nazajutrz rano zorganizowano ekspedycję. Odczepienie marchewki trwało niesamowicie długo, nie dość bowiem, że przymocowana była o wiele wyżej, niż się spodziewali, to na dodatek sięgała prawie dwóch metrów i ważyła ze dwadzieścia kilo. Operacją kierowała Lucile. Po kilku próbach, którym towarzyszyły parsknięcia i zduszone śmiechy, Barthelemy w końcu złapał marchewkę z pomocą jednego chłopaka z bandy. Po czym zanieśli ją na drugi koniec miasteczka i ukryli w niewielkiej szopie. Lucile od dawna nie czuła się taka szczęśliwa.

* * *

Następnego dnia w „LYonne republicaine” ukazała się wzmianka o tajemniczym zniknięciu. Banda postanowiła powtórzyć swój wyczyn i jeszcze tego samego wieczoru napaść na kolejny sklep tytoniowy w miasteczku Pierremont, którego właściciel nie był wprawdzie aż tak antypatyczny, za to nie mniej ponury. Nazajutrz, tym razem już w większej wzmiance, wysunięto hipotezę o porachunkach między właścicielami sklepów tytoniowych. Upojona kolejnym sukcesem młodzież postanowiła rozszerzyć obszar działań na sąsiednie gminy. Po kilku dniach przywieźli więc na sporej taczce marchewkę z pobliskiego miasteczka. Dzięki temu wyczynowi przenieśli się ze strony poświęconej lokalnym wiadomościom na drugą stronę dziennika: „Znika kolejna marchewka”.

Lucile była wniebowzięta. Podobała jej się absurdalność, bezużyteczność tego gestu. Anonimowa sława, pozbawiona obrazu. Ostatnie dni wakacji zajęło im zdobycie kilku dodatkowych marchewek, które składowali w opuszczonej szopie. Za każdym razem o ich niecnym postępkach pisano w miejscowej prasie, snując przy tym rozmaite przypuszczenia. Aż pewnego dnia Lucile natknęła się w kiosku na pierwszą stronę „LYonne republicaine”: „Gang marchewek z Yonne znów uderzył!”. Kupiła gazetę i zaniósła do domu. Rozpatrywano różne hipotezy: szaleństwo kolekcjonera maniaka, kradzież w celu oddania na złom, pierwsze groźby okolicznej mafii, zorganizowana akcja prowadzona przez ligę antytytoniową. Siedmioosobowa banda zrezygnowała z dalszych działań, kiedy żandarmeria z Auxerre wszczęła śledztwo.

Kilka dni później Lucile i członkowie jej bandy postanowili się pozbyć dowodów swej straszliwej zbrodni, w samym środku nocy wrzucili jakieś dziesięć metalowych marchewek do Kanału Burgundzkiego.

Następnego lata, gdy zapadła decyzja o oczyszczeniu kanału, na jego dnie znaleziono marchewki. Dziesięć trupów wskazywało w milczeniu na najbliższy dom, w którym mieszkało dwóch aktywnych członków bandy. Nastolatki przeszedł dreszcz, nie było jednak żadnych dowodów na poparcie podejrzeń.

Lucile i jej rodzeństwo nadal jeździli na wakacje do Pierremont i wycinali setki numerów.

Rok później postanowiono, że Georges kupi pod odwróconą hipotekę dom w Pierremont od swoich rodziców, których nie było już stać na jego utrzymanie. Wkrótce miały się rozpocząć poważne prace remontowe, które tak naprawdę nigdy się nie skończyły

Byłam właśnie tutaj, czyli na sto piątej stronie wordowskiego dokumentu, nad którym pracuję - i w przeddzień jesiennego weekendu, nie mając żadnych konkretnych planów - gdy wreszcie zdecydowałam się odsłuchać kasety, nagrane przez dziadka jakieś piętnaście lat przed śmiercią.

W latach 1984-1986, siedząc za biurkiem w kłębach fajkowego dymu, Georges zrelacjonował część swojego życia i zapisał na kasetach magnetofonowych, których jest dzisiaj trzydzieści siedem. Początkowo ów ponad pięćdziesięciogodzinny monolog był adresowany do Violette, która miała wtedy około trzydziestu lat. Violette poprosiła ojca, by opowiedział o swoim dzieciństwie, o którym niewiele mówił. Georges się zgodził, przystąpił do gry i ciągnął swą opowieść o wiele dalej, niż z początku chciała Violette. Kiedy skończył, postanowił zrobić kopię dla reszty rodziny. Violette jest dzisiaj w posiadaniu obu kompletów.

* * *

Później powrócę do tego, w jakich okolicznościach zdobyłam kasety, po przeraźliwie brutalnej scenie, której wspomnienie dręczyło mnie przez wiele tygodni. Scena ta zresztą wystarczy jako wyjaśnienie, dlaczego nie dałam rady aż dotąd ich przesłuchać, chociaż były w moim posiadaniu od jakiegoś czasu i chociaż zdobyłam urządzenie, które wkrótce stanie się zabytkiem, żeby je odtworzyć.

Pisałam o „ulicy Maubeuge” po omacku, pragnąc odmalować zarówno epokę, jak i środowisko społeczne, w którym dorastała moja matka, gdy tymczasem kasety walały się gdzieś pod regałem, piętząc się w starej plastikowej torbie, w której je przyniosłam.

W chwili gdy zamierzałam wspomnieć o przeprowadzce dziadków z Paryża do Wersalu, doznałam wrażenia, że coś pominęłam. Nie mogłam kontynuować, nie przesłuchawszy taśm, i pisać w najlepsze, tak jakby nie istniały. Kasety znajdowały się u mnie, skopiowane przez samego Georges'a, i chociaż podchodziłam do myśli, że usłyszę głos dziadka, który nie żył już od ponad dwudziestu lat, z pewną rezerwą, czułam się w obowiązku posłuchać choć trochę.

Gdy wyjęłam pudełka z torby i chciałam je uporządkować, uświadomiłam sobie, że trzech z nich brakuje (osiemnastej, dziewiętnastej i dwudziestej). Zamierzałam zadzwonić do

Violette, żeby ją uprzedzić, lecz się powstrzymałam. Na krótko przed śmiercią, po tym, jak - moim zdaniem - zdążyła już postanowić, że targnie się na własne życie, Lucile pożyczyła wszystkie kasety, aby je przesłuchać. Gdybym wspomniała Violette, że trzech brakuje, z całą pewnością pomyślałaby, że Lucile je zniszczyła albo zwinęła. Prawdą jest, że Lucile w rozmaitych okolicznościach wykazywała się radykalną postawą wobec przedmiotów związanych z rodziną w konkretny lub symboliczny sposób. Istniała wszakże zupełnie prawdopodobna ewentualność, że szperając w piwnicy Violette, pominęłam niechcący część pudełek albo że zostały one schowane w innym kartonie.

W sobotę wieczorem włożyłam do magnetofonu siedemnastą kasetę, aby zrozumieć, gdzie opowieść się urywa. Taśma kończy się na czerwcu 1942 roku, w chwili gdy Georges, dopiero co straciwszy pracę w „Toute la France” (dzienniku adresowanym do rodzin więźniów, którego redaktora naczelnego właśnie aresztowano), szuka nowej posady.

Kaseta dwudziesta pierwsza zaczyna się kilka tygodni później, w momencie spotkania Georges'a i Lianę na przyjęciu-niespodziance. Georges ma dwadzieścia pięć lat, manieri podrywacza, które doskonalili od przybycia do Paryża, i zdążył już opanować rozmaite strategie uwodzenia płci pięknej, których skuteczność potwierdza się także i tego wieczoru. Georges lubi tańczyć przytulony, błędząc dłonią to tu, totam, i prowokować kobiety do wybuchów śmiechu. Lianę, którą widzi po raz pierwszy i nazywa swoją małą błękitną wróżką (aluzja do Charles'a Treneta, którego jest gorącym wielbicielem), przyjmuje zaproszenie do tańca, chociaż na pierwszy rzut oka i zważywszy huczące na jego temat plotki, uznaje go za zarozumiałego gburę. Z miejsca zresztą daje mu to do zrozumienia: jej sukienka nie jest niebieska, tylko zielona i niech sobie wybije z głowy wszelkie marzenia o flircie z nią. Georges przyjmuje to do wiadomości. Tańczą jeszcze trochę, po czym Georges znów skacze z kwiatka na kwiatek i wraca do domu z sześcioma czy siedmioma numerami telefonów - jak dodaje, to rekord. W ciągu następnych tygodni powraca wspomnienie młodej prowincjuszki, której uśmiech, świeżość i jasne loki opisuje. Spotykają się znowu po kilku miesiącach, na wieczorku u jednej z sióstr Lianę, Barbary, która już jest mężatką i mieszka w Paryżu. Georges, którego zaskoczyła godzina policyjna, spędza resztę nocy, dyskutując z małą błękitną wróżką. Nazajutrz rano zgadza się jej towarzyszyć na niedzielnej mszy. Są w sobie zakochani. Oto jak Georges, który pieścił niejedno ciało, wybiera Lianę, niemającą prawie w ogóle pojęcia o życiu. Wiem, że potrafi w niej rozpoznać kobietę, która go nigdy nie zdradzi, będzie mu oddana ciałem i duszą, wielką i szlachetną duszą, i przez całe życie będzie w nim widzieć jedynie błyskotliwego faceta, za jakiego wyszła.

Po powrocie do Gien Lianę prosi rodziców o pozwolenie na korespondencję z Georges'em. Spotyka się z nim kilkakrotnie podczas wizyt w Paryżu, dokąd udaje się regularnie na lekcje gry na skrzypcach. Pobierają się we wrześniu 1943 roku w Pierremont, wesele odbywa się w domu rodziców Lianę, który Niemcy wreszcie opuścili. Ponieważ Georges jest bez grosza, jeden z sąsiadów pożycza mu na ślub kościelny trochę za duży surdut, przyszła teściowa zaś ofiarowuje garnitur na ślub cywilny. Tak oto Georges żeni się, nie bez lęku, z kobietą, z którą nigdy się nie kochał, a nawet, jak uściśla, nigdy nie widział jej piersi. Po krótkiej podróży poślubnej (parę dni na francuskiej prowincji) kamień spada mu z serca: Lianę daje dowód pewnego temperamentu. Następnie Georges opowiada o przeprowadzce do dwupokojowego mieszkanca w Paryżu i o początkach wspólnego życia.

Przesłuchałam dwudziestą pierwszą kasetę w całości, urzeczona opowieścią Georges'a, sposobem, w jaki przeplatał ze sobą szczegóły, anegdoty i analizy, dozując napięcie pomiędzy dygresjami. Georges mówił tak, jak pisał: jasno, precyzyjnie, w sposób poukładany. Wystarczyłoby mi przeskoczyć pięć, sześć taśm, by od razu przejść do okresu, którego szukałam, czyli do dzieciństwa Lucile. Tymczasem słuchałam kaset przez ponad dziesięć dni, z zeszytem na kolanach lub w zasięgu ręki, przewracając każdą po kolei, i dotarłam do końca.

Później, w przeddzień kolacji, na której miałyśmy się zobaczyć, w końcu wspomniałam Violette o braku trzech kaset. Bez względu na jego przyczynę nie było to aż takim problemem, skoro posiadała oryginał. Poprosiłam o brakujące kasety, ona zaś zgodziła się mi je udostępnić. Intrygowała mnie myśl, że Lucile mogła je zniszczyć lub zwinąć.

Kaseta osiemnasta rozpoczyna się więc wtedy, gdy po zamknięciu „Toute la France” Georges traci pracę. Szuka zatem kolejnej gazety, w której by go przyjęto. Po skończeniu jego zdaniem znakomitego artykułu na temat paryskiej młodzieży znosi go osobiście do „Revolution nationale”, kolaboracyjnego tygodnika, który weźmie pod swoje skrzydła takie pióra, jak Drieu La Rochelle czy Brasiliach. Artykuł urzeka kierującego dziennikiem Luciena Combelle'a, który postanawia go wydrukować w dwóch częściach. Lucien Combelle zleca Georges'owi regularne prowadzenie kroniki na temat paryskiego życia. On z kolei się zgadza, zatytułowawszy zaś swą kronikę „Miłość, alkohol i śpiew”, od tej pory spędza sporo wieczorów, oglądając musicale i kabarety. Po kilku tygodniach na życzenie Combelle Georges zostaje sekretarzem redakcji „Revolution nationale”. Będzie nim aż do jej zniknięcia. Właśnie w tym okresie poznaje Lianę.

Trzy brakujące kasety skupiają się głównie na życiu zawodowym Georges'a w czasie okupacji: na jego pracy w „Revolution nationale”, na jego szacunku, o ile nie była to fascynacja, dla Combelle'a, którego zuchwałość i uczciwość wychwała, na licznych spotkaniach (w tym z Robertem Brasillachem), które zapewnia mu gazeta. Georges opowiada, jak to po wyzwoleniu Combelle, który nie chciał uciekać z Francji, został aresztowany, skazany na piętnaście lat ciężkich robót, a następnie objęty amnestią w roku 1951.

Prawdę mówiąc, praca Georges'a w „Revolution nationale” nie jest rodzinną tajemnicą. Wszyscy o tym wiedzą, ale jakby o tym zapomnieli. Niektórzy zastanawiali się, jak powinni rozumieć postawę Georges'a, szukali odpowiedzi. Najwyraźniej żadne z rodzeństwa Lucile nie poruszało z nim tematu, o którym nie lubił mówić, lecz żadne z nich dzisiaj nie ocenia w sposób jednoznaczny obecności Georges'a w „Revolution nationale”. O ile wiem, większość dzieci Georges'a (z których część dokonała radykalnie przeciwnych wyborów niż on) uważała go za reakcjonistę. Gdy osiągnęłam odpowiedni wiek, by interesować się światem, Georges stał się człowiekiem rozgoryczonym, który utracił wszelkie złudzenia i piętnował z jednakową zjadliwością prasę, telewizję, lewicę rewolucyjną, lewicę salonową, zakłamaną, demagogiczną albo prawomyślną prawicę, zwiększenie liczby rond na drogach okręgowych, państwową edukację, piosenkarzy bez głosu, wyrażających się nieprecyzyjnie prezydentów telewizyjnych, „na dzień dzisiejszy”, „dokładnie” i inne manie językowe, wszelkiej maści młodzież żyjącą we wszelkich możliwych epokach. Jak daleko jednak sięgam pamięcią, tematami, których pod żadnym pozorem nie należało poruszać przy rodzinnym obiedzie, były polityka i kino francuskie (do listy tej dojdzie pasteryzowany camembert).

Lecz pomimo całego rozczarowania Georges do końca życia walczył o sprawy niewiarygodne lub beznadziejne.

Na taśmach następujących po brakujących kasetach Georges powraca do swej postawy w czasie wojny i cokolwiek by mówić, próbuje się usprawiedliwiać.

Nie wspomina o kontaktach, jakie mógł mieć w owym czasie z własnym ojcem, który utracił pracę w „La Croix du Nord”, kiedy to gazeta przestała wychodzić, odmówił pisania dla „Journal de Roubaix”, będącego pod kontrolą Niemców, i przez wiele miesięcy odwiedzał jadłodajnię dla bezdomnych.

Po wyzwoleniu, w stanie niepokoju, któremu nie chce nadać nazwy, dowodząc, że pierwszeństwo należy się jego zdaniem tym, co nie pracowali w czasie okupacji, Georges stawia się przed komisją lustracyjną, w celu uzyskania legitymacji dziennikarskiej dopiero po ponad roku. Zostanie mu ona przyznana po analizie jego dossier i pozwoli na powrót do zawodu. Georges wysuwa przypuszczenie, że zdobył poparcie Francois Chalais. Jeszcze później, na innej kasecie, opowiadając o latach powojennych, Georges wraca po raz ostatni do swej działalności podczas okupacji i zadaje sobie pytanie przy użyciu niewiarygodnego eufemizmu:

„Czy godziło się pracować dla dziennika, który nosił tytuł »*Revolution nationale*«, lecz nie był gazetą Ruchu Oporu? Oczywiście...”.

Przez wiele tygodni zastanawiałam się, czy powinnam wspominać o tych rzeczach w taki bądź inny sposób, czy też uznać, że nie mają nic wspólnego z opisywanym przeze mnie tematem. Czy stanowisko Georges'a w czasie wojny mogło mieć wpływ na cierpienie Lucile? Przypuszczenie to przyszło mi do głowy, ponieważ brakowało kaset (Lucile zawsze miała poczucie symbolicznego zniknięcia, a także wyreżyserowania zaszyfrowanych wiadomości, bardziej lub mniej zrozumiałych dla innych), ale również za sprawą książki *L'Intranquille** autorstwa Gerarda Garouste'a. Lucile i Garouste mają pewne punkty wspólne, począwszy od choroby, na którą oboje cierpią, długo określanej mianem psychozy maniakalno-depresyjnej, dzisiaj zwanej chorobą afektywną dwubiegunową. Lektura tego tekstu akurat w momencie gdy krążyłam wokół pomysłu, by napisać o matce, jednocześnie nie mogąc się zdecydować, mną wstrząsnęła. W książce tej artysta odmalowuje portret swego ojca, zacieklego i patologicznego antysemitę, który zbił majątek na grabieży żydowskiego mienia. Pełna wzburzenia zgroza i wstyd, które budzi w nim ojciec, miały ogromny wpływ na cierpienie Garouste'a i najwyraźniej dręczyły go przez długi czas.

O ile wiem, Georges nie był ani antysemitą, ani faszystą. Nigdy nie słyszałam z jego ust niczego, co mogłoby budzić choćby cień wątpliwości co do jego postawy wobec tych zagadnień, a przecież Georges wygłaszał sądy głośno i wyraźnie. Według moich dzisiejszych wyobrażeń jego współpraca z „*Revolution nationale*” była współpracą młodego oportunisty złaknionego wdzięczności i pozbawionego rozsądku.

W gruncie rzeczy, nawet jeśli podobnie jak reszta rodzeństwa Lucile zastanawiała się nad przeszłością swego ojca, nawet jeśli dziwiły ją rozmaite sprzeczności w jego postępowaniu, wydaje mi się, że co do okresu okupacji, przyznała mu przynajmniej łaskę wątplenia.

I nienawidziła go z innych powodów

* Gerard Garouste, przy współpracy Judith Perrignon, *Lin tran-auille, autoportrait J'un fils, d'un peintre, ii'u n fon, L'Iconoclaste*, 2009.

W sumie Georges nagrał ponad pięćdziesiąt godzin wspomnień. Zaczynają się one na Północy, wraz z wczesnym dzieciństwem, i kończą w roku 1954, tym samym, w którym umarł Antonin, tak jakby Georges nie potrafił wyjść poza ów smutek. Trzydzieści lat po wypadku słucham głosu dziadka na taśmie, powolnego obrazu tamtej soboty, gdy ich życie się wali, słów, które z trudem dobiera, przypuszczeń, które snuje na temat śmierci swojego syna, opisu podróży pociągiem, który wiezie go do L., ochryplej opowieści o bólu. Georges przekazuje własną wersję wydarzeń (był w Paryżu); różni się ona od wszystkich, jakie słyszałam.

Nagrania Georges'a zawierają nieprawdopodobną liczbę nazwisk, twarzy, rozmów i dowcipnych uwag, wypowiedzianych, jakby to się działo wczoraj. Jego pamięć robi wrażenie za sprawą obfitości szczegółów. Niekiedy na tej samej kasecie albo kilka taśm później Georges odnajduje jakiś element, precyzuje, poprawia, dodaje jakąś anegdotę, którą Lianę przypominała mu przy obiedzie. Wyobrażam ich sobie oboje w kuchni w Pierremont, w czasie samotnych zim, Georges wychodzi z gabinetu, gdzie spędził poranek sam na sam z magnetofonem, zasiada wraz z nią do gorącej zupy, pyta, jak miała na imię żona pana X, lodziarza z Saint-Palais, ile lat miała Lucile, kiedy musieli jej ogolić głowę, żeby nie powyrywała sobie włosów. We dwoje odtwarzają swój mały świat z lat pięćdziesiątych, okres chwały i beztroski.

Tak jak się spodziewałam, nagrania Georges'a stanowią cenne świadectwo na temat stanu ducha, w jakim żyli moi dziadkowie. Wychodząc za Georges'a, Lianę uprzedziła, że chce mieć dwanaścioro dzieci. Albo się zgadza, albo nie. Georges się zgodził. Postępował zgodnie z zasadami gry aż do narodzin Mila, cieszył się z nieustannych ciąż żony, radował się, że tak rozkwita dzięki macierzyństwu. Po czym dopadł go niepokój: agencja nie bardzo się rozwija, w ciągu sześciu lat urodziło im się pięcioro dzieci, nie mają ani grosza oszczędności, a nawet gdyby Georges zachował swoją wierszówkę w „Radio-Cinema”, i tak nigdy nie był pewien, czy wystarczy im do pierwszego. Uznał więc, że rozsądniej byłoby zrobić przerwę. Georges zwrócił się do Lianę uroczystym tonem, Lianę zaś niechętnie się zgodziła. Miała zastosować metodę Ogino-Knausa.

Kilka miesięcy później Lianę była w ciąży z Justine. Georges pomyślał, że go oszukała, po czym się z tym oswoił. Po narodzinach dzidziusia, chcąc zamknąć usta złośliwcom, którzy uważali, że mnożą się jak króliki, aby zdobyć zasilek rodzinny, Georges skopiował legitymację uprawniającą do tańszych biletów kolejowych, na której napisał takie oto zawiadomienie:

„Państwo Poirierowie z radością powiadają, że nareszcie uzyskali zniżkę 75%!”.

Poza tym, nie mając akurat pod ręką zdjęcia Justine, posłużył się fotografią Mila z okresu niemowlęctwa. Byli podobni jak dwie krople wody.

Po kolejnych kilku miesiącach Lianę była w ciąży z Violette. Georges nieśmiało zaprotestował, wyciągnął z tego wniosek, że Lianę kpi sobie z jego gadania, lecz nie żywił

urazy.

„Ulica Maubeuge” to okres, w którym kwestia finansów jest wszechobecna, mimo że z pieniędzmi Georges'a łączyły zawsze stosunki odmowne. Georges żyje ponad stan, tymczasem Lianę starannie prowadzi rachunki (udało mi się zobaczyć u Violette znalezione w domu w Pierremont zeszyty, w których notowała każdy najdrobniejszy wydatek), czatuje z niepokojem na urzędnika od zasiłków rodzinnych i wzywa Marie-Noelle, kiedy musi pilnie kupić któremuś dziecku buty.

„Ulica Maubeuge” stanowi mieszaninę beztroski i niepewności; będą z nostalgią wspominać pochodzące z tego okresu wzmacniające posiłki zrobione z niczego, ręcznie prane pieluchy, zasiusiane prześcieradła, stół, przy którym chętnie gościli przyjaciół na jeden wieczór albo na całe życie (gdziekolwiek Georges się znajduje, ledwie wchodzi na dworzec czy do restauracji, spotyka ludzi, których zaprasza na kolację), dyskusje do późnej nocy i gorączkowe plany. W całym tym nieustającym pochodzie można się natknąć na sąsiadów z góry, przyjaciół z różnych stron, dziewczęta pracujące jako opiekunki do dzieci, początkujących bądź dojrzałych dziennikarzy, artystów kabaretowych, młodszego brata Georges'a, siostry i szwagierki Lianę, Gilberte Pasquier, która wydała się za kontrolera lotów, Pierre'a Daca i Francisa Blanche'a (Georges pracował z nimi przez kilka miesięcy po wyzwoleniu).

W ciągu dnia, choćby się waliło i paliło, Lianę kładzie się na godzinę lub dwie i śpi jak zabita. Kwestia przetrwania, jak powiedzą później świadkowie.

Kiedy usiłuję ich sobie wyobrazić, odnoszę wrażenie, że moi dziadkowie tworzą zarazem dziwną, jak i oczywistą parę, której żywotność i energia budzą respekt. Każdemu, kto tylko chce słuchać, Lianę kładzie do głowy, że małżeństwo przyniosło jej szczęście i wolność. Jej wesołości, śmiechowi, witalności nie sposób się oprzeć. Georges czci żonę i zasypuje ją prezentami. Z małego mebla, który izoluje korkiem i arkuszami blachy cynkowej, robi dla niej olbrzymią chłodnię, dzięki czemu odkrywają radość domowego zimna. Trzeba ją jednak zaopatrywać w lód i opróżniać zbiornik, w którym gromadzi się woda. Kilka miesięcy później Georges ulega pokusie i bierze kredyt, żeby podarować Lianę prawdziwą lodówkę, następnie kupuje małą pralkę Hoovera, która ma jeszcze ręczną wyżymaczkę.

Lianę nigdy nie kwestionuje wyborów Georges'a i przymyka oczy na wszystko, co mogłoby splamić miłość, którą go darzy.

Z odmiennych powodów łączy ich forma ucieczki do przodu, cygański styl życia, to salonowa lewica w pierwotnym stadium.

Lianę i Georges opuścili „ulicę Maubeuge” w nagłym porywie, w kwietniu 1960 roku. Za pośrednictwem wspólnych przyjaciół skontaktowali się z pewnym małżeństwem, które wynajmowało duży dom w Wersalu, położony w jednej z mieszczańskich dzielnic w centrum, i którego dziewięcioro dzieci, z wyjątkiem najmłodszego, zdążyło się już wyprowadzić. Rodzina Lucile marzyła o przestrzeni, natomiast państwo A. pragnęli wrócić do Paryża. Po kilku wzajemnych wizytach zdecydowali się zamienić mieszkaniem. Nowa agencja Georges'a rozwijała się w szybkim tempie, uznał on więc, że może sobie pozwolić na wyższy

czynsz. Dom miał trzy piętra i skromny ogród otoczony murem. Rodzina Lucile zawładnęła zatem czternastoma pokojami, wyjąwszy mały gabinet, gdzie państwo A. upchali trochę rzeczy, które nie zmieściły się w paryskim mieszkaniu. Lucile wkrótce zdobyła klucz do gabinetu i regularnie go nawiedzała, przywłaszczając sobie bardziej lub mniej przydatne w jej mniemaniu przedmioty.

Ujrawszy ją po raz pierwszy, beniaminek rodziny A., chłopak około dwudziestki, zakochał się bez pamięci. Lucile miała wówczas czternaście lat. Młodzieniec wykazywał się zdumiewającą energią, aby pozostać w kontakcie z rodziną Poirierów, wymyślał kolejne preteksty, byleby złożyć wizytę Georges*owi, zaofiarował pomoc w rozmaitych pracach, aż wreszcie oświadczył się o rękę Lucile, z całą powagą i najuroczyściej, jak tylko można. Georges wybuchnął śmiechem.

Każde dziecko, od najstarszego do najmłodszego, wybrało sobie pokój. Lucile, Justine, Violette i ich rodzice zajęli pierwsze piętro, Milo, Jean-Marc i Lisbeth drugie, natomiast Barthelemy zamierzał objąć na kilka lat w niepodzielne posiadanie najwyższą kondygnację. Lucile po raz pierwszy dysponowała własną przestrzenią, do której nikt inny nie miał dostępu. Wprowadziła się tam wraz z bałaganem, ubraniami i książkami, robiąc rozgardiasz, nad którym tylko ona potrafiła zapanować, po czym zamknęła za sobą drzwi. Lucile leżała godzinami na łóżku, marząc, obmyślając własną przyszłość, przyszłość, którą wyobrażała sobie przede wszystkim jako wolną od jakiegokolwiek przymusu, od wszystkiego, co mogłoby ją ograniczać bądź powstrzymać. Tworząc obraz przyszłości, nie widziała w nim mężczyzny ani pracy. W jej snach nie było ani żadnego księcia, ani sukcesów, po prostu czas, który się przed nią rozciągał i którym mogła swobodnie dysponować, pełen refleksji czas, w którym mogłaby się schronić.

Podobnie jak starsze rodzeństwo, Lucile nadal uczęszczała do liceum w Paryżu. Jednakże latem została wydalona z powodu częstych nieobecności. W kolejnym roku wstąpiła do Blanche-de-Castille, szkoły katolickiej w Wersalu, gdzie uczyła się wcale nie lepiej, uzyskując żalosalne oceny, poza stopniem z francuskiego. Niewzruszona w swym milczeniu, Lucile zajmowała miejsce i z całą ostentacją dawała wyraz znudzeniu. W jej spojrzeniu była jakaś bezczelność, której większość nauczycieli nie potrafiła znieść. Nie mówiąc o drobnych uwagach, które wymieniała z koleżankami, komentując śmieszne stroje nauczycielek czy snując domysły, że taką to a taką siostrę łączą z inną intymne relacje. Lianę i Georges dostali pierwsze ostrzeżenie. Tym razem Georges okazał córce stanowczość. To jest ostatni raz. Lianę była zmęczona wstawianiem się za nią we wszelkich możliwych instytucjach szkolnictwa i miała mnóstwo roboty z resztą dzieci. Jeżeli Lucile wyrzucą z Blanche-de-Castille, pójdzie do Pigiera. Zostanie sekretarką i tyle, sekretarko-maszynistką aż do końca życia. Ze słów Georges'a wynikało, że nie ma pracy mniej godnej pozazdroszczenia. Lucile ciągle miała wszakże przed oczami obraz wyniosłej i pełnej wdzięku Gilberte Pasquier

Lucile leżała z głową wspartą na dłoni, przesunawszy się na skraj łóżka, jak najbliżej lampki nocnej, rzucającej wyraźny żółty krąg światła na kartki książki, które przewracała od kilku godzin, nieświadoma upływu czasu i obojętna na dobiegające ze schodów krzyki.

Nagle głos matki przybrał ostrzejszy ton.

- Lucile, goście przyszli!

Lucile zerwała się, upuszczając książkę. Włożyła buty, przeczesła palcami włosy, nie zwracając sobie głowy patrzeniem w lustro, obciągnęła bluzkę i zeszła do salonu. Jej brat i siostra już tam byli, uśmiechnięci i grzeczni. Lisbeth uszmiłowała lekko usta i miała na sobie własnoręcznie uszytą sukienkę, ściśniętą w talii i idealnie dopasowaną. Barthelemy usiłował robić dobrą minę, włożywszy ręce w kieszenie. Gdy Lucile wkroczyła w głąb pokoju, Georges przedstawił swą drugą córkę. Usiadła obok niego, starając się trzymać prosto, podczas gdy zgromadzeni wbili w nią wzrok.

Zapytano, w której jest klasie, jaki zawód chciałaby kiedyś wykonywać, co ją interesuje. Lucile odparła tonem całkowicie pozbawionym arogancji, że nie ma zielonego pojęcia. Goście nie dawali za wygraną: przecież musi się czymś zajmować poza szkołą. Ponieważ Lucile zwlekała z odpowiedzią, jeden z nich skomentował niby to na stronie: w każdym razie bez trudu znajdzie męża! Lucile nie podjęła tematu, podobnie jak Georges, który nie szczędził jej wszakże docinków na temat bałaganu w jej pokoju; zdążywszy się już rozpędzić, opisywał ze szczegółami sterty bielizny leżącej wprost na podłodze, stosy zbędnych papierzysk i zeszytów, których nie da się już otworzyć, nie wspominając o strefach, do których nikt nie powinien się zbliżać, gdzie z pewnością można by natrafić na, o ile ktoś by się odważył tam zapuścić, multum opakowań po cukierkach i jakieś babskie książki. Żeby znaleźć męża, najpierw musiałaby się nauczyć trochę wokół siebie posprzątać. Następnie Georges rozpoczął jedną ze swych ulubionych tyrad na temat głębokiej apatii i skłonności do lenistwa wśród współczesnych nastolatków. Niezbyt usatysfakcjonowany tym, że przyciągnął uwagę słuchaczy, jął się rozwodzić nad nieudolnością dzisiejszych nauczycieli, którzy nie tylko nie potrafią wzbudzić zainteresowania uczniów, ale także narzucić im swojego autorytetu. Nauczycieli, którzy skądinąd nie są w stanie zbudować ponadtrywyrazowego zdania w poprawnej francuszczyźnie! Po czym przeszedł do zażartej krytyki rozwoju francuskiego szkolnictwa, krytyki, którą opanował do perfekcji, powtarzając ją mnóstwo razy, a którą uzupełniał paroma wariantami lub wyjaśnieniami w zależności od typu słuchaczy. Jeden z biesiadników, klient agencji przybyły ze Szwecji w nadziei na sprzedaż sprzętu chłodniczego, skorzystał z okazji, by poskarżyć się na trudności, które sprawia mu język Kartezjusza. Każdy, kto chce opanować czas przeszły niedokonany trybu warunkowego, w końcu się na nim wyłoży. Georges obiecał mu kilka prywatnych lekcji i powrócił do swojej przemowy. Jako przykładem posłużył się Lucile, wydaloną ze wszystkich szkół, do których uczęszczała. Goście westchnęli ze zdumieniem. Francuska szkoła nie znosi krytycznych umysłów. Zresztą zaczynają się zastanawiać oboje z żoną, czy ich dzieci w ogóle pasują do systemu szkolnictwa, skoro zadr ne z siedmiorga nie może się na razie pochwalić wyśmienitymi wynikami w nauce. I to pomimo swoich zdolności.

- Milo bardzo dobrze się uczy – sprostowała Lianę. - A Violette nie może się doczekać szkoły. Mój kochany małżonek jak zawsze przesadza.

- Siedmiorga? - zdziwiła się żona dyrektora handlowego fabryki markowego soku pomarańczowego.

Poprosiła, aby przedstawiono jej pozostałe dzieci. Czy są tak samo śliczne jak te starsze? Lianę przyprowadziła resztę rodzeństwa; na czele gromadki, która wkrótce stanęła rządkiem pośrodku salonu, znajdował się Milo. Dzieci kolejno się przywitały, nieco onieśmiałe. Goście wpadli w zachwyty. Cóż za wspaniała rodzina! Justine skorzystała z zamieszania wywołanego ich pojawieniem się, by wrócić do kuchni, gdzie dołączyła wkrótce Violette,

która nie odstępowała jej nawet na krok. Milo i Jean-Marc zostali chwilę z dorosłymi, przysiadłszy na poręczu kanapy, ściśnięci jeden obok drugiego. Kiedy Lianę odprowadziła ich do sióstr, Milo zapytał, czy jemu też kiedyś będzie wolno zostać i rozmawiać z dorosłymi. Lianę szepnęła mu na ucho:

- Już niedługo, mój aniołku, już niedługo.

Od kiedy się przeprowadzili, Lianę i Georges ciągle urządzali przyjęcia. Lianę brała kogoś „ekstra”, aby przygotował część kolacji, podawał do stołu i pomagał jej przy nakrywaniu! Na początku wieczoru trójka najstarszych schodziła się przywitać, „zrobić dobre wrażenie”, odpowiedzieć na parę pytań na temat nauki albo pogawędzić o ostatniej sztuce, którą widzieli w Theatre-Francais, gdzie wszyscy troje mieli karnety. Niekiedy Georges prosił, by zostali na aperitif. Uważał, że dzieciom przyda się przysłuchiwanie dorosłym i nauka włączania do rozmowy. Podczas owych chwil poprzedzających kolację Lucile stopniowo odkrywała ograniczenia swojego ojca. Georges nie był wszechwiedzący. W otoczeniu innych osób, równie silnych, błyskotliwych, wykształconych jak on, nie zawsze miał ostatnie słowo. Zdarzało mu się natrafić na opinie sprzeczne z jego opiniami i na argumenty, których nie potrafił odeprzeć, co i tak nie przeszkadzało mu stwierdzić na koniec tonem nieznoszącym sprzeciwu, że ma rację. Lucile przyglądała się ojcu, dostrzegając, że brak mu tolerancji i że sam sobie przeczy. Już dawno temu Georges obwieścił, że Proust był miernym pisarzem, wodolejem, uczniakiem bez hamulców. Jego styl? Tania dziergania dla starych niedowidzących panien. Już lepiej od razu połknąć coś na sen. Georges umiał rozśmieszyć, nie można było temu zaprzeczyć. Tylko że pewnego wieczoru, na jednym z tych przyjęć, kiedy to nigdy nie rezygnował z grania pierwszych skrzypiec, Georges trafił na specjalistę od Prousta, potrafiącego odeprzeć jego ataki i bronić prozy pisarza, którą znał na pamięć całymi stronami. Lucile przysłuchiwała się słownej utarczce mężczyzn, nie roniąc ani słóweczka. A więc jej ojciec może się mylić, wręcz się ośmieszyć. Barthelemy, który był świadkiem dyskusji podobnie jak ona, wziął stronę przeciwnika. Georges kazał mu zamilknąć. Nazajutrz Lucile podkrađa z portmonetki Lianę pieniądze, żeby kupić pierwszy tom *W poszukiwaniu straconego czasu*, i ukryła go w swoim słynnym rozgardiaszu.

Na wieczornych przyjęciach w wersalskim salonie Lucile pozostawała sobą: cichą obserwatorką. Rzadko dało się słyszeć jej głos, nikt wszakże nie mógł nie zauważyć jej obecności. Następnie trójka najstarszych dzieci dołączała do maluchów, które jadły kolację w kuchni, gdy tymczasem Lianę, jej mąż i goście przechodzili do jadalni. Georges potrafił umiejętnie wymieszać swych klientów - szefów firm, dyrektorów handlowych, dyrektorów do spraw sprzedaży oraz swych najlepszych przyjaciół. Stali bywalcy ulicy Maubeuge płynęli z prądem, wkrótce też przyłączyli się do nich kolejni, Georges nawiązywał bowiem znajomości wszędzie, gdzie tylko się pokazał. Rozmowy o pracy nigdy nie trwały długo. Opowiadano sobie dowcipy, plotkowano o wydarzeniach na świecie, śmiano się. Kiedy tylko dorośli usiedli przy stole, Barthelemy wracał do salonu, by popróbować trunków pozostałych na dnie kieliszków, po czym pozwalał sobie zajrzeć do przedpokoju, gdzie leżały torebki i wisiąły płaszcze. Podbierał po kilka monet, rzadko tykając banknoty. Krótko jednak eksploatował tę żyłę złota, bo Lisbeth nie omieszkała na niego donieść

Po siedmiu jałowych latach, kiedy już dawno przestała udawać, że stosuje metodę kalendarzykową, Lianę zaszła w ciążę. Z początku wieść ta wywołała osobliwe poruszenie zabarwione niepokojem. Zdążyli się już odzwyczaić. Lianę zachowała wszakże pogodę ducha, jej ciało nabrało krągłości, skóra stała się napięta, nie czekając długo, Lianę wdrapała się na strych po łóżecko ze szczebelkami, po pieluchy, po pozytywki i po ubranka, które leżały tam od dawna. Znów zaczęła sypiać po południu, korzystając z tych paru godzin ciszy, które teraz, kiedy Violette poszła do szkoły, należały tylko do niej. Rozkoszowała się, leżąc na plecach, z dłońmi na brzuchu, otulona gęstym ciepłem pierzyny. Starsze dzieci żyły swoim życiem, zaczynały flirtować, były zapraszane na rajdy i przyjęcia-niespodzianki. Wkrótce wyfruną z gniazda. Maluchy przestały już być maluchami, a nawet jej ukochana córeczka Violette nauczyła się czytać i pisać. Lianę niedługo skończy czterdzieści trzy lata.

Urodziła siedmioro dzieci, nie licząc Jeana-Marca, i nigdy nic nie dało jej poczucia większego spełnienia i głębi doznań niż świadomość, że w brzuchu rusza się mała istotka, a potem możliwość przytulenia jej do siebie, kiedy szuka łakomie matczynej piersi.

Lianę przeżyła tę ciążę jak żadną inną. Korzystając z powolności, którą wymuszała jej stan, przyglądała się swym rosnącym piersiom. Nie była ani chora, ani zmęczona, nic nie wydawało jej się łatwiejsze, bardziej oczywiste. Żadne zmartwienie nie przyćmiło owych kilku miesięcy słodczy, dzieci służyły pomocą, Georges był w wysmienitym humorze. Rzecz jasna, wracał późnym wieczorem, czasem wyjeżdżał i utrzymywał szczególne stosunki z kobietami. Czy powinna się skarżyć? Spotykał się z kobietami sam na sam, udzielał im rad, przedstawiał różnych ludzi, pokazywał Paryż. Niekiedy zapraszał te kobiety na kolację. Były młode i patrzyły nań z podziwem.

Od samego początku Lianę zrozumiała jedno: jeśli choć przez sekundę, jedną króciutką sekundę zacznie sobie wyobrażać, jakim pieszczotom Georges może się oddawać z innymi kobietami, jeśli dopuści do siebie choć jeden jedyny obraz, umrze. Ma szczęście, ogromne szczęście. Kocha męża i on kocha ją. Powinna się z tego cieszyć i nie pozwolić, by cokolwiek przyćmiło jej radość. Georges pragnął kobiet, wszystkich kobiet, mimo to przecież nadal był jej mężem, jej kochaniem, tak bowiem go nazywała, nawet wtedy, gdy mówiła o nim do kogoś innego. Życie w Wersalu było nieskończenie bardziej słodkie niż to, które wiedli przy ulicy Maubeuge. Teraz miała do pomocy gosposię, automatyczną pralko-suszarkę i robot kuchenny ze Stanów Zjednoczonych, skończyła z zawilgocionymi rachunkami i listami wydatków, sumowanych w ciasnych słupkach jeden pod drugim, podczas gdy po stronie wpływów nie było nic, co zapewniłoby równowagę. Kolejne dziecko nie budziło w niej lęku. Pomimo licznych ciąż Lianę zachowała szczupłą talię i sportową sylwetkę. Wychodząc wieczorami z Georges'em, robiła delikatny makijaż, wypalała kilka papierosów mentolowych, przeczesywała palcami włosy, śmiała się na całe gardło.

Myślała, że jej ciało przestało być płodne, a tu masz: znów zaszła w ciążę. Była najszczęśliwszą kobietą na świecie. Justine, Milo i Jean-Marc nie mogli się wprost doczekać. Violette lękała się trochę, że straci swą pozycję, tuliła się mocno do matki.

To będzie ostatnie, nieoczekiwane, niespodziewane dziecko: dar od Boga. Wraz z nadejściem lata Lianę i Georges wysłali swoją czeredę do domu w Pierremont, pod opieką starszych dzieci. Lisbeth miała osiemnaście lat, Barthelemy siedemnaście, Lucile szesnaście. Lianę została w Wersalu wraz ze swym wielkim brzuchem, czekając na rozwiązanie. W

sierpniu mieli wyjechać wszyscy razem do Hiszpanii, do Alicante, gdzie Georges znów wynajął duże mieszkanie.

Na początku lipca, późnym popołudniem Lianę odeszły wody, zadzwoniła więc do Georges'a do agencji, po czym w towarzystwie sąsiadki ruszyła w pośpiechu do paryskiej kliniki, do której była zapisana. Urodziła tam w ciągu niecałych dwóch godzin wspaniałego chłopczyka o niemal białych włosach. Georges zjawił się wkrótce po całej akcji.

Wiadomość dotarła do Pierremont jeszcze tego samego wieczoru przez telefon. Tom się urodził! Lisbeth i Lucile kupiły cydr, aby uczcić to wydarzenie, i zaprosiły paru przyjaciół. Według słów Georges'a dzidzius był prześliczny i jeszcze silniejszy niż cała reszta! Starsi chwycili za kieliszki i wzniesli toast za przyjście na świat Toma. Ktoś przyniósł gitarę, nie zabrakło papierosów, wieczór przeciągnął się do późnej nocy.

Wczesnym rankiem Milo, Justine i Violette (wówczas mający odpowiednio po dwanaście, dziesięć i osiem lat) skorzystali z poimprezowego otępienia, żeby wybrać się z przyjaciółmi na wyprawę, po uprzednim przetrząśnięciu lodówki w poszukiwaniu czegoś na piknik. Wyruszyli drogą wzdłuż rzeki i postanowili pójść aż do tamy. Gdy dotarli na miejsce, wspięli się na kładkę, aby popatrzeć na rzekę z góry. Nigdy *si*^ nie dowiedzieliśmy, czy Violette przeszła nad czy pod balustradą. Spadła głową w dół na beton, z wysokości dwóch i pół metra. Minęło kilka sekund, nim reszta dzieci zorientowała się, że jej nie ma. Violette leżała w dwudziestocentymetrowej wodzie, twarzą do betonu. Ledwie Neneuil, najstarszy z bandy, się zorientował, dopadł do niej w paru susach i wykazał tyle przytomności umysłu, żeby ją odwrócić.

Lucile obudziły wrzaski. Chociaż zwykle potrzebowała tak wiele czasu, żeby wstać, teraz wyskoczyła z łóżka ze ściśniętym gardłem, jakby ktoś ją dusił. Włożywszy spodnie, pobiegła za dziećmi aż do tamy. Gdy ujrzała Violette rozciągniętą na ziemi, o mało nie zwymiotowała ze strachu. Podeszła bliżej, nogi jej drżały, ręce też, przez chwilę myślała, że zaraz zemdleje. Violette była sina, miała ledwie otwarte oczy. Lucile zapragnęła wziąć siostrę w ramiona, lecz przypomniała sobie to, czego się nauczyła: nie wolno ruszać osoby, która uległa wypadkowi. Lisbeth wezwała pogotowie, bo czas naglił. Lucile chwyciła dłoń Violette, szukając odpowiednich słów, żeby ją pocieszyć, żadne słowo jednak nie przychodziło jej do głowy, jedynie krzyki, głuche wrzaski, które kłębiły się w jej umyśle, z ust zaś nie zdołał się wydobyć żaden dźwięk. W karetce Lucile siedziała obok siostry, z żołądkiem ściśniętym z przerażenia, zahipnotyzowana widokiem krwi, która wylewała się z uszu Violette, wsiąkając właśnie w jej welurową piżamę, tworząc najpierw czerwoną plamę, potem barwiąc cały materiał. Violette majaczyła.

Trzeba było zadzwonić do Georges'a do agencji. Lisbeth zniosła pytania ojca i jego bezbarwny, słaby głos. Violette trafiła pod opiekę ekipy medycznej; była przytomna, bolało ją, bardzo ją bolało, nic nie powiedzieli, nie. Nic.

Podczas gdy Georges znajdował się jeszcze na drodze między Paryżem a Joigny, Lianę ujrzała przy swoim łóżku lekarza, który przyjmował poród. Dobierając ostrożnie słowa, doktor oświadczył, że musi być bardzo dzielna. Otóż dziecko, które dopiero co wydała na świat, nie jest takie jak inne. Tom jest dotknięty zespołem Downa, chorobą, którą ledwie zaczęto lepiej

poznawać i nazywano teraz trisomią 21. Ponieważ zaś Lianę nie reagowała, lekarz dodał, starannie cedząc sylaby: - Pani syn ma mongolizm, pani Poirier.

Doktor poradził Lianę, żeby powierzyła dzidziusia opiece społecznej. Takie dziecko, szczególnie że należy do rodziny wielodzietnej, zapowiada same katastrofy. Jego rozwój intelektualny będzie nadzwyczaj ograniczony, a brakuje odpowiednich ośrodków opiekuńczych. Tom będzie nieustannie sprawiał kłopoty. Prawdę mówiąc, przez całe życie będzie im kulą u nogi. Osłupiała Lianę odparła, że porozmawia na ten temat z mężem. Popatrzyła na Toma, który leżał obok w kołysce, na jego małe zaciśnięte piąstki, jasny puszek na głowie, niewiarygodnie delikatne i ładnie wykrojone usta. Dzidzius szukał kciuka, wydając odgłosy ssania. Przede wszystkim Lianę odniosła wrażenie, że jest taki jak wszystkie inne: niezdolny do samodzielnego życia.

* * *

W ciągu kolejnych dni panowało ogromne zamieszanie. Violette, która padła ofiarą pęknięcia czaszki, ledwie uniknęła najgorszego, miała jednak pozostać trzy tygodnie w szpitalu. Lianę, która utknęła w klinice, musiała zaczekać jakieś dziesięć dni, by pojechać zobaczyć córkę.

Georges krążył między Paryżem, szpitalem w Joigny i domem w Pierremont.

Na początku sierpnia cała rodzina udała się do Alicante, z wyjątkiem Violette, której rekonwalescencja narzucała leżenie przez kilka godzin dziennie, stan zdrowia zaś wykluczał przebywanie w upale. Trafiała więc pod opiekę siostry Georges'a i spędziła koniec lata z kuzynami.

We wrześniu, gdy cała rodzina wróciła do Paryża, Georges wziął Toma na ręce i wyruszył na pielgrzymkę po szpitalach. Jego syn nie będzie upośledzony. Georges mnożył testy, badania dodatkowe, opinie i kontropinie, zdobył wszystko, co naukowcy napisali na ten temat w ciągu ostatnich dwudziestu lat, uczestniczył w konferencjach i odwiedził wszelkiego rodzaju guru. Znajdzie jakieś rozwiązanie, choćby miał przepłynąć przez ocean. Okazało się to jednak zbędne. Dodatkowy chromosom w dwudziestej pierwszej parze chromosomów został bowiem odkryty we Francji przez profesora Lejeunea, który po raz pierwszy w świecie ustalił związek pomiędzy niedorozwojem umysłowym a aberracją chromosomalną i nadał mu nazwę „trisomii 21”. Po tygodniach podchodów, zuchwalstwa i pełnej oburzenia korespondencji w końcu spotkał się z profesorem Lejeune'em. Skoro Tom ma o jeden chromosom za dużo, wystarczy mu go usunąć. Lekarz przyjął Georges'a w gabinecie i spędził z nim ponad godzinę. Nie ma mowy o zniszczeniu dodatkowego chromosomu, ale być może pewnego dnia da się go unieszkodliwić. Trisomię 21 należy traktować jak chorobę, a nie upośledzenie. Może w dalekiej przyszłości medycyna będzie w stanie leczyć lub łagodzić niedorozwój umysłowy. Ale nie teraz.

Georges wyszedł w stanie głębokiego smutku. Podjął decyzję, która miała wyraźnie odmienić jego życie: poświęci temu dziecku całą swą energię i będzie rozwijał w najwyższym stopniu jego umiejętności.

Ani Georges, ani Lianę nie pomyśleli nawet przez chwilę, żeby oddać Toma do ośrodka

Tom leżał w kołysce z szeroko otwartymi oczami. Od kilku minut krzyczał przenikliwie, chcąc przywołać siostry. Violette właśnie się myła, a Justine bawiła się z Solange, koleżanką z klasy, którą zaprosiła na podwieczorek. Justine podeszła do kołyski, wzięła braciszka na ręce. Zachwycony Tom zafikał nóżkami. Justine, która wyczuła kwaśny zapach jego śpioszków, przybrała minę eksperta i oświadczyła, że zmieni mu pieluchę. Zaproponowawszy Solange, by jej towarzyszyła, rozłożyła ręcznik na łóżku rodziców i położyła na nim Toma. Obmyła pupę, fałdki na udach, siusiaka, następnie starannie wytarła do sucha. Maluch na zmianę to gaworzył, to wybuchał śmiechem. Justine wycalowała mu policzki, brzuszek, ramionka, tak jak często robiła to matka, z dumą pokazując Solange, że potrafi opiekować się dzidziusiem. Zresztą często karmiła go z butelki, a kiedy nie było rodziców, spała razem z nim. Tom chwycił ją za włosy i zaczął ciągnąć, lecz Justine zrobiła wielkie oczy. Chłopczyk zawahał się przez chwilę, po czym puścił jasny kosmyk i znów zafikał nóżkami na znak radości. Solange spojrzała na Toma w zamyśleniu. Justine oglądała się kilkakrotnie, szukając na twarzy przyjaciółki uśmiechu, przejawów rozczenia, Solange jednak unikała wzroku Toma, chociaż chłopczyk wkładał cały wysiłek w to, by przyciągnąć jej uwagę.

Wreszcie Solange odwróciła się ku Justine i ogłosiła werdykt:

- Twój brat jest downem.

Justine popatrzyła na przyjaciółkę, na minę w stylu Panny Wszystkowiedzącej, którą właśnie przybrała, na wysoko zadartą brodę i nos. Tom fikał w najlepsze, złapał rączkami za stopy i przyciągnął je do buzi. Justine przytrzymała go, by zawiązać suchą pieluchę, następnie włożyła mu czyste spodnie, miękkie buciki, posadziła go. Tom pozostał w tej pozycji przez parę sekund, usiłując utrzymać równowagę, po czym upadł z powrotem na plecy, wydając pisk radości.

Justine wzruszyła ramionami.

- Bzdury — odparła.

Wziąwszy dziecko na ręce, wyszła z pokoju bez słowa. Straciła ochotę do zabawy z Solange, chciała, by Solange wróciła do siebie, zresztą Solange i tak nie była przyjaciółką, Solange nosiła okropne sukienki i miała głupią minę, sam ojciec tak powiedział ostatnim razem, w niedzielę, kiedy przyszła się pobawić.

Wieczorem, kiedy Solange się pożegnała, Justine zapukała do drzwi Milo i weszła, nie czekając na zaproszenie. Milo leżał na łóżku, zatopiony w lekturze jakiegoś pisma ilustrowanego. Justine usiadła obok niego. Milo posłał jej uśmiech i wrócił do lektury.

- Czy to prawda, że Tom jest downem?

Milo podniósł wzrok na siostrę, wyraźnie rozdarty między przykazaniem, jakie otrzymał, a prawdą, którą w swoim mniemaniu był jej winien.

- Taa, to prawda.

- Skąd wiesz?

- Mama powiedziała Lisbeth, ona powiedziała Lucile, a ona powiedziała mnie.

Justine poczuła falę ogromnego smutku. To niemożliwe. Przecież Tom to anioł, ukochany królewicz, a nie żaden down. Zbiegła po schodach. Georges czytał w salonie gazetę, Lianę

była zajęta przygotowywaniem kolacji. Justine zawahała się przez moment, po czym wybrała kuchnię, gdzie obok matki siedziała Violette. Obydwie obierały jarzyny. Justine stanęła przed stołem.

- Czy to prawda, że Tom jest downem?

Nastąpiła krótka cisza, następnie Lianę odrzekła swym najśladszym głosem:

- To prawda, moja ukochana królewno. Tylko że nie mówi się „down”. Tom ma o jeden chromosom za dużo. To znaczy, że jest upośledzony i że nigdy nie będzie taki jak inne dzieci. Ale nauczymy go wielu rzeczy i postaramy się, żeby był szczęśliwy.

Głos Lianę się zmienił. Violette od razu wyczuła niskie, bolesne brzmienie. Upuściwszy obierak, wtuliła się w matczyną szyję.

- Nie da się go naprawić?

Jak Lianę może być taka spokojna? Justine miała ochotę chwycić talerze i rzucić nimi przez kuchnię, poprzewracać wszystko, stół, krzesła, garnki, sztuce, poprzewracać wszystko i wrzeszczeć. Nie chciała, żeby Tom miał o jeden chromosom za dużo ani był upośledzony, ani w ogóle nic, chciała, żeby był silny i normalny i żeby mógł się bronić, Bo Tom urośnie i stanie się małym chłopcem. Na ulicy, w metrze ludzie będą się na niego gapić, odwracać się, będą szeptać za plecami. A tego, że mogą się śmiać z Toma, nie była w stanie znieść.

Justine chwyciła koszyk z owocami i zwała go znienacka na podłogę. Spojrzała na matkę wyzywająco. Pomarańcze zatrzymały się przed lodówką, jabłka poleciały dalej, niemal do drzwi. Nie schyli się, żeby je podnieść, Lianę musi zrobić to sama.

Opuściwszy kuchnię, Justine weszła po schodach cała we łzach i wpadła prosto na Lucile. Lucile złapała ją za ramiona i wciągnęła do swego pokoju. Posadziła siostrę na łóżku i zapytała, dlaczego jest taka smutna. Justine nie odpowiedziała. Jej ciało trzęsło się z gniewu, najwyraźniej próbowała złapać oddech, co pozwoliłoby jej opanować wzburzenie. Lucile gładziła ją bez słowa po włosach, dopóki jej oddech się nie uspokoił, dopóki nie ustał szloch. Justine miała niesamowicie długie nogi, rysy jej twarzy zaś odznaczały się zadziwiającą regularnością. Była piękna. Justine od zawsze targiła złością. Nigdy nie dojadła do końca z talerza, nie znosiła sprzeciwu, dostawała szalonych napadów wściekłości, których przyczyny były na ogół nieznane. Justine toczyła boje z matką, podczas sprzeczek błagając o jej zainteresowanie. Mówiło się, że jest trudnym dzieckiem. O reszcie niemal zapomniano.

Lucile przyniosła jej szklankę wody i Justine powoli się uspokoiła. Siedziała teraz na brzegu łóżka, z dłońmi na udach, w grzecznej pozycji, która wcale do niej nie pasowała. Lucile nie spuszczała z niej oka.

- To przez Toma - powiedziała w końcu Justine. - On jest downem.

Lucile położyła dłoń na dłoni siostry.

- I co z tego, to nie takie straszne.

- A jak będą się z niego wyśmiewać?

- Nikt nie będzie się z niego wyśmiewał. Tata i mama go obronią. I my też.

Justine, która sprawiała wrażenie pocieszonej, wymknęła się z pokoju.

Od kilku miesięcy Justine i Violette zajmowały się Tomem, podobnie jak ona i Lisbeth

zajmowały się maluchami.

Lucile uwielbiała niegdyś Violette, jej pucołowate policzki, jasne loki, nauczyła ją wyliczanek, piosenek, a nawet trochę tabliczki mnożenia. Justine jednakże zawsze wydawała się bardziej daleka. Chociaż niekiedy Lucile zdarzało się pomyśleć, w imię tajemnej geometrii rządzącej rodzeństwami, że *coś* je łączy. Coś, co po cichu je wiąże, co bez wątpienia nie ma nazwy i co zamiast zbliżyć, oddala je od siebie.

Obecnie Justine i Violette czuwały nad Tomem, ciesząc się z jego postępów. Wszystko zachowało ciągłość, było przekazywane dalej, co stanowiło typową cechę rodzin wielodzietnych. Tom był „umiłowanym dzieckiem”, „ukochanym królewiczem”, „księciem”. Dobrze spał, dobrze jadł, nigdy nie płakał. Tak łatwo było się nim opiekować. Gdy tylko ktoś się doń zbliżał, wyciągał ramionka i piszczał z radości. Czasem Lucile tuliła go do siebie, głaszcząc jasny puszek na jego głowie, całując rączki. Podobnie jak jej bracia i siostry przywiązała się do Toma, nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby być inny, nie zamieniłaby go na żadne inne dziecko. Już od pierwszych miesięcy odnosiła wszakże wrażenie, że w tym zatopionym przez liczebność rodzeństwie Tom stanowi dodatkowy czynnik łagodzący. Tom był źródłem smutku, który rodzice potrafili przemienić w dar. Dar, który zajmował istotne miejsce.

Pewnego dnia Lucile odejdzie, zostawi hałas, zgiełk, ruch. Tego dnia będzie jedna jedyna, odrębna od wszystkich, przestanie stanowić część całości. Często zastanawiała się, jaki będzie świat tego dnia: bardziej brutalny czy przeciwnie, bardziej życzliwy

Jean-Marc nie zszedł na śniadanie, nie poszedł także na mszę o dziesiątej. Lianę spoglądała na zegarek z niedowierzaniem, przez chwilę pomyślała, by go obudzić, lecz zrezygnowała. Poprzedniego dnia Jean-Marc miał długi trening pływacki przed zawodami regionalnymi. Z pewnością potrzebuje odpoczynku. Może mu spokojnie pozwolić pospać. Zaczeka na niego, pójdą razem na mszę w południe. Jean-Marc zaraz się obudzi. Lubiła te ich cotygodniowe wspólne spotkania, te chwile, które należały tylko do nich. Jean-Marc był jedynym jej dzieckiem, które wierzyło w Boga. Milo i starsi od dawna nie chcieli chodzić na mszę, Georges nie przekroczył progu kościoła od śmierci Antonina, Justine i Violette uczęszczały na lekcje religii i wcale się nie skarżyły z tego powodu, ale były za młode, żeby rzeczywiście dzielić jej wiarę. Tylko Jean-Marc towarzyszył jej z własnej nieprzymuszonej woli, a nawet chodził na mszę bez niej, kiedy sama nie mogła. Jak wyjaśnił, lubił się modlić, modlić na kolanach i ze złączonymi dłońmi, tak aby jego szept wznosił się do nieba. Może pewnego dnia dotrze do samego Pana, niesiony jego żarliwością. Jean-Marc nie modlił się za siebie, lecz za innych, o których wiedział, że są zalęknieni bądź nieszczęśliwi, ponieważ Jean-Marc od zawsze lepiej niż ktokolwiek wyczuwał obawy wśród otaczających go ludzi.

Dla Lianę wiara była darem od Boga, który miała szczęście otrzymać, podobnie jak dziewięć lat wcześniej miała szczęście przyjąć pod swój dach Jeana-Marca, z którym od tamtej pory była związana osobliwą i całkowicie organiczną więzią, mimo że nie był jej synem, i podobnie jak miała szczęście wydać na świat to odmienne od wszystkich dziecko, które wprawiało ją w zachwyt i przyniosło jej jedynie radość. Tom zaczynał wstawać i wkrótce będzie chodził.

Kiedy Jean-Marc nie zszedł również na popołudniową mszę, Lianę poczuła, jak ze strachu rośnie jej w gardle kula, którą przepędziła filiżanką wrzącej herbaty, wypitej na stojąco w kuchni. Trening musiał go wyczerpać. Przecież raz może opuścić niedzielną mszę. Jean-Marc niedługo skończy piętnaście lat. Zamierzał wstąpić do Akademii Sztuk Plastycznych, w której Barthelemy studiował od dwóch lat. Był taki szczęśliwy na wieść, że go przyjęto. Lianę widziała jego twarz, kiedy wrócił z dnia otwartego, jak rozpierała go duma na myśl, że pójdzie w ślady brata, że będzie studiował w tej samej szkole co on. Na dzień przed początkiem roku może sobie pospać.

Lucile drzemała w łóżku, co jakiś czas budził ją krzyk, szuranie krzesłem, podniesiony głos. W ciepłej pościeli traciła świadomość własnego ciała, dokładnie jakby pływała na powierzchni stojącej wody, charakteryzującej się identyczną temperaturą jak jej skóra. Nie miała najmniejszej ochoty wychodzić, ani nawet rozsunać zasłon. Wrócili z wakacji parę dni wcześniej; lubiła przedłużać ów stan uśpienia, odrętwienia, nic nie planować, pozwolić, by sprawy toczyły się swoim torem, by czas się włókł. Niedługo będzie musiała się pogodzić z końcem wakacji, rozpocząć nowy rok szkolny. Lucile nie cierpiała tego okresu, odkąd tylko sięgała pamięcią. Co roku trzeba było tworzyć nowy plan zajęć, ustalać na nowo trasę, zaczynać wszystko od początku. Tym razem zaś, po wydaleniu z Blanche-de-Castille, zapisano ją do Pigiera.

Lianę włożyła płaszcz. Obudzi Jeana-Marca po powrocie. Niech sobie odpocznie. Georges wyjechał na weekend do Pierremont, żeby posunąć remont do przodu, nie będzie zatem mógł robić jej wymówek. Bo zdaniem Georges'a spanie do późna wymyślono dla słabeuszy i nierobów. Żeby wieść zdrowe życie, trzeba się zrywać skoro świt, również w niedzielę. Nawet jeśli się to nie podoba gnuśnym nastolatkom i leniwym dziewczętom.

Opuszczając dom, Lianę zapukała do pokoju Lucile. Po kilku sekundach córka odezwała się stłumionym głosem:

- Tak?

- Idę na mszę, moja kochana królewno.

Lucile wstała, by otworzyć matce.

- Gdzieś tak kwadrans po dwunastej trzeba by włożyć kurczaka do piekarnika. Wszystko przygotowałam.

Lucile kiwnęła głową i zamknęła drzwi.

Lianę ruszyła do kościoła. Czowała, że w gardle rośnie jej kula, nie chcąc jednak zawracać sobie głowy, przyspieszyła kroku. Nagle przystanąła. To nie jest normalne. Coś się stało. Jean-Marc nigdy nie śpi tak długo. I nigdy nie opuszcza mszy. Lianę obróciła się na pięcie i pobiegła do domu, po czym pognała po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Im była bliżej pokoju chłopca, tym silniejszy ogarniał ją niepokój.

Lucile słyszała, jak matka wraca do domu, wbiega po schodach i puka do drzwi Jeana-Marca, wołając go kilka razy. Lucile słyszała, jak matka otwiera drzwi, a potem już nic nie słyszała.

Lianę ujrzała chłopca leżącego na łóżku, z torbą plastikową na głowie. Rzuciła się ku niemu,

zerwała mu z głowy torbę gwałtownym gestem i odsłoniła twarz. Jego usta pozostały otwarte, szukając powietrza

Po rytualnym obmyciu Jean-Marc pozostał w domu przez trzy dni, ubrany w ciemny garnitur. Leżące na łóżku ciało otoczono świecami. Wszystkie dzieci mogły go zobaczyć. Parę tygodni wcześniej Barthelemy wyraził swe oburzenie pomysłem, że Jean-Marc wkrótce będzie chodził do tej samej szkoły co on. Od kiedy to Jean-Marc ma zdolności plastyczne? Nie chciał, żeby tamten siedział mu na karku, wstydził się go. Teraz jednak, kiedy jego brat nie żył, Barthelemy, który nie wierzył w Boga, modlił się z całych sił, by zmartwychwstał. Oddałby wszystko, byleby cofnąć czas, byleby śmierć Jeana-Marca nigdy nie nastąpiła, byleby nic podobnego nie spustoszyło znowu jego rodziny.

Prasa podchwyciła gorący temat. Zjawili się dziennikarze, dzwoniли do drzwi, bez przerwy telefonowali. Zderzali się jeden po drugim z porywcznością Georges'a, który częstował ich wyzwiskami. Niektórzy przyczaili się w pobliżu domu, w nadziei na wyciągnięcie paru słów od braci i siostr martwego nastolatka czy kogokolwiek, kto wyściubiłby nos na dwór. Lucile, podobnie jak inni, wychodziła z twarzą opatuloną szalikiem, nie bacząc na wołania i przemowy, patrząc prosto przed siebie.

Lucile i jej rodzeństwu zakomunikowano śmierć Jeana-Marca poważnym głosem. Jako że Jean-Marc był bity w dzieciństwie, miał zwyczaj chronić głowę, gdy zasypiał. Tamtego wieczoru, wyczerpany treningiem pływackim, przykrył się plastikowym workiem i więcej się nie obudził. Jean-Marc zmarł od uduszenia we śnie, nie cierpiał. Nie dodano nic więcej.

Chociaż dom był bardzo przestronny, teraz unosiło się w nim ciężkie, nabrzmiałe powietrze. Nieprzytomny Georges podrywał się na każdy dźwięk dzwonka. Chowano przed dziećmi gazety, których nagłówki podsycaly jego gniew. Innym nie należało nic mówić. Jean-Marc nie żyje, nie ma tu nic więcej do dodania.

Czy w wieku piętnastu albo prawie piętnastu lat można zasnąć z plastikowym workiem na głowie, jeśli się tego nie chciało, nie dokonało takiego wyboru? Takie właśnie pytanie zadawała sobie Lucile, podobnie jak zapewne większość jej rodzeństwa. A jeśli Jean-Marc postanowił położyć kres swojemu życiu, jakie nieszczęście, jakie porzucenie było przyczyną jego rozpacz? Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, Jean-Marc wyglądał na szczęśliwego. Czyż zawinili, oni, którzy nadal żyli, którzy niczego nie zauważyli

Na początku, kiedy wreszcie zgodziłam się na pomysł napisania tej książki, po długich i cichych negocjacjach z samą sobą, sądziłam, że bez żadnego trudu wprowadzę do niej fikcję, że bez skrupułów wypełnię luki. Chcę przez to powiedzieć, że w pewnym sensie sądziłam, iż pozostanę kapitanem statku. Wyobrażałam sobie, że potrafię skonstruować płynną i zręcznie opowiedzianą historię albo przynajmniej tekst, który z każdą kolejną liniijką będzie przybierał pewny i zrównoważony kształt. Wydawało mi się, że mogę wymyślać, tchnąć, nadawać kierunek, tworzyć napięcie, prowadzić narrację od początku do końca bez choćby jednego źle brzmiącego zdania i ani razu nie tracąc wątku. Miałam nadzieję, że zdołam swobodnie manipulować materiałem, co nasuwa mi raczej klasyczny obraz ciasta, ciasta na placek, które nauczyła mnie robić Lianę, kiedy byłam małą, kruchego albo francuskiego, które

zagniotłabym własnymi rękami z porzrzuconych składników, a potem rozkawałkowała dłonią, mocno rozplaszczyła, wyrzuciła pod sufit, by patrzeć, w jaki sposób się doń przyklei.

Tymczasem nie mogę niczego tknąć. Tymczasem odnoszę wrażenie, że sterczę całymi godzinami z rękami w powietrzu, z rękawami zakasany aż do łokci, przepasana ohydny rzeźnickim fartuchem, przerażona na myśl, że sprzeniewierzam się historii, że mylę daty, miejsca, wiek bohaterów, tymczasem boję się, że konstrukcja powieści, którą zaplanowałam, zawiedzie.

Nie będąc w stanie całkowicie się wyzwolić od rzeczywistości, mimowolnie tworzę fikcję, szukam kąta widzenia, który pozwoli mi podejść jeszcze bliżej, coraz bliżej, szukam przestrzeni, która nie byłaby ani prawdą, ani fabułą, tylko obydwoma naraz.

Z każdym mijającym dniem uświadamiam sobie, jak trudno mi pisać o matce, otoczyć ją słowami, jak bardzo tęsknię za jej głosem. Lucile bardzo mało mówiła o swoim dzieciństwie. Nie opowiadała. Dzisiaj powtarzam sobie, że to był jej sposób ucieczki przed legendą, odrzucenia tego, co zmyślane i co zostało zrekonstruowane za sprawą narracji, a co skrywa każda rodzina.

W ogóle sobie nie przypominam, żeby z ust matki padły jakiegokolwiek słowa na temat rozmaitych wydarzeń, które wpłynęły na jej dzieciństwo, to znaczy żeby wymieniła je w jakiejś wypowiedzi w pierwszej osobie, co dałoby nam, przynajmniej częściowy, dostęp do jej wizji. W gruncie rzeczy najbardziej brakuje mi jej własnego punktu widzenia, słów, które sama by dobrała, kolejności znaczenia, które nadałaby wydarzeniom, szczegółów, które należałyby do niej. Niekiedy wspominała o tych sprawach, o śmierci Antonina i Jeana-Marca, o zdjęciach dziecka-gwiazdy, jakim była, o osobowości Lianę czy swego ojca, wspominała o nich z niewątpliwą gwałtownością, ale w oderwaniu od wszelkiej narracji, od snucia opowieści, tak jakby rzuciła kamieniami, chcąc nas dokładnie trafić albo też pozbyć się najgorszego.

Mimo to usiłuję odtworzyć jej wizję z fragmentów, które powierzała różnym osobom, Violette na krótko przed śmiercią, mojej siostrze Manon, czasem mnie. Oczywiście składam na nowo, wypełniam luki, porządkuję na swój sposób. Oddalam się nieco bardziej od Lucile, chcąc się do niej zbliżyć.

Nie mam pojęcia, co czuła Lucile po narodzinach Toma. Wyobraziłam to sobie. Wiem, że uwielbiała to opóźnione i bezbronne dziecko, które trzeba było chronić przed światem, wiem, ile Tom dla niej znaczył, kiedy stał się dorosły, jak bardzo jej zależało, żeby czuł się dobrze, wpadając do niej na kilka dni. Niektórzy zwrócili mi uwagę, że Tom, za sprawą natychmiastowej czułości, którą budził, zainteresowania, którego się domagał, i chęci, którą wykazali moi dziadkowie, aby rozwinąć jego umiejętności w maksymalnym stopniu, z pewnością zajmował istotne miejsce. To zabawne, miłe i całkowicie wolne od złośliwości dziecko stopniowo znów jęło budzić zawiedzione nadzieje, czułości, porywy. Z biegiem lat Tom skupiał większość uwagi Georges'a i stał się idolem całej rodziny, Dzisiaj jest jej maskotką, a według mnie głównym spoiwem.

Kiedy byłam mała, bawiłam się z Tomem w wersalskim ogrodzie. Goniliśmy Enzyma, jamnika Justine, żeby szeptać mu do długich uszu pieszczotliwe słowa i patrzeć, jak potrząsa łbem. Tom jest ode mnie starszy tylko o parę lat.

Kiedy byłam mała, na biblioteczce w salonie w Pierremont stały obok siebie fotografie Antonina i Jeana-Marca, synów, którzy odeszli. Później dołączył do nich czarno-biały portret Mila. W czasie wakacji moi liczni kuzyni, moja siostra i ja spędzaliśmy całe tygodnie w tajemniczym cieniu tych umarłych. Jako że dzieci przejawiają pociąg do tego, co niezdrowe, bezustannie krążyliśmy wokół tych zdjęć, wyławiając najdrobniejsze szczegóły, badając ich tajemnicę, prosząc Lianę, by powtarzała dziesiątki razy anegdoty i snuła wspomnienia. Siedząc na stołeczku w owej słynnej żółtej kuchni, która pojawiała się we wszystkich legendach, babka opowiadała swym melodyjnym, lekkim głosem o dzieciach, śmiejąc się niekiedy tym pełnym czułości śmiechem, jak tylko ona potrafiła, i wydając głośne, nabrzmiałe niepokojem westchnienia, już same w sobie świadczące o rozpaczach, w jakiej pozostawili ją ci umarli.

* * *

Później dowiedziałam się od Violette, że Jean-Marc umarł z powodu hipoksyfilii, zwanej także asfiksją autoerotyczną, czyli podczas seansu masturbacji, kiedy to starał się nasilić orgazm poprzez duszenie. Wygląda na to, że Jean-Marc oddawał się praktykom masochistycznym i fetyszystycznym. W rozmowach, które przeprowadziłam, chcąc napisać tę książkę, Lisbeth opowiedziała, że na kilka tygodni przed śmiercią brata zjawiała się w jego pokoju bez uprzedzenia, żeby odzyskać skradzione majtki, i nakryła go, jak wbijał sobie szpilki w prącie przewiązane apaszką.

Próbuję dzisiaj odtworzyć sposób, w jaki wydarzenia się ze sobą łączą, siłę ciosu. Wydaje mi się, że śmierć Jeana-Marca i jej oficjalna wersja (można sobie wyobrazić, jak trudno wytłumaczyć prawdę dzieciom) poruszają wśród rodzeństwa po raz pierwszy kwestię samobójstwa. Lucile przez długi czas właśnie tak postrzegała osobliwą śmierć brata. Przy braku dodatkowych wyjaśnień wersja oficjalna, nawet jeśli sprawia wrażenie mniej gwałtownej, zasiewa pewną wątpliwość i prawdopodobnie poczucie winy, szczególnie u starszych, którzy zawsze mieli wobec Jeana-Marca stosunek ambiwalentny.

Opowieści o śmierci Jeana-Marca różnią się w nieistotnych szczegółach, a zwłaszcza co do tego, kto przebywa w tej chwili w Pierremont wraz z Georges'em, żeby dopilnować remontu (zdaje się Lisbeth i Barthelemy), a kto z kolei został w Wersalu z Lianę (Lucile i maluchy).

W sprawie nękania przez prasę opowiada się, że Georges zwrócił się do szwagra, który był wtedy redaktorem naczelnym „lei Paris”, aby użył swoich wpływów i położył temu kres - według innej wersji to Claude, szwagier Lianę, wykorzystuje tę wiadomość w swojej gazecie, zapewniając tym sobie wieczną urazę Georges'a. Wersji tej wszakże kilka razy zaprzeczono.

Wszyscy zgodnie powtarzają, że to Lianę znajduje ciało i dzwoni do Georges'a, żeby natychmiast przyjechał. Lianę telefonuje również do odwiecznej przyjaciółki Marie-Noelle, która zjawia się od razu, by uporać się z tym, co najpilniejsze. Milo, który ma wówczas trzynaście lat, przez kilka dni głośno oplakuje najbliższego wiekiem zmarłego brata. Nieutulony w żalu Milo płacze tak, jak parę lat wcześniej Barthelemy oplakiwał śmierć Antonina. Dzisiaj o obydwu smutkach wspomina się tymi samymi słowami: łączy je niewidzialna i

umartwiająca nic.

Nie wiem nic na temat Lucile poza tym, że była tam, w położonym niezbyt daleko pokoju, i że miała wtedy siedemnaście lat. Nie mam pojęcia, co zrobiła, czy krzyczała, czy płakała, jak te wydarzenia zapisały się w jej pamięci.

* * *

Mieszkająca dzisiaj na Południu Lisbeth powiedziała mi, że zachowała pierwszą stronę gazety, która ukazała się tuż po śmierci Jeana-Marca, i że jej tytuł („Dziecko męczennik nie przeżyło własnej przeszłości”) doprowadził Georgesa do szału. Poprosiłam, żeby dała mi przeczytać artykuł. Lisbeth zadzwoniła do mnie po kilku dniach poszukiwań. Nie odnalazła go. Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że pewnie go wyrzuciła.

Parę lat temu Lisbeth postanowiła „wyrzucić wszystkie złe wspomnienia”. Przybrawszy właśnie taką postawę, to znaczy pozbywszy się balastu tego, co najgorsze, Lucile spędziła wiele godzin, opowiadając mi historię naszej rodziny. Po tych rozmowach przez kilka tygodni telefonowałam do niej wielokrotnie, chcąc uzyskać wyjaśnienia, które tylko ona znała. Przybrawszy właśnie taką postawę, zasypała mnie tak cennymi szczegółami i anegdotami, w technikolorze i w wersji panoramicznej, której brakuje niespodziewanych zwrotów akcji oraz ujęć i przeciwujęć, gdzie cierpienie bije z każdego zdania, chociaż nigdy nie zostaje wypowiedziane. Lisbeth nie jest jedyna. Każdy radzi sobie, jak potrafi, dzisiaj zaś szanuję jej linię obrony albo przetrwania, która w gruncie rzeczy bardzo przypomina linię Barthelemy’ego. Być może dlatego, że byli najbardziej narażeni. Dzisiaj Lisbeth i Barthelemy wybrali zachowanie tego, co najlepsze, najbardziej fantastyczne, najbardziej promienne. Resztę odrzucili. Niewykluczone, że mają rację. Podobnie jak inni, przyjęli mój projekt z entuzjazmem, i podobnie jak inni, zastanawiają się teraz, co ja z tym wszystkim zrobię. „Gryzą się”, jak to się mówi w naszej rodzinie. Kiedy piszę, często o nich myślę -o Lisbeth, Barthelemy, Justine i Violette - z bezgraniczną czułością, jaką mam dla nich, ale dzisiaj także z pewnością, że ich ranie, że sprawiam im zawód.

Nie mówię o uwielbianym przez wszystkich Tomie, który ma czterdzieści osiem lat i od pewnego czasu mieszka w ośrodku dla upośledzonych umysłowo: jestem pewna, że on jeden nie przeczyta mojej książki

Włosy Barthelemy’ego urosły nagle, jakby za sprawą czarów, albo w ciągu jednej nocy, spływały mu kaskadą na oczy, rozdzielając się na gęste loki, z górującymi nad nimi niesfornymi kosmykami, którym chłopiec pozwalał zakiełkować albo się rozsypać. Georges wpadł w szal. Włosy Barthelemy’ego już same w sobie ucieleśniały kwintesencję „głupiego wieku”. Zresztą Barthelemy myślał głupio, ubierał się głupio, poruszał się głupio. Georges był zdania, że okazał swym dzieciom tolerancję, zapewnił im swobodną edukację, szanował w najwyższym stopniu ich osobowość, poglądy, ale w tym wypadku (co to, to nie) nie należy przeciągać struny. W końcu są jakieś granice. W życiu wszystko nieodwołalnie zależy od pierwszego wrażenia. Pokazanie się w jakimkolwiek miejscu z długimi włosami, na dodatek wątpliwej czystości, równa się społecznemu samobójstwu. Zaprogramowanej dymisji, samozatopieniu. Georges nie znosił włosów Barthelemy’ego ani sposobu, w jaki syn zwykł mu się obecnie publicznie przeciwstawiać, jego wielkopańskich manier, zaproszeń na imprezy, sukcesów,

które odnosił wśród chichoczącej i paplającej płci pięknej, jego przyjaciół o pustym spojrzeniu, którym się wydawało, że są zakochani w literaturze. Barthelemy przestał grać w tenisa (Georges przez długi czas żywił nadzieję, że jego syn osiągnie krajowy poziom). Zadawał się z ludźmi starszymi od siebie, zachowywał się jak na artystę przystało. Odkąd Barthelemy nosił długie włosy, za każdym razem gdy wchodził do pokoju w jego pole widzenia, Georges witał go jakąś kwaśną uwagą albo zbolalym westchnieniem. Barthelemy przybierał określony styl; jeśli się nie ma nic istotnego do powiedzenia, trzeba kogoś udawać, styl, owszem, żeby nie powiedzieć opakowanie, a Bóg jeden wie, że Georges, który od lat pracował w reklamie, znał się na fanfaronadzie i pustych pudełkach. Georges był na czatach, łowił każdy szczegół, milczenie, wahanie, korzystał z każdej okazji, by rozpocząć jeden z tych swoich surowych monologów, które cyzelował w miarę upływu czasu, i zakończyć jak zawsze pełnym konsternacji stwierdzeniem pod adresem Lianę:

- Cóż chcesz, kochanie, to głuuuuupi wieceeeek.

Georges nie lubił także wrzasków Lisbeth, jej hałaśliwej wesołości, jej zainteresowania fatalaszkami. Nie znosił również tego, że Lucile spędza tyle czasu poza domem, nie mówiąc dokąd ani z kim idzie, jej obcisłych spodni, uszmkowanych ust, sposobu, w jaki przewraca oczami, pełnego dezaprobaty milczenia. Od kiedy dzieci zaczęły znikać wieczorami i szykować się do wyjścia przez długie godziny, od kiedy związały się z innymi młodymi ludźmi, których imiona krążyły wokół stołu i jeszcze długo w nocy, od kiedy zaczęto je zapraszać na prawo i lewo, ich oddalenie stanowiło dla Georges'a cios w samo serce. W gruncie rzeczy wszystko to nie było niczym innym jak zdradą.

W miarę jak dzieci rosły, Georges pozwalał sobie na coraz ostrzejsze drwiny. Pryszcze, czerwienienie się i unikanie wzroku stanowiły pożywkę dla jego ataków. Georges potrafił się posługiwać zabójczą metaforą i nic nie umykało jego uwagi. Ubiór, zachowanie, gadzety - wszystko zostało przeczesane, przeanalizowane, wyszydzone. Zdarzały się wieczory, gdy kpina graniczyła z linczem. Georges bowiem zawsze zadawał ostatni cios, zawsze miał ostatnie słowo.

Nie inaczej było z Lucile, ojciec nigdy wszakże nie posunął się aż do tego, by ją upokorzyć. Lucile unikała jego wzroku, szukała martwych pól. Milczenie nie dawało punktu zaczepienia. Z biegiem czasu zdawała się wieść równoległe i sekretne życie, do którego nie miał dostępu. Georges odbijał to sobie na zainteresowanych jego córką przyjaciółach Barthelemy'ego, głośno uzalając się nad ich brakiem kultury, chorowitym wyglądem, płytkimi ambicjami. Najbardziej ze wszystkich nie cierpiał Forresta, chłopca o twarzy anioła, który poza Lucile świata nie widział.

Lucile nienawidziła wszechwładzy ojca, jego braku wyrozumiałości, bezgranicznego okrucieństwa. Przyglądała się wykrzywionej tępyim bólem twarzy, zmarszczkom na nosie wyrażającym wstręt, zaciśniętym z goryczy ustom. Nie poznawała go. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy ojciec stał się tą zgorzkniałą istotą. A może odkrywała właśnie teraz jego prawdziwe oblicze i dopiero teraz w pełni dostrzegała jego skłonności do agresji? Chociaż od zawsze się przechwalał, że inteligencja jego dzieci znacznie przewyższa przeciętną, teraz pierwszy drwił z ich wahań, reagował rozdrażnieniem na ich pragnienia, wyśmiewał ich upodobania. Pewnego dnia Milo, Justine, Violette przywdzieją modne stroje, sprawią sobie zuchwałę fryzurę, zaczną siać zamęt. Pewnego dnia oni także mu się wymkną.

Zbita z tropu Lianę słuchała męża, niekiedy usiłując go mitygować. Dorastanie dzieci stanowiło dla niej obce, otoczone murem terytorium wewnątrz rodziny, którą zbudowała. Już dawno zrezygnowała z prób zrozumienia płynących z niego żądań i demonstracji, zbyt odległych od wspomnień, które zachowała ze spędzonej na prowincji młodości i późnego okresu dojrzewania, przeżytych pod kuratelą ojca, którego autorytet był niepodważalny. Wolałaby, żeby jej dzieci pozostały małe, żeby raz na zawsze przestały rosnąć. Zresztą jeśli się nad tym głębiej zastanowić, Lianę niczego nie lubiła bardziej niż świeżej i delikatnej skóry niemowlęcia, tego ciała, które bezustannie obsypywała pocałunkami. Oczywiście nadal czuła bliskość w stosunku do Lisbeth, która od zawsze ją wspierała. Oczywiście była dumna z Barthelemy ego, który stał się wspaniałym młodym mężczyzną. Jak na razie Milo dobrze się uczył, czytał gazety, interesował się wydarzeniami na świecie. Dziewczynki były jeszcze małe, toteż mogła ciągle obsypywać Violette pocałunkami. Co do Lucile, po pobycie u Pigiera paliła w swoim pokoju papierosy, przejawiała uprzejmą obojętność, niczym nie zdradzając własnych myśli ani uczuć. Lucile już dawno jej się wymknęła.

Wciągu ostatnich tygodni Lucile i Lisbeth już dwa razy wróciły po wyznaczonej przez ojca godzinie. Kiedy więc otrzymały od kuzynów zaproszenie do Chaville na wielkie przyjęcie, Georges zabronił im jechać. Sprawa nie podlegała dyskusji. Fakt, że całymi tygodniami szyły sobie na tę okazję sukienki, niczego nie zmienił. Georges zażądał zresztą ich obecności na kolacji, którą urządzał akurat tego samego wieczoru. Mieli w niej uczestniczyć dyrektor handlowy agencji, świeżo poznany młody karykaturzysta, a także producent seriali telewizyjnych, któremu maluchy wielokrotnie statystowały. Podczas kolacji Lucile i Lisbeth zmuszały się do udziału w rozmowie i do odpowiedzi na zadawane pytania. Tuż po deserze zapytały, czy mogą iść się położyć.

Po wyjściu gości Georges, poirytowany tak wczesnym zniknięciem córek, wspiał się po schodach na górę z twardym postanowieniem przypomnienia im kilku zasad savoir-vivre'u. Pokoje dziewcząt były puste, okno Lucile otwarte. Georges i Lianę wskoczyli do samochodu i dotarli do Chaville w niecały kwadrans.

Georges zaparkował przed domem. Pomimo zamkniętych okiennic muzyka wylewała się na ulicę. Lianę zadzwoniła do drzwi, gdy tymczasem Georges czekał w aucie. Stanąwszy w progu sali balowej, poszukała córek wzrokiem. W ciągu dwóch minut i bez ani jednego słowa Lisbeth i Lucile siedziały na tylnej kanapie. Widząc w lusterku wzrok ojca, Lucile zapadła się głębiej. Po powrocie do Wersalu Georges wkroczył do domu z tłumionym gniewem i podarł z wściekłością uszyte przez nie sukienki. W nocy Lucile postanowiła uciec do wolnego świata. Zaraz nazajutrz rano podzieliła się swym planem z Lisbeth, która nie dała się prosić. Lisbeth marzyła o podróżach, o dalekich krainach, o mężczyznach mówiących ze śpiewnym akcentem. Nie bała się wyjechać. Zaczną od zamieszkania incognito w Pierremont, dopóki nie znajdą jakiegoś zajęcia i nie odłożą trochę grosza. Następnie, o ile Lucile wykaże się większą śmiałością, mogłyby uciec dalej, o wiele dalej.

O zwykłej porze udały, że wybierają się do szkoły. Tymczasem jednak wsiadły do pierwszego pociągu jadącego na Dworzec Świętego Łazarza, następnie wpadły do banku, żeby wybrać oszczędności Lisbeth. Od zawsze wyłącznie Lisbeth odkładała pieniądze. Od

niedawna pracowała jako opiekunka do dzieci, żeby zarobić na przyszłe podróże. Następnie obie siostry udały się na Dworzec Lyoński, skąd kilka godzin później wyruszyły pierwszym pociągiem do Pierremont.

Lucile nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ponury i zniszczony jest ich dom. Jaka panuje w nim wilgoć, jak lodowaty ziąb. Z nastaniem wieczoru jęły do niej docierać wszelkie możliwe podejrzanе odgłosy, dobiegające ze strychu. Przerazona poprosiła Lisbeth, żeby mogła spać razem z nią. Wczesnym rankiem ujrzały Georges'a z torbą rogalików w ręce, z uśmiechem ulgi na twarzy. Przygotował obfite śniadanie, po czym wsadził je do samochodu. W ciągu niecałych dwóch godzin były w Paryżu

Wraz z Forrestem Lucile włóczyła się po szerokich bulwarach albo chowała w kinowych salach. Przyjaciel Barthelemy'ego zakochał się w niej już pierwszego dnia. Przyjeżdżał do Wersalu lub do Pierremont, nie spuszczał jej z oka, stał się powiernikiem, niewinnym kochankiem, który czekał na swoją porę. Lucile nie chciała z nim sypiać. Nosiła krótkie włosy, obcięte na chłopczycę, swetry z golfem, rurki i buty na płaskim obcasie, niezdarnie naśladowując Jean Seberg. Forrest chciał zostać fotografikiem. W Pierremont zrobił kilka serii zdjęć, z których jedno przedstawiało Lucile, Lisbeth i Barthelemy'ego tańczących na torach kolejowych. Tego samego dnia Lucile ukradła ciężką emaliowaną tablicę, przytwierdzoną do dworcowego słupa, zardzewiałą od deszczu i pociętą przez wiatr.

„Przed przejściem na drugą stronę rozejrzeć się na boki. Zza jednego pociągu może wyjechać następny”.

W Paryżu zrobili sobie zdjęcie przed lustrem, Lucile blisko Forresta. Forrest pozostanie wszakże dla Lucile jedynie pierwszym flirtem, wspomnieniem łagodności i tkiwości.

Lucile poznała Gabriela nieco wcześniej, kiedy była z rodziną na wakacjach w Alicante. Widywali się przez kolejne lata, leżeli obok siebie na plaży, wieczorami wychodzili całą bandą. Gabriel był najmłodszym bratem Marie-Noelle, współpracownicy Georges'a. Marie-Noelle wielokrotnie prosiła Georges'a, żeby go ze sobą zabrali, gdyż potrzebuje jakiejś odmiany. Gabriel był elokwentny, miał ciemne włosy, szczupłe i atletyczne ciało, czuł się swobodnie w każdej sytuacji i sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Często odwiedzał przestronne mieszkanie, które Lianę i Georges wynajmowali pod palącym lipcowym słońcem we frankistowskiej Hiszpanii. Ostatniego lata, które Lucile spędziła z rodzicami w Alicante, kochała się z Gabrielem po raz pierwszy.

Kilka tygodni później Lianę zauważyła, że delikatna skóra na piersiach córki jest napięta do granic wytrzymałości i że z każdym dniem stają się one coraz większe. Lucile była w ciąży. W wersalskim salonie rozpoczęły się negocjacje. Ze względu na jej stan najlepiej by było, gdyby Lucile wyszła za mąż. Ma dopiero osiemnaście lat, jest niepełnoletnia, Gabriel ma dwadzieścia jeden. Lianę i Georges nie chcą jej jednak zmuszać. Sama musi dokonać wyboru. Lucile wcale się nie wahała. Była zakochana w Gabrielu, nadszedł czas opuścić rodzinę, wieść życie kobiety zamężnej. Z dala od zgiełku będzie mogła założyć własne gniazdo i mieć spokój. Aż do tamtego dnia nigdy nie wyobrażała sobie własnej przyszłości, nie nadawała jej kształtu, barw. Nigdy nie umiała ujrzeć siebie w innym życiu, wymyślać nowych

krajobrazów. Czasami nabierała przekonania, że jej marzenia są tak wielkie, tak bezkresne, że wprost nie mieszczą się w głowie.

W gorączce przygotowań, które wypełniały teraz niemal cały jej umysł - zaręczyny, ślub, wynajęcie mieszkania — Lucile przystawała niekiedy ze wzrokiem utkwionym w dal, pozwalając, by zawładnęło nią uczucie słodczy, wolności. Z całego rodzeństwa ona pierwsza odejdzie. Ona utoruje drogę ku jutru. Po raz pierwszy wyraźnie ją widziała: jasną i świetlistą.

Lucile i Gabriel pobrali się jeszcze w sierpniu. Zaraz po ślubie wyprowadziła się z rodzinnego domu do maleńkiego mieszkanca, w którym czekali na narodziny dziecka. Na początku marca Lucile powiła córeczkę w klinice w Boulogne. Później Lucile i Gabriel przenieśli się do mieszkania w XIII Dzielnicy.

Wydaje mi się, że w chwili gdy Lucile opuszcza rodzinę, owemu dziwnemu tekstowi, nad którym pracuję już od kilku miesięcy, a który być może stanie się książką, brakuje rozmachu. Popełniłam błąd co do barw, dekoracji, wszystko pomieszałam, pomyliłam czerwone z czarnym i zgubiłam po drodze wątek. W gruncie rzeczy jednak nic, co mogłabym napisać, bardziej by mnie nie usatysfakcjonowało, nic nie wydałoby mi się dość bliskie jej, im.

Chciałabym ukazać moją rodzinę wraz z tym, co było w niej najbardziej radosne, unaocznić napędzającą ją hałaśliwą i nadmierną witalność, ową siłę, z jaką stawiała czoło tragediom.

Chciałabym ukazać liczne wakacje, które Lianę i Georges spędzili z dziećmi na południowych plażach, we Francji, we Włoszech czy w Hiszpanii, cechującą Georges'a umiejętność życia ponad stan, wynajdywanie wyśmienitych miejsc za minimalną opłatą, zaciąganie tam całej czeredy, do której zawsze przyczepił się jakiś kuzyn sprawiający wrażenie mizeroty albo sąsiad mający za mało czerwonych krwinek. Owe letnie eskapady zostały uwiecznione w całej serii filmów super 8 mm, które pozbierałam, przegrałam na kasety VHS; widać na nich Lucile wraz z rodzeństwem na plaży, z włosami splewiałymi od słońca, w kostiumach kąpielowych z epoki, skupionych w wodzie wokół nadmuchiwane pontonu albo leżących pokotem na piasku. Lucile jest śliczna, uśmiecha się, bierze udział w zawodach, biega razem z innymi, trzyma się z nimi.

Nie wspomniałam też, że Georges zapewne jako pierwszy ojciec zachęcił dzieci do jazdy na nartach wodnych, ciągnąc je z dumą po Yonne; miały na nogach drewniane narty jego produkcji, on zaś siedział za sterem nadmuchiwanej łodzi wyposażonej w silniczek o mocy dwóch koni. Z biegiem lat Georges zdobył poważniejszy ekwipunek, narty wodne zaś stały się sportem rodzinnym.

Dzieciństwo Lucile zniknęło wraz z nią i na zawsze pozostanie dla nas tajemnicą.

Lucile stała się kobietą delikatną, osobliwie piękną, zabawną, cichą, często zbuntowaną, która przez długi czas tkwiła na skraju przepaści, nigdy nie spuszczać jej całkowicie z oczu, kobietą podziwianą, pożądaną, która budziła namiętności, kobietą udręczoną, zranioną, upokorzoną, która straciła wszystko w jeden dzień i wielokrotnie przebywała w szpitalu psychiatrycznym, kobietą niepokieszoną, z wiecznym poczuciem winy, zamkniętą we własnej samotności.

Na kasecie VHS, zawierającej ujęcia rodzinne i zatytułowanej *Poirierowie 1960—1970.*, odkryłam film, którego wcześniej nie widziałam. Widać na nim Lucile i Gabriela, mojego ojca, na krótko przed ślubem, podczas wizyty, którą składają moim dziadkom w domu w Pierremont. W bladym świetle jesiennego weekendu wysiadają z małego autka z epoki, którego marki nie potrafię rozpoznać, nieco onieśmieleni spoglądają w obiektyw. Przywitawszy się z nimi, Lianę kładzie dłoń na brzuchu Lucile, robi zadowoloną minę, biorąc na świadka kamerę, prawdopodobnie trzymaną przez Georges'a. Kiedy tak patrzę na Lucile i Gabriela, zdumiewa mnie ich dziecinny wygląd, przypominają przebranych urwisów, którym kazano udawać dorosłych. Mają na sobie swetry z szetlandzkiej wełny w jasnym kolorze, stoją obok siebie, Gabriel trzyma dłoń na karku Lucile, która ma pyzate policzki jak mała dziewczynka, najwyraźniej ani jej ciało, ani twarz nie wyszły jeszcze z okresu dojrzewania, a jeśli się głębiej zastanowić, moja piętnastoletnia córka wygląda na starszą od niej.

Zarówno od Lisbeth, jak i od siostry mojego ojca otrzymałam kopie listów, które Lucile pisała, będąc ze mną w ciąży, tuż po tym, jak się o tym dowiedziała, i w ciągu paru następnych miesięcy. Wspomina w nich o perspektywie małżeństwa, o poruszającym się w jej brzuchu płodzie, o oświadczeniach do opieki społecznej, o problemach z miejską gazownią. Jest „tak bardzo wzruszona, oczarowana, wstrząśnięta, zakochana... że nie wie, od czego zacząć”. Słucha *Salut les Copainsy* chrupie jabłka i usiłuje zorganizować wszystko w mieszkaniu, do którego wprowadziła się z Gabrielem. Na dole strony Lucile rysuje siebie z profilu, z wystającym brzuchem i pośladkami. Na końcu małej strzałki można przeczytać: „To ja. Nie ma się z czego śmiać”. W liście adresowanym do Lisbeth daje wyraz swoim upodobaniom co do imienia: Geraldine, jeśli to dziewczynka, Lucyfer albo Belzebub, jeśli chłopiec. Z całą pewnością Lucile nie ma zielonego pojęcia o czekającym ją życiu i wszystko to zdaje się nie należeć do rzeczywistości.

Nakręcony na taśmie super 8 mm film o ślubie moich rodziców, który odbył się, gdy Lucile chodziła od kilku miesięcy w ciąży, emanuje nieokreślonym dla mnie smutkiem. Matka nosi białą sukienkę na ramiączkach, lekko ściśniętą pod biustem, twarz okala jej tiulowy welon. Gabriel jest ubrany w ciemny garnitur. Są piękni, wyglądają na zakochanych, lecz w spojrzeniu Lucile jest jakieś wyciszenie, jakiś rodzaj nieobecności (albo wrażliwości) oddala ją od otoczenia.

Jest to mieszkański ślub zgodny z najczystsza tradycją; po religijnej ceremonii w salonach pewnej wersalskiej kamienicy odbywa się przyjęcie weselne. Wszyscy są szykownie i elegancko ubrani, Lianę jest czarująca w roli matki panny młodej, Justine i Violette (mające wówczas trzynaście i jedenaście lat) w otoczeniu kuzynek z całą powagą grają swe role druhen. Życie z dala od rodziny ledwie się dla Lucile zaczyna, właśnie ukończyła Pigiera, gdzie nauczyła się zawodu sekretarki, oczekuje dziecka, jej mąż pracuje w agencji reklamowej kierowanej przez Georges'a. Pozornie mają wszystko, żeby być szczęśliwi.

Nie wspominałam jeszcze o filmie dokumentalnym, który nakręcono o mojej rodzinie w 1968 roku, czyli dwa lata po ślubie Lucile, i pokazano w pierwszym programie telewizji w lutym 1969 roku. Wiedziałam o jego istnieniu: bycie tematem reportażu telewizyjnego, choćby i nie do znalezienia, stało się częścią rodzinnej legendy w takim samym stopniu jak wielki widowiskowy szpagat, który babcia wykonała w błyszczącym trykocie w wieku

siedemdziesięciu lat, czy zbudowanie własnym sumptem basenu w Pierremont. Jak dotąd nikomu nie udało się jednak wejść w posiadanie nagrania, którego dokładnego tytułu nie pamiętamy, a który nie był dostępny w archiwach publicznych Radia i Telewizji. Dzięki pomocy różnych osób zdołałam je odnaleźć i przegrać na DVD. Program nosi tytuł „Forum” i jest poświęcony relacjom pomiędzy rodzicami a nastolatkami. Wszystko w nim wydaje się niesamowicie przestarzałe: nieco zatarty czarno-biały obraz, stroje, intonacja głosu, kształt oprawek do okularów, rytm, wystrój wnętrz. Po pierwszych reportażach, nakręconych w domach poszczególnych rodzin, nastolatki, psychologowie i psychoanalitycy, niemający żadnego związku z bohaterami, komentują oglądane obrazy i wyrażają swoje odczucia na temat wyborów wychowawczych lub jakości relacji rodzice—dzieci, których byli świadkami. Program zamyka reportaż nakręcony u moich dziadków. Głos spoza kadru wyjaśnia, że rodzina nie została przedstawiona jako model wychowawczy w dokładnym tego słowa znaczeniu, „ponieważ w kwestii wychowania nie istnieją żadne recepty”. Realizatorzy jednak mają najwyraźniej nadzieję, że ów reportaż - nawet jeśli kończy program, a zatem w ogóle nie stanowi przedmiotu komentarzy - może pobudzić do refleksji i przeciągnąć dyskusję.

Reportaż rozpoczyna się od zdjęć parteru domu w Wersalu. Na planie pojawia się Milo, który odbiera telefon i głośno woła Lisbeth. Lisbeth nadbiega i bierze od niego słuchawkę, jej słowa natychmiast zagłusza głos narratora, który z lekką afektacją, typową dla ówczesnych filmów dokumentalnych, kolejno przedstawia członków rodziny, ukazujących się na ekranie: „Lisbeth, dwadzieścia cztery lata. Barthelemy, dwadzieścia trzy lata, mąż Coline, mają półroczne dziecko. Lucile, dwadzieścia jeden lat, żona Gabriela, ich córeczka ma dwa latka. Milo, osiemnaście lat, najlepszy uczeń. Justine, szesnaście lat, uczennica liceum Estienne, Violette, czternaście lat, licealistka. *{Po chwili}* Georges, ojciec, założył własną agencję reklamową. Lianę, matka, wychowała dziewięcioro dzieci, nie tracąc przy tym uśmiechu”. Następnie widać Poirierów siedzących wokół dużego stołu w jadalni wraz ze współbiesiadnikami. Toczy się ożywiona rozmowa, wszyscy się śmieją. Ponownie słychać głos spoza kadru: „Żeby rodzina była w komplecie, trzeba wymienić sześciolatniego Toma, który leży w łóżku, i dwóch chłopców, którzy zginęli tragicznie. Po latach ciasnoty i niewygód rodzina zamieszkała w domu w Wersalu. Człowiek rzadko się nudzi w rodzinie wielodzietnej. Ta jednak otrzymała wychowanie, które tłumaczy być może jej osobowość i fantazję”.

Kiedy uzyskałam hasło, które pozwoliło mi wyświetlić film po raz pierwszy, potrzebovałam kilku dni, żeby go obejrzeć. Chciałam być sam na sam z komputerem. Obrazy te ukazują coś, co Lucile utraciła kilka lat później, co życie roztrzaskało na tysiąc kawałków, zupełnie jak w bajkach, gdzie czarownice o haczykowatych palcach rzucają się z wściekłością na zbyt śliczne księżniczki. Spośród dokumentów, odnalezionych w czasie moich poszukiwań, reportaż ten należy z całą pewnością do tych, które najbardziej mną wstrząsnęły.

Lucile udziela wywiadu wielokrotnie; kiedy wspomniano okres dojrzewania, kamera pokazuje zbliżenie jej twarzy, chwyta spojrzenie, uśmiech. Ze wszystkich dzieci Lianę i Georges'a właśnie ją widać najwięcej. Opowiada o nieudanej ucieczce z Lisbeth, mówi o „wspólnych liniijkach”, do których zapraszały potajemnie przyjaciół, kiedy Georges, chcąc je ukarać, dawał im do przepisania całe strony. Wszyscy zakasywali rękawy i brali się do

roboty. Przyznaje, że w szkole nigdy nic nie robiła. Nie szczędzono jej zbolątych i zarazem optymistycznych kazań, dodaje, żeby zaczęła wszystko na nowo.

- Tylko że ze mną to się nigdy nie udało.

Lucile rozsadza ekran, zachowując typową dla siebie od zawsze rezerwę, ważąc każde wypowiedane słowo. Jest zdumiewająco piękna, tryska inteligencją; moim zdaniem każdy by to zauważył, oglądając ten film. Na kilku obrazach widać obok niej pochłonięte zabawą dziecko.

Nieco później Lucile mówi:

- Mam bardzo niespokojny temperament.

Jeszcze później dodaje:

- Jeśli jest coś, co im się udało, to to, że dali nam wiarę w przyszłość.

Myślę, że w chwili gdy zadają jej pytania, właśnie tak czuje. Boi się i zarazem ufa. Życie samo postara się przechylić szalę.

Reportaż ukazuje radosną, zgodną rodzinę, w której najważniejsza jest samodzielność dzieci i rozwój ich osobowości. Lisbeth, Barthelemy, Milo, Justine i Violette kolejno udzielają wywiadu i wszyscy zapewniają o swobodzie, jaką się cieszą: swobodzie wypowiedzenia się, chodzenia do kina, urządzania pokoju według własnego widzimisię, poruszania się i podróżowania — Violette wyjaśnia, że odkąd skończyła dziesięć lat, sama jeździ pociągiem do Paryża, Lisbeth mówi o swych podróżach po Stanach Zjednoczonych i Meksyku. Wszystko to prawda. Nikt nie wspomina, że Tom ma zespół Downa (leży w łóżku przez cały reportaż!), i nie zgłębia tematu „tragicznie zmarłych” chłopców. Lianę, z tym swoim ujmującym uśmiechem, opowiada, jak to zrezygnowała z własnych zasad i jak bardzo wychowanie jej dzieci różni się od tego, które sama otrzymała, natomiast Georges objaśnia w pięknych słowach, że ważne jest, by umieć pozwolić potomstwu wyfrunąć z gniazda. Urywki filmów z wakacji w Hiszpanii, nakręconych na taśmie super 8 mm, włączone do reportażu, wzmacniają obraz idealnego szczęścia.

Kiedy odnalazłam ten film, Justine, która go nie cierpiała, ledwie zgodziła się go ze mną obejrzeć. Później opowiedziała mi, jak bardzo czuła się zakłopotana i zmieszana w czasie jego kręcenia i jak jej zasugerowano, o ile wręcz nie podyktowano, jedno z niewielu zdań, które padły z jej ust:

- Tak, mój ojciec to jednocześnie tatuś i przyjaciel, z którym można się pośmiać, można porozmawiać, któremu chyba można powiedzieć wszystko, a kiedy człowiek chce mu coś powiedzieć, mówi „czy możemy jutro zjeść razem obiad”, a wtedy jemy obiad jak przyjaciele.

To także ona opowiedziała, jak bardzo ten film zranił Mila, wyprowadził go z równowagi; Milo nie mógł się powstrzymać i wywalił cały bunt i gniew na ojca, lecz nie pozostał po tym żaden ślad. Widać go zaledwie przez sekundę, jak gasi niedopałek, próbując uciec przed kamerą.

Znajdujemy się w samym sercu legendy. Film wiernie odzwierciedla legendę, którą Lianę i Georges spisują w miarę jej tworzenia, podobnie jak każdy z nas robi to z własnym życiem.

Film przedstawia ich jako małżeństwo i jako rodziców, bez wątpienia pokazując wyobrażenie, jakie o sobie mają i jakiego potrzebują, żeby żyć dalej. Właśnie tak postrzegają samych siebie i tak postrzegają swoją rodzinę. Ich dzieci zaczynają opuszczać dom, oni mają przeświadczenie, że wcale tak źle im nie poszło, zwłaszcza w dziedzinie wychowania, są w dobrej sytuacji materialnej, wyjeżdżają na wakacje, goszczą u siebie przyjaciół. Po chudych latach na ulicy Maubeuge i dopóki agencja Georges'a odnosi sukcesy (nie przetrwa maja 1968), moi dziadkowie bawią się w burżujów. Po raz pierwszy Georges może zapewnić swojej żonie życie odpowiednie dla środowiska, z którego się wywodzi. W ich sposobie bycia zawsze jednak coś wymyka się konwencjom. Myślę, że to ich siła, i właśnie ona dominuje we wspomnieniach, które o nich zachowałam.

Na przykład na długo przedtem, nim stało się to pożądanym i przyjętym stylem życia, Lianę i Georges zawsze chodzili nago przy dzieciach. Oboje byli pozbawieni wszelkiego wstydu tego rodzaju lub od niego uwolnieni. Ja sama, podobnie jak wszystkie wnuki, widywałam ich nago niemal do końca ich życia: Georges bez względu na wiek publicznie zmieniał mokre kąpielówki na suche slipy, Lianę zaś nawet wtedy, gdy już była mocno zaawansowana w latach, pozwalała mi asystować przy jej wyjściu spod prysznica, który to dokładnie i ściśle rozplanowany rytuał - nacieranie włosianą rękawicą, smarowanie kremem Nivea i nakładanie kilku warstw ubrań - mnie fascynował.

Jestem wytworem tej legendy i zdarza mi się w pewien sposób ją podtrzymywać, przedłużać, żeby moja rodzina żyła i żeby trwała ta nasza nieco absurdalna i rozpaczliwa fantazja. Jednakże gdy oglądałam ów reportaż, gdy ujrzałam, jacy wszyscy są piękni, jacy uzdolnieni, zarazem jakże różni od siebie i jakże w jednakowy sposób charyzmatyczni, przyszyły mi do głowy następujące słowa: prawdziwa porażka.

Co się stało, z powodu jakiego zamieszania, jakiej tajemnej trucizny? Czy śmierć dzieci wystarczy, by wytłumaczyć rysę, rysy? O latach, które potem nastąpiły, nie sposób bowiem opowiadać bez takich słów, jak dramat, alkohol, szaleństwo, samobójstwo, składających się na nasze rodzinne słownictwo w równym stopniu jak słowa święto, szpagat i narty wodne. W czasie przeprowadzonych przeze mnie rozmów jedni wspominali o katastrofie, włącznie z tymi, których to najbardziej dotyczy, i wydaje mi się, że to słowo pasuje tu najlepiej, jeśli wziąć pod uwagę, że na każdych ruinach da się coś zbudować, co każde z nas na swój własny sposób uczyniło.

Czy mam prawo napisać, że wszyscy, moja matka, jej bracia i siostry w takim czy innym momencie życia (albo przez całe życie) byli zranieni, zniszczeni, pozbawieni równowagi, że życie ciężko ich doświadczyło i że nosili swoje dzieciństwo, swoją historię, swoich rodziców, swoją rodzinę niczym piętno wypalone rozżarzoną do czerwoności żelazem?

Czy mam prawo napisać, że Georges był toksycznym, niszczycielskim i upokarzającym ojcem, który wynosił swoje dzieci pod niebiosa, dodawał im odwagi, kadził im, zasypywał je pochwałami, a jednocześnie wdeptywał w ziemię? Czy mam prawo powiedzieć, że jego wymagania wobec synów były równie wielkie jak brak tolerancji i że z niektórymi córkami utrzymywał co najmniej dwuznaczne stosunki?

Czy mam prawo napisać, że Lianę nigdy nie mogła albo nie potrafiła mu się

przeciwstawić, że była mu oddana tak samo jak Bogu, aż do poświęcenia własnych dzieci?

Nie wiem.

* * *

Lianę, moja babka, śpiewała słodkim głosem piosenki, z których przebijał bezbrzeżny smutek. Lianę zwracała się do swych dzieci i wnuków w drugiej osobie liczby mnogiej; jej nabożne i pełne szacunku „wy” rozczułało moich przyjaciół. Mówiła do nas „mój mały królewiczu”, „moja ukochana królowno”, „mój miły”, „moja miła”, „moja królowienko”. Ja mówiłam jej na „ty” i ją uwielbiałam.

Kilka dni temu miałam sen, który do tej pory mnie prześladowuje.

Siedzimy wszyscy w jadalni w Pierremont, wokół ogromnego drewnianego stołu, który w dni świąteczne potrafił skupiać nawet dwadzieścia osób. Wszyscy są na miejscu, nic nie drgnęło: kolekcja porcelanowych talerzy wisi na ścianie, na obu końcach stołu znajdują się wiklinowe kosze, w powietrzu unosi się aromat udźca jagnięcego. Lianę siedzi naprzeciw mnie. To rodzinny obiad, taki, jakie znaliśmy aż do końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy Georges jeszcze żył. Panuje trochę napięta atmosfera, Georges odstawia swój show, wypowiada kilka prawd na temat świata-jaki-- jest-teraz i jakiego-już-nie-ma, gdy tymczasem Lianę prosi wszystkich po kolei, by sobie nałożyli, póki gorące. Po zastanowieniu nie widzę Lucile, nie jestem pewna, czy występuje w tym śnie, nie ma jej, chociaż nikt nie wspomina o jej nieobecności. W pewnej chwili za sprawą jednego z tych przypadków, które sprawiają, że kilka osób jednocześnie przestaje mówić (przelatuje anioł), zapada cisza. Uśmiech znika z twarzy Lianę, ona zaś odwraca się do mnie i mówi całkowicie pozbawionym wrogości głosem, spoglądając ze smutkiem lub boleścią, które pojawiają się niekiedy w jej spojrzeniu:

- To niegrzeczne, co robicie, moja ukochana królowno, to niegrzeczne.

Zrywam się nagle, złana potem. Mężczyzna, którego kocham i któremu opowiem ten sen za kilka godzin, nie będąc w stanie oddać mojego przerażenia, śpi obok. Wokół nas panuje spokój. Potrzebuję paru minut, żeby moje tętno zwolniło.

Nie zasypiam po raz drugi. Ani na minutę. Wiem, ku czemu zmierzam.

Moja matka i ojciec przeżyli razem prawie siedem lat, głównie w mieszkaniu przy ulicy Auguste-Lancon, w części XIII Dzielnicy, którą znam słabo. Nigdy tam nie wróciłam. Gdy zaczęłam pisać tę książkę, w miejscu owych siedmiu lat zamierzałam zostawić później jakieś dziesięć pustych stron, ponumerowanych tak jak inne, lecz pozbawionych tekstu. Następnie doszłam do wniosku, że fortel ten rzecz jasna w sposób ostentacyjny unaoczniłby moje pominięcie, lecz nie stałoby się ono przez to bardziej godne przyjęcia i jeszcze mniej zrozumiałe.

Przez wiele lat mój ojciec pracował w agencji Georges’a, później zaś, po jej upadku, jako dyrektor administracyjny w banku. Lucile nie pracowała, zajmowała się dwiema córkami: najpierw mną, potem Manon, moją siostrą, urodzoną cztery lata po mnie. Z zewnątrz Lucile i Gabriel tworzyli, jak to się mówi, piękną parę. Jadali kolacje u przyjaciół, na weekendy wyjeżdżali na wieś do jednych lub drugich rodziców, zabierali dzieci do parku Montsouris. Kochali się, zdradzali, na pozór same banały.

Nie mogę pisać o okresie, który Lucile spędziła z moim ojcem.

To informacja wyjściowa, formalny przymus, jałowy rozdział, skradziony pisaniu. Wiedziałam o tym jeszcze przed rozpoczęciem książki i stanowi to jeden z powodów, które długo nie pozwalały mi się do tego zabrać.

Owe lata były dla Lucile czasem wielkiej samotności (często to powtarzała) i przyczyniły się do zniszczenia jej osoby (to moje zdanie). W moich oczach spotkanie Lucile i Gabriela pozostaje spotkaniem dwóch wielkich cierpień i wbrew matematycznemu prawu, według którego w wyniku mnożenia dwóch liczb ujemnych otrzymuje się liczbę dodatnią, spotkanie to pociągnęło za sobą przemoc i zamęt.

Nie wypytywałam mojego ojca o Lucile, poprzestałam na poproszeniu go o dokumenty, które znajdowały się w jego posiadaniu (raport policyjny, sporządzony kilka lat po ich rozstaniu, podczas pierwszego przymusowego pobytu Lucile w szpitalu psychiatrycznym, i raport z dochodzenia, które przeprowadziła po nim opieka społeczna, wróć do tego), dokumenty, które dostarczył mi nazajutrz przez kuriera, bez żadnego problemu. Podczas gdy ja oświadczam, że piszę książkę o kobiecie, którą być może najbardziej kochał i której najbardziej nienawidził, mój ojciec dziwi się, że nie odwołuję się do jego wspomnień, że nie chcę go wysłuchać. Tylko że mój ojciec nic nie wie. Napisał na nowo własną historię i prawdopodobnie przez samo to historię Lucile, z właściwych sobie powodów, na których komentowanie tutaj nie pora.

Chcąc dać dowód rzekomej spójności w moim postępowaniu, nie przepytалаm żadnego z mężczyzn, którzy uczestniczyli w życiu Lucile z bliska bądź z daleka (ani Forresta, jej pierwszej miłości platonicznej, ani Neba, wielkiej namiętnej miłości), chociaż obaj byli obecni na pogrzebie. Będę mogła w ten sposób argumentować i dowieść ojcu, że nie jest przedmiotem dyskryminacji. Nie mam pewności, czy da się nabrać.

Nie przepytалаm żadnego z mężczyzn, którzy uczestniczyli w życiu Lucile, i po namyśle wydaje mi się, że tak też jest dobrze. Nie chcę wiedzieć, jaką żoną ani jaką kochanką była Lucile. To nie moja sprawa.

Opisuję oczami dziecka Lucile, która dorosła zbyt szybko, opisuję tajemnicę, jaką zawsze dla mnie była, jednocześnie tak obecna i tak daleka, Lucile, która odkąd skończyłam dziesięć lat, nigdy już nie wzięła mnie w ramiona.

Odchodząc od Gabriela, Lucile miała dwadzieścia sześć lat. Z początku znalazła schronienie u rodziców, w Wersalu, gdzie mieszkaliśmy przez kilka tygodni i gdzie zapisano mnie do pobliskiej szkoły. Zachowałam z tego okresu mglisty obraz tablicy pokrytej szeregami napisanych białą kredą wyrazów, które inne dzieci potrafiły przeczytać, ja zaś nie byłam w stanie odszyfrować. W końcu ojciec przyjechał nas zabrać, po czym znów porwała nas Lucile, następnie znów Gabriel, aż wreszcie orzeczono nieodwracalny rozpad małżeństwa.

Później Lucile wprowadziła się wraz z innym mężczyzną do mieszkania przy ulicy Mathurin-Regnier, w XV Dzielnicy. Poznała Tibere'a kilka miesięcy wcześniej, przez Barthelemy'ego, który został młodszym dyrektorem artystycznym w pewnej agencji reklamowej. Tibere był

olbrzymem o pomarańczowej czuprynie, niezależnym fotografikiem i naturystą z przekonania. Dla nas, któreśmy patrzyły na niego z dołu, pochodził z innego świata i budził niejasne uczucie strachu. Jedyne wyraźne wspomnienie z owego przejściowego okresu — poza kostkami czekolady, które Lucile rozpuszczała nam na chlebie na podwieczorek, i oglądanym we czwartki programem telewizyjnym, w którym chłopiec w pelerynie, o imieniu Samson, opowiadał dzieciom różne historie - to wściekły ból zębów, który dręczył ją przez wiele dni. Lucile płakała z bólu. To jeden z najwcześniejszych obrazów matki, jakie zachowałam, już wtedy przepełniony bezsilnością wobec zalewającego ją cierpienia.

Rozwód rodziców był czymś straszliwie banalnym, zdominowanym przez bezlitosną walkę o opiekę nad dziećmi, prowadzoną na podstawie zeznań bardziej lub mniej usłużnych świadków, które zebrały obydwie strony. Orzeczono rozwód z winy Lucile (której niewierność dowiedziono za pomocą protokołu stwierdzającego popełnienie cudzołóstwa, spisane go przez urzędnika sądowego). Przyznano jej opiekę nad dziećmi (albo, według innych wersji, Gabriel jej ją oddał). Właśnie skończyłam sześć lat, Manon miała dwa latka.

Lucile znalazła pracę sekretarki w małej agencji reklamowej, która wybrała ją spośród setki kandydatek. Ona jedna знаła Gilberte Pasquier.

Po kolejnych wakacjach Lucile i Tibere zaczęli się rozglądać, gdzie by tu osiąść na stałe. Lisbeth wyszła za męża kilka lat po Lucile i zamieszkała w Essonne. Lucile i Tibere dowiedzieli się od jej męża, że niedaleko nich zwalnia się dom. Legenda głosi, że w chwili gdy dobijali targu, pozbawiony dokumentów tożsamości Tibere pokazał kartę naturysty. Podpisali umowę najmu. Przeprowadziliśmy się do Yerres, jakieś trzydzieści kilometrów od Paryża. Osiedle Grands Godeaux ciągnęło się po obu stronach ulicy noszącej tę samą nazwę. Po jednej stało w szeregu kilka budynków z czerwonej cegły, po drugiej zaś, wokół wąskich dróg pokrytych różową nawierzchnią, rozpięzchło się jakieś dziesięć pawilonów. Nieco dalej, w kierunku dworca, można było znaleźć piekarnię, aptekę i sklep Coop.

Zamieszkał z nami Julien, syn Tibere'a. Manon poszła do przedszkola, a ja do zerówki. Parę dni po rozpoczęciu roku szkolnego Lucile otrzymała wezwanie od dyrektorki szkoły, która ją napomniwała: wyprzedzanie programu szkolnego jest absolutnie szkodliwe dla dzieci. W ten oto sposób Lucile odkryła, że umiem czytać i pisać; zapadła decyzja, żeby przesunąć mnie o klasę wyżej.

Zapewne tego dnia w głowie Lucile na długo zrodziło się przeświadczenie, że bez względu na to, co się stanie, potrafię o siebie zadbać.

W samym sercu lat sześćdziesiątych Yerres stało się dla nas początkiem nowego życia, w moich wspomnieniach otoczonego osobliwym i świetlistym halo.

Lucile i Tibere pomalowali parkiet w salonie na biało, zaś położone bezpośrednio na podłodze materace, które udawały kanapy, zostały ufarbowane na zielono. Powoli w naszym domu zapanował radosny i nie-dający się ogarnąć bajzel, odzwierciadlający nasz styl życia, w którym rzadkie zakazy były skutkiem pogody lub humoru, a nie wychowania. Wolno nam było opierać łokcie na stole i wylizywać talerze, rysować po ścianach, wychodzić i przychodzić, kiedy nam się żywnie podobało, większość czasu spędzałyśmy na dworze, z innymi dziećmi. Bałyśmy się pana Z., sąsiada z naprzeciwka, o którym mówiono, że nie zno-

si hałasu i nie waha się dobyć karabinu, bałyśmy się żółtego psa, który zjawiał się znikąd i włóczył przed budynkami z podkulonym ogonem, bałyśmy się ekshibicjonisty, który wyłonił się z krzaków pewnego zimowego wieczoru, kiedyśmy wychodziły z Domu Kultury. Mimo to nasze terytorium nieustannie się powiększało.

Wieczorami przyjaciele i przyjaciele przyjaciół wpadali na kolację, na jednego albo na kilka jointów. Salon spowijał gęsty dym. Nasze pożywienie składało się głównie z makaronu — kolanek lub spaghetti -polanego sosem pomidorowym bądź nie, jeździliśmy natomiast starym peugeotem 403, również pomalowanym na zielono. Lucile wyruszała codziennie do Paryża, Tibere spacerował nago po mieszkaniu, podkradał ze sklepu Coop pieczone mięso w folii, a pomiędzy jednym zdjęciem a drugim bawił się w pana domu.

W dzielnicy zaczęła krążyć plotka, że nasz dom to melina hipisów i narkomanów, o czym usłyszałam także w szkole, chociaż tak naprawdę nie zrobiło to na mnie wrażenia. Byliśmy odmienni, niepodobni do innych rodzin, reszta mi umykała, nie miała żadnego znaczenia. W każdy czwartek w południe zapraszała mnie na obiad pewna dziewczynka z klasy, a potem jej matka przechwalała się, że częstuje mnie jedynym befsztykiem, jaki jem w ciągu tygodnia. Gdy Lucile się o tym dowiedziała, przestałam tam chodzić.

Wkrótce poznałyśmy Ramaudów, rodzinę z siedmiorgiem dzieci, które wychowywała matka mieszkająca w domu obok. Pomiędzy naszymi domami powstało coś w rodzaju wolnego przepływu dóbr (podwieczorków, gier, piór, lalek) i osób, która trwała przez kilka lat. Marzyłam o takim biustonozu, jaki nosiła Estelle, najstarsza córka, i żeby podobać się chłopcom tak samo jak ona.

Dobieraliśmy się mniej więcej wiekiem do rozmaitych zabaw, a czasem braliśmy w nich udział wszyscy. Razem z kumpelkami powtarzałam bez końca układy taneczne Claude'a Francois, które stały się gwoździem programu darmowych przedstawień, dawanych przez nas na wspólnym trawniku.

Sandra mieszkała w jednym z domów na osiedlu. Pomimo krążących pogłosek rodzice pozwalali jej do nas przychodzić, a nawet zostawać na noc. Była moją pierwszą przyjaciółką z dzieciństwa. W środy, podobnie jak inne dzieci w dzielnicy, Sandra chodziła na religię. Można tam było skosztować biskoptu i pić do woli sok pomarańczowy. Kiedy domagałam się, żeby tam pójść, Lucile odmówiła.

Na swój sposób wiedliśmy uregulowane życie, wszystko się powtarzało i było do siebie podobne, Lucile pracowała w Paryżu, Tibere zajmował się zakupami i domem.

Co drugi weekend przyjeżdżał po nas Gabriel. Parkował BMW przed domem, czekał na nas na ulicy, byłyśmy królowymi świata.

Na krótkie wakacje albo pozostałe weekendy wyruszaliśmy czasem do Pierremont, gdzie osiedli Lianę i Georges. Dziadkowie opuścili Wersal, agencja Georges'a splajtowała, z wyjątkiem Toma rodzeństwo Lucile wyjechało.

Gdy miałam siedem lat, Lucile zabrała mnie do Londynu. Nie mam pojęcia, jakie wydarzenie przyczyniło się do tej podróży, może wiek rozumu, w jaki właśnie wkroczyłam. Na pchlim targu Portobello Lucile wypatrzyła wśród ciuchów dwie minispódniczki z ter-galu (jedną

różową, drugą zieloną, obie w kształcie trapezu), które mi kupiła. Nosiłam je dopóty, dopóki nie sięgały mi do połowy pośladków i przez wiele miesięcy stanowiły one najważniejsze części mojej garderoby (zastąpiły je spodnie ze śliskiego weluru Newman w kolorze brzoskwiowym, po córce jednej z przyjaciółek; byłam z nich tak samo dumna).

Nic nie było ważne, ani wszy łonowe, które Lucile i Tibere złapali w kinie w Brunoy (według oficjalnej wersji) i które zagnieździły się na jakiś czas w naszych dziecięcych włosach (Manon miała je nawet w brwiach), ani poranki, kiedy przychodziłyśmy do szkoły spóźnione, ani ten, kiedy weszłam do klasy z głową nadal wysmarowaną płynem na wszy, którego potworny zapach można było rozpoznać na kilometr (Lucile nie miała czasu, żeby mi wypłukać włosy), ani koniec pieczeni i kurczaków w folii (Tibere dał się złapać w sklepie Coop), ani usilne nalegania Julienu, który prosił, żebym pieściła mu członek aż do wytrysku, na co się zgadzałam pod jednym warunkiem: że włożę gumową rękawiczkę.

Okres ten kryje ciemne strony.

Latem wyjeżdżaliśmy na obóz nudystów do Montalivet, gdzie Lucile i Tibere wynajmowali bungalow wśród sosen. Spotykaliśmy tam społeczności ich przyjaciół, którzy przybywali przed nami, towarzyszyli nam bądź do nas dołączali, jedni odjeżdżali, inni zostawali, rozbijali namiot w lesie. Byliśmy nadzy na piasku, nadzy w supermarkecie, nadzy na basenie, nadzy na ścieżkach pokrytych cierniami, a moja przyjaciółka Sandra, która jeździła z nami na wakacje, musiała pokazywać swoje poparzenia słoneczne, aby mieć prawo do wchodzenia na plażę w kąpielówkach.

Najbardziej lubię fotografie właśnie z tamtych lat, robione przez Tibere'a. Opowiadają one o pewnej epoce. Lubię ich kolory, poezję, zawartą w nich utopię. Lucile miała trochę zdjęć. Po jej śmierci zamówiłam odbitki z tego, co znalazłam u niej w kartonie pod postacią slajdów. Znajduje się wśród nich zdjęcie mojej matki w tłumie podczas manifestacji w Larzac. A także takie, na którym Lucile w spodniach dzwonych w kolorową szachownicę trzyma na rękach Manon. Spośród tych fotografii jedna seria mnie urzeka i wzrusza: Manon, której zielono-biała sukienka wygląda jak wprost z rekonstrukcji „Seventies”, bawi się węzłem ogrodowym, opalona na czekoladkę, z pulchnymi udami, robiąc serię nieprawdopodobnych min. Jest jeszcze takie, na którym pozujemy wszyscy razem (z tuzin osób), goli jak święci tureccy, przed bungalowem w Montalivet, maluchy z przodu, dorośli z tyłu, w idealnych rzędach, z podniesionymi głowami i wakacyjnym uśmiechem.

Na niektórych fotografiach można odnaleźć Lis-beth, Justine, a nawet Violette; wydaje mi się, że jest to okres, kiedy Lucile czuje się mniej samotna, kiedy zbliża się do swych braci i siostr. Czasami Tibere traktuje Lucile jak modelkę; moim zdaniem nigdy nie była równie piękna.

W promieniach zachodzącego słońca Tibere fotografuje od tyłu Manon i Gaetana (syna przyjaciółki Lucile), spacerujących po plaży. Trzymają się za ręce, opaleni, z nagimi pośladkami, z piaskiem oblepiającym skórę. Tibere robi z tego zdjęcia plakat, który będzie sprzedawany w tysiącach egzemplarzy we wszystkich supermarketach Francji.

W mojej prywatnej kolekcji znalazła się także fotografia przedstawiająca Manon i mnie w Yerres, z tornistrami na plecach, kiedy zdążamy do szkoły. Na ulicy Grands-Godeaux odwróciłyśmy się twarzą do obiektywu, ja mam na sobie niesamowity mini-kilt, po wakacjach nasze włosy są prawie białe.

Owe obrazy wraz ze wszystkimi szczegółami (ubiosem, fryzurą, biżuterią) stanowią część mojej osobistej legendy. Jeżeli epoki sprowadzają się do ograniczających je miejsc, Yerres pozostaje dla mnie symbolem tego, co było przed. Przed lękiem. Przed strachem. Przed tym momentem, gdy Lucile odbiło.

Oto co bierze górę z upływem czasu, pamięć dokonała wyboru.

Kilka miesięcy temu skontaktował się ze mną pewien dziennikarz, który mnie wspiera od dawna i którego cenię za delikatność; chciał wiedzieć, czy zgodzę się wziąć udział w przygotowywanej przezeń serii audycji radiowych na temat miejsc pisarzy. Czy mam jakieś miejsce, które mnie prowadzi niczym latarnia morska? Jakiś kurort, dom rodzinny, pisarską chatkę zagubioną pośrodku lasu, klif smagany falami? Od razu pomyślałam o Yerres, na pierwszy rzut oka nie za bardzo odpowiednim dla jego letniej ramówki. Przystał na to. Yerres było dla mnie czymś w rodzaju złotego wieku, ono należy do mnie, zresztą należy wyłącznie do mnie. Nie jestem pewna, czy Lucile albo Manon wspominałyby je w taki sposób.

Spędziłyśmy tam cztery lata, dwa wraz z Tibere'em i kolejne dwa bez niego. Chyba Lucile go rzuciła albo się rozstali. Tibere był dla niej mężczyzną na początek, przejściowym. Zostawił nam swojego syna Julie-na, który mieszkał z nami aż do przeprowadzki.

Z okresu, który nastąpił po wyjeździe Tiberea, zachowałam mniej wyraźne wspomnienia. Ludzie otaczający Lucile już nie są tacy sami, niektórzy zniknęli, nadeszli nowi, jeszcze inni są tu tylko chwilowo.

Właśnie w tamtym okresie Lucile poznała Neba, w którym zakochała się na zabój i który aż do końca życia pozostał jej wielką nieszczęśliwą miłością. Nebo pochodził z Włoch, jego włosy były tak czarne, jakby je ufarbował, oczy zaś zielone jak morska toń. Posiadał urodę i magnetyzm, których nie dało się nie zauważyć. Powiadano, że to kobieciarz, mężczyzna, który nie zagrzewa miejsca, tak go przynajmniej zapamiętałam, z otaczającą go piekielną sławą, która sprawiała, że był niedostępny. Przez kilka miesięcy Nebo spędzał wieczory w naszym salonie z białym parkietem, wpadając co jakiś czas, w towarzystwie przyjaciół lub sam, nie próbując nawiązać z nami żadnego kontaktu. Przysłuchiwałam się rozmowom dorosłych, przewijającym się przez nie nazwiskom, Freuda, Foucaulta, Wilhelma Reicha, usiłowałam zapamiętać skróty, których nie rozumiałam.

Estelle Ramaud przystąpiła do pierwszej komunii i dostała z tej okazji zegarek oraz koronkowe biustonosze. Doznałam mistycznego objawienia i zażądałam, żeby natychmiast pozwolono mi zrobić to samo, na co usłyszałam odpowiedź, że po pierwsze nie chodzę na religię, a po drugie jeszcze nie mam piersi.

Okradziono nas po raz pierwszy, zabierając biżuterię Lucile i adapter.

Lucile postanowiła zaprowadzić trochę porządku w domu i żebyśmy od tej pory sprzątały nasze pokoje.

Lucile podjęła pracę u producenta skórzanych torebek we wszystkich kolorach.

Nebo został u Lucile parę miesięcy, po czym ją rzucił. Pozostawił po sobie bolesne i

zagadkowe piętno oraz pogrążoną w bezbrzeżnym smutku Lucile.

Krąg wokół nas się zacieśnił, zielone materace straciły kolor, farba na parkiecie zaczęła się łuszczyć.

Lucile wychodziła wczesnym rankiem i wracała wieczorem, włóczyliśmy się przy automatach z zabawkami za jednego franka, grałyśmy w kulki na pokrytych różową nawierzchnią alejkach, słuchałyśmy Davea i Ringa na przenośnym adapterze, obcinałyśmy lalkom włosy. Pomiedzy wyjściem ze szkoły a powrotem Lucile był czas, kiedy królowało dzieciństwo, cygański czas, do którego wypełnienia wystarczyła degustacja *roudoudouy* czas, który przeciekał nam przez lepkie od brudu palce i zdawał się w ogóle nie mieć końca.

Bywały wieczory, gdy stojąc w komitecie powitalnym na wiadukcie, w bladym świetle latarni, czekałyśmy na pociąg, który przywoził Lucile z Paryża. Zapewne przez naszą beztroskę zaczynała przebijać świadomość, że przygniata ją coś ciężkiego, coś, co ma związek z samotnością i zmęczeniem, coś, na co nic nie możemy poradzić.

Ostatniego lata, które Julien z nami spędził, Lucile zabrała nas do Isere, gdzie wynajęła dom. Stary peugeot 403 w kolorze zielonego jabłuszka został zatrzymany na autostradzie przez żandarmów. Samochód był za stary albo coś z nim było nie tak, wynikł jakiś problem. Lucile prowadziła negocjacje, przekonywała, sprawa wyglądała na skomplikowaną. Aż tu nagle Lucile się rozplakała, ukrywszy twarz w dłoniach. Żandarmi pozwolili nam odjechać.

W Blandin, w olbrzymim domu zagubionym pośród pól uprawnych, Lucile zaczęła malować. Zabrała ze sobą pudełko z akwarelami, których kolory - sjena, cynober, kobalt - mnie fascynowały. Poznałyśmy Marcela, miejscowego rolnika. Ten na oko trzydziestoletni mężczyzna mieszkał u rodziców i nie miał dzieci. Przygarnął nas na lato, nauczył doić krowy, przez całe dni woził na swym traktorze, odsłonił przed nami ciemności obór. Był naszym bohaterem.

Pod koniec miesiąca wróciliśmy do Yerres, żeby się spakować. Lucile postanowiła opuścić dom, Julien zaś musiał znów zamieszkać z matką. Zostawiłyśmy za sobą brudne ściany, złuszczoną farbę na parkiecie, ogród, w którym kłębiły się dzikie trawy.

Pozegnałyśmy się z panią Ramaud (sąsiadką) i z panią Gilbert (matką mojej przyjaciółki Sandry), przyrzekłszy, że będziemy się odzywać, że będziemy się nawzajem odwiedzać, że nie stracimy się z oczu.

Miejscowe dzieci zachowały o Lucile wspomnienia przepelnione wzruszeniem i podziwem, które później dla nas przywołają. Lucile była młodsza niż inne mamy, nosiła zwiewne sukienki i wysokie obcasy, pracowała w Paryżu i chodziła krokiem tancerki.

Lucile, opowiadając o innych matkach albo się do nich zwracając (nawet jeśli znała ich imiona, a one mówiły jej na „ty”), mówiła „pani Ramaud” czy „pani Gilbert”. W owym „pani” zawierał się pewien rodzaj szacunku, wynikający zapewne z wieku, wydaje mi się jednak, iż przede wszystkim z tego, że te kobiety były zakotwiczonymi w życiu i zdolnymi się w nim utrzymać m ę ż a t k a m i, co jej nigdy nie będzie dane

Dziś rano zadzwonił do mnie Barthelemy, mieszkający obecnie w Marsylii, żeby udzielić paru wyjaśnień, o które poprosiłam e-mailem.

Zapytał, czy posuwam się naprzód, odparłam, że wszystko gra. Miałam ochotę powiedzieć, jak wielką ulgę sprawiło mi wyjście z dzieciństwa Lucile, owego odległego i tajemniczego okresu, którego nigdy w ogóle nie zdołałam ugryźć, który bezustannie mi się wymykał, im bardziej sądziłam, że się doń zbliżam. Nie chciałam go niepokoić.

Od momentu gdy Lucile została matką, czyli od momentu gdy pojawiłam się w jej życiu, porzuciłam wszelkie próby obiektywnej narracji w trzeciej osobie. Zapewne sądziłam, że „ja” może się wtopić w samą opowieść, usiłując ją wziąć na siebie. Rzecz jasna, to ułuda. Co mogłam zobaczyć, mając pół roku, cztery lata, dziesięć lat (a nawet czterdzieści)? Nic. Mimo to nadal snuję opowieść o mojej matce, przeplatam spojrzenie dziecka ze spojrzeniem dorosłej, którą się stałam, czepiam się tego przedsięwzięcia, albo też ono czepia się mnie, nie wiem, które z nas jest bardziej uciążliwe. Chciałabym móc opowiedzieć o Manon, wciągając ją bardziej w moją opowieść, wydaje mi się jednak, że to niemożliwe, istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że ją zdradzę. Pisanie nie daje dostępu donikąd.

Podobnie jak Barthelemy, ludzie mnie pytają, czy piszę, dokąd już doszłam, albo też czy posuwam się naprzód. Wtajemniczeni pozwalają sobie na nieśmiałe pytania, unikają nazywania przedsięwzięcia po imieniu, uprzejmie krążąc ogródkami wokół tematu, pozostawiając niedomówienia.

Opowiadam więc z licznymi szczegółami o udrękach, które przeżywam, o porannych wybiegach, żeby opóźnić chwilę, kiedy trzeba się zabrać do pracy (załadować pralkę, opróżnić zmywarkę, zapelnąć zmywarkę, opróżnić pralkę), o rozmaitych dolegliwościach somatycznych (lumbago, zeszywnienie mięśni, skurcze, kręcz szyi), mających na celu uniemożliwienie mi zajęcia miejsca przed komputerem, o włosach, które rwę z głowy dosłownie i w przenośni, o dwudziestu pięciu papierosach i o tym, że marzę, by je wypalić po kolei na jednym wdechu, o pastylkach miętowo--truskawkowo-karmelowo-sosnowych-z-Wogezów, które ssę z pasją, ponieważ już nie palę, o uczuciu, że biję się w dosłownym tego słowa znaczeniu, że wypruwam sobie żyły na dobre. A propos prucia i szycia: obrąbki, dziury, guziki, które czekały od wielu tygodni, nagle stały się czymś tak pilnym. Trochę dodaję od siebie, wszystko wyolbrzymiam, lepiej się z tego śmiać, nieprawdaż, krótko mówiąc - pozbawiam dramatyzmu. Tylko że tak naprawdę nie jestem pewna, czy potrafię zachować dystans, dobrnąć do końca, czuję się schwyтана w pułapkę własnego postępowania, którego nagłą konieczność wcale nie jest już taka oczywista.

Nic jednak nie może mnie powstrzymać.

Czasami marzę o tym, że powracam do fikcji, zanurzam się w nią, zmyślam, mozolę się, wyobrażam sobie, skłaniam się ku beletrystyce, ku temu, co mniej prawdopodobne, dodaję kilka perypetii, pozwalam sobie na dygresje, idę na skróty, uwalniam się od przeszłości i od jej niemożliwej prawdy.

Czasami marzę o książce, którą napiszę potem, kiedy wyswobodzę się od tej.

Pod koniec lata 1976 roku przeniosłyśmy się bliżej Paryża, do Bagneux, gdzie Lucile znalazła mieszkanie do wynajęcia w małym budynku o białych fasadach. Nie pamiętam powodów tej przeprowadzki, wyobrażam sobie, że Lucile chciała mieć bliżej do pracy i nie mogła dłużej sama opłacać czynszu za dom w Yerres. Prawdą jest, że okradziono nas tam kilkakrotnie i że pod koniec już nic nam nie zostało: ani jedna płyta, ani jedna bransoletka, ani jeden kalkulator.

We wrześniu poszłam do pierwszej klasy gimnazjum położonego na peryferiach miasta, natomiast Manon rozpoczęła naukę w zerówce, w miejscowej szkole podstawowej. W ciągu pierwszych miesięcy odbierałam siostrę po lekcjach, lecz dość szybko zaczęła wracać sama. Manon nawiązała przyjaźnię w bloku i nie omieszkła dać wyraz swojej niezależności (opowiedziała mi później o godzinach, które spędzała na pobliskim terenie niezabudowanym, przeszukując kontenery na śmiecie w nadziei, że wyłowi tam jakiś skarb). Co do mnie, dzięki zaproszeniu na pogawędkę przy słoiku nutelli poznałam Tadrinę, uczennicę z mojej klasy. Tadrina nosiła ubrania dopasowane kolorystycznie, mieszkała w Fontenayaux-Roses, „po drugiej stronie”, w obszernym mieszkaniu pełnym antyków, obrazów i dzieł sztuki. Widziałam w niej przedstawicielkę bogatej i zadowolonej burżuazji, zazdrościłam jej stylu życia, grubej wykładziny w salonie, niezliczonej ilości względów, którymi darzyli ją rodzice. Gdy byłyśmy u niej, spędzałyśmy całe godziny, podrygując w sukniach, które jej matka wkładała na wieczorne wyjścia, albo słuchając pełnego wydania Boby'ego Lapointe'a, którego większość piosenek znałyśmy na pamięć. Wymyślałyśmy gry fabularne, kolekcjonowałyśmy próbki perfum, robiłyśmy świece, które sprzedawałyśmy w jej budynku, żebym mogła sobie pozwolić na najbliższy wspólny wyjazd z nią na narty (operacja polegająca na krążeniu od drzwi do drzwi, co przyniosło nam trzydzieści dziewięć i pół franka). Tad nie miała w sobie nic z zepsutego dziecka, które początkowo zdawałam się w niej dostrzegać, była jedną z moich przyjaciółek z dzieciństwa na zawsze.

Wiezorami czekałam wraz z Manon na powrót Lucile, rysowałam na ścianach mojego pokoju freski w pastelowych kolorach, robiłam z pereł krokodyle, szlifowałam powiedzenia do moich żartów telefonicznych (pomimo kłódki, którą Lucile założyła na tarczę telefonu, a do której zresztą od razu znalazłam klucz, było to jedno z naszych głównych zajęć, moje iTad).

Lucile nie miała trzydziestu lat, wydaje mi się, że w tamtym okresie należała jeszcze do jakiejś grupy, jakiejś bandy, była częścią jakiejś mgławicy o licznych rozgałęzieniach, jednoczącej jej braci i siostry, jej przyjaciół, ich przyjaciół i oscylującej wokół paru najważniejszych miejsc. Violette i Milo wynajmowali wraz z kilkoma osobami mieszkania w Paryżu, Lisbeth została w Essonne, Justine żyła w komunie w dużym domu w Clamart. Byli ze sobą powiązani, przynajmniej właśnie tak dzisiaj sobie ich przedstawiam, powiązanych między sobą i otoczonych innymi; ich imiona - Henri, Remi, Michel, Isabelle, Clementine, Alain, Juliette, Christine, Nuria, Pablo, Severine, Daniele, Marie, Robert, a wraz z nimi zawsze imiona paru chilijskich bądź argentyńskich uchodźców — kojarzą mi się z tamtą epoką. Oni ją tworzą. Dzisiaj, gdy czasem o nich słyszę - gdzie mieszkają, co się z nimi stało - trudno mi ich sobie wyobrazić w wieku, w jakim są obecnie, i nawet w przypadku tych, których miałam okazję znów zobaczyć, obraz pięćdziesięciu lub sześćdziesięciolatek nie

może całkiem przyćmić tego, który zachowałam z dzieciństwa: nakłada się na niego. Te imiona, podobnie jak nazwy miejscowości, w których żyli (Clamart, Eugene-Carriere, Vicq'd'Azir, la Maison des Chats), stanowią część naszej historii, pozostają z nią związane w jakiś niejasny sposób, za to silnie.

W tamtym okresie jeszcze coś krążyło między Lucile a resztą, między Lucile a tymi miejscami, gdzieśmy rozmawiali, śmiali się, pili, lecz gdzie gasły marzenia o innym życiu. Nastął bowiem dla nas czas zawodu. Drogi polityczne jęły się rozchodzić, militarnym zaczął się wyczerpywać, rewolucja słabła albo przeciwnie, nasilała się w owej Francji, gdzie wygoda i konsumpcja z trudem maskowały falę uderzeniową, wywołaną przez dwa kryzysy naftowe. O ile wiem, Lucile nigdy nie była bojowniczką, nie zaangażowała się w żaden ruch polityczny, nie należała do „grup kobiecych”, które rozkwitały w tamtej epoce. Jednakże dla tych, których kochała i z którymi się trzymała, tamte lata były latami rozczarowania.

Wkrótce po przeprowadzce do Bagneux Lucile poznała Nielsa, młodszego od siebie chłopaka, który mieszkał w Clamart razem z Justine i resztą. Niels został kochankiem Lucile. Przychodził wieczorem na kolację, nocował, spędził z nami kilka weekendów. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, których Lucile wpuszczała na swoje terytorium, Niels (pewnie dlatego, że był taki młody), przypadł nam do gustu. Okazywał nam względy w ostrożny, życzliwy sposób, ja chyba byłam mu wdzięczna, że się ani trochę nie narzucał. Odwiedzałyśmy go w Clamart, spacerowaliśmy po lesie, piliśmy w kuchni gorącą czekoladę. Ze wspomnieniami tymi łączy się pewien rodzaj ukojenia.

W czasie owych paru miesięcy spędzonych razem Lucile i Niels obejrzeli film o Edvardzie Munchu, wystawę na temat ekspresjonizmu niemieckiego, pili wino i rozmawiali do późnej nocy. Lucile łączyła z Nielsem głęboka rozpacz i gwałtowne dyskusje dotyczące hipotezy samobójstwa. Dowiedziałyśmy się o tym później. U boku tego chłopaka z obsesją śmierci Lucile odnalazła wszakże jakieś ukojenie. Związek Nielsa i Lucile pasuje do włoskiego przymiotnika *morbido.*, który w przeciwieństwie do tego, co sobie człowiek wyobraża, jeśli nie zna tego języka (tak jest w moim przypadku), nie znaczy *morbide*, czyli *niezdrowy*, lecz *łagodny*. Dzisiaj, próbując zrozumieć więź łączącą Lucile i Nielsa, odnoszę wrażenie, że kryła ona w sobie następującą dwoistość: moja matka odczuwała pewien rodzaj spokoju, ulgi, przebywając tak blisko z kimś, kto przeżywał co najmniej równie bolesną udrętkę jak ona.

W przeddzień weekendu, który mieli wspólnie spędzić, Lucile właśnie czekała na wieści od Nielsa. Nie dał znaku życia. Lucile zadzwoniła do Clamart, gdzie poza Nielsem znajdowała się tylko Justine, ponieważ wszyscy wyjechali na ferie wielkanocne. Nie widziała Nielsa, ale obiecała przekazać mu wiadomość. Lucile telefonowała jeszcze kilka razy, coraz bardziej niespokojna, wreszcie poprosiła siostrę, żeby zajrzała do jego pokoju. Justine, która była w szóstym miesiącu ciąży, w końcu otworzyła drzwi. Zastała Nielsa martwego, leżącego na podłodze, z mózgiem rozsianym po całym pokoju. Wpakował sobie kulkę w usta. Miał dwadzieścia jeden lat.

Lucile poszła na jego pogrzeb. Niels opuścił nasze życie tak samo, jak się w nim pojawił.

Co wieczór po powrocie z pracy Lucile paliła w samotności. Zioło i hasz (sama nie wiem,

kiedy dokładnie słowa te znalazły się w moim słowniku obok innych), które chowała w małym różowym metalowym pudełku.

Manon, która przyglądała się, jak Lucile skręca sobie jointa, i zapytała, co to takiego, usłyszała odpowiedź, że to tajemnica i że nie należy nikomu o tym mówić.

W szkole nauczyciele przestrzegali nas przed niebezpieczeństwem narkotyków. Budynek znajdował się w newralgicznej strefie, temat się powtarzał i to nawet w dyktandzie pani Lerevre, w którym pewien przemytnik został zatrzymany przez siły policyjne. Owe prewencyjne seanse napawały mnie głębokim niepokojem, klóciły się z godzinami, które Lucile spędzała z dala od nas, z dala od wszystkiego. Codziennie wieczorem, zaraz po powrocie do domu Lucile zamykała bowiem za sobą drzwi. Dopóki nie wypaliła w samotności jointa, w czterech ścianach swej sypialni, w ogóle nie dało się z nią porozmawiać, nic jej opowiedzieć.

Bardzo szybko ów rytuał stał się dla mnie nie do zniesienia. To ja budziłam ją rano, to ja martwiłam się o to, czy idzie do pracy, to ja się boczyłam, ponieważ nie potrafiła już z nami rozmawiać. Do tej pory Lucile była moją mamą. Mamą inną niż wszystkie, ładniejszą, bardziej tajemniczą. Teraz uświadomiłam sobie wszakże fizyczny dystans, który mnie od niej dzielił, patrzyłam na nią innymi oczami, oczami szkoły, instytucji, oczami porównującymi ją z pozostałymi matkami, oczami szukającymi łagodności, która zniknęła z jej oczu.

Mój umysł opanowała wkrótce matka idealna. Idealna matka była mieszczańską panią domu, która strzegła nieskazitelności swoich dzieci i tapety, miała zmywarkę, pichciła potrawy w sosie o delikatnych aromatach, przez cały dzień ścierała kurze i wymagała, by od progu mieszkania chodzić na suknach. Idealna matka nie przymulała się co wieczór, szykowała śniadanie przed obudzeniem dzieci, patrzyła z łezką w oku i z ufnym uśmiechem, jak wyruszają do szkoły. Moje bunty nie miały nic wspólnego z buntami rówieśniczek, dążyły do czystego konformizmu. Marzyłam o harmonijnym życiu posiadającym wytyczone granice, regularnym niczym papier milimetrowy, na którym odrabiałam ćwiczenia z geometrii. Z pewnością nie miałam innego sposobu, by wyrazić niejasny i narastający lęk, który zaczął mnie ogarniać. Oddalałam się od Lucile, albo ona oddalała się ode mnie, miałam jej za złe, że nie jest silniejsza, że nie walczy.

Pewnej niedzieli Lucile zabrała nas do teatru, żeby zobaczyć swego brata Miła, który grał lokaja w sztuce Moliera. Następnie poszliśmy mu pogratulować, przyglądałam się jego mocno podkreconym lokom, podobnym do włosów lalek do kolekcjonowania, podskakującym do góry, kiedy mówił.

Innej niedzieli pojechałam z Lucile na pchli targ do Saint-Ouen, gdzie kupiła parę rzeczy do kuchni.

Co drugi weekend jeździliśmy pociągiem do Normandii, gdzie zamieszkał Gabriel. Z początku Lucile woziła nas metrem na Dworzec Montparnasse. Dalej jechałyśmy same. W pociągu zabijałyśmy czas czytaniem albo gramy. Gabriel wychodził po nas w Verneuil-sur-Avre, następnie podwoził samochodem do miasteczka, gdzie mieszkał z nową żoną. Wkraczaliśmy do innego świata, świata, w którym wszystko było poukładane, gdzie na pozór wszystko było bez skazy.

Jako że Lucile i Gabriel nie potrafili rozmawiać ze sobą przez telefon, wszystkie informacje dotyczące wakacji, rozkładu jazdy pociągów, praktycznej organizacji naszych podróży przechodziły przeze mnie: mama mówi, że; tata wołałby, żeby; mama nie zgadza się z. Przy rzadkich okazjach, gdy wymieniali parę słów, Lucile odkładała słuchawkę przed skończeniem rozmowy i wybuchała płaczem.

Pewnego wiosennego dnia dowiedziałyśmy się przez telefon o śmierci Mila. Brat Lucile wpakował sobie kulę w głowę gdzieś w głębokim lesie albo na skraju polany. Treść informacji nie dotarła do mnie od razu. Kiedy przekazałam ją ojcu (śmierć Mila zmuszała do przesunięcia weekendowego wyjazdu), poprosił do telefonu Lucile. Po raz pierwszy Lucile i Gabriel odbyli rozmowę, która wydawała mi się normalna i skończyła się bez ataku hysterii. Podziękowałam w duchu Milowi za ten cud. Kilka dni później wyruszyliśmy do Pierremont, gdzie odprawiono mszę żałobną. Tym razem absolutnie nie mogłam nie zauważyć bólu, który pustoszył moją rodzinę — przenikał powietrze niczym proch strzelniczy.

W ciągu kolejnych tygodni jeszcze bardziej martwiłam się o Lucile. Lęk ten mnie nie opuszczał, czasem nie pozwalał mi oddychać. Nie miałam pojęcia, co on oznacza. Powoli nabierał kształtów: bałam się, że znajdę ją martwą. Oto, o czym myślałam, przekręcając co wieczór klucz w zamku: a jeśli ona też to zrobi? Stało się to moją obsesją. Kiedy wchodziłam do mieszkania, sama bądź w towarzystwie Tadriny, mój wzrok wędrował najpierw ku wykładzinie w salonie (nieboszczycy leżą na podłodze, wyłowiłam to z zasłyszanych rozmów), potem szłam sprawdzić do jej pokoju. Dopiero wtedy mogłam odetchnąć.

Niedługo po śmierci brata Lucile napisała krwistoczerwoną szminką na lustrze w łazience: „Zaraz się załamie”. Manon i ja czesałyśmy się co rano przed tym lustrem, z ową groźbą wytatuowaną na twarzach.

W niektóre wieczory, kiedy Manon i jej przyjaciółki wracały później od nas, zabawiałyśmy się z Tadriną, strasząc je. Było to zajęcie na pełen etat, podobnie jak wyglupy przez telefon, konkursy tańca, lalki Barbie i ich stroje, nasza kolekcja próbek perfum (miałyśmy ich razem czterysta) i towarzysząca jej zabawa w sprzedawczynię w perfumerii. Pewnego wieczoru schowaliśmy się w szafie przy drzwiach, kiedy Manon i Sabinę, sąsiadka z dołu, przekraczały próg mieszkania. Gdy przystąpiły do podwieczorku przekonane, że są same, zaczęłyśmy potwornie skrzypieć i gwizdać. Zbliżyły się przerażone do szafy, a my tym razem dałyśmy koncert makabrycznych i demonicznych śmiechów. Obydwie wrzasnęły jednocześnie i natychmiast zbiegły na dół powiadomić ojca Sabinę, który dopiero co wrócił z pracy. Kiedy wszedł na górę, zastał nas obie oblane szkarłatem, bełkoczące, płaczące się w pełnych poczucia winy wyjaśnieniach.

Później Manon robiła mi wyrzuty z powodu tych przerażających seansów, zajmowanej przeze mnie pozycji i mojej przewagi starszej siostry. Może czułam potrzebę, żeby ona też się bała, żeby wyszła z owego stanu nieświadomości, w którym, jak mi się wydawało, tkwiła, żeby dzieliła mój niepokój. Może byłam o nią zwyczajnie i po prostu zazdrosna, ponieważ łączyła ją z Lucile więź, którą ja już dawno zatraciłam.

Kiedy Lucile nie mogła się zebrać, żeby przygotować posiłek, cieszyłyśmy się „belgijską

kolacją" (gorąca czekolada i chleb z masłem). Później moja przyjaciółka, której wyjaśniłam tę zasadę, powiedziała mi, że u niej była to „szwajcarska kolacja”.

Następnie każda z nas trzech zajmowała się swoimi sprawami. Nie miałyśmy telewizora; Lucile nie chciała tego udogodnienia.

W inne znów wieczory słuchałyśmy ulubionych płyt Lucile: *Bella ciao* (pieśni włoskich partyzantów), Chicka Corei, Archiego Sheppa, Glenna Goulda. Piosenka Jeannette *Porcfue te pas*, pochodząca z filmu *Nakarmić kruki*, który widziałyśmy razem z nią, stała się naszym domowym hymnem. Obrazy Geraldine Chaplin podcinającej sobie żyły jeszcze długo mnie prześladowały. A jeśli moja matka umrze w ten sam sposób, wykrwawiając się w smutku i ciszy?

W wakacje tego roku, gdy skończyłam dwanaście lat, mojemu ojcu i jego żonie urodził się chłopczyk. Wydawało mi się, że Gasparda czeka łatwe życie, że świat obejdzie się z nim łagodniej niż z nami. Lubiliśmy się nim zajmować, zmieniać mu pieluszki, karmić go z butelki, rozśmieszać, później zaś podziwialiśmy jego pierwsze kroki.

Pewnego weekendu opowiedziałam Gabrielowi, że martwię się o Lucile. Wymówiłam te słowa zapewne po raz pierwszy: boję się, że popełni samobójstwo. Poprosił o wyjaśnienia. Opowiedziałam mu o jej samotności, zmęczeniu, o godzinach, które spędza, paląc zamknięta w swoim pokoju.

W pociągu, którym wracałyśmy do domu, myślałam już tylko o jednym: jestem wagą.

Moje relacje z Lucile pogorszyły się jeszcze bardziej w dniu, kiedy oskarżyła mnie o kradzież pudełka, w którym trzymała swoje kostki haszu, i o przekazanie go ojcu, żeby mógł się nim posłużyć jako dowodem. Po kilku dniach Lucile znalazła swoje małe różowe pudełko, które sama schowała, i mnie przeprosiła. Jeszcze później przeczytała mój pamiętnik, w którym pisałam o niej i o moim lęku, po czym przyrzekła, że wszystko się ułoży.

Lucile zdawała sobie sprawę, że obserwuję ją z pozycji swoich dwunastu lat, z wszystkowiedzącą miną, chociaż tak naprawdę nie miałam o niczym pojęcia, z milczącą dezaprobatą. Lucile wiedziała, że ją osądzam.

Pewnego wieczoru, kiedy jedna z naszych ciotek odwoziła nas po kolacji do domu, samochód, który jechał zbyt blisko za nami, uderzył w nasz z głośnym zgrzytem żelastwa. Manon i ja siedziałyśmy na tylnej kanapie. Lucile wypadła na zewnątrz, otworzyła drzwi z tyłu i wrzeszcząc „Moja córka! Moja córka!”, rzuciła się ku Manon. Użycie liczby pojedynczej, nawet w stanie najsilniejszej paniki, odebrałam jako dowód porzucenia. Od dawna już nie miałam z nią żadnego kontaktu fizycznego. Manon siedziała jej na kolanach, Manon ją całowała, przytulała, Manon nie zdawała sobie z niczego sprawy: Manon była jej córką. Ja stałam się wrogiem, byłam po stronie ojca, po stronie burżujów, bogaczy i reakcjonistów, przestałam się liczyć.

Oczywiście dzisiaj, kiedy to piszę i nie mam już żadnych wątpliwości, że Lucile mnie kochała, epizod z samochodem jawi mi się w innym świetle, które podważa mój sposób bycia, i to od dawna, ową chęć pokazania, że jestem taka silna, chociaż jestem taka krucha, aż

w końcu mi wierzą.

Pewnego wieczoru Lucile zabrała mnie do teatru na *Baśnie tysiąca i jednej nocy.*, wystawione przez Jérôme'a Savary'ego i jego Grand Magie Circus. Włożyłam czerwoną bluzkę od mamy, ubrałam się szykownie, o ile pamiętam, pierwszy raz poszłam obejrzeć przedstawienie (nie licząc Guignola w Ogrodzie Luksemburskim). Oczarowana odkryłam bogaty świat, w którym kobiety mają obfite kształty i są potężne. Spektakl został wyreżyserowany z humorem, z przepychem, które urzekły mnie w najwyższym stopniu; niejasno wyczułam, że wyrażają życie w tym, co w nim najbardziej intensywnego, wolnego, wspaniałego. Złote kostiumy i biżuteria skrzyły się w świetle, pragnęłam zapamiętać ten blask, nigdy go nie zapomnieć.

W tym samym okresie zakochał się we mnie na zabój pewien chłopak z gimnazjum, który chodził do klasy technicznej. Miał pewnie z piętnaście albo szesnaście lat, jego słownictwo i sposób mówienia wskazywały na prawdopodobieństwo opóźnienia umysłowego. Czatował przed drzwiami, chodził za mną ulicą, czaił się w przejściach podziemnych i w bramach budynków. Znał mój rozkład zajęć i trasy, po których się poruszałam. Stopniowo mnie zastraszył. Razem z Tad opracowałyśmy wszelkie możliwe strategie, żeby go unikać i uspić jego czujność. Chodziłyśmy okrężną drogą, czasami tkwiłyśmy całymi godzinami w szkole po lekcjach, żeby go zniechęcić. Pewnego wieczoru, gdy zrobiliśmy dla Lucile zakupy w osiedlowym samie, chłopak czekał ukryty w mroku bramy. Kiedy się z nim zrównałyśmy, rzucił się na mnie i usiłował pocałować w usta. Odepchnęłam go, Tadrina złapała wielką puszkę konserw i stanęła między nami, z podniesioną dłonią, w której groźnie trzymała groszek (potem w kółko wracaliśmy do tej sceny).

Chłopak spojrział na mnie i wypowiedział matowym głosem zdanie, które jeszcze dzisiaj zdarza nam się wspominać ze względu na jego komiczny potencjał:

- Nic mi nie rzekniesz?

Czym prędzej wzięłyśmy nogi za pas. Na dłoni, którą zdążyłam przyłożyć do ust, został smak jego wilgotnych warg i lepkiej śliny. Po powrocie do domu wyszorowałam ją szczoteczką do paznokci. Nie mówiłam o tym Lucile. Lucile nie mogła dla mnie nic zrobić. Nic-mi-nie-rzekniesz (bo właśnie tak go z Tad nazywałyśmy od tej pory, nie znając jego prawdziwego imienia) długo jeszcze prześladował mnie w nocy.

Poza francuskim moje stopnie swobodnie spadały coraz niżej. Nie uczyłam się, nie przyswajałam wiedzy, spędzałam czas na czytaniu, leżąc na brzuchu na wykładzinie w moim pokoju. Razem z Tad zaczęłyśmy kraść w miejskich sklepach - a to tabliczkę czekolady, a to paczkę herbatników, a to błyszczyk do ust — każda kradzież stanowiła małe wyzwanie rzucane nam samym, potwierdzające, że wysoko mierzymy.

Miewałam regularne napady migreny, które zmuszały mnie do opuszczania szkoły przed końcem lekcji, chwiejnym krokiem, by wrócić do domu i położyć się w ciemności, z młotem pneumatycznym pod czaszką i wilgotną rękawicą do mycia na powiekach.

W środy jeździłyśmy z Manon metrem i Szybką Koleją Podmiejską do lecznicy dentystycznej Akademii Medycznej przy ulicy Garanciere, w VI Dzielnicy. Spędzałyśmy

długie godziny w rękach stomatologów praktykantów o różnych umiejętnościach. Manon rano, ja po południu. Spotykałyśmy tam jedną ze starszych sióstr Gabriela Berenice, która zabierała nas na obiad do kawiarni, potem na podwieczorek do siebie. Miałam wrażenie, że nic nam tam nie grozi.

Zaraz po powrocie do domu jednak osaczała nas rzeczywistość, z każdym tygodniem coraz bardziej wyraźna: po śmierci Nielsa, a potem Miła Lucile traciła grunt pod nogami, Manon i ja zaś byłyśmy jedynymi świadkami jej tonięcia.

W czasie przeprowadzanych przeze mnie rozmów najmniej wspomnień dotyczących Lucile zebrałam na temat okresu, który spędziłyśmy w Bagnetu. Nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie pracowała, czym się zajmowała, z kim się spotykała ani w jaki sposób przebrnęła przez te lata. Myślę, że Lucile stopniowo odsuwała się od przyjaciół, rodziny, że zniknęła, aby ukryć swoje błąkanie się albo spróbować żyć własnym życiem, tak jak inni.

Na dnie kartonu, włączącego się wraz ze mną po piwnicach, odnalazłam pamiętnik, który zaczęłam prowadzić w wieku dwunastu lat. Jako że obejmuje właśnie ten okres i dziesięć następných lat, jest moim najcenniejszym materiałem.

Na pierwszych stronach niewprawnym piśmem kreślę obraz Lucile, dystansu, jaki powstaje między nami, mojego rosnącego strachu, że wieczorem po powrocie ze szkoły znajdę ją leżącą na podłodze. Lucile pozostaje w zawieszeniu, zaś Manon i ja żyjemy z obsesją, że jakieś wydarzenie bądź drobiazg ją pogrążą.

Wśród tematów mojego kwestionariusza figurował okres zwany samobójczym (wkrótce bowiem Baptiste, kuzyn Lucile, również mieszkający w Clamart, ojciec dziecka Justine, też strzelił sobie w głowę). Poza własnymi wspomnieniami chciałam powrócić do tego, jaki oddźwięk wywołał ów wstrząs: dowiedzieć się, co się mówiło, szeptało, jakie krążyły słuchy wokół tych zabitych - jakie przypuszczenia lub pewniki, w jaki sposób po czymś takim dało się w ogóle żyć.

Skoro ciekawi nas droga, którą przeszła Lucile, to, czym kierowała się w ciągu następnych miesięcy, na dobre odcinając się od rzeczywistości, nie można niczego pominąć.

Legenda głosi, że pewnego wieczoru, gdy cała trójka, Niels, Milo i Baptiste, mając trochę grosza do przepuszczenia, jadła kolację w dobrej restauracji, przyrzekli sobie targnąć się na swoje życie. Legenda mówi o zawartym przez nich pakcie, o którego istnieniu wiedziała Lucile i do którego nawet po cichu się przyłączyła. Jeszcze dzisiaj, w czasie przeprowadzanych przeze mnie rozmów, kilka osób wysunęło taką hipotezę, albo wręcz było przekonanych o istnieniu tego paktu. Co zaś do restauracji, w której miał zostać zawarty, jedni wymieniają Lasserre, inni Pre Catelan.

Justine, której zadałam to pytanie, nie wierzy, żeby ów pakt naprawdę istniał.

Ponieważ doradzono mi to kilkakrotnie, obejrzałam po raz pierwszy *Śmierć trzydziestolatka*. Film Romaina Goupila opowiada o zaangażowaniu politycznym w bardzo młodym wieku, o walce, o rozczarowaniu. Trzeba wziąć pod uwagę epokę i wywierany przez nią wpływ. Dotyczy to całej trójki. W momencie gdy nastąpiły te samobójstwa, wizja przechodzenia do czynów niekiedy przeważała nad wszystkim innym. Później niektórzy

zadawali sobie pytanie o związek pomiędzy owymi rozczarowaniami a nieskończenie bardziej osobistymi słabościami.

Każdy, kto obcował z Nielsem, pamięta, jak bardzo temat samobójstwa był wszechobecny w jego wypowiedziach. Alain, jego kuzyn i jeden z najbliższych przyjaciół, zdradził mi parę zachowanych wspomnień o nim, sposób, w jaki Niels przedstawiał relacje łączące go z Lucile, a także oddał mi kserokopię pamiętnika, który tamten prowadził w zeszycie szkolnym przez dwa tygodnie przed śmiercią. Miałam nadzieję odnaleźć w nim ślad mojej matki, lecz tak się nie stało. Tekst składa się z porwanych, poskreślanych, zduszonych strzępów; wydaje mi się, że nie ma tam już miejsca dla nikogo.

Każdego z rodzeństwa Lucile prosiłam, by mi opowiedział o Milu, który odszedł tak młodo. Jest trzecim nieżyjącym bratem spośród dziewięciorga dzieci.

Nie wiem, czy ból ten należy dodawać, czy mnożyć, ale moim zdaniem to trochę za wiele jak na jedną rodzinę.

Lisbeth odrzekła z typowym dla siebie prowokacyjnym poczuciem humoru:

- Och, wiesz, zaczęliśmy się przyzwyczajać.

Mówi się, że Milo był delikatny, że bardzo się przeciwstawiał ojcu, który go tłamsił, że nigdy tak naprawdę nie znalazł swojego miejsca, że był najsilniej związany z Jeanem-Markiem, dlatego najboleśniej przeżył jego śmierć, że utrzymywał się z pracy dorywczej, wierzył w rewolucję, że sporo pił jak na swój wiek, że doznał bardzo poważnego zawodu miłosnego, że urodził się dwa tygodnie po terminie, że był niezdarą i że wszystko mu leciało z rąk, że jako pierwszy z rodzeństwa zrobił maturę. Natomiast kiedy Georges zapytał uroczystym tonem, co zamierza z nią począć, Milo odparł, trzymając papierosa w ustach rozciągniętych w triumfalnym uśmiechu:

- Wyjechać na długie wakacje.

Podarował Lucile własnoręcznie przepisane słowa piosenki w interpretacji Mouloudji, którą oboje wówczas śpiewali, a my razem z nią, a którą zapamiętałam w całości, aż do ostatniej zwrotki.

Tyle kostek brukowych na świecie

Kostek dużych i małych

Ile smutków zamkniętych na dnie

Mej tulaczey duszy.

To wszystko mnie zabija,

To wszystko mnie zabija

I tu następuje kres mej piosenki.

Pewnego sobotniego poranka Milo wyszedł z domu, kupił w sklepie pistolet (choć nie miał pozwolenia na broń), wsiadł do podmiejskiego pociągu i zapuścił się w las, „gdzieś na wschód”, jak mi powiedziano. Nikt nie pamiętał nazwy tego miejsca (odnalazłam ją w tekście napisanym przez Lucile: to Fort de Chelles), które Milo wybrał prawdopodobnie dlatego, że

nie mówiło ono nic jego rodzinie i nie wiązało się z nim żadne wspomnienie. Kilka godzin później jakiś przechodzień dostrzegł go z daleka, rozciągniętego na ziemi. Myśląc, że jest pijany, nie zatrzymał się. Nazajutrz zastał go w tej samej pozycji. Tym razem podszedł bliżej. Milo miał przy sobie dokumenty, żandarmeria powiadomiła telefonicznie Lianę i Georges'a, którzy następnie uprzedzili swoje dzieci. Z wyjątkiem Violette, która dopiero co wyjechała na wakacje.

Podobnie jak uczyniłam to z pozostałymi, przesłuchałam nagrania trzech rozmów, które przeprowadziłam z Violette u niej w domu, w formacie MP3, aby je przepisać. Mówiąc o samobójstwie Mila - rodzice nie uznają za stosowne ją powiadomić, ponieważ jest na wakacjach w Drôme — Violette przerywa i znika na kilka minut. W czasie jej nieobecności słychać mój głos: „To jest porąbane”. Kiedy Violette wraca do pokoju, daję wyraz zaskoczeniu, że nikt jej nie zawiadomił. Najwyraźniej to jej wcale nie dziwi. Przekonuję: uprzedzić cię, żebyś dzielić z tobą wstrząs, przerażenie, żebyś mogła przeżywać ból wspólnie z innymi. Otrzymała jednak wiadomość dopiero tydzień później, po powrocie. Tymczasem Barthelemy pojechał wraz z ojcem do Zakładu Medycyny Sądowej, aby zidentyfikować ciało, po czym Milo został pochowany w L., obok Antonina i Jeana-Marca. Violette wraca z wakacji akurat na mszę, odprawianą w Pierremont. Po nabożeństwie następuje stypa, na której są obecni członkowie mojej rodziny, przyjaciele, sąsiedzi. Chwila ta zostaje zdominowana przez cierpienie Georges'a, kula skondensowanej, gorzkiej nienawiści, rzuconej wszystkim w twarz.

Słuchając nagrania, uświadamiam sobie, jak bolesne dla Violette jest wspomnienie tamtego dnia, jaką przykrość sprawia jej mówienie o tym. Głos jej się zmienia jeszcze bardziej, kiedy wymienia pamiątki, które ona i pozostałe siostry Lucile znalazły, opróżniając dom w Pierremont. Moja babka Lianę zgromadziła po każdym z synów kilka przedmiotów, przedstawiających wartość sentymentalną. Po Antoninie małą tekturową walizeczkę, szkolny zeszyt, starannie napisaną laurkę na Dzień Matki. Po Jeanie-Marcu zeszyt, medal za pływanie i skautowski krzyżyk z rzeźbionego drewna. Po Milu zapakowane w przezroczystą plastikową torbę, w której prawdopodobnie je jej oddano, pomarańczową kartę miejską, zapalniczkę i agendę, gdzie napisał następujące słowa dokładnie w dniu, gdy przeszedł do czynu...

- Gdzie co napisał?

Tym razem Violette płacze. Słyszę własny stłumiony głos, kiedy proponuję jej chusteczkę, którą ode mnie bierze. Następuje kilka sekund ciszy, podczas których żadna z nas nie jest w stanie wykrztusić słowa, po czym powtarzam pytanie, starając się, by mój głos zabrzmiał stanowczo:

- Gdzie co napisał?

Nie płaczę. Chcę wiedzieć. Jestem sadystką i tyle, żadnym szczegółów wampirem, obracam nóż w żywej ranie i napawam się wilgotnym plaśnięciem wnętrzości, babrzę się z lubością, plask, plask, zanurzam nóż głębiej, właśnie o tym myślę w tamtej chwili i znowu, przesłuchując nagranie.

Violette hałaśliwie wyciera nos, a potem wreszcie kończy zdanie:

- Gdzie napisał: „Wybaczenie mi, proszę, nigdy nie chciałem żyć”.

Następuje kolejna cisza trwająca dwie, trzy minuty, nieskończenie ciężka, po czym

zniecka wybuchamy śmiechem. Złożone w scyzoryk nie możemy przestać, aż brak nam tchu. Pomiędzy dwoma napadami śmiechu mrużę: tortura...

Violette rzy na całe gardło i przyznaje, że niechętnie przyszła (to nasze drugie spotkanie), wcale nie miała ochoty, dosłownie wcale, zadawała sobie wręcz pytanie „po co ja tam idę”, ale potem pomyślała sobie, że tak trzeba. Że to ważne.

Violette pyta, czy zdaję sobie sprawę ze skutków moich działań, bo teraz bracia i siostry Lucile rozmawiają o tym między sobą, opowiadają jedno drugiemu rzeczy, których od dawna się nie opowiada, to, co każde wie na temat martwych i żywych. Następnie Violette rzuca zdanie, które pobudza mnie do uśmiechu:

- Wiesz, to naruszyło układ.

Później, w czasie rozmowy, którą odsłuchuję po raz kolejny, aby wylapać dosłownie każdy oddech, nie uronić nic z prezentu, który mi zrobiła, podobnie jak inni, zgadzając się na wzięcie udziału w grze, Violette mówi, że nie może się doczekać, by przeczytać książkę. Myśli, że wzruszy się, czytając o mojej Lucile. Dodaje:

- Bo mimo wszystko wydaje mi się, że ona wam pozwoliła wejść w życie pełną gębą. Wiesz, są zdjęcia, na których Lucile jest taka łagodna jak nikt z całej rodziny.

Próbuję więc wytłumaczyć, co chciałabym napisać. W chwili gdy przeprowadzam te rozmowy, na kilka tygodni przed przystąpieniem do dzieła, nie mam zielonego pojęcia, co mnie czeka. Bo jest właśnie tak: chciałabym pokazać tumult, ale także łagodność. Głos mi się zmienia, tym razem to ja słabnę.

Wtem mój komputer, który pozostał w stanie czuwania, oznajmia kobiecym i uroczystym głosem (jak mniej więcej trzy razy na dzień):

-AKTUALIZACJA PROGRAMU ANTYWIRUSOWEGO VPS ZOSTAŁA UKOŃCZONA!

Violette spogląda na mnie kpiąco i pyta:

- Jesteś zadowolona?

W Bagneux Lucile podarowuje mi *Czekając na Godota*, ponieważ Manon przeżywa mnie Didi, a ja ją Gogo. Didi i Gogo, właśnie takie imiona noszą obie postaci ze sztuki Samuela Becketta, dwaj włóczędzy, którzy czekają niczym na mesjasza na trzeciego ladaco, który nigdy nie przyjdzie. Miałam dwanaście lat, gdy odkryłam ów tekst, z którego zapewne niewiele zrozumiałam, lecz który natchnął mnie do zadania sobie następującego pytania: na co czekamy Manon i ja, na jakiego posłańca, jakiego wybawcę, jakiego cudownego bohatera, który potrafiłby nas stąd wyciągnąć, przerwać tę chorą spiralę, w którą wpadła Lucile, i przenieść nas z powrotem w dawne czasy, kiedy ból Lucile nie był jeszcze aż tak natrętny, widoczny gołym okiem? Na co czekamy, jeśli nie na to, by nasza matka pogodziła się na nowo z czymś, co jest porządkiem życia? Moim zdaniem mężczyzna, z którym akurat była, nie dawał jej nic; przeciwnie, był to człowiek niepewny, który ciągnął ją w dół.

Robert śmiał się głupkowato, chodził na palcach, aż skrzypiała wykładzina, Robert był épunem i niczego nie dostrzegał, zwłaszcza tego, jak bardzo wszystko się chwieje i że nie ma już nic stałego.

Lucile paliła coraz więcej, a kiedy zabrakło jej papierosów, pochłaniała hasz upieczony

jak ciastko albo całkiem surowy, jakby nie jadła od tygodnia.

Pewnego wieczoru Lucile przywołała mnie kilkakrotnie, leżąc w wannie. Drzwi były otwarte, siedziałam na podłodze w swoim pokoju i obcinałam paznokcie. Poprosiłam, żeby zaczekała. Lucile zawołała znowu, zapytała, co robię. Nagle ujrzałam, jak wychodzi z wanny pokryta pianą i ociekająca. Stanąwszy w progu, omiotła pokój wzrokiem. Lucile myślała, że ja i Robert robimy te rzeczy, napisałam to w pamiętniku, używając właśnie takich słów, nie mogąc złapać tchu z oburzenia. Jak Lucile mogło w ogóle wpaść do głowy, że byłabym w stanie zbliżyć się do tego obleśnego typu, który budził we mnie najwyższy wstręt, na mniej niż półtora metra? Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Lucile może się obawiać o mnie, przeciwnie, jej agresja w stosunku do mojej osoby kazała mi sądzić, że to ja jestem obiektem jej podejrzeń.

Kilka miesięcy wcześniej Lucile rzuciła producenta skórzanych torebek, żeby podjąć pracę sekretarki w agencji consultingowej zajmującej się dystrybucją i promocją sprzedaży. Zżyła się z jedną ze współpracownic, Marie-Line, która powoli została jej przyjaciółką. Marie-Line była mniej więcej w wieku Lucile, miała krótko ścięte włosy, nosiła bluzki z okrągłym kołnierzykiem, granatowe kamizelki z cienkiej wełny, była żoną mężczyzny, który pracował w banku i chodził w garniturze z krawatem, co w tamtych czasach uznawałam za niezaprzeczalny dowód powagi. Marie-Line i jej mąż mieli córeczkę młodszą od Manon. Od czasu do czasu zapraszali nas na kolację do XV Dzielnicy — ich mieszkanie było nowoczesne i doskonale urządzone — albo też Marie-Line wpadała do nas. Dzisiaj powiedziano by o niej, że wyglądała jak spod igły; nie wiem, czy wtedy już istniał ten zwrot. Marie-Line z miejsca stała się w moich oczach ucieleśnieniem matczynego i domowego ideału.

Pewnego wieczoru, zaraz po powrocie ze szkoły, Manon i ja doszłyśmy do wniosku, że samotność białych myszek, które Lucile podarowała nam kilka tygodni wcześniej zamknięte w osobnych klatkach, jest nie do zniesienia. Staranna obserwacja tych ssaków doprowadziła nas do stwierdzenia, że to dwa samce, a zatem ich zetknięcie nie niesie ze sobą żadnego ryzyka. Po paru tygodniach w klatce Jacka, myszy Manon, która według wszelkiego prawdopodobieństwa okazała się samicą, piszczało jakieś dziesięć różowych larw. Mysie dzieci robiły potworny hałas. A Lucile miała zaraz wrócić. Z bólem w sercu i bliskie wymiotów, musiałyśmy je zabić eterem i wyrzucić do śmietnika.

Wiodłyśmy życie małych dziewczynek. Czekaając na powrót Lucile, wymyślałyśmy czarodziejskie eliksiry i desery *gloubi boulga*, zamieniałyśmy się lalkami, piórami, notesami, rysowałyśmy, iskałyśmy się, ciągnęłyśmy za włosy, tańczyłyśmy do muzyki z filmu *Grease*, który widziałyśmy w kinie. Czasem schodziłyśmy do Sabine, sąsiadki z dołu, na telewizję.

Raz w tygodniu Lucile jeździła do panny C. na lekcje gry na pianinie. Po powrocie do domu śledziła jeszcze partytury, niekiedy pracowała przez kilka godzin, powtarzając bez końca ten sam fragment, który jej nie wychodził. Gra na pianinie stała się dla Lucile jedynym możliwym zajęciem. Z trudem z nami rozmawiała, słuchała nas, drażniły ją nasze zabawy, rzadko gotowała, coraz mniej spała. Przed instrumentem jednak siedziała prosto i w

skupieniu. *Gymnopedies* Claudea Satie i walce Chopina pozostaną dla mnie na zawsze z nią związane, tak samo jak Bach kojarzy mi się z ojcem, który grał na fletrowersie.

Przez kilka dni Lucile wracała z pracy jeszcze bledsza i coraz bardziej zmęczona. Nie mogła już zasnąć. Jak mi wyjaśniła, pisała jakiś tekst, coś bardzo ważnego.

Pewnego wieczoru po kolacji Lucile leżała na łóżku w swoim pokoju, ja schowałam się u siebie, gdzie czytałam po raz setny *Ucieczkę Daltonów* albo *Rozbitka z A*. Około dwudziestej drugiej zajrzała do mnie Manon. Lucile źle się czuje, trzeba wezwać Marie-Line, jej przyjaciółkę z pracy, sama kazała tak zrobić, zadzwonić do Marie-Line i prosić, żeby natychmiast przyszła. Nie zbliżyłam się do Lucile. Przerazała mnie myśl, że może umrzeć tutaj, na naszych oczach. Wykręciłam numer Marie-Line, która próbowała mnie uspokoić i obiecała, że przyjedzie najszybciej, jak się da. Upłynęło jeszcze kilka minut, zanim odważyłam się wejść do pokoju matki, z którą siedziała Manon.

Czekałyśmy na Marie-Line, która zjawiała się po półgodzinie w towarzystwie męża. Lucile sporo wypaliła, lecz nie zażyła tabletek nasennych, w każdym razie nie w ilości, która mogłaby jej zagrozić. Rozmawiała z Marie-Line, która została do późna i odesłała nas do łóżek. Nazajutrz, gdy poszliśmy do szkoły, Lucile jeszcze spała. Wróciwszy wieczorem, pełna lęku, zastałam ją w pokoju, w tej samej pozycji, nie była w pracy. Lucile po raz pierwszy wspomniała o tekście, który ukończyła poprzedniego dnia, który niedługo da nam do przeczytania, o tekście, którego koniec wymykał jej się przez wiele dni, o który uderzała niczym o balustradę, ale który w końcu udało jej się przelać na papier.

Lucile o mały włos uniknęła szaleństwa i samobójstwa. To były jej słowa i właśnie tak zanotowałam je dokładnie w moim pamiętniku. Pisanie pozwoliło wypłynąć na wierzch wspomnieniu, które zepchnęła głęboko, bardzo głęboko, tam, gdzie — jak sądziła -nigdy nie zdoła jej dopaść. Lucile opowiedziała mi o wstydzie, o piętnie wstydu. Teraz poczuje się lepiej. Przyrzekła palić mniej.

Lucile podniosła się zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni, wróciła do pracy.

Kilka dni później zrobiła kserokopie swojego tekstu, dała nam je do przeczytania, wysłała rodzicom oraz wszystkim braciom i siostram.

Tekst Lucile nosi tytuł *Poszukiwania estetyczne*. Znalazłyśmy go wraz z innymi; był przepisany na maszynie i skopiowany w kilku egzemplarzach. Na kolejnych stronach Lucile wspomina o pragnieniu, by umrzeć, o czyhającym na nią szaleństwie, o jaskrawych rysunkach, które dla niej robimy, o prezentach od nas na Dzień Matki, których staranność ją wzrusza. Opisuje tam chorobę, która bezustannie narasta i której pozwala nad sobą zawiądnąć, aż do paroksyzmu:

Lubię się czuć tak źle, tak bezcieleśnie obok własnego ciała i tak pilnie się wsłuchiwać w jego uderzenia, w jego wyraźna niezdarność, w jego słabość.

11.00 pierwszy joint, pierwsze lęki. Jak mam panować nad własnymi myślami, prasować, rozmawiać z dziećmi, słuchać czegoś innego niż pustka. Moje palce będą drżały na

*klawiaturze. Czy dam radę pracować, zamiast mechanicznie powtarzać, żeby osiągnąć nie-
możliwą doskonałość.*

*Tak mało lubię zasypiać. Pokój działa kojąco. Jestem sztywna, a kiedy o tym myślę, mówię
sobie, że mam rację. Chcę użyć tego ciała, a tym samym sprawić, by żyło. Dlaczego miałabym
je zepsuć, czyżby ktoś mnie zepsuł?*

*Czy oczyszcze z winy ojca, wiedząc, że przy matce nie może mi odmówić spełnienia
żadnej zachcianki. Jak choćby tego złotego naszyjnika, który kazałam sobie ostatnio
podarować.*

*Kupuję mnóstwo papierosów, kochałam mężczyzn, mam gorzko w ustach. Jestem
oczarowana Paryskim spleenem, zupełnie jakbym nigdy wcześniej go nie czytała.*

Mówię Delphine, że od paru dni piszę. Czuję się winna, ona uważa, że jestem dziwna.

*Moje pisanie, o ile potrwa, może być jedynie ogromnym cierpieniem. Nie chcę żyć, kładę się,
żeby umrzeć. Córci milkną.*

Po kilku stronach następują bolesne urywki połączone ze sobą bez wyraźnej spójności, tekst
Lucile zaś kończy się tymi słowami:

Wyjeżdżamy do domu na wsi. jestem razem z ukochanym, jesteście razem z moim ojcem.

Nie jestem czuła, jednak kocham mego przyjaciela.

*W nocy nie śpię, jestem osaczona. Forrest śpi na górze. Idę siku, ojciec na mnie czatował,
podaje mi środek nasenny i zaciąga mnie do swojego łóżka.*

Zgwałcił mnie, kiedy spałam, miałam szesnaście lat, powiedziałam o tym

Pisanie o własnej rodzinie jest absolutnie bez wątplenia najpewniejszym sposobem, żeby się z
nią skłócić. Bracia i siostry Lucile nie mają najmniejszej ochoty przeczytać tego, co właśnie
przepisałam, ani co ewentualnie zamierzam powiedzieć; wyczuwam to w napięciu, jakie
otacza teraz mój projekt; zaś pewność, że ich ranie, dokucza mi bardziej niż cokolwiek
innego. W tej chwili zastanawiają się zapewne, co ja „z tym” zrobię, w jaki sposób się do tego
zabiorę, jak daleko jestem gotowa się posunąć. Od kiedy próbuję się zbliżyć do Lucile, nie
mogę ignorować relacji, jakie łączyły ją z ojcem, albo raczej jakie jego łączyły z nią. Jestem
sobie winna przynajmniej postawienie tego pytania. Otóż pytanie to nie jest bezbolesne.

Strzelam z bliska i zdaję sobie z tego sprawę.

Pewnego dnia, jedząc obiad z moją siostrą, opowiadam jej o przerażeniu, jakie wzbudziła
we mnie lektura bardzo pięknej książki Lionela Duroy *Le Chagriri**. Autor powraca do
swego dzieciństwa i opowiada, w jak radykalny i nieodwołalny sposób odsunęli się odeń
bracia i siostry po ukazaniu się jego drugiej, napisanej piętnaście lat wcześniej książki, w
której już wspominał o rodzicach i rodzeństwie. Jeszcze dzisiaj żadne z nich się do niego nie
odzywa: jest zdrajcą, pariasem.

Czy strach wystarczy, żeby zamilknąć?

* Lionel D uroy, *Le Chagrin*, Julliard, 2010.

Moja siostra, która jest nieco pod wrażeniem, siedząc nad gorącym tostem, zapewnia mnie o swym bezwarunkowym wsparciu. Trzeba iść do końca, mówi, nie pozostawiać niczego w mroku.

Odchodzę w przekonaniu, że w punkcie, w którym się wszyscy znaleźliśmy, jedyną możliwą drogą jest ta, która przez niego przebiega.

Mężczyzna, którego kocham (w końcu uwierzyłam, że on też mnie kocha), martwi się, widząc, że w miarę jak posuwam się w pisaniu, coraz gorzej sypiam. Usiłuję mu wytłumaczyć, że to normalne zjawisko (niemające nic wspólnego z tym, że się zagubiłam w nowym dla mnie przedsięwzięciu, nic wspólnego z materia, którą przetwarzam, już mi się to przytrafiło przy innych książkach, to czysta fikcja itd.), udaję zucha, odpędzam troski machnięciem ręki.

Czy strach wystarczy, żeby zamilknąć?

* * *

W wieku trzydziestu dwóch lat Lucile pisze, że ojciec ją zgwałcił. Wysła swój tekst rodzicom, braciom i siostram, daje go nam do przeczytania. Przez kilka tygodni myślę, że stanie się coś bardzo poważnego i będzie niesamowicie głośno, jakaś rodzinna implozja, która spowoduje straszliwe spustoszenie. Czekam na dramat.

Nic się jednak nie dzieje. Nadal od czasu do czasu wyjeżdżamy na weekend do Pierremont, nikt nie przepędza mojego dziadka miotłą, nikt nie rozkwasza mu gęby na schodach, sama matka rozmawia ze swoim ojcem i nie pluje mu w twarz. Mam dwanaście lat i logika spraw mi umyka. Jak to możliwe, że taka rewelacja nie pociąga za sobą skutków? W gimnazjum jednym z przedmiotów, jaki mnie interesuje, jest gramatyka. W Pierremont wszakże, z braku spójnika podrzędnego - chociaż, gdyż, ponieważ - nic się nie dzieje, nie ma ani łez, ani krzyków, matka wpada do rodziców, którzy martwią się o nią, bo wygląda na bardzo zmęczoną, schudła, ma ściągniętą twarz, nie śpi, życie jest takie ciężkie dla ich córki, wychowującej samotnie dzieci.

Kilka miesięcy później Lucile wszystko odwołała. Miała wtedy na myśli raczej pragnienie popełnienia stosunku kazirodczego, odrzuciła opis przechodzenia do czynu.

Podobnie jak tysiące rodzin, moja poprzestała na wątpliwościach albo się od nich uwolniła. W ostateczności można się zgodzić na pewną dwuznaczność, na atmosferę sprzyjającą zamieszaniu, ale żeby od razu wyobrazić sobie najgorsze... Lucile ubzdurzyła sobie gwałt i tyle. Dzięki temu dało się oddychać, otóż tak bardzo brakowało powietrza.

Wkrótce mieliśmy otrzymać dowód, że coś z nią nie tak.

Po wielu latach, kiedy Manon i ja byłyśmy dorosłe, w okresie gdy Lucile czuła się dobrze, moja siostra powróciła do tej kwestii. Lucile odrzekła, że tak, to się zdarzyło. I że nikt nie zareagował po lekturze tekstu, który rozesłała.

Tekst nie miał żadnej wartości prawnej, Lucile zaś odpowiedziała jedynie kamienna cisza.

Parę miesięcy temu, gdy poprosiłam rodzeństwo matki, aby mi o niej opowiedzieli, wszyscy zgodzili się ze szczerym entuzjazmem. Złożyć hołd Lucile, spróbować się do niej zbliżyć: tak, oczywiście.

Dla nas wszystkich Lucile - jej łagodność, jej gwałtowność — pozostaje tajemnicą.

Rozumie się samo przez się, że domniemane zgwałcenie Lucile przez mojego dziadka zajmowało poczesne miejsce wśród tematów, które zamierzałam poruszyć. Kiedy jednak przystąpiłam do pracy, nie miałam już żadnej pewności.

* * *

Przesłuchując nagrania rozmów, które przeprowadziłam z każdym z nich, odnoszę wrażenie, że kwestia ta jest obecna już od pierwszych słów. Pytanie wisi w powietrzu, zanim jeszcze zostało zadane. Mimo milczenia po wielu latach tekst Lucile odcisnął swe piętno. Oni wiedzą, że do tego dojdę, odwołają się do tej chwili albo przeciwnie, wyprzedzają ją, jedni przyznają, że Georges „uwielbiał” swoją córkę, wspominają o „fascynacji” lub „namiętności”. Miłość, spojrzenie, owszem, które mogły być przytłaczające, powodować fantazje. Ale czyż wszystkie córki nie kochają się we własnych ojczach? Są ostrożni, ważą każde słowo. Kazirodztwo, nie, na pewno nie: nic z tych rzeczy.

Tylko Justine (która z miejsca porusza ten temat) akceptuje możliwość przejścia do czynu.

Justine jest ostatnią przedstawicielką rodzeństwa, którą przepytalam. Mieszka na wsi, nieczęsto przyjeżdża do Paryża, z trudem zdołaliśmy uzgodnić termin złożenia jej wizyty, w końcu to ona przysłała do mnie. Obawiałam się tej rozmowy bardziej niż innych, ponieważ relacje między Justine a Lucile często obfitowały w konflikty, były napięte do granic możliwości, tak jakby skryzystalizował się między nimi ból, którego nie były w stanie dzielić. Po wysłuchaniu Lisbeth, Barthelem’ego i Violette, po fizycznej niemożliwości, aby wyobrazić sobie, że Lucile mówi prawdę, by w najwyższym stopniu ciekawa świadectwa Justine, która zawsze waliła kawę na łąkę (i na parę lat odsunęła się od Georges’a).

Justine opowiedziała mi o pewnym letnim miesiącu, jaki spędziła sama z Georges’em, mając osiemnaście lub dziewiętnaście lat, w czasach, gdy zabierał on swe dzieci do Pierremont, pojedynczo bądź po kilkoro, aby mu pomogły w różnych pracach. Justine opowiedziała, że bezustannie ją dręczył, aby zdjęła podkoszulek, stanik, rozebrała się, czuła się swobodnie. Chciał jej robić zdjęcia, ułatwić odkrywanie własnej seksualności, nauczyć ją masturbowania się. Justine uciekała, kiedy tylko mogła, żeby pospacerować brzegiem kanału, Georges zamykał drzwi wejściowe na klucz. Przez cały czas się bała. Zrobił jej serię zdjęć, których Justine nigdy nie odnalazła. Georges nie należał do mężczyzn, którym się odmawia.

Zażądałam dokładnych wyjaśnień: jak daleko się posunął? Obmacywał ją, ale nie zgwałcił. Być może bał się, że wygada, bo Justine, w przeciwieństwie do Lucile, głośno mówiła to, co myśli. Justine przeżyła tyranię Georges'a, jego wzrok, kryjącą się w nim groźbę.

Dzisiaj bierze na siebie część nienawiści do tego człowieka, który zmarnował jej młodość i na długo odebrał zdolność do szczęścia. „Do mężczyzny, który mógł się zadowolić byciem cudownym ojcem”.

* * *

Innego dnia, nadal zbierając materiały do książki, spotkałam się z Camille. Camille to najmłodsza siostra Gabriela, była jedną z najlepszych przyjaciółek mojej matki, kiedy obie miały po dwanaście lat. Chciałam, żeby opowiedziała mi o Lucile, o jej pierwszych wzruszeniach, chciałam się dowiedzieć, jaką dziewczyną była Lucile, poznać sposób, w jaki się śmiała, tańczyła, spoglądała w przyszłość. Miałam nadzieję, że Camille pomoże mi odnaleźć tamtą promienną i tryskającą energią Lucile z reportażu w telewizji, pragnęłam lekkomyślnej i beztroskiej Lucile.

Chociaż nawet przez chwilę nie wyobrażałam sobie, co wyjawi mi Camille, nastąpiło to błyskawicznie, ledwie ją poprosiłam, żeby opowiedziała mi o Lucile, o Georges'u, o rodzinie Poirierów. Niedokończone, urwane zdanie, którego sygnał od razu do mnie dotarł. Camille się zawahała: to nie jest tematem mojej książki, już i tak wiele wycierpieliśmy, nie jest pewna, czy powinna o tym wspominać. Nie dałam za wygraną.

Camille nie mówiła o relacjach Lucile z jej ojcem, lecz o tych, które łączyły z nim ją samą. Poznała Georges'a jako szesnastolatka. Zgodnie z planem miał ją zawieźć do Alicante, gdzie Lianę wraz z dziećmi, a także z Gabrielem spędzali wakacje już od kilku dni. Poirierowie zaprosili Camille do Hiszpanii. Jej ojciec zmarł rok wcześniej, matka była stara, pomyśleli więc sobie, że zmiana, wyjazd z młodzieżą, zabawa dobrze jej zrobią. Parę dni później Camille wsiadła do samochodu Georges'a, którego ledwie znała. Po drodze zrobili jeden postój, żeby zabrać kuzyna Lucile, potem następnym, u przyjaciół Georges'a, żeby się trochę przespać. Cała trójka: kuzyn, Camille i Georges, znalazła się w tym samym łóżku, przy czym ten ostatni położył się w środku, nie pytając nikogo o zdanie. W nocy Georges przywarł do niej, zaczął ją pieścić. Skamieniała Camille nie powiedziała ani słowa. W Hiszpanii trzymała się z daleka, po czym dostała ostrego zapalenia wyrostka i natychmiast odesłano ją do Francji.

Przez wiele miesięcy Georges domagał się, żeby Camille doń dzwoniła, żeby spotykała się z nim to tu, to tam. Oszałał na jej punkcie. Wyznaczał jej spotkania, od których się wykręcała, dawał jej hasła, żeby telefonowała do niego do agencji, adresy, pod którymi mogła go zastać. Im bardziej go unikała, tym stawał się groźniejszy. Jeśli nie spełni jego życzenia, opowie jej matce, jak to się do niego kleiła tamtej nocy, jak robiła wszystko, żeby wzbudzić w nim pożądanie, żeby go sprowokować. Camille nie miała pojęcia o seksie i przerażała ją myśl, że rodzina mogłaby usłyszeć takie potworności. Tym bardziej że matka upierała się, by podziękować Lianę i Georgesowi za ich wielką hojność i gościnę i by Camille przyjmowała zaproszenia tego ostatniego, które ciągle odrzucała. Mimo upływu czasu Georges nie popuścił, nigdy nie tracąc okazji, by jej przypomnieć, ile mu jest winna.

Wreszcie dopiął celu. Najpierw był wieczór po kolacji, którą udało mu się wyprosić, potem cały weekend w Pierremont, gdzie zastawił na dziewczynę prawdziwą pułapkę, żeby zostać z nią sam na sam. Zastraszona groźbami Camille ustąpiła. Zachowała pełne wstydu i bólu, długo niewyjawione wspomnienie owych dwóch dni, spędzonych we władzy Georges'a (pod pretekstem, że sąsiedzi nie powinni jej zobaczyć), kiedy to musiała się poddawać jego zabawom erotycznym i wymierzonym przezeń k a r o m. Po wakacjach wyjechała do gimnazjum w Anglii, żeby uciec przed Georges'em i jego wpływem. Przez długie lata miała poczucie winy.

Po powrocie do Francji Camille wyszła za męża, urodziła dzieci, mimo piętna, które Georges odcisnął na jej ciele, i owego poczucia winy, które nigdy jej nie opuściło.

Po rozwodzie Lucile i Gabriela obie przyjaciółki straciły się nawzajem z oczu. Camille także się rozwiodła i kilka lat później ponownie wyszła za męża.

Była na pogrzebie Lucile.

Opowiedziałam Camille o tekście Lucile i o jej nagłym zwrocie. O tym, jak to wszyscy uznaliśmy, że to majaki, które złożyliśmy na karb jej choroby, o wątpliwościach, które nadal we mnie pozostały, nierozwiane żadną odpowiedzią. Camille była wstrząśnięta. Przyznała, że często miała wrażenie, jakby Lucile broniła się przed ojcem, jakby unikała przebywania z nim sam na sam.

Nigdy o tym nie rozmawiały. W czasie pewnego weekendu, kiedy to Camille przyjechała do Pierremont wraz z Lucile i Gabrielem, Georges wszedł do jej pokoju nago, w środku nocy. Słyszając jednak na korytarzu Gabriela, który zapewne widział go, jak wchodzi, przestraszył się. Później, w drodze powrotnej, gdy siedziały w samochodzie tylko we dwie, Lucile wypytywała Camille o swego ojca, o to, co robił u niej w środku nocy, czego chciał. Lucile była spięta, natarczywa, Camille nic nie powiedziała.

Czy gdyby przemówiła, gdyby ze sobą porozmawiały, ich życie byłoby inne?

Po swej wizycie Camille napisała mi, jak wielką ulgę sprawiła jej nasza rozmowa. Po tych wszystkich latach poczuła się mniej winna.

W czasie moich poszukiwań Manon przypomniła mi pewną scenę, o której już wcześniej opowiadała, a którą ja zataiłam. Pewnego dnia, kiedy spędzała wakacje w La Grande-Motte, Georges, nie pamięta już dlaczego, postanowił jej kupić kostium kąpielowy. W epoce, gdy obowiązywał topless, Manon wybrała jednoczęściowy, sportowy, w białym kolorze i podwójnej grubości. Kiedy dziękowała za prezent, Georges podszedł bliżej, pogłaskał ją po ramieniu i oświadczył:

— Jak będziesz bardzo grzeczna, możesz dostać inne prezenty.

Dwuznaczność propozycji Georges'a nie umknęła uwagi szesnastoletniej Manon. Kiedy zwierzyła się dzieciom Lisbeth, jeden z naszych kuzynów nie mógł się powstrzymać i zdradził sekret Lianę. Tamta z kolei ostrzegła Manon lodowatym tonem, jakiego dziewczyna nigdy wcześniej nie słyszała:

- To nieładnie rozpowiadać takie rzeczy o dziadku.

Lucile zachowywała całą swoją pocztę. Po jej śmierci znaleźliśmy w kartonach większość listów otrzymanych od ojca. Manon schowała je u siebie wraz z resztą papierów i zapisków. Kiedy rozpoczęłam pracę nad książką, poprosiłam, żeby mi je dała. Manon uprzedziła, że je przeczytała, że nic tam nie ma, nic szczególnego. Georges pisywał do Lucile od czasu do czasu, przekazując nowiny, nic więcej. Gdy chciałam je ułożyć chronologicznie, uderzyła mnie dziwna rzecz: latem 1978 roku (na kilka miesięcy przed tym, nim Lucile sporządziła swój tekst), Georges napisał do niej osiem listów w ciągu niecałych trzech tygodni. Zgodnie z tradycją w tym okresie Lianę jest właśnie na „lipcowym rajdzie” (coś w rodzaju objazdu kur domowych, poświęconego rodzinie i przyjaciółom), podczas gdy Georges wyrusza samotnie na Południe, gdzie następnie przyłącza się doń na cały sierpień babka. Osiem listów w ciągu trzech tygodni, nawet dwa wysłane tego samego dnia. Zadrzałam na myśl, że znajdę w nich jakąś wskazówkę, jakiś szczegół, który umknął czujności mojej siostry, i przeczytałam je z najwyższą uwagą. Listy te jednak niczego nie wyjawiają. Ze słów Georges'a wynika, że Lucile ma kłopoty w pracy i martwi się o własne zdrowie. Georges radzi, by poszła do hematologa, żeby odpoczęła, nalega, żeby doń przyjechała, czeka z nadzieją, że zdoła się wyrwać na weekend 14 lipca, przypomina, że w razie czego sam zajmie się biletem, następnie, już po 14 lipca, namawia ją na przyjazd w sierpniu.

Dwa miesiące po śmierci Mila, na której temat nie ma żadnej wzmianki, Georges niepokoi się o Lucile. Zapewne boi się o nią, to wszystko.

Tego dnia, kiedy szukałyśmy u Violette w piwnicy pamiątek Georges'a nagranych na kasety, a ja wyraziłam życzenie zabrania tych materiałów do siebie do domu, Violette wpadła w straszny gniew. W drżący, ostry i gorączkowy gniew, mówiąc, że nie, nie chce, mowy nie ma, żeby mi oddała te rzeczy, skoro zamierzam je wykorzystać przeciwko jej ojcu. Zbita z tropu wyjaśniłam, że szukam wyłącznie zawodowych wspomnień Georges'a i paru anegdot na temat ulicy Maubeuge, której obraz chciałabym odmalować, lecz brakuje mi jej atmosfery. Co zresztą było prawdą, dopóki nie spodziewałam się ani przez chwilę natrafić w tym materiale na jakikolwiek ślad dwuznaczności Georges'a w stosunku do Lucile.

Nagrywając swoje pamiętniki, Georges oświadczył pewnego dnia Violette, że jedną kasetę poświęcił własnej seksualności. Ona dała mu jasno do zrozumienia, że tego nie chce. Dwa tygodnie później oznajmił, że ją zniszczył. Tak mi właśnie powiedziała. Violette pozwoliła mi zabrać kasety.

Lucile i Georges nie żyją, już za późno, żeby poznać prawdę. Lucile cierpiała na chorobę afektywną dwubiegunową, a podobno kazirodztwo należy do czynników, które ją wywołują. Nie natknęłam się na badania statystyczne dotyczące tego tematu. Tekst, który Lucile zostawiła wśród swoich rzeczy, opowiada, że Georges podał jej środek nasenny, a potem ją zgwałcił. Wśród zapisków znalezionych u niej w domu (zapisków, których również nie uznała za stosowne wyrzucić, a zatem zachowała je dla nas) natknęłam się na jeden z brudnopisów jej tekstu, zapisany zwykłym ołówkiem zeszyt szkolny. Ukazuje on etapy jego powstawania.

Ostatni obraz - wyjeżdżamy do domu na wieś wraz z moim ukochanym, jesteśmy razem z ojcem. Nie jestem czuła ~~tak bardzo się boje, że ojciec zauważy nasza czułość. Mój przyjaciel Forrest śpi na górze. Idę siku, czatował na mnie, podaje mi tabletkę nasenną i zaciąga do~~

swojego łóżka ~~żebym się rozluźniła, jestem taka nerwowa (zdenerwowana).~~ Nie wiem, czy ~~mnie zgwałcił.~~ Zgwałcił mnie, kiedy spałam, minęło szesnaście lat i o tym mówię.

* * *

Kiedy Manon wróciła po latach do tego tematu, Lucile opowiedziała, że Georges kazał jej usiąść na brzegu łóżka, a potem zaczął ją pieścić. Zemdląca ze strachu. Już nie było mowy o tabletkach nasennej. Zresztą taką mniej więcej wersję podaje na piśmie w 1984 roku, kiedy psychoanalityk, który leczy ją od wielu miesięcy i napotyka mur milczenia, prosi, by prowadziła dziennik:

Sobota 29.12.1984. Dzisiaj ojciec podarował mi okrągły zegarek, żeby zasłonić tatuaż na nadgarstku, który mu się nie podoba. Mnie się podoba mój tatuaż, jest częścią mnie samej. Ojciec nie wie, że to on się przyczynił do jego powstania. Dziesięć po dziesiątej, właśnie o tej godzinie obudziłam się w ich sypialni po spędzeniu z nim nocy, podczas której być może mnie zgwałcił. Nie wiem. Wiem tylko tyle, że bardzo się przestraszyłam i zemdlalam. Wtedy bałam się najbardziej w życiu.

Lucile zachowała do końca życia ów okrągły zegarek, wytatuowany na nadgarstku. Dziesięć po dziesiątej, godzina pobudki, godzina, na której stanęły zegary na wystawach jubilerów.

A jeśli tamtej nocy nic się nie wydarzyło? Jeśli istniał tylko strach, ów ogromny strach, i nieświadomość, która po nim nastąpiła?

Czasami przychodzi mi do głowy inna myśl, która mnie prześladowuje:

A jeśli Lucile, niezdolna, by to powiedzieć lub napisać, natrafiła na jeszcze głębsze tabu, na tabu stanu własnej świadomości? A jeśli Lucile nie zemdląca, mimo że paraliżował ją strach, Georges zaś nadużył swej władzy, wpływu, żeby podporządkować ją własnym żądom, nakłonić do uległości? A jeśli Lucile, podobnie jak Camille, nie potrafiła, nie umiała powiedzieć „nie”?

Następnie wstyd być może oczyścił truciznę i powstrzymał ją przed odzywaniem się, chyba że pod maską. Następnie wstyd być może wydrążył koryto rozpaczki i wstrętu.

Czytam po raz drugi słowa „Clnceste”*, gdzie Christine Angot wyjawiała, w jaki sposób ojciec nadużywał przewagi, którą miał nad nią: „Przykro mi, że mówię wam o tym wszystkim, tak bardzo bym wolała powiedzieć wam o czymś innym. Jestem pewna, to właśnie z tego powodu oszalałam”.

Nigdy się nie dowiemy. Każdy z nas ma własne przekonania, albo też ich nie ma.

Niewykluczone, że akurat to jest najtrudniejsze: nigdy nie móc nienawidzić Georges'a, ale także nigdy nie móc go rozgrzeszyć. Lucile pozostawiła nam w spadku wątpliwość, wątpliwość zaś jest trucizną.

Kilka miesięcy po redakcji tego tekstu i po milczeniu, które wywołało jego rozpowszechnienie, Lucile trafiła do szpitala psychiatrycznego po raz pierwszy. Synchronizacja jest dla pisarstwa tym, czym montaż dla obrazu. Zdania, napisane i zestawione w określony sposób, ukazują moją własną prawdę. Należącą wyłącznie do mnie.

* Christine Angot, *Linceste*, Stock, 1999.

W Bagneux Lucile nie mogła dłużej znieść ciasnej atmosfery naszego domu, brudnej ze starości wykładziny, podwójnych szyb popękanych od góry do dołu, długiej drogi do pracy środkami transportu publicznego. Pod koniec lipca, o godzinie pierwszej po południu obejrzała mieszkanie w IX Dzielnicy, dwa kroki od osiedla, w którym spędziła dzieciństwo. O wiele większe niż inne, proponowane w tej samej cenie, wydało jej się czyste i jasne. Kuchnia i łazienka były przestronne i urządzone. Ponieważ agent nieruchomości ponagłał, podpisała od razu. Lucile zajęła się przeprowadzką, odmalowała nasze pokoje, po czym dojechała do nas na Południe, gdzie spędzałyśmy wakacje wraz z Lianę i Georgesem. Wszystko odbyło się tak, jakby tekst nigdy nie istniał, jakby nic z tego wszystkiego (ponure godziny, oskarżenia) nie miało miejsca. Wróciłyśmy całą trójką pod koniec sierpnia. Lucile wkrótce się przekonała, jak wielki popełniła błąd.

Nasze nowe mieszkanie, położone przy ulicy Faubourg-Montmartre numer 13, znajdowało się dokładnie naprzeciwko nocnego klubu Le Pałace oraz siedziby redakcji dziennika „L'Equipe”. Po tej wąskiej arterii kursowały dwie linie autobusowe i niezliczone autokary turystyczne, których trasa na plac Pigalle albo do Folies-Bergere, o każdej porze dnia i nocy, przebiegała tuż pod naszymi oknami. Była to jedna z najgłośniejszych ulic Paryża, wszędzie, przez cały czas panował tłok. W holu naszego budynku, chcąc się dostać do schodów, trzeba było omijać kolejkę do Studia 43, miejscowego kina, którego repertuar (filmy klasy B, Z lub pornosy, dwa w cenie jednego) nawet dzisiaj pozostaje dla mnie raczej niejasny. Z kuchennego okna obserwowaliśmy monstrualne szczury, które żywiły się z całkowitym spokojem w śmietnikach fast-foodu z naprzeciwka, neony mrugały przez całą noc, nierzadko też w porze zamykania Le Pałace, budziły nas ze snu wrzaski i syreny. Ukryta za zasłonami, wstawałam, by przysłuchiwać się sprzeczkom, popatrzeć na interwencje policji, na ludzi rozchodzących się po awanturach.

Lucile nadal pracowała jako sekretarka w tej samej firmie consultingowej, chętnie drwiła ze swego szefa, marzyła o długich wakacjach spędzonych gdzieś daleko, czasami opowiadała nam biurowe anegdoty.

Pokój Manon łączył się z salonem, w którym Lucile zainstalowała swoje łóżko. Materac spoczywał na drewnianych paletach służących jako stelaż. Manon co wieczór lub prawie co wieczór słyszała, jak Lucile płacze.

Poszłam do pierwszej klasy gimnazjum przy ulicy Miliona, dokąd dojeżdżałam autobusem. Dorastanie z dala od Tadriny i naszego dzieciennego porozumienia jawiło mi się jako prawdziwa droga krzyżowa: nosiłam aparat na zęby, który moi kuzyni nazywali centralą atomową, miałam kręcone włosy, nad którymi nie sposób było zapanować, maleńkie piersi i uda jak u muchy, wrzeszczałam, gdy tylko ktoś się do mnie odezwał, i nie mogłam spać w nocy na samą myśl, że muszę wyrecytować wiersz albo wygłosić referat przed całą klasą. Aby dodać sobie odwagi w tym paryskim otoczeniu, które tak bardzo mnie onieśmielało, wymyśliłam sobie postać smutnej i samotnej dziewczyny, zżeranej przez jakąś tajemniczą tragedię, odrzucając wszelkie zaproszenia, dzięki którym mogłabym zapomnieć o swojej udręce. Manon, która chodziła do trzeciej klasy w pobliskiej szkole podstawowej i przyjaźniła

się głównie z żydówkami, twierdziła, że sama także jest żydówką, wymyślała sobie święta religijne i żarliwe modlitwy. Aby wytłumaczyć, dlaczego jej twarz wygląda tak, a nie inaczej (była szeroka jak u Faye Dunaway), opowiadała każdemu, kto tylko chciał słuchać, jak to pewnego dnia, galopując jak błyskawica na niesfornym koniu, uderzyła w drzewo.

* * *

Manon była wesołym, ufnym, uśmiechniętym dzieckiem. Ja byłem poważną, posępną nastolatką-mózgowcem. Większość czasu spędzałyśmy na kradzieżach w sklepach - dzielnica oferowała nam mnóstwo możliwości. *Pierniczki*, butik z zabawkami i miniaturowymi w pasażu Jouffroy, gdzie wpadałyśmy na gościnne występy kilka razy w tygodniu i skąd wychodziłyśmy z pełnymi kieszeniami, a także Monoprix, gdzie nie istniały jeszcze systemy zapobiegania kradzieżom, stały się naszymi ulubionymi miejscami. Aby usprawiedliwić przed Lucile tę nagłą obfitość przedmiotów, opowiadałam coraz to nowe kłamstwa: o wymianie wybrakowanego towaru, o pieniądzech znalezionych cudownie na ulicy, o zbyt pulchnych koleżankach, które oddawały mi swoje ubrania, o rozczulonych matkach robiących mi prezenty - reszta była schowana w naszych szufladach.

Pewnego dnia jakaś sprzedawczyni nakryła Manon i rąbnęła jej kazanie - ledwie uniknęłyśmy katastrofy.

Lucile nie znosiła bezustannego hałasu ulicy, myszy, które panoszyły się po kuchni, ledwie człowiek odwrócił się plecami, szczurów wielkich jak króliki, szperających po śmietnikach.

Lucile zamykała się w coraz bardziej nieprzeniknionym świetle, w którym kłęby dymu niekiedy zastępował prosek.

* * *

Virginia chodziła do mojej klasy i mieszkała dokładnie naprzeciwko nas, na szóstym piętrze budynku „L'Equipe”. Nie interesowały jej ani moje, ani własne problemy, ani problemy w ogóle. Virginia mieszkała na dziesięciu metrach kwadratowych razem z matką, która była sprzątaczką, rajcowało ją ciągnięcie mnie po imprezach i kinach, codziennie rano gwizdała przenikliwie pod moim oknem, dając mi znak, że idziemy. Jej energia wkrótce sprawiła, że weszłam w nie swoje buty. Dzięki niej wstąpiłam do bandy, która cieszyła się największym poważaniem w szkole. Odkryłam The Specials, Madness, Police i The Selecter, opuszczałam lekcje, które uważałam za nudne, woląc od nich gorące dyskusje w kawiarniach albo wyprawy do Galeries Lafayette. Wkraczałam na całego do nowego świata, świata, który żył, tętnił, wibrował.

4 stycznia 1980 roku Barbara, siostra mojej babki, i jej mąż Claude, ówczesny dyrektor do spraw informacji we „France-Soir”, zostali zaproszeni na plan programu „Apostrophes” z powodu książki, którą wspólnie napisali, a która nosiła tytuł *Dewc et la folie {Dwoje i szaleństwo}*. Książka ta stanowiła opowieść na dwa głosy o chorobie Barbary, charakteryzującej się na przemian okresami pobudzenia, a nawet obłądu i okresami głębokiej depresji.

Zapewne była to również data końca ferii świątecznych, jako że cała rodzina skupiła się w nabożnym milczeniu w niesamowitej sali telewizyjnej w Pierremont, poświęconej w całości kultowi małego ekranu (który był ogromny i królował na drewnianym meblu, specjalnie dla niego zaprojektowanym). Jedni rozsiedli się w szerokich fotelach obitych delikatnym futrem, inni na podłodze pokrytej niebieską wykładziną. Wszyscy wstrzymali oddech. Emisja ledwie się zaczęła, a już rozległy się pierwsze wypowiedziane szeptem komentarze, ale dlaczego ona się tak ubrała, kto będzie pierwszy, ależ skąd, jej kostium jest doskonały. Przez pokój przebiegły pierwsze pełne oburzenia „ćśśś”. A potem proszę, uwaga, tak, Barbara i Claude pokazali się na początku, czy to nie sztywne, wspaniałe, oszałamiające, no przecież uciszcie się, kto tam tak bez przerwy kaszle?

Kiedy wróciliśmy do Paryża, Lucile zaczęła malować na ścianie salonu, który był także jej sypialnią, burzliwy fresk składający się z arabesk i spiral, ciemnozielony na białym tle. Właśnie tak go zapamiętałam: zygzakowaty i groźny.

Pewnego wieczoru zadzwonił do naszych drzwi Pablo, przyjaciel Justine, trzymający w rękach kosz ostryg, który dopiero co ukradł sprzed piwiarni przy bulwarze Montmartre. Właśnie tamtędy przechodził. Po kilku minutach wrócił, by poprosić o cytrynę, i pocieszył miłym słowem sprzedawcę ostryg, który skarżył się, że go tak okradziono, ledwie odwrócił się tyłem. Pablo otworzył skorupiaki i przystąpiliśmy do uczy.

W ciągu następnych dni odniosłam wrażenie, że Lucile jest coraz bardziej pobudzona.

Innego znów wieczoru podała nam na kolację mrożone truskawki, ledwie wyjęte z pudełka, lecz nie dało się ich jeść.

Przez kilka dni Lucile kupowała wyłącznie słodką żywność (uściśliłam w moim dzienniku: „która superdrogo kosztuje”).

29 stycznia Lucile zwołała nadzwyczajne zebranie, którego porządek wkrótce wyszedł na jaw i na które wezwała Manon oraz mnie. Lucile chciała nam zakomunikować, że jest telepatką. Może zatem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje, nawet na dużą odległość, i kontrolować większość przedmiotów. Kiedy wypowiadała te słowa, w kuchni rozległ się pisk myszy. Lucile dodała, że potrafi też je przepędzić, po czym natychmiast się poprawiła: „Ach nie, kretynka ze mnie, przecież to nie są przedmioty” (zdanie zacytowane przeze mnie w całości w dzienniku). Gdziekolwiek jesteśmy, widzi nas w lustrach, chroniąc w ten sposób na odległość. My także mamy moce. Manon jest czarownicą, wszystko słyszy i dzięki słuchowi potrafi rozszyfrować wrogi świat, który ją otacza. Lucile wyjaśniła, że trzeba ją zabrać do laryngologa, aby polepszyć zdolności słuchowe. Co do mnie, jestem wyrocznią delficką, przepowiadającą przyszłość i moje przepowiednie się sprawdzają. Tylko że muszę się pilnować i unikać złych przepowiedni. Lucile przystawiła mi do szyi nożyczki i musnęła ich czubkiem moją skórę. Przestałam oddychać, śledząc drżenie jej dłoni. Usiadła z powrotem, następnie oświadczyła, że napisała list do pewnego słynnego psychoanalityka, lecz z braku znaczków wysłał mu go telepatycznie jeszcze tego samego wieczoru.

Nazajutrz była środa, dzień szkoły dentystycznej. Rano Manon oddała się w ręce studentów, którzy praktykowali na niej klasyczne zabiegi, natomiast popołudnie było poświęcone ortodoncji, która dotyczyła mnie. Kiedy już miałyśmy wracać, Lucile oznajmiła, że nie ma mowy, byśmy pojechały metrem: panuje całkowicie nad siecią Szybkiej Kolei Podmiejskiej. Dała mi pieniądze na taksówkę, bo z kolei kontroluje bez ograniczeń wszystkie paryskie taksówki. Żaden pojazd nie umknie jej czujności. Lucile zapytała z całkowitą powagą, czy wolę, żeby nasz pojazd prowadził mężczyzna czy kobieta. Po kilku sekundach namysłu odparłam w końcu, że wolę kobietę. Nie miałyśmy już z Manon odwagi na siebie spojrzeć, zeszyliśmy więc po schodach w pełnym konsternacji milczeniu.

* * *

Moja matka była dorosła, moja matka dużo czytała i wiedziała mnóstwo rzeczy, moja matka była urocza, jak mogłam sobie wyobrazić, że matka potrafi wygadywać bzdury? Miałam trzynaście lat, posuwałam się niepewnym krokiem ku stojącym w szeregu samochodom, rozdarła pomiędzy szacunkiem dla jej słów a własną obudzoną świadomością, rozdarła pomiędzy pragnieniem, żeby kierowca był mężczyzną, a pragnieniem, żeby kierowca był kobietą. Właśnie działo się coś nieokreślonego, co wymykało się mojej świadomości. Przeszła mi przez głowę myśl, żeby po kryjomu wsiąść do metra i oddać jej pieniądze później (rozbijanie się taksówkami nie należało do naszego stylu życia i wydawało mi się potwornym marnotrawstwem), bałam się jednak, że dzięki swoim zdolnościom odkryje moją zdradę. Manon milczała. Ze ściśniętym żołądkiem ruszyliśmy na postój taksówek.

Na początku szeregu siedział za kierownicą mężczyzna. Wsiadłyśmy do samochodu, powiedziałam, dokąd ma jechać, na ulicę Garanciere, banknot Lucile parzył mi dłonie. Było mi niedobrze.

Tego samego wieczoru Lucile wróciła do domu z podbitym okiem. Wyjaśniła nam, że uderzył ją słynny psychoanalityk Jacques Lacan.

Lisbeth przyjechała z Brunoy zjeść z nami kolację. Rodzeństwo Lucile zaczynało się o nią martwić, mówiła dziwne rzeczy przez telefon, Lisbeth została wysłana na zwiady. Lucille zabrała nas do restauracji z sińcem pod okiem, w stanie silnego pobudzenia. U Chartiera, zgodnie ze zwyczajem, dzieliliśmy stoliki z innymi klientami. W czasie posiłku Lucile dużo mówiła, śmiała się, wybuchała płaczem, machała rękami i przywoływała kelnera pod byle pretekstem. Była przekonana, że ten ostatni celowo każe nam czekać, że coś do nas ma, żywi urazę osobiście do niej, już to wcześniej zauważyła.

Patrzyłam na Lisbeth, czekałam, aż coś powie, wcale się nie przejmujcie, to, co się teraz dzieje, jest zupełnie normalne, nie ma żadnego powodu, żeby wpadać w panikę czy choćby się bać, wasza mama znów będzie taka jak dawniej, wystarczy jedna dobrze przespana noc i nie będzie po tym śladu, ale Lisbeth wyglądała na tak samo zbitą z tropu jak my. Po kolacji my weszłyśmy do mieszkania, Lisbeth wróciła do siebie. Gdy już miałam zgasić światło, Lucile oświadczyła, że zaraz nazajutrz kupi mi różowe spodnie z cienkiego sztruku, o które ją prosiłam bez powodzenia.

Wkrótce miałyśmy odkryć, że od paru dni Lucile wydawała pieniądze, których nie posiadała,

kupowała, nie licząc.

Później, w nocy Manon znów usłyszała, jak płacze w łóżku.

Nazajutrz Lucile zdecydowała, że nie idzie do pracy (poprzedniego dnia też nie poszła). Tym samym uznała, że zasługujemy na to, by pospać dłużej. Położyłyśmy się późno, zwolniła nas więc z chodzenia do szkoły na czas nieokreślony, lecz ze sposobu, w jaki to oznajmiła, można było wnioskować, że okres ten ma wszelkie szanse się przedłużyć. Poza tym Lucile wyczuwała na odległość, i to od kilku dni, że pan Rigon, dyrektor mojego gimnazjum, jest bardzo zdenerwowany. Lepiej unikać wszelkich z nim kontaktów. Wcale nie miałam ochoty z nią zostać, zaczynałam podejrzewać, że jej odbiło, uparłam się, żeby iść do szkoły, i próbowałam przekonać Manon, żeby zrobiła to samo. Manon odmówiła, wołała zostać z Lucile, wyczuwając jej wzburzenie.

W drodze autobusem do gimnazjum usiłowałam dokonać oceny sytuacji. Czy są powody do niepokoju? Nawet po przeanalizowaniu wydarzeń poprzedniego dnia i tych wcześniejszych nie potrafiłam uznać, że Lucile wpada w obłąd na dobre, a tym bardziej że może się stać niebezpieczna dla nas albo dla samej siebie. Lucile przeżywała trudny okres, to wszystko. Po przybyciu do szkoły spotkałam Virginię i Jeana-Michela, kolegę z klasy; oboje postanowili uciec z lekcji WF i pójść do Galeries Lafayette. Negocjowałam z nimi przez chwilę, przyjechałam aż tutaj autobusem, wahałam się przed powrotem, w końcu zgodziłam się im towarzyszyć. Z powodu, którego już nie pamiętam, wpadliśmy do domu Virginii. Ledwie znalazłam się u niej, podeszłam do okna. Z góry, z szóstego piętra, widać było, co się u nas dzieje. Zobaczyłam Lucile stojącą w salonie, była naga, ciało miała pomalowane na białą. Zatkło mnie. Zastygłam w bezruchu, nie mogąc oderwać wzroku od tej sceny, a jednocześnie jakby nie dowierzając własnym oczom. Poszukałam Manon, która wymykała się z mojego pola widzenia. Odkąd opuściłam mieszkanie, upłynęły blisko dwie godziny, coś było nie tak, zupełnie nie tak, straciłam ochotę na pójście do Galeries Lafayette, chciałam tu zostać i żeby to wszystko się skończyło, żeby wróciło do normy. Patrzyłam jeszcze przez moment na Lucile, oddychając z coraz większym trudem. Nadal stała, z jej niecierpliwych gestów wywnioskowałam, że domaga się, by Manon do niej podeszła. Lucile tupnęła nogą, Manon się nie pojawiła, wyraźnie odmawiając posłuszeństwa. Nagle Lucile chwyciła drewnianą deskę, służącą jako oparcie starego fotela fryzjerskiego, podniosła ją oburącz nad głowę, deska wisiała w powietrzu, gotowa spaść na Manon.

Wyprysnęłam na schody, przebiegłam, nie rozglądając się, przez ulicę, w ciągu kilku sekund znalazłam się w holu naszego budynku, pognałam na górę, przeskakując po dwa stopnie i dopadłam do naszych drzwi bez tchu. Stała przed nimi Violette, dzwoniła dwa lub trzy razy, lecz bez odpowiedzi, wrzasnęłam, ona ją uderzy, ona ją uderzy, rzuciłam się na dzwonek, naciskając z całych sił, jeszcze raz wrzasnęłam, Violette wzięła mnie w ramiona, a wtedy poleciałam do tyłu, Violette podtrzymywała mnie przez parę sekund, nie mogłam oddychać. W panice wreszcie sobie przypomniałam, że przecież mam klucze. Otworzyłam drzwi, runęłyśmy do salonu, Lucile próbowała trzymać Manon za włosy, Violette kazała jej puścić, Manon padła w moje ramiona. Stała teraz wtulona we mnie, płakała, Lucile chciała jej wbić igły do akupunktury w oczy i zdołała włożyć jedną z nich pod prawe oko. Wtem za nami pojawili się mężczyźni w mundurach, ktoś wezwał policję, policja dotarła na miejsce. Powstał

zgiełk nie do zniesienia, Lucile była naga i pomalowana na białą, patrzyła błędnym wzrokiem, cała się trzęsła, Manon była przerażona, dołączyli do nas Virginia i Jean-Michel, ktoś poradził, żebym zaprowadziła siostrę do lekarza, który przyjmuje obok, w bloku numer siedem. Puściłam jej dłoń, a Jean-Michel chwycił ją w ramiona.

Musiałśmy opuścić mieszkanie, musiałśmy zostawić nagą i białą Lucile naprzeciw pół tuzina gliniarzy.

U lekarza czekał na nas policjant.

* * *

Lekarz wyjął odpryski farby tkwiące w obu oczach Manon, oczyścił szramę, którą pozostawiła jej pod prawym okiem igła. Później wyszliśmy z gabinetu i podczas gdy zajmowano się Lucile w naszym mieszkaniu, zabrano nas na bok i wsadzono do policyjnej furgonetki, zaparkowanej przed budynkiem. Od razu zleciał się tłum gapiów. Za szybami ludzie się pchali, tłoczyli, stawali na palcach. Wpijali w nas spojrzenia spragnione krwiaków i broczących ran, miałam ochotę napluć każdemu w twarz.

Kiedy Lucile była ubrana - Violette przygotowała jej kąpiel, wykąpała, aby ją uspokoić i spróbować zmyć pokrywającą całe ciało farbę — zrobiliśmy jej miejsce w furgonetce. Zabrano nas stamtąd, zanim wsiadła, żebyśmy nie musiały się z nią mijać.

Była jedenasta przed południem, ulica tętniła życiem, jakby nic się nie wydarzyło, nic nie ustało, ani dostawy, ani odgłosy klaksonów, ani smród smażenia wydobywający się z budek, ani mruganie neonów. Nic poza naszym życiem.

W tamten zimowy czwartek Violette zgarnęła nas niczym dwie uszkodzone paczki. Miała wtedy dwadzieścia pięć lat.

Po południu wróciliśmy do mieszkania, żeby zabrać parę rzeczy na noc. Wieczorem Violette ugościła nas w swej małej kawalerce, zorganizowała spanie. Opatulone w puchowe śpiwory, z którymi podróżowała po Ameryce Południowej, wreszcie zasnęliśmy.

Obudziliśmy się nazajutrz ścierpięta i zmęczona, uparłam się, żeby iść do szkoły. Wiedziałam, że więcej tam nie wrócę. Każda godzina miała smak ostatniego razu, ostatnia lekcja francuskiego, ostatnia lekcja historii, ostatnie liściki krążące po klasie, ostatnie zwierzenia szeptane na dziedzińcu, gdzie kilka tygodni wcześniej celowo rąbnęłam głową w ścianę, żeby uciec przed klasówką z niemieckiego. (Plan powiódł się tak bardzo, że aż zabrano mnie do szpitala. Potem przez całą noc nie zmrzyłam oka, dręczona poczuciem winy, że naraziłam Lucile na koszt zbędnego prześwietlenia).

Wszystko to nie miało już żadnego znaczenia. Moja matka zwariowała, moja matka dostała „ataku szału”, mojej matce odbiło. Słowo „atak” przywodziło mi na myśl podejrzone skojarzenie z „atakiem śmiechu”, nie widziałam w tym nic śmiesznego, nie rozumiałam tego, co usiłowano nam wyjaśnić: Lucile jest bardzo zmęczona, musi odpocząć, nie chciała skrzywdzić Manon, nie była w normalnym stanie, ona nas kocha całym sercem, ale puściły jej nerwy, wszystko niedługo się ułoży, w końcu zawsze wszystko się układa.

Zgodnie z planem wieczorem pojechałyśmy pociągiem do Normandii, gdzie ojciec nadal

mieszkał wraz z żoną i naszym braciszkiem. Z czołem przyklejonym do szyby spoglądałam na uciekający krajobraz, który znałyśmy niemal na pamięć, zamknęłam oczy, szukając skradzionego czasu, w którym nic z tego wszystkiego się nie wydarzyło.

Ledwie dotarliśmy do celu, trzeba było opowiedzieć to, czegośmy same nie rozumiały, co wymykało się wszelkiej logice, nie dało się uporządkować, nie chciało przejść przez gardło, a przecież miało miejsce.

W poniedziałek poszłam do gimnazjum w LAigle, w departamencie Orne, tymczasem Manon zaznajomiła się bez żadnych wstępów ze szkołą podstawową w tym samym mieście. Wypędzone i ogłuszone. Fason moich dżinsów kowbojek (szerokich u góry i wąskich na dole) nie dotarł jeszcze w te okolice, toteż wszyscy dziwili się na widok tak dziwnego stroju i śmiali się za moimi plecami.

Po kilku dniach macocha kupiła nam trochę ubrań. Minie jeszcze wiele tygodni, zanim będziemy mogli wrócić do mieszkania Lucile i zabrać swoje rzeczy, i wiele miesięcy, zanim będziemy mogły ją znów zobaczyć.

To właśnie tutaj miałyśmy mieszkać przez kilka lat. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, jak bardzo nasze życie przewróciło się do góry nogami.

W pięknym domu Gabriela, na końcu ubitej dróżki, miałyśmy poznać inną postać przemocy, której przez całe lata nie byliśmy w stanie ubrać w słowa.

1 stycznia 1980 roku oznacza dla mnie początkowe zerwanie, jedno z tych, o których pamięć wydaje się nietknięta, zakotwiczona w ciele, jedno z tych, o których wiadomo, że nigdy w pełni nie ulegną zatarciu, nie bardziej niż związany z nimi ból.

Później strach zostanie wchłonięty przez ciało, będzie krążył we krwi, rozpuści się, będzie decydował o jego czynnościach.

Co do Lucile, jestem pewna jednego: będzie jakieś przed i jakieś po.

Opisałam na kilku stronach pierwsze przymusowe zamknięcie Lucile w szpitalu psychiatrycznym, wiem, jak bardzo strony te są ograniczone, jak bardzo to wszystko jest uproszczone, częściowe. Nawet dzisiaj patrzę na tę scenę z daleka, niezdolna ją rozszyfrować, jestem i w sensie dosłownym, i w przenośni - w budynku naprzeciwno.

Aby uzyskać wątpliwie konieczny efekt realizmu, mogłabym zacytować słowo w słowo raport policyjny, który pokazał mi ojciec, sporządzony jeszcze tego samego dnia przez posterunkowego Jeana-Michela R. Przedmiotem raportu jest:

„Doprowadzenie do szpitala Lariboisiere osoby w trakcie ataku nerwowego, maltretującej nieletnią poniżej trzynastu lat (własną córkę)”.
Nie jestem pewna, czy to by mi pozwoliło się zbliżyć.

Podczas serii rozmów poprosiłam Violette i Manon, żeby opowiedziały mi o tamtym dniu. Chciałam skonfrontować własne i ich wspomnienia, odtworzyć dokładnie to, co się wydarzyło. Nasze wspomnienia różnią się w paru szczegółach (czy w dniu, kiedy Lucile twierdziła, że kontroluje taksówki, był obecny mój kuzyn Franek, czy w nocy, gdy zabrano ją

do szpitala, spałyśmy u Violette?), w tych najważniejszych rzeczach są jednak brutalnie zgodne.

Tego styczniowego dnia Lisbeth zadzwoniła do Lucile po moim wyjściu. Uznała, że mówi coraz mniej składnie i zmartwiła się na wieść, że Manon została z nią sama. Lisbeth zawiadomiła Violette, która mieszkała niezbyt daleko, i poprosiła, żeby do nas zajrzała.

W czasie ataku Lucile pokazała się naga i biała w oknie, po czym poleciła Manon opisywać sobie przechodniów. Powoli na chodniku przed domem zebrała się grupka gapiów, których przywidły krzyki, ktoś musiał wezwać policję.

Chciałabym umieć opisać to, co działo się z Lucile, minuta po minucie, uchwycić dokładnie chwilę, w której nastąpiło odchylenie od normy, zbadać to zjawisko pod mikroskopem, poznać jego tajemnicę, chemię.

Przed zabranieniem się do pisania książki, w owym osobliwym i cennym okresie, kiedy człowiek dopiero obmyśla, wyobraża sobie tekst, zanim jeszcze klawiaturę muśnie jakiegokolwiek słowo, jakiegokolwiek muzyka, zamierzałam opowiedzieć o odchyłkach Lucile w trzeciej osobie, podobnie jak to zrobiłam w przypadku pewnych scen z jej dzieciństwa, za pośrednictwem stworzonego, rozpoczętego na nowo zaimka ona, który otworzyłby przede mną pole nieznanego. Na przykład bardzo chętnie opisałabym jej wizytę u Jacques'a Lacana (*pomimo zakazu jego sekretarki pojawiła się w poczekalni, po czym zapytała, czy może wejść*), opowiedziałabym o błakaniu się po mieście, wypełniłabym luki, odtworzyła to, co nigdy nie będzie mogło być odtworzone, ów czas czystego szaleństwa, o którym nawet Lucile nie wiedziała wszystkiego. Nie potrafiłam.

Kilka lat po pierwszym ataku obłądzenia matka napisała tekst o nim, a także o ogromnej pustce, która później nastąpiła. Odnalazłyśmy te strony u Lucile, wśród innych upchanych byle jak: chaotyczne, niezdrowe, miłosne myśli, bardziej lub mniej czytelne urywki nabazgrane ołówkiem, wiersze rymowane lub białe wrzucone między zeszyty, luźne kartki bez dat, bez lat. Wszystko leżało w białej metalowej szafce z przegródkami, którą podarowałam jej bardzo dawno temu.

Tekst ten nie ma tytułu, lecz został przepisany na maszynie, podobnie jak wszystkie inne, w kilku egzemplarzach. Zaczęłam od wstawienia go do mojego własnego tekstu, w całości, jakieś dwadzieścia stron drobnego druku, brutalny opis nabrzmiały poczuciem winy. Myślałam, że nic nie jest w stanie oddać cierpienia Lucii lepiej niż jej własne słowa. Kiedy jednak tekst się tam znalazł, wciśnięty między moje kartki, wydało mi się, że nie pasuje, nie spaja się z moją własną materią, a przynajmniej nie w taki sposób, nie stanowi jedności. Następnie postanowiłam zachować tylko serię urywków, oddzielonych wielokropkiem, wybór godny Readers Digest, który już bardziej się nie wtapia, ale przeciwnie, opiera się, odsłaniając swą czystą, cierpką, obolałą tymczasowość i niestałość jej zasobów leksykalnych.

Później uzmysłowiłam sobie, że muszę wziąć odpowiedzialność za swoje słowa, przemilczenia, wahanie, oddech, dokonywane przeze mnie zwroty, krótko mówiąc za mój własny język. I spróbować posługiwać się w jak najwłaściwszy sposób językiem Lucii, zachować jego najbardziej intensywne, najbardziej osobliwe motywy.

Tekst zaczyna się od następujących słów:

Tamtego roku, w listopadzie, mam trzydzieści trzy lata. Wiek nieco wątpliwy, myślę, chyba że ktoś jest przesądny. Jestem piękną kobietą, tylko mam zepsute zęby, co w pewnym sensie sprawia mi wielką przyjemność, a czasem nawet rozśmiesza. Chciałam, żeby dowiedziano się o utajonej śmierci.

Następnie Lucie opowiada o dniach poprzedzających atak. Płacze w samotności na ulicy, w chińskim sklepie, potem w Galeries Lafayette, kupuje pianino na ulicy Vivienne, jeszcze potem wszelkiego rodzaju przedmioty i ubrania, które do niej nie pasują. Później trafia do Lacana, do którego parę dni wcześniej wysłała list, żąda widzenia się z nim. Kiedy sekretarka oświadcza, że doktor jej nie przyjmie, Lucie domaga się odpoczynku w poczekalni. W chwili gdy psychoanalityk wychodzi z gabinetu zaniepokojony jej obecnością, rzuca się nań i zrywa mu okulary, krzyząc: „Dorwałam go! Dorwałam go!”. Lacan wymierza jej policzek, sekretarce udaje się ją powalić na ziemię, po czym wyrzucają ją za drzwi, nie udzielwszy żadnej pomocy. Opisana w taki sposób przez Lucie scena wyjaśnia podbite oko, z którym wróciła do domu na dzień przed przymusowym zamknięciem w szpitalu psychiatrycznym. Po latach, w okresie gdy zainteresowały mnie seminaria Lacana, zapytałam Lucie, czy ta opowieść jest prawdziwa. Czy wszystko rzeczywiście odbyło się w taki sposób, w jaki to opisała? Zapewniła, że tak. Pod koniec życia Lacan przyjmował pacjentów co dziesięć minut i brał astronomiczne honoraria, wcale się już nie przejmując rakiem, na którego leczenie się nie zgadzał. Nie bardziej niż jakąś kobietą, która wtargnęła do jego gabinetu w czystym ataku obłądu. Oto, co powiedziała mi Lucie. Nigdy nie starałam się potwierdzić tej wersji. Uwierzyłam jej.

Lucie zachowała dokładne wspomnienie o 31 stycznia: o mojej odmowie pozostania w domu, o porannym wyjściu do szkoły, o rogalikach z migdałami, kupionych na śniadanie przez Manon, o tytułach rozdziałów *Mistrza i Małgorzaty*, które jej czyta na głos, o niespodziewanej groźbie, jaką stanowi okładka kieszonkowego wydania książki, o fresku, który maluje od kilku tygodni na ścianie w salonie (wydaje jej się, że przecinające się linie tworzą swastykę) i który musi natychmiast zetrzeć. Prosi Manon, żeby pomogła jej pokryć się białą farbą, traci cierpliwość z powodu jej powolności. Potrząsa nią, bije, żeby się pospieszyła. A potem nadchodzi to najgorsze: szalona myśl, która narzuca się niczym pewnością, że musi zastosować akupunkturę na gałkach ocznych Manon, aby ją wyleczyć (po tym, jak sama wbiła sobie kilka igieł w głowę na oczach mojej przerażonej siostry).

* * *

W policyjnej furgonetce Lucie znów się rozbiera. Siedząc pod brązowym kocem, który na nią siłą narzucono, ma halucynacje, które pamięta: widzi Jeana--Marca, swego brata, wychodzącego z trumny, w niebieskim kombinezonie, który lubił nosić. W szpitalu Lariboisiere uznają, że jest zbyt agresywna, by mogli ją zatrzymać. Przewożą ją więc do zakładu psychiatrycznego w XIII Dzielnicy i w końcu ląduje w szpitalu Maison Blanche, skąd wyjdzie po dwóch tygodniach, nadal w pełni obłądu.

Wspomniałam wcześniej o książce Gerarda Garouste'a i o tym, jak bardzo mnie ona poruszyła. Chciałabym, żeby Lucile żyła dostatecznie długo, by mogła ją przeczytać. Po pierwsze dlatego, że kochała malarstwo, po drugie jestem pewna, że po lekturze tego tekstu poczułaby się mniej samotna. Lucile dużo rysowała, niekiedy malowała, zostawiła po sobie sporą ilość zapisków oraz imponującą kolekcję autoportretów ze wszystkich epok i krajów, figuruje wśród nich także autoportret Garouste'a. Urodziła się w tym samym roku co on i mieszkała naprzeciwko Pałace, którego był dekoratorem wnętrz, zanim spędził tam kilka nocy. W *L'Intranquille* Garouste opisuje ze szczegółami swój pierwszy napad obłądu. On również wszystko pamięta: ucieczkę z domu, w którym spędza wakacje z żoną, jazdę stopem i pociągiem, obrączkę oddaną nieznanemu, dowód osobisty wyrzucony przez okno w taksówce, pieniądze skradzione rodzicom, banknoty o nominale pięciuset franków, które daje dzieciakom na ulicy, spoliczkowanie jakiejś kobiety bez powodu, proboszcza z Bourgl-Reine, z którym chce się widzieć za wszelką cenę, swoje ataki przemocy.

„Niektórych obłądów nie da się zapomnieć - wyznaje — inne tak”.

Lucile także nie zapomniała niczego z tamtego styczniowego dnia 1980 roku, skoro pisze:

Tego dnia moje życie runęło nieodwracalnie. Biorę plewy za ziarno, traktuję ludzi jak idiotów. Nie należę już do rzeczywistości ani do wyobraźni. Spędzę czterdzieści osiem godzin piekłą, zanim trafię do szpitala psychiatrycznego, podczas których będę się przemieszczać, mówić, ruszać się, bezustannie przekraczać granice.

Pamięć rejestruje wszystko, sortowanie zaś odbywa się po czasie, kiedy atak minie.

Nigdy nie ubrałam w słowa 31 stycznia, ani w dzienniku, który wtedy prowadziłam (nie miałam czasu albo odwagi), ani w listach pisanych do przyjaciółek w ciągu kolejnych dni, ani później, w swojej pierwszej powieści. Dzisiaj koniec stycznia stanowi dla mnie coś w rodzaju niebezpiecznego okresu (znalazłam Lucile u niej w domu 30 stycznia). To coś, co wryło mi się w pamięć ciała.

* * *

Opowieść mojej siostry o tym, co przeżyła tamtego poranka sam na sam z Lucile, mną wstrząsnęła. Częściowo wyparłam ją z pamięci, zapewne dlatego, że zawiera szczegóły nie do zniesienia. Manon miała dziewięć i pół roku. Nie udzielono jej żadnej pomocy psychologicznej, tkwiła w samotności tego, czego nie dało się wypowiedzieć. To należy do niej i bez wątpienia jest składnikiem jej osobowości.

Kilka miesięcy temu, pewnego dnia, gdy jechałam taksówką na lotnisko w Roissy, kierowca zaczął mnie wypytywać, dokąd leczę, dlaczego wyruszam w podróż, jaki mam zawód... Rzadko biorę taksówkę (mój wydawca, któremu nieobca jest ta fobia, wiąże ją z Lucile), rzecz polega na tym, że w końcu zawsze ląduję „na tylnych siedzeniach limuzyn”, bo mi niedobrze. Tamtego poranka zmusiłam się wszakże, by odpowiedzieć kierowcy, z początku nieco wymijająco, a ponieważ mnie naciskał, wreszcie wyznałam, że piszę.

- Z czego to się bierze? - zapytał, zupełnie jakby mówił o chorobie, czy wręcz o karze

albo przekleństwie.

W lusterku dostrzegłam jego współczujący wzrok.

Z czego to się bierze?

Na spotkaniach z czytelnikami w bibliotekach, księgarniach, liceach często pytają mnie, dlaczego piszę. Piszę z powodu 31 stycznia 1980 roku.

Tam tkwi źródło pisarstwa, niejasno zdaję sobie z tego sprawę, w owych paru godzinach, które przewróciły nasze życie do góry nogami, w poprzedzających je dniach i w czasie izolacji, który nastąpił potem.

Pamiętam, słyszałam kiedyś, że moja matka cierpiała na tę samą chorobę co Barbara, siostra Lianę, która przez wiele lat, w rozpaczyliwym i stale rozpoznawanym na nowo cyklu oscylowała pomiędzy fazami szalonego pobudzenia a okresami głębokiej apatii. Choroba przeszła z jednej na drugą, to wszystko. Tak jakby to było nic, dziedziczne szaleństwo przekazywane z pokolenia na pokolenie skomplikowanymi zakrętami, fatum, które spada na kobiety w rodzinie i na które nic nie można poradzić. Lianę wzdychała w kuchni ze smutnym spojrzeniem, grzejąc dłonie trzymające filiżankę z herbatą. To było we krwi płynącej w naszych żyłach, trzeba było z tym żyć, być cierpliwym, ponieważ po kilku latach stan Barbary się unormował, skończyły się pielgrzymki po szpitalach, wyszła z tego. Lianę zaś dodawała na koniec:

- Zamknijcie drzwi, moja królewno. Można zmarznąć.

Emisję „Apostrophes” i pierwszy atak Lucile dzieli zaledwie parę tygodni. Nigdy wcześniej nie uświadomiłam sobie tej chronologii, w moich wspomnieniach obydwie wydarzenia nie były aż tak blisko. To nic nie znaczy. Zdołałam ponownie obejrzeć program dzięki archiwom Radia i Telewizji. Uciekł mi z pamięci. Moje wspomnienia zostały w sali telewizyjnej w Pierremont, nasycone podniosłą atmosferą towarzyszącą tej chwili. Wydaje mi się, że Lucile była tam razem z nami, lecz nie mam pewności.

Obejrzałam ze wzruszeniem występ Barbary i Claude'a, których znałam słabo, tak jak się zna ludzi mijanych jedynie na pogrzebach i uroczystościach rodzinnych (krótko mówiąc, pozostali dla mnie osobami całkowicie obcymi). Dzisiaj oboje nie żyją. W studio „Apostrophes” siedzą jedno obok drugiego, jak zrośnięci, on skupia całą uwagę na niej i na odwrót, reszta zdaje się pozostawać na drugim planie. Oboje wspominają lata mordęgi, powtarzające się pobyty w szpitalu psychiatrycznym, ból, jaki jemu sprawiało podpisywanie zgody na zamknięcie jej w zakładzie, listy, które ona pisała z kliniki, żądając rozwodu. Ona jest piękna, niewiarygodnie obecna, bardziej charyzmatyczna od niego. On wielokrotnie bierze ją za rękę, ona się uśmiecha, kiedy on mówi o swych nieco frywolnych reportażach, „niech ten, kto jest bez grzechu, pierwszy rzuci we mnie kamieniem”, dodaje z przekonaniem. Ona śmieje się z wielką godnością.

Nie czytałam ich książki. Zamówiłam ją przez Internet, gdzie można jeszcze ją okazjnie kupić. Rodziny Barbary i mojej babki zawsze łączyły silne więzy. Przypominam, że Lianę i Georges poznali się właśnie dzięki Barbarze. Z kolei Barbara poznała Claude'a, swojego

drugiego męża, dzięki Georges'owi. Różnica wieku między siostrami wynosiła zaledwie trzy lata i obie, podobnie jak ich matka, wychowały imponującą gromadkę rodzeństwa. Choć bardzo się od siebie różniły, wydaje mi się, że obydwie dzieliły (z wyjątkiem okresów choroby, jeśli chodzi o Barbarę) podziemną siłę czerpaną z żywiołów, ową niewyczerpaną energię, ów dar życia. Obydwie wierzyły w miłość i domagały się bezgranicznego oddania, jakiego ich zdaniem żona powinna dać dowód mężowi. Obydwie poślubiły mężczyzn o silnej osobowości, którzy musieli być w centrum uwagi i skupiać na sobie wszystkie spojrzenia. Były pobożne, lecz dalekie od bigoterii (wydaje mi się, że ich koncepcja religii wcale nie wykluczała cielesności), zaś wychowanie, jakie otrzymały, wywarło na nie ogromny wpływ.

W *Deux et la folie* Barbara wspomina śmierć obu ich braci, zmarłych w odstępie roku, gdy mieli zaledwie po dwadzieścia lat: jeden z powodu odniesionej w wojnie w Indochinach rany, źle leczonej, jak się okazało, drugi na zapalenie płuc, którego się nabawił po kąpieli w lodowatej rzece. Za pośrednictwem jednego z tych podstępów, do których ucieka się obłąd, zmarli ci powracają w czasie jej pierwszego ataku, tak jakby była za to odpowiedzialna.

Z rozmów, które przeprowadziłam, przygotowując się do napisania tej książki, dowiedziałam się, że niektóre siostry mojej babki jako małe dziewczynki padły ofiarą nadużyć seksualnych ze strony ich ojca. Na ten temat Barbara milczy.

Nigdy nie interesowałam się tak naprawdę psychogenealogią ani przekazywanymi z pokolenia na pokolenie zjawiskami powtórzeń, które pasjonują część moich przyjaciół. Nie mam pojęcia, w jaki sposób te rzeczy (kazirodztwo, śmiertelność dzieci, samobójstwo, szaleństwa) są przekazywane.

Faktem jest, że przenikają rodziny na wskroś niczym jakieś bezlitosne przekleństwa, pozostawiając ślady, które opierają się upływowi czasu i przeczeniom.

Lucile pozostała w Maison Blanche dwanaście dni. Odwiedziło ją sporo gości, w tym Forrest, niektórzy bracia i siostry oraz przyjaciele z Maison des Chats. Parę dni po przybyciu dowiedziała się o śmierci Baptiste'a, syna Barbary i Claude'a. Strzelił sobie w głowę. Jeżeli pakt został zawarty, Baptiste do niego przystąpił. Był trzeci i ostatni z tak zwanej fali samobójstw.

Lucile opuściła Maison Blanche, chociaż obłąd jeszcze nie minął. Z psychiatrą widziała się zaledwie dwukrotnie, raz przy przyjęciu, drugi raz przy wypisie, dzięki zaś licznym zaaplikowanym w szpitalu zastrzykom nie cierpiała tam. Oszczędziwszy jej przymusowego leczenia, Lisbeth wzięła ją do siebie, lecz Lucile odmówiła terapii. Wkrótce sytuacja stała się nie do zniesienia. Ku ogromnej uciechy dzieci Lisbeth, Lucile okazywała nieposłuszeństwo, robiła głupstwa, mnożyła podstępny i wykręty, żeby uciec. Ledwie siostra odwróciła się plecami, próbowała dopaść do drzwi, biegnąc po wykładzinie na czworakach, wymyślała nieprawdopodobne spotkania, byleby wyjść. Zamknięta na klucz, wypowiadała na głos wszystko, co jej przychodziło do głowy; ów nieprzerwany potok słów zastąpił lata milczenia.

Gabriel wszczął kroki, żeby odzyskać prawo do opieki nad nami.

Lucile, która ledwie opuściła szpital i nada! była całkowicie pogrążona w obłądnie, stanęła przed sędzią po raz pierwszy. Doprowadzona przez przyjaciółkę, ledwie trzymając się na nogach, płakała, śmiała się na całe gardło, robiła różne aluzje i domagała się z całą stanowczością papierosa (choć dostała zalecenie, żeby nie palić). W końcu sędzia poczęstował ją camellem.

Nakazano przeprowadzenie wywiadu środowiskowego.

Niedługo potem, pewnej soboty Lucile zatelefonowała do nas do Normandii. Wołała nas kolejno do telefonu, zadawała po kilka razy te same pytania, znów chciała rozmawiać najpierw z jedną, potem z drugą, pytała o pogodę. Manon poprosiła, aby opowiedziała, w co się bawi, mnie z kolei kazała powtarzać te same słowa, ciągle była bowiem przekonana, że jestem wyrocznią delficką. Rozmowa trwała ponad godzinę i stanowiła jedyny kontakt, jaki miałyśmy z nią w ciągu wielu miesięcy.

* * *

W końcu Lucile wymknęła się Lisbeth i uciekła do Barcelony, gdzie zamieszkał najlepszy przyjaciel Mila. Pomimo stanu pobudzenia, w którym się znajdowała, Henri i Niiria przyjęli ją z najwyższą uprzejmością. Pokazywali jej miasto, towarzyszyli w wyprawach. Lucile chciała wszystko zobaczyć, wszystko zrobić, wszystko kupić. W parę dni zgromadziła niezliczoną ilość przedmiotów (wieczne pióro z palmą, pomalowaną gipsową figurkę Jezusa, kolekcję kaktusików).

W tym czasie Barthelemy, który pracował dla dodatku do „Liberation”, opublikował w nim tekst, napisany przez Baptiste'a na kilka dni przed targnięciem się na swoje życie.

Lucile wróciła do Paryża, wznowiła swe wędrówki, rozdawała pieniądze na ulicy. Jej otoczenie doszło do wniosku, że powinna ponownie trafić do szpitala. Lisbeth i Michel B., przyjaciel Violette, spędzili z nią cały dzień w nadziei, że zdołają ją zawieźć po dobroci na ostry dyżur do szpitala Saint-Antoine. Lucile żądała, by zatrzymywali się w kawiarniach, tańczyła na stołach, śpiewała stare piosenki Sheili, opóźniając moment zamknięcia. Ledwie trafiła na miejsce, głośno skomentowała urodę lekarza, który ją przyjął, i zatroszczyła się o jego zdrowie psychiczne, odkrywając, że jest leworęczny (ona też była). W karetce wiozącej ją po raz kolejny do Maison Blanche Lucile znowu śpiewała na całe gardło i kazała kierowcy jechać szybciej (choć zazwyczaj samochód ją przerażał).

Uplłynęło kilka dni, nim Lucile została przewieziona do kliniki Belle-Allee, niedaleko Orleanu, gdzie spędziła trzy lub cztery miesiące. Zastosowano leczenie, Lucile widywała lekarzy wielokrotnie w ciągu dnia, nadal mającyna pod działaniem leków.

W tekście, który później napisała, Lucile wspomina motywy swych fantazji: malarstwo, Filokalia, mitologia (Afrodyta i Apollo), architektura Viollet-le-Duc, Bardzo bogate godzinki księcia de Berry.

(Jeszcze jedno zdanie przeczytane w książce Gerarda Garouste'a, wypowiedziane przez

jego lekarza: „Człowiek ma takie majaki, jaka jest jego kultura”).

Z Belle-Allee Lucile przysłała nam parę listów, w których usiłowała opisać życie w klinice, swoje zajęcia, opiekujących się nią lekarzy. My z kolei słałyśmy jej listy pełne otuchy, w których wspominałyśmy o szkole, o tym, co porabiamy, o nowych kolegach (Lucile zachowała wszystkie nasze listy z dzieciństwa - odnalazłyśmy je u niej po jej śmierci).

Po kilku tygodniach obłęd wreszcie ustąpił. Jego miejsce zajął wstyd, lepki i pełen poczucia winy wstyd, który miał jej nigdy nie opuścić.

Lucile otwierała oczy na swoje zrujnowane życie. Właśnie traciła prawo do opieki nad dziećmi, zdążyła wydać pieniądze, których nie miała, zrobiła i powiedziała wiele głupstw.

To się wydarzyło, tego nie dało się cofnąć.

Po wielu miesiącach, kiedy jej stan wydawał się wreszcie stabilny, Lucile w końcu opuściła klinikę. Powróciła do mieszkania przy ulicy Faubourg-Montmartre i do pracy, dopóki nie wszczęto procedury zwolnienia.

Na krótko przed latem nadszedł czas, byśmy mogły ją zobaczyć. Weekend został zaplanowany z dużym wyprzedzeniem i tak zorganizowany, żeby nie przyjeżdżała po nas sama. Gabriel odstawił nas na dworzec w Verneuil-sur-Avre, płakaliśmy w samochodzie wszyscy troje.

W pociągu, który wiozł nas teraz w przeciwnym kierunku, usiłowałyśmy się przygotować na czekające nas powitanie. Niepokój ciągle narastał, nie byłyśmy w stanie w nic grać, ani w „Zgadnij co to”, ani w „Jaki czasownik mam na myśli?”, ani w „Tak czy nie”.

Dotarliśmy na Dworzec Montparnasse, ruszyliśmy razem do wyjścia, lęk wziął górę nad radością.

Lucile stała na końcu peronu, pośrodku kłębiącego się tłumu, mała jasnowłosa postać opatulona granatowym płaszczem. Lucile stała w towarzystwie Violette i jakiejś przyjaciółki, tuż obok nas, i nagle nie było już innych twarzy tylko jej, blada, wychudzona. Lucile ucałowała nas bez wylewności, żadna z nas nie wiedziała, co zrobić z rękoma, i wcale się za dobrze nie trzymałyśmy na nogach.

Ruszyliśmy do metra. Lucile chwyciła dłoń Ma~ non, szła przede mną, oglądałam się na nią, jakaż się wydawała wątła i delikatna, i złamana. Odwróciła się do mnie, uśmiechnęła.

Lucile stała się małą, kruchą, posklejaną, połataną rzeczą, której tak naprawdę nie dało się naprawić.

Ze wszystkich zachowanych obrazów matki ten sprawia mi bez wątpienia największy ból.

Opieka społeczna przeprowadziła wywiad środowiskowy w ciągu miesięcy, które nastąpiły po wyjściu Lucile z kliniki. Wielokrotnie kazano nam rozmawiać z psychologami i psychiatrami, rozwiązywać testy, odpowiadać na pytania, rysować na czystych kartkach

rodziny i domy, kolorować je flamastrami.

Przesłuchano także Lucile, Gabriela, jego żonę Marie-Anne oraz paru członków rodziny.

Po przeprowadzeniu wywiadu, zgodnie z raportem medyczno-psychiatrycznym, prawo do opieki przyznano Gabrielowi, Lucile zaś zezwolono na częste odwiedziny i długie pobyty.

W tym samym czasie Lucile zwolniono z pracy i zabroniono wystawiać czeki. Miała trzydzieści trzy lata i właśnie straciła prawie wszystko, co trzymało ją przy życiu.

Przez parę miesięcy nadal płaciła za mieszkanie przy ulicy Faubourg-Montmartre, które stało się dla niej za duże, w nadziei, że tam wrócimy. Zarejestrowała się jako bezrobotna, poszła na intensywny kurs angielskiego, pozwoliła się ukołysać dalekiemu echu, które docierało do niej jedynie w okrucinach.

Przez kilka lat Lucile żyła pod chemicznym kloszem.

Miała nieruchomy, zamglony wzrok, jakby przesłonięty lepką błoną. Jej oczy zdradzały zażywane o stałych porach tabletki, krople rozpuszczane w szklance wody, idealnie nieruchomy i niezmienny czas. Był to wzrok, którego nie dało się pochwycić, wbity w podłogę albo trochę wyżej, tuż pod linią horyzontu.

Niekiedy Lucile miała otwarte usta, nie zdając sobie z tego sprawy, ziewała tak szeroko, że o mało nie zwichnęła sobie szczęki. Dłonie jej drżały z powodu leków, noga też. Gdy siedziała, był to rytmiczny, jeszcze bardziej rzucający się w oczy ruch, nad którym nie potrafiła zapanować. Kiedy Lucile szła z rękami zgiętymi na wysokości talii, jej dłonie przypominały dwa trupy. Lucile wyglądała jak wszyscy ludzie, którzy biorą neuroleptyki w dużych dawkach: mają jednakowe spojrzenie, przybierają jednakową postawę, wykonują automatyczne gesty. Są daleko, jakby chronieni przed światem, wydaje się, że nic nie może ich dosięgnąć, ich emocje są stłumione, regulowane, pod kontrolą.

Widok takiej Lucile był nie do zniesienia. Brakowało słów, żeby wyrazić bunt i ból, tylko czasem pojawiała się ochota, aby nią potrząsnąć, zmuszając w ten sposób do czegokolwiek, do śmiechu, do płaczu, do najcichszego krzyku.

Miała się wyzwolić z tego letargu, ale tylko po to, by z powrotem rzucić się w obłąd, kilka lat później. Na razie próbowała przetrwać, wypełnić czas, który stał *się* tak pusty.

Dzwoniła do niej Violette, usiłując ją wyciągnąć z domu, zabrać do kina, gdzie Lucile prawie za każdym razem zasypiała.

W te niedziele, kiedy nas nie było, Lucile spotykała się ze znajomymi na basenie. Tam również, podobnie jak gdzie indziej, trzeba ją było trzymać z dala od wody.

Co drugi tydzień jeździliśmy do niej pociągiem, czekała na nas na Dworcu Montparnasse, razem docierałyśmy metrem do stacji Montmartre, która dzisiaj już zmieniła nazwę, zaś od pokonywania jej niekończących się schodów nie czułyśmy nóg. Z upływem miesięcy łącząca nas niepewna, krucha więź jednak się odradzała.

Lucile chciała słuchać o naszym nowym życiu, opowiadałyśmy więc o braciszku, o szkole, o gimnazjum, o liceum, o kumpelkach, o sąsiadkach, o koniu, o grzechotkach, o psach, o stołówce, lecz tak naprawdę nie mówiłyśmy nic, ani w listach, ani na głos. Nic nie

dało się powiedzieć.

W czasie owych weekendów Lucile zapraszała nasze przyjaciółki z dzieciństwa, dwoiła się i troiła, starała się na swój sposób wszystko nam ułatwić.

Odnajdowałyśmy wspomnienia odległego czasu, włączyłam się z przyjaciółkami po szerokich bulwarach, chodziłam do kina.

Chyba właśnie w tamtym okresie wymyśliłam wraz z kilkoma z nich zabawę w „Mistrza Capello”, parodię programu telewizyjnego, którą nagrywałyśmy na kasetę magnetofonową, co wywoływało pamiętne wybuchy szalonego śmiechu.

Lucile przestała czytać, oglądać wystawy malarstwa, które tak lubiła, kiedy nas nie było, całymi godzinami leżała w łóżku z pustym wzrokiem. Lucile pozostawała pod opieką psychiatry, który przepisywał jej leki, oraz psychoterapeuty, którego odwiedzała dwa razy w tygodniu; podjęli wspólnie długotrwały wysiłek, chociaż podczas seansów nie potrafili się przebić przez jej uparte milczenie. Lucile nie miała nic do powiedzenia.

Miotła się, by pokazać nam jak najmniej zniekształconą, najmniej zmęczoną twarz, miotała się, by pozostać przy życiu. Lucile wstawała z łóżka, ubierała się, malowała dla nas. Dla nas wychodziła w niedzielę w południe kupić ciastka.

Każdy gest drogo ją kosztował, nie mogliśmy nie zdawać sobie z tego sprawy.

Przez parę miesięcy Lucile szukała pracy sekretarki i odpowiedziała swym drżącym pismem na dwa lub trzy ogłoszenia. Należało to sobie jasno powiedzieć: nie była w stanie przejść przez rozmowę kwalifikacyjną.

Gdy zabrakło pieniędzy na utrzymanie mieszkania przy ulicy Faubourg-Montmartre, dzięki poręczeniu bliskich Lucile przeniosła się do małego dwupokojowego lokum w oficynie, położonego przy ulicy Entrepreneurs, w XV Dzielnicy.

Wiosną wyglądało na to, że gorączka wyborów prezydenckich 1981 roku wyrwała Lucile z milczenia. Po raz pierwszy od wielu lat wydała się poruszona czymś, co znajdowało się na zewnątrz niej i poza nami. Po omacku wyraziła życzenie, co było prawdziwą rzadkością, usiłując mi wyjaśnić dlaczego. Z owych kilku rozmów wywnioskowałam, że Francois Mitterrand jest z całą pewnością człowiekiem przyszłości: naszym wybawcą. Francois Mitterrand uosabiał odnowę, nowy początek, tak cenne dla Lucile słowo, jej wspólną nadzieję, namacalny dowód, że ona ciągle należy do nas. Spokojna siła, oto czego nam było trzeba, i żeby mury milczenia i samotności łagodnie runęły.

Właśnie skończyłam piętnaście lat, stawiałam Gabrielowi opór w jedyny możliwy sposób. Chciałam rozmawiać o karze śmierci, chciałam rozmawiać o determinizmie społecznym, chciałam rozmawiać o krajach nierozwiniętych, piętnować ograniczone życie oficjeli z prowincji, pogłasniałam adapter, słuchając płyt, wśród których poczesne miejsce zajmowały piosenki Renauda, powtarzającego: „Społeczeństwo, społeczeństwo, nie dopadniesz mnie”. Koniec marzeń o komforcie i konformizmie, o spokojnym mieszczaństwie, o grubych dywanach i nieskazitelnych wnętrzach, stałam się buntowniczką.

10 maja 1981 roku, w pociągu, którym wracałyśmy z gorączkowego weekendu spędzonego u Lucile (odprowadziłyśmy ją aż do kabiny w lokalu wyborczym), parę minut po dwudziestej

pewien konduktor przeszedł się triumfalnie po wszystkich wagonach, żeby obwieścić zwycięstwo lewicy. Połowa pasażerów biła brawo, druga połowa zaś przyjęła nowinę w pełnym konsternacji milczeniu. Nie było komórek, spijałyśmy słowa z ust posłańca, on wiedział, tak, dopiero co usłyszał przez radio, łączące konduktora pociągu z centralą, to pewne, na mur beton, jakieś 52%. W drodze między Dworcem Wersalskim a Dreux, podczas gdy pociąg przejeżdżał przez wieś, wydało mi się, że jesteśmy uratowane. Francois Mitterrand został prezydentem Republiki.

Wsiadłszy z pociągu, postawiłyśmy stopy na nowej ziemi. W zapadającym zmierzchu pod nogami otwierała się nam świetlista droga, której zwycięstw, meandrów i porażek jeszcze nie znałyśmy. Gabriel wyszedł po nas na dworzec, był spięty, spięty jak zawsze, gdy wracałyśmy z Paryża, spięty, ponieważ Francois Mitterrand właśnie wygrał.

Wieczorem zasnęłam, rozmyślając o matce, wyobrażałam ją sobie na placu Bastylli, chociaż wiedziałam, że nie byłaby w stanie tam dojść, wyobrażałam ją sobie wśród radosnego tłumu, który nieustannie narastał, Lucile tańczyła, jej kwiecista spódnica wirowała, Lucile była szczęśliwa.

Parę miesięcy później słuchałam w kółko piosenki Barbary, poświęconej tamtemu dniowi 1981 roku i nadziei, jaka jeszcze w nim tkwiła.

Spójrz, coś się zmieniło, powietrze wydaje się lżejsze, tego nie da się opisać.

Spójrz, pod rozdartym niebem wszystko zalala słońce, tego nie da się opisać.

Jakiś mężczyzna z różą w dłoni utorował drogę nowemu jutru. ..

Ludzie mają ochotę ze sobą rozmawiać, kochać się, dotykać.

I zacząć wszystko od nowa.

W gruncie rzeczy nie mam pojęcia, jaki jest sens tych poszukiwań, co pozostanie z tych godzin spędzonych na przetrząsaniu kartonów, na przesłuchiowaniu kaset, które zwalniają z powodu starości, na czytaniu po raz kolejny urzędowych dokumentów, raportów policyjnych czy medyczno-psychiatrycznych, tekstów przesiąkniętych bólem, na porównywaniu źródeł, rozmów, fotografii.

Nie mam pojęcia, z czego to się bierze.

Im dalej się jednak posuwam, tym silniejsze mam wewnętrzne przekonanie, że musiałam to zrobić, nie po to, by cokolwiek zrehabilitować, uhonorować, udowodnić, odbudować, wyjawić czy naprawić, tylko żeby się do tego zbliżyć. Zarazem dla siebie samej i dla moich dzieci - na których ciąży mimo wszystko echo lęków i wyrzutów - chciałam wrócić do początku.

I żeby po tych poszukiwaniach pozostał choćby najmniejszy ślad.

Piszę tę książkę, ponieważ mam dzisiaj siłę, aby się zatrzymać nad tym, co mnie przenika, a niekiedy zalewa, ponieważ chcę się dowiedzieć, co przekazuję, ponieważ chcę przestać się bać, że spotka nas coś złego, jakbyśmy żyli pod piętnem klątwy, chcę móc korzystać ze szczęścia, z energii, z radości, nie myśląc o tym, że zniszczy nas coś przerażającego i że w cieniu zawsze będzie na nas czekał ból.

Dzisiaj moje dzieci rosną, i choć mówienie, jak bardzo mnie to zachwyca i porusza, jest okropnie banalne, mówię i piszę o tym, moje dzieci są odrębnymi istotami, których osobowość mnie zadziwia i raduje, dzisiaj kocham mężczyznę, którego droga w dziwny sposób zderzyła się z moją (albo raczej na odwrót), zarazem tak podobnego do mnie i tak różnego, mężczyznę, którego niespodziewana miłość jednocześnie mnie przepelnia, powala i dodaje mi sił, dzisiaj jest dziesiąta czterdzieści cztery, a ja siedzę przed starym PC-tern, którego przeklinam za jego powolność, ale uwielbiam za jego pamięć, dzisiaj wiem, jak bardzo to wszystko jest kruche i że właśnie teraz, wraz z odnalezioną siłą, trzeba pisać i dobrać do końca. Zawsze będzie jeszcze czas na płacz.

Zbliżanie się do Lucile, przy zachowaniu najwyższej ostrożności albo całym pędem, to także zbliżanie się do innych, żyjących, zresztą z zachowaniem ryzyka, że się od niej oddalę. Poprosiłam moją siostrę, podobnie jak pozostałych, żeby mi opowiedziała o Lucile, żeby użyczyła mi własnych wspomnień.

Manon opowiedziała mi o tamtym styczniowym poranku, a następnie o tym, że przez wiele miesięcy nie była w stanie zasnąć w obecności Lucile, o nocach małej dziewczynki dręczonej przez strach, że matka pojawi się w drzwiach jej pokoju i dokończy to, co zaczęła. To mną wstrząsnęło.

Manon opowiedziała mi, ze swojego punktu widzenia, o latach, które potem nastąpiły, o tym, jak stałyśmy się niemymi widzami, niezdolnymi położyć kresu bólowi Lucile.

Manon opowiedziała mi mnóstwo innych rzeczy, z których czerpie ta książka, i mam nadzieję, że im się nie sprzeniewierzę.

Manon kazała mi obiecać, że zniszczę nagranie długiej rozmowy, którą odbyłyśmy (co też uczyniłam), w ciągu kolejnych dni przysłała mi dwa teksty, które napisała: jeden po naszym spotkaniu, drugi tuż po śmierci Lucile.

Ponieważ pochodziły od Manon, która jest taka skryta, były wspaniałym prezentem.

Po okresie, który nastąpił po przymusowym zamknięciu Lucile w szpitalu psychiatrycznym, w gruncie rzeczy pozostało niewiele śladów. Raport policji jest niechlujny i raczej mało dokładny. Oddany mi przez Gabriela raport z wywiadu opieki społecznej, sporządzony dla sądu najwyższej instancji w Paryżu rok po hospitalizacji Lucile, zdaje sprawozdanie z rozmaitych rozmów, które doprowadziły do orzeczenia na korzyść Gabriela. Opisuje w ogólnym zarysie osobowości, tak jak postrzegali je psychiatrzy, konfrontuje ze sobą opinie moich rodziców, którzy domagają się prawa do opieki. Jest tam mowa o obawach Lucile dotyczących skłonności do przemocy jej byłego męża czy atmosfery zamknięcia, w której według niej żyjemy, a także o wątpliwościach Gabriela co do tego, czy jego była żona potrafi zapewnić opiekę, oraz tego, że do tej pory byliśmy pozostawione same sobie. Obydwie uchyliłyśmy się od odpowiedzi na pytanie, z kim wolimy mieszkać: z matką czy z ojcem. Psychiatrzy zwracają uwagę na nasze dążenie, aby trzymać się z daleka od rodzicielskiego konfliktu. Jeśli o mnie chodzi, test osobowościowy ujawnia silne poszukiwanie niezależności.

Słowa Lucile, opisujące miesiące po jej pobycie w szpitalu, są przesiąknięte poczuciem winy i bezbrzeżnym smutkiem.

Na temat weekendów, które znów zaczynamy u niej spędzać, pisze:

Organizacja tych dwóch dni spędza mi sen z powiek przez całe dwa tygodnie. Powitanie na Dworcu Montparnasse, pociąg, który często się spóźnia, co będziemy jeść, a przede wszystkim co będziemy robić, mówić. Przy nich też zapominam języka w gębie. Już nie potrafię z nimi rozmawiać. Spadłam z piedestału matki. Nawet dla nich nie istnieję, a przecież widywanie ich to moja jedyna głęboka radość i zarazem ból w tym życiu. Rozpacz tych dni, które minęły jeden za drugim, bez nici przewodniej albo pocięta na kawałki.

Nadal żywię uczucia dla moich dzieci, ale nie mogę ich wyrazić. Już niczego nie wyrażam. Zbrzydłam, mam to gdzieś, nic mnie nie interesuje poza tym, żeby dotrzeć do pory, kiedy zażyję leki i położę się spać. Przebudzenie jest potworne. Chwila, kiedy przechodzę z nieświadomości do świadomości, to rozdarcie. Zmusić się, żeby wziąć prysznic, znaleźć jakieś nadające się do włożenia ciuchy.

Na temat doktor D., psychoanalityczki, którą będzie odwiedzać dwa razy w tygodniu przez wiele lat, Lucile pisze:

To pierwsza osoba na świecie, której ufam. To bardzo dużo. Wiele jej zawdzięczam. W zawołanych słowach wykrzykuję jej swój niepokój. Nie kryję przed nią myśli o samobójstwie, z biegiem miesięcy zaś wypływają na wierzch różne rzeczy, które zostaną załatwione raz na zawsze. Moja relacja z ojcem, z matką i z każdym z rodzeństwa. Komu z tym dobrze, kto na tym korzysta. Moja osobowość rozpadająca się w tym strasznym rodzeństwie. Trzeba zbudować nowe relacje, zwłaszcza z moimi córkami.

Wśród rzeczy Lucile natrafiłyśmy także na trochę papierów, dotyczących wywiadu przeprowadzonego przez opiekę społeczną i przyjęciu przez nią na siebie obowiązków finansowych. 2 grudnia 1981 roku Lucile otrzymuje list z kancelarii adwokackiej, która zajmuje się jej sprawą. Cytuję go tutaj ze względu na umieszczone pod nim post scriptum: niestosowność w samym środku maszyny sądowej, być może podsumowującą Lucile lepiej niż cała książka.

Szanowna Pani,

w nawiązaniu do posiedzenia sądowego w sprawie odmowy zapłaty i chcąc oszczędzić Pani kosztów ekspertyzy, czuję się w obowiązku prosić, aby zwróciła się Pani o pomoc prawną, co doprowadzi, rzecz jasna, do odroczenia rozprawy rozstrzygającej.

PS. Mecenas J. dziękuje za miłe myśli i rysunek, którego barwy bardzo mu przypadły do gustu.

Zdjęcia z tamtego okresu ukazują to, co mamy wspólnego z innymi (krótkie włosy, obcisłe spodnie, swetry Benettona i bawełniane szaliki), oraz to, czego nie możemy z nimi dzielić: puste spojrzenie Lucile, jej zgarbione ramiona, usta, których nigdy nie domyka.

Nie mogę nie zwracać uwagi na to, jak bardzo książka, którą właśnie piszę, odbiera mi spokój. Zaburzenia snu są tego namacalnym dowodem.

Nazajutrz po nocy rozdartej przez przenikliwy wrzask, który mnie samą budzi (nie zdarzało mi się to od lat), usiłuję przekonać ukochanego mężczyznę, żeby się nie martwił. Śniło mi się, że mnie zamykają.

Nadal jednak zasypuję wszystkich wokół równie nagłymi, co niespodziewanymi e-mailami, domagając się nazwisk, dat, wyjaśnień, jednym słowem - jestem upierdliwa.

Lucile odsunęła się od nas daleko, daleko od wszystkiego. Była jedynie statystką w filmie, którego scenariusz zdawał się jej wymykać z każdym dniem coraz bardziej, tkwiła na planie, nie słysząc polecenia, że ma wrócić na środek, albo przeciwnie, oddalała się, przestała ściągać światło, nie dbała o to, szukała miejsca, gdzie mogłaby pozostać kompletnie niezauważona i śnić z otwartymi oczami, a jednocześnie żeby nikt nie uznał, że jest nieobecna albo zrejtrowała.

Francois Mitterrand nie mógł na to nic poradzić.

W roku 1982 Lucile, nadal nie znalazłszy pracy, otworzyła wraz z przyjaciółką Justine niesamowity sklep ze starzyzną przy ulicy Francis-de-Pressense, parę kroków od kina L'Entrepôt. W niewielkim, niewyróżniającym się niczym szczególnym lokalu zgromadziliśmy bibeloty, lampy, szkatułki, karafki, rozmaite przedmioty i trochę kosmetyków, ustawionych obok siebie i w ogóle ze sobą niezwiązanych. Każdy dał to, co miał, poopróżniano szafy, piwnice i strychy, aby zapewnić minimum towaru. Prawie pusty sklep był czynny codziennie z wyjątkiem niedziel. Lucile i Noemie pracowały tam regularnie na zmiany, które z rzadka zakłócała wizyta jakiegoś klienta. Czasem jakiś przechodzień, wiedziony zuchwałą ciekawością, otwierał drzwi tego niewysłowionego Kramiku Niespodzianki. Zresztą parę miesięcy wcześniej Justine zainaugurowała Statek Spacerowy, bar-restaurację, którego danie dnia, przygotowywane przez samą Justine, szybko zrobiło furorę. Lucile nudziła się w swoim sklepie jak mops, przyjmowała wizyty okolicznych pijaczków, prowadząc nadal niepewne życie w zwolnionym tempie, które krzyżowało się z naszym dwa razy w miesiącu.

Przed weekendem Lucile napełniała lodówkę naszymi ulubionymi produktami, dawała nam kieszonkowe na kino albo gofry. Lucile patrzyła, jak żyjemy, rozmawiamy i śmiejemy się z koleżankami, Lucile słuchała jednym uchem naszych błahych opowieści, Lucile przysłuchiwała się, jak plotkujemy przez telefon, umawiamy się na randki, organizujemy wypad, Lucile patrzyła, jak kończymy ćwiczenia z matmy, wypracowania z francuskiego, o nic nas nie pytała, niczego od nas nie wymagała, Lucile nas nie osądzała, powstrzymywała się od komentarzy na temat naszych dziecięcych lub młodzieńczych kaprysów, obserwowała nas z daleka.

Byłyśmy żywymi istotami, wyczuwała to, życie w nas przetrwało.

Na czas weekendu cała się mobilizowała, żeby stanąć na wysokości zadania.

Niekiedy błysk w oku, ślad emocji na twarzy, uśmiech przypominał nam, jaką była dawniej kobietą.

Na Boże Narodzenie, Wielkanoc, długi weekend z okazji Wniebowstąpienia, Zielonych

Świątek czy Święta Zmarłych nadal wyjeżdżałyśmy do Pierremont, gdzie odbywały się na ogół walne zgromadzenia rodzinne wujków, ciotek, braci, siostr, kuzynów i kuzynek, którym zawsze towarzyszył jakiś trochę blady (blada), smutny (smutna) przyjaciel (przyjaciółka) z niedoborem czerwonych krwinek.

Lianę i Georges nigdy nie stracili upodobania do wielkich biesiad. Skoro jest miejsce dla piętnastu osób, znajdzie się i dla dwudziestu.

Wraz z Lucile docierałyśmy pociągiem do dworca Laroche-Migennes, skąd Lianę zabierała nas jednym z tych swoich starych renault 4L, które, podobnie jak poprzednie, miała zajechać na śmierć. Ja siadałam z przodu, Lucile bała się jazdy samochodem. Bezpieczniej było podnosić nogi: z powodu dziury w podłodze droga uciekała mi spod stóp.

W niebieskiej łazience w Pierremont obserwowałam Lianę i nieodmienny rytuał wychodzenia spod prysznic, nacieranie włosianą rękawicą, krem Nivea, którym smarowała całe ciało grubą warstwą, pierwszy biustonosz, drugi biustonosz, pierwsze majtki, drugie majtki, pas elastyczny, body, półhalka, halka, którą potem wkładała (nie przesadzam), w tym domu jest zimno jak w psiarni, moja królowno. Na półce w plastikowym kubku pyszniło się jej wszystkie siedem szczoteczek do zębów. Lianę miała inną na każdy dzień tygodnia: na poniedziałek niebieską, na wtorek czerwoną, na środę żółtą, zgodnie z dokładnie rozplanowanym i idealnie opracowanym systemem. Lianę uważała, że szczoteczki do zębów mają prawo do odpoczynku. Sześciodniowy odstęp między dwoma użyciami umożliwia prawdziwą odnowę włosa i zapewnia każdej z nich długowieczność, na którą zasługuje (choć to z innej beczki, za to bardzo mnie fascynuje, korzystając więc z okazji, wspomnę tu o wymyślonym przez Lianę układzie napinającym z klamerek, który umieszczała pod materacem, aby prześcieradło z gumką było naciągnięte do granic możliwości. Przewidziane do tego celu gumki wszyte w brzegi prześcieradeł były za słabe. Lianę nie znosiła zmarszczeń).

W łazience w Pierremont, dzięki grze odbić pomiędzy szafką a olbrzymim lustrem ściennym, można było sobie obejrzyć plecy. W zależności od wieku spędzałam tam określony czas, oglądając sobie włosy, albo też kształt pośladków.

W niebieskiej łazience w Pierremont, po niekończącej się partii gry towarzyskiej Trivial Pursuit, przystępowaliśmy małymi grupkami do wieczornych ablucji. Lucile dawno już spała na górze, toteż owe chwile bliskości dzieliłam z Violette, Justine albo Lisbeth. Wymieniałyśmy się kosmetykami, wyrażałyśmy opinie na temat marek, podbierałyśmy sobie waciki-szampon-mydło-patyczki-do-uszu-oliwkę-ze-słodkich-migdałów-krem-nawilżający-wodę-różaną-rany-julek-jak-to-ładnie-pachnie.

W łazience w Pierremont, podobnie jak w żółtej kuchni, rozmawiało się o nieszczęśliwych miłościach, o adoratorach, o konkurentach, o upływającym czasie, (o smutkach też), o spacerze nad kanał, na który pójdzie się być może nazajutrz, o humorach Georges'a, który stawał się coraz bardziej nieznośny, o nowym fasonie wełnianych piżam, opracowanym i zrobionym na drutach przez Lianę, o przyszłych urodzinach i wakacjach, o świeżych jajkach, po które trzeba się będzie wybrać na farmę, o udźcu jagnięcym, który trzeba będzie wyjąć z zamrażalnika o pierwszej.

Pierwszego zimowego wieczoru w niebieskiej łazience w Pierremont Violette przedstawiła mi z kamienną powagą własną wizję ochrony szczoteczki do zębów. W przeciwieństwie do swojej matki Violette nie zachwalała ani nie praktykowała używania

więcej niż jednej szczoteczki. Odwrotnie, opowiadała się za jednym egzemplarzem, za to wyższej jakości. Według niej ochrona włosów polega przede wszystkim na jego uważnym i starannym suszeniu, najlepiej za pomocą ręcznika wypłukanego w płynie zmiękczejącym.

Ze względu na spore zagęszczenie w niebieskiej łazience w Pierremont każdy kładł swoją kosmetyczkę, gdzie się dało, na skrawku półki albo wręcz na podłodze. Cokolwiek by się działo, wiedział, że nie znajdzie jej potem w tym samym miejscu, a niewykluczone, iż w ogóle jej tam nie będzie. Niebieska łazienka w Pierremont stanowiła bowiem przede wszystkim królestwo Toma, najmłodszego brata Lucile, którego rytuałów nie dało się obejść. Tom brał prysznic i kąpał się wielokrotnie w ciągu dnia, o określonych porach, wypisanych jego ręką na drzwiach od strony korytarza. Zaczął przejawiać prawdziwą pasję dla kosmetyków, płynów po goleniu, mydeł i żelów pod prysznic, które ukazywały się nieustannie na rynku kosmetycznym, proponowane w różnych wariantach zapachowych i obiecujące męskość, Tom organizował sobie przestrzeń według własnego widzimisie. Trzeba to sobie jasno powiedzieć: nie było mowy, żeby ktoś zagrażał jego terytorium.

Tom nauczył się czytać i pisać, umiał liczyć, dodawać, opowiadać kawały, znał na pamięć czołówkę każdego amerykańskiego serialu oraz programu „Dziś wieczorem w teatrze”. Tom lubił porucznika Colum-bo, Michela Sardou, Rica Hocheta, nie posiadał się ze szczęścia, kiedy przychodzili jego bracia i siostry. Pedantycznie sprzątał swój pokój, dokładnie śledził mecze pierwszej ligi piłkarskiej, przywdziewał z zapalem barwy Auxerre, po zakończeniu każdego dnia mistrzostw zapisywał na czystych kartkach wyniki uzyskane przez każdą drużynę. W taki sam sposób Tom notował na karteczkach pewną liczbę rozmaitych informacji, a następnie wkładał je do kartonowych teczek. Pomimo całego swego upośledzenia umysłowego w oczach rodziny Tom uchodził za swoistego intelektualistę, którego poczucie humoru, zdolności naśladowcze czy umiejętność kojarzenia wprawiały nas w jednakowe osłupienie.

Georges spędził z nim wiele godzin, towarzyszył mu na każdym etapie rozwoju, walczył o to, by poszedł do szkoły. Uczynił z Toma owego zabawnego chłopca, którego żaden neuron nie leżał odłogiem. Wydaje mi się, że Tom był największym sukcesem swego ojca.

W Pierremont posiłki stanowiły zarazem główne zajęcia i główny temat rozmów: co się jadło wczoraj, co się będzie jadło jutro, co się będzie jadło następnym razem i według czyjego przepisu. Spędzało się zresztą w kuchni cały dzień, planując, przygotowując, sprzątajac, napełniając i opróżniając zmywarkę, piekąc ciastka, torty, pichcąc sosy, kremy, przystawki, zachwycono się trzynastoma czy piętnastoma smakami domowych lodów wyrabianych przez Lianę, przysiadano, żeby wypić filiżankę herbaty, kawy, aperitif, ziółka, zagniatano, mieszano, duszono na małym ogniu, wspominano to jednych, to drugich, studia, choroby, śluby, narodziny, rozwody, utratę pracy, wygłaszano prawdy kategoriycznym tonem, sprzeciwiano się sobie, szturchano się łokciami, oburzano się na sposób przygotowania pasztecików z owocami morza.

W Pierremont głosy zawsze wznosiły się na wysokie tony, trzaskały drzwi, zaś w chwili gdy już niemal dochodziło do rękoczynów, dzwonił minutnik w kształcie jabłka, aby przypomnieć, że najwyższy czas wyjąć z pieca zapiekanekę.

Obok nas, siedząca na taborecie Lucile wyrażała swą niemą i kulinarną odrębność, nie

miała zdania na żaden temat, niekiedy zgadzała się obrać parę ziemniaków.

Chciałabym umieć opisać ten dom, który tak bardzo kochałam, dziesiątki fotografii nas wszystkich, w każdym wieku i w każdym okresie, fotografii przemieszanych byle jak i poprzylepianych wprost do ściany klatki schodowej, plakat Toma prezentującego puchar mistrzostw osób niepełnosprawnych w nartach wodnych, który właśnie otrzymał, obok Patrice'a Martina, plakat Lianę na mononarcie w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, z fontanną wody obwieszczającą jej slalom, jej kolekcję Barbary Cartland, zarezerwowaną na (liczne) bezsenne noce, kolekcję dzwonków Georges[^] ustawioną w wejściu, wybujały arsenał kuchenny mojej babki, która posiadała i zachowała wszystko, co wymyślono w dziedzinie przyrządów i urządzeń kuchennych w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Chciałabym umieć opisać ten dom, będący ciągłą ruderą i w ciągłym remoncie, tę starą, popędliwą i zmęczoną damę, której nic, żadne malowanie, przebudowa, renowacja, mimo że z biegiem lat przeprowadzone mnóstwo razy, niekiedy przy udziale potężnej siły roboczej, nigdy nie zdołały zadowolić. Dom w Pierremont, taki, jak go zapamiętałam, z łuszczącą się farbą i pajęczynami, pozostał swego rodzaju imponującą, ukształtowaną przez reumatyzmy i przewianą przez przeciągi ruiną, w którą regularnie wjeżdżały ciężarówki. Najważniejsza osobliwość tego domu iszczą polegała bowiem na jego położeniu dokładnie na przedłużeniu drogi krajowej, stanowiącej ważną oś na mapie drogowej. Zdarzyło się więc wiele razy, i to w samym środku nocy, że zmęczony lub nieuważny kierowca, zaskoczony zakrętem w kształcie litery T, wpadł do domu przez główne wejście, z ostrym piskiem opon. Później merostwo kazało postawić przed drzwiami betonowe barierki.

Gdy byliśmy mali, spaliśmy w Pierremont wraz z kuzynami w pokoju zwanym czterołóżkowym, w którym łóżek znajdowało się co najmniej sześć, a który w dniach wyjątkowego tłoku mógł ich pomieścić osiem. Kiedy pod oknami przejeżdżały samochody o dużym tonażu, szyby trzęsły się i drgały, robiąc spory hałas, my zaś przyglądaliśmy się tańczącym na suficie oślepiającym promieniom światła samochodowych reflektorów, które przenikało przez poziome deski okiennic.

Latem Lianę i Georges wyjeżdżali do małego miasteczka w Le Gard, jakieś dwadzieścia kilometrów od La Grande-Motte. Kilka lat wcześniej Georges i jego siostrzeniec Patrick kupili stodołę, którą urządzili tak, aby przyjmować jak największą liczbę gości. Z braku funduszy porzucili początkowy projekt hotelu-restauracji, Georges zaś, znalazłszy się w trudnej sytuacji, musiał odsprzedać swe udziały siostrzeńcowi, który stał się wyłącznym właścicielem tego przybytku. Rodzina Poirierów korzystała wszakże ze zbiorowego zaproszenia, ważnego przez cały sierpień, i właśnie w tym miesiącu mieszkaliśmy przez kilka kolejnych wakacji wraz z rodziną Patricka. Całymi tygodniami po Gallargues paradowali wujowie, ciotki, bracia, siostry, kuzyni, kuzynki, siostrzeńcy i siostrzenice, do nich zaś przyłączało się zawsze paru splukanych, osłabionych, odbudowujących swoje życie przyjaciół bądź przyjaciółek, którzy od roku, dwóch, czterech lat nie wyjeżdżali na urlop, wpadali na trochę i w końcu zostawali na dłużej. Całkowita liczba mogła sięgać trzydziestu pięciu osób, włączając w to tych, którzy spali w namiotach.

Organizacja była dokładnie ustalona i wszystkim znana. Codziennie dwie osoby dorosłe

— o ile to możliwe, różnej płci, lecz niekoniecznie związane węzłem małżeńskim ani regularną aktywnością seksualną -z pomocą dwójki dzieci i/lub nastolatków przejmowała na siebie wszystkie domowe obowiązki całego dnia: zakupy, sprzątanie, przygotowanie kolacji, doprowadzenie wszystkiego do porządku na następny dzień. Grafiki tak zwanych dyżurów par sporządzano na początku pobytu. Poza owym (owymi) wyczerpującym dniem (dniami) nieróbstwo było gwarantowane.

W czasie wakacji po pierwszym przymusowym zamknięciu Lucile w szpitalu psychiatrycznym wyjeżdżaliśmy do Lianę i Georges'a do wielkiego domu w Gallargues na dwa, trzy tygodnie. Lucile nie miała dość pieniędzy, żeby się gdzieś wybrać i zapewne nie była w stanie spędzać wakacji sam na sam z nami. Wiedziała, jak bardzo lubiliśmy te okresy życia we wspólnocie, spotkania z kuzynami, te wielkie biesiady, kiedy trudno było się doliczyć biesiadników, których skład nieustannie się zmieniał.

Każdego ranka uzbrojona w lodówki i ręczniki rodzina zbierała się najpierw nad brzegiem Ponantu (jezioro połączone z Morzem Śródziemnym i należące do gminy La Grande-Motte), następnie kilka godzin później połowa emigrowała na prawdziwą plażę w Grand Tra-vers. Kobiety miały na sobie bikini, smarowały brązową skórę olejkami do opalania o zapachu monoitiare, rozmawiały, paląc papierosy, gdy tymczasem dzieci bawiły się na brzegu albo kłóciły o to, kto wsiądzie na łódź. Georges posiadał teraz średniej klasy łódź wyposażoną w silnik o mocy sześćdziesięciu koni.

Okolo jedenastej wysiadała ze swego renault 4L rozpromieniona Lianę, zdejmowała niesamowite plastikowe okulary słoneczne w kolorze pomarańczowym, zakładała kapok i na oczach osłupiałych letników rozpoczynała slalom na mononarcie. Codziennie nosiła jednocześnie kostium kąpielowy w innym kolorze, wybierany co roku w katalogu Trois Suisses, podkreślający jej obfity biust i talię osy. Miała ich całą kolekcję.

Po miesiącach warunkowania oraz intensywnego treningu Tom, zachęcony histerycznymi okrzykami rodziny, w końcu wyszedł z wody. Z czasem nauczył się pruć fale i pływać na mononarcie, obecnie zaś Georges przygotowywał go do mistrzostw Francji osób niepełnosprawnych.

Georges, w bandanie, dzięki której zyskał przydomek Pirata, spalony słońcem, spędzał większość dnia za sterem swej motorówki, wołając do jednych, drażniąc się z innymi, domagając się, by kobiety wokół niego poruszały się z gołym biustem. W ciągu kolejnych wakacji Georges stał się gwiazdą Ponantu. Dzięki tej aurze, chociaż nie miał żadnego dyplomu, postanowił uczyć jazdy na nartach wodnych, która to aktywność przysporzyła mu dodatkowej sławy, pozwoliła mu na poznanie ludzi i finansowanie benzyny dla narciarzy z rodziny. Georges był zabawny, cierpliwy, miał talent pedagogiczny, toteż lista chętnych ciągle rosła. Jezioro stanowiło jego królestwo; tutaj, podobnie jak wszędzie, nie sposób było się nie natknąć na postać Georges'a.

Dla wnuków wymyślał najprzeróżniejsze zabawy, wśród których najbardziej zapamiętano bez wątplenia kasetę śmiechów. Spośród aktualnie przebywającej w ogrodzie Gallargues zgrai Georges zwerbował jakichś dziesięciu ochotników. W mądrze zaplanowanym crescendo

zebraliśmy się wokół mikrofonu, czkając, parszkając, rechocząc; wesołość urosła aż do autentycznego zbiorowego szalonego śmiechu, od którego zgięło nas w pół. Ledwie kasetka została nagrana, zabawa mogła się rozpocząć na nowo. Na obrzeżach La Grande-Motte renault 21 przystawał na czerwonym świetle z całkowicie opuszczonymi szybami. W środku siedziało nas dwoje, troje lub czworo, w ponurym nastroju, przybrawszy na polecenie Georges'a jednakowo zacięte miny. Wtedy Georges włączał kasetę na cały regulator. Musieliśmy zachować kamienny wyraz twarzy, bez cienia uśmiechu, nie unosząc brwi ani odrobinę. Pełna żaloba. Z miną jak gdyby nigdy nic czekaliśmy na reakcję pasażerów sąsiednich aut, do których w końcu się odwracaliśmy, patrząc spode łba, podczas gdy wewnątrz samochodu narastała kakofonia śmiechu. Ze względu na upał większość ludzi jeździła z otwartymi dachami. Gdy tylko sąsiedzi zlokalizowali ową hałaśliwą radość, zaczęli się nam przyglądać, wyciągali głowy, patrzyli po sobie z zakłopotaniem, aż w końcu na ogół wybuchali śmiechem. Czasami któryś z nich pojawiał się w ostatniej chwili, przy akompaniamencie klaksonów (tymczasem światło zdążyło się zmienić na zielone), pytając, jakiej stacji radiowej słuchamy.

Wieczorem, po powrocie do domu w Gallargues, Georges dzwonił na aperitif i na zebranie. Świętowaliśmy przy wytrawnym listelu nurkowe wyczyny dnia, omawialiśmy przyszłe wyjazdy i przyjazdy, dokonywaliśmy poprawek w przydziale pokojów, plotkowaliśmy.

Ja też polubiłam ten dom, hałas, prażenie się na słońcu całymi godzinami, wieczorne spacerowanie po wąskich uliczkach Gallargues, imprezy i bale w okolicznych miasteczkach.

Jednakże pomimo szalonego śmiechu, kłótni, utarczek słownych i wybuchowych wspomnień (tamtych razem, kiedy na oczach trzydziestu osób Georges wyrzucił za drzwi zaproszonego nie wiadomo przez kogo przedstawiciela „Le Petit”, który na swoje nieszczęście stanął w obronie pasteryzowanego camemberta) owe hałaśliwe i spędzane we wspólnocie lata nigdy nie pozwoliły nam całkowicie zapomnieć o obecności-nieobecności Lucile, typowego dla niej sposobu przebywania w samym środku tumultu i nieangażowania się nigdy w nic.

Panującemu wokół poruszeniu Lucile przeciwstawiała swe przygnębione milczenie.

Kiedy myślę o tamtych czasach, powraca wspomnienie, które jeszcze dzisiaj ma gorzki smak:

Siedząc sama w swoim paryskim mieszkanku, Lucile w końcu kupiła sobie telewizor. W każdą środę oglądała serial *Dallas*, który właśnie święcił triumfy; nie opuściła żadnego odcinka i wcale się z tym nie kryła.

Podczas rodzinnych spotkań wzmianka o *Dallas* przy Lucile stała się żelaznym dowcipem, powtarzającym się gagiem. Aby wywołać bowiem uśmiech na twarzy Lucile - dokładnie tak samo się wywołuje jakikolwiek odruch warunkowy u zwierzęcia - wystarczyło jej zaśpiewać piosenkę z czołówki. I dalejże wszyscy kuzyni, ciotki, sam Georges podchwytywać z pamięci: „Dallas, twój bezlitosny świat wychwala prawo silniejszego, Dallas, pod palącym słońcem zaś nie boisz się niczego”.

Wtedy Lucile, która czytała niegdyś Maurice'a Blanchota i Georges'a Bataille'a, Lucile, u której uśmiech gościł tak rzadko, uśmiechała się, pokazując wszystkie zęby, wręcz doskonale

się bawiąc i rozdzierając mi serce.

W przyływie ślepej furii marzyłam, żeby ich wszystkich rozdeptać, sprać na kwaśne jabłko, nienawidziłam ich wszystkich, ponieważ właśnie wtedy przychodziło mi na myśl, że to oni ponoszą winę za to, czym się stała, i że śmieją się z tego na całe gardło.

Mgła, w której pogrzyła się Lucile, utrzymywała się prawie dziesięć lat. W tamtym okresie porzuciła sklep przy ulicy Francis-de-Pressense (gdzie oprócz paru przyjaciół oraz dwóch czy trzech ciekawskich nikt się nigdy nie zapuszczał) i znalazła pracę sekretarki u wydawcy podręczników szkolnych. Wydaje mi się, lecz nie jestem pewna, że jakaś młoda kobieta, którą poznała w tamtej dzielnicy, przedstawiła ją u Armanda Colina. Jej obowiązki polegały głównie na przepisywaniu całych stron na maszynie i na wykonywaniu kilku czynności biurowych. Lucile poradziła sobie wcale nieźle, po okresie próbnym przedłużono jej więc umowę. Praca tam czy gdzie indziej stała się dla niej wyzwaniem, podobnie jak reszta życia, w każdy zaś weekend przygniatała ją myśl o kolejnym tygodniu, który sprawiał wrażenie niemożliwego do przebrnięcia.

* * *

Sądzę, że kiedy było już po wszystkim, kiedy Lucile z tego wyszła, tamte dziesięć lat stanowiło dla niej jeden blok, bez nacięć i wypukłości, którego poszczególnych okresów nie potrafiła rozróżnić, jeden blok, po którym zachowała tylko jedno bolesne, wymuszone, jednolicie zaciemnione wspomnienie, chociaż w tym czasie przeszła dwie kolejne fazy maniakalne.

Pierwsza miała miejsce po mojej maturze, tuż po tym, jak powróciłam do Paryża i wprowadziłam się wraz z nią do dwupokojowego mieszkania przy ulicy Entrepreneurs. Lucile położyła materac i palety w salonie, z kolei ja spałam na jednym z dwóch małych łóżek w sypialni, gdzie co drugi weekend towarzyszyła mi Manon, nadal przebywająca na stałe w Normandii. Właśnie rozpoczęłam studia, odkrywałam życie studenckie i przyzwyczajałam się na nowo do paryskiego rytmu. Lucile wiodła owo monotonne i regularne życie, które źle skrywało jej wewnętrzny zamęt, niekiedy wychodziła z odrętwienia, nagłymi skokami, gwałtownie, pod wpływem jakiegoś zdania czy kaprysu. Powoli pojawiły się oznaki nawrotu, które wkrótce rozpoznałam. Lucile zaczęła się krzątać, kupować nowy sprzęt kuchenny (w tym szybkowar), wspominała o przyszłych podwyżkach, które wydawały się nadmierne, a także o wyjątkowej nagrodzie, która pozwoliłaby nam wyjechać na bożonarodzeniowe wakacje na Djerbę, wraz z Manon i Tomem. Lucile krążyła w tę i z powrotem pod rozmaitymi pretekstami, snuła plany i tworzyła projekty, aż pewnego wieczoru nie wróciła. Czekałam na nią do późnej nocy, wreszcie zjawiała się z tym spojrzeniem, które zdawało się przychodzić z tak daleka, opowiedziała mi o szalonym wieczorze spędzonym u Immanuela Kanta oraz o swym pierwszym spotkaniu z Claude'em Monetem, które miało nie być ostatnie, jest tego pewna, bo malarz był czarujący i bardzo przypadli sobie do gustu. Zadzwoeniłam do jej sióstr. Justine wykonała pierwszy ruch i podjęła wszelkie możliwe środki ostrożności, żeby dać znać w pracy, gdzie już zaczęto się dziwić z powodu nagłego

wzburzenia Lucile i rozdawania przez nią na korytarzach pieniędzy biednym ludziom, którzy wcale nie byli biedniejsi od niej.

W krótkim czasie zorganizowano coś, co zaprowadziło Lucile do pawilonu szpitala św. Anny, gdzie spędziła wiele tygodni.

Podczas odwiedzin, na które niedługo mi pozwolono, na obrzeżach miasta, a przecież w samym jego sercu (jako że szpital św. Anny to prawdziwe miasto w mieście), odkryłam nędzę i porzucenie, z których nie zdawałam sobie sprawy. Pod wpływem lektury pewnej książki zaczęłam się zastanawiać nad właściwym znaczeniem słowa alienacja, sprawdziłam je w słowniku. Otrzymałam wyjaśnienie. Tutaj kobiety i mężczyźni snuli się po przegrzanych korytarzach, spędzali całe dni przed niedostrojonym telewizorem, huścili się na krzesłach albo chronili pod kołdrami, które nie były wiele lepsze niż więzienne koce. Niektórzy tkwili tam od lat, bez żadnej perspektywy, ponieważ stanowili zagrożenie dla siebie samych lub dla innych, ponieważ nie było ich gdzie umieścić, ponieważ ich rodziny już dawno dały za wygraną. Po powrocie, dręczona panującą tam atmosferą, opisywałam zamknięte za mną drzwi, pęki brzęczących kluczy, błakających się po korytarzach chorych, hałas tranzystorów, tamtą kobietę, która powtarzała „Mój Boże, czemuś mnie opuścił?“, tamtego mężczyznę, który prosił o papierosa każdego, kto znalazł się w jego polu widzenia, nawet po dziesięć razy z rzędu, tamte mechaniczne, powyginane ciała, osłabione beczynnością i nudą, tamte nieruchome spojrzenia, człapiące kroki, tamte istoty, których najwyraźniej nikt nie był w stanie stamtąd wydostać, a którym leki nie pozwalały krzyczeć.

Po kilku dniach Lucile poznała wszystkich mieszkańców pawilonu i koniecznie chciała mi ich przedstawić przy każdych odwiedzinach. Pani R., pan V., Nadine, Helenę, pani G., prawdziwa galeria domatorów, która kończyła się na ogół na tamtej wysokiej kobiecie w czarnym stroju, wpatrzony we mnie jednakowo obłądnym wzrokiem i powtarzającej Lucile „ładna ta pani córka“ zlorzeczącym tonem. Lucile dzieliła pokój z Węgierką o przezroczyściej skórze, której twarz zdawała się wymykać czasowi.

Miałam siedemnaście lat, nie wiedziałam zupełnie nic na temat choroby umysłowej. Spojrzenia, mijane w rym pawilonie rozpaczy, niekiedy prześladowały mnie przez wiele dni.

Po kilku tygodniach Lucile otrzymała przepustkę. Pewnego sobotniego popołudnia pojechałam po nią do Św. Anny, gdzie czekała na mnie, siedząc na krześle, ze splecionymi dłońmi spoczywającymi na torebce. Dotarłszy autobusem do naszej dzielnicy, spędziłyśmy kilka godzin na dworze. W Monoprix łagodny i śpiewny głos obiecał nam „szalone“ ceny, 50% zniżki na wszelkie domowe tekstylia, na pościel, na ręczniki, na pokrowce, „szalone“ ceny, z których miałyśmy szansę skorzystać jeszcze tylko przez parę minut. A propos szaleństwa, przerażała mnie myśl, że Lucile ucieknie, że wymknie się mojej czujności albo że nie zechce więcej wrócić do szpitala. Wraz z nadejściem wieczoru Lucile zaczęła jednak spoglądać na zegarek, bała się, że się spóźni, nie wolno opuszczać kolacji ani przyjmowania leków, nie musiałam jej namawiać do powrotu. Tam czuła się dobrze, chroniona przed samą sobą, była taka zmęczona.

Nadejdą następne przepustki, następne popołudnia wolne od duchoty pawilonu, następne chwile swobody, z dala od leniwych godzin spędzanych we wspólnej sali, do której nie docierał nigdy żaden podmuch powietrza.

Gdy jechałyśmy pociągiem na weekend do Pierremont, Lucile, jeszcze nie całkiem uwolniona od obłędu, zwracała się do wszystkich niepoprawną angielszczyzną, która rozbawiła cały wagon. Już nie wiedziałam, jak ją powstrzymać, robiłam za jej plecami przepraszające miny. Lucile chciała usiąść tutaj, a nie tam, następnie tam, a nie tutaj, poprosiła jednego z pasażerów, żeby się przesiadł, innego, żeby przesunął torbę, *wouldyou mind please przesunąć your bag somewhere else because you know it is difficultfor me to stay here, I mean in a train. Im sorry Fm desease you know, but let me introduce you my daughter she is very gentle but a bit drażliwa.*

Gdy nadeszło Boże Narodzenie, nie było już mowy o Djerbie ani o żadnej plaży, Manon przyjechała do mnie do Paryża i zabrałyśmy Lucile do Pierremont, gdzie od tygodni przygotowywano wielkie uroczystości. Tego roku na Wigilii miały obowiązywać trzy kolory: czerwony, biały i srebrny. Przywdzialiśmy odpowiednie stroje, wymieniliśmy się wszelkimi symbolicznymi prezentami czy wspianiałymi bilecikami, na których napisaliśmy z miłością „dla...”, wszyscy byli splukani. Lucile powróciła do swej roli statystki i nie odezwała się ani słowem.

Kilka tygodni później, kiedy Lucile wyszła ze szpitala, wyprowadziłam się z jej mieszkania. Nie chciałam już z nią mieszkać. Rozpoczęłam serię bardziej lub mniej radosnego pomieszkiwania na spółkę, wykorzystując nadarzające się okazje, które trwały prawie dwa lata. Lucile wróciła do pracy, gdzie łaskawie ją zatrzymano.

Manon znów zaczęła weekendowe odwiedziny.

Marzyłam dla niej o okresie spokoju, o poprawie, nie mogłam jej wszakże zaoferować niczego poza własną obecnością u Lucile, kiedy się tam zjawiała, w czasie obiadu, spaceru, kolacji, oraz dzikiego i z pewnością ślepego pragnienia, żeby nas stąd wydostać.

W tym samym okresie Lucile poznała Edgara, zniszczonego przez alkohol malarza akwarelistę, którego talent nie ocalił przed niczym. Edgar został jej kochankiem, razem pili, hektolitry piwa, Lucile tyła w oczach i oddalała się jeszcze bardziej.

Obudziłam się w samym środku nocy, usiadłam na łóżku, szukając jakiegoś obrazu w ciemności, jakiegoś głosu w ciszy, aż powoli wspomnienie, które wyrwało mnie ze snu, powróciło: był to film nakręcony przez Gabriela na taśmie super 8 mm, jeszcze zanim zamieszkaliśmy u niego, jeden z tych filmów, które kręcił w czasie wakacji, a których fabułę i perypetie uwielbiałyśmy tworzyć. Ścisłej biorąc, chodziło o mnie w tym filmie, o mój przenikliwy, nieznośny głos. Powoli wspomnienie nabrało wyraźnych konturów, nie dowierzałam własnej pamięci w stu procentach, było coś na temat pisania i szaleństwa, być może fantazjowałam, być może odtworzyłam tę sekwencję, wymyśliłam ją na nowo, musiałam obejrzeć ten film dla spokoju sumienia. Miałam jego kopię gdzieś na płycie DVD, zakopanej w szpargałach w salonie. Z trudem się powstrzymałam by nie szukać jej o trzeciej w nocy, położyłam się z powrotem w ciemności, przewracałam z boku na bok, zaczekałam do rana, żeby wreszcie uwolnić się od wątpliwości.

Dziś rano odnalazłam ten film. Nakręcił go mój ojciec, kiedy miałam jakieś trzynaście, a Manon dziewięć lat, nie potrafię określić dokładnych dat, ale pochodził sprzed, sprzed

choroby Lucile i naszej nagłej przeprowadzki do Normandii. Zgodnie z żartobliwymi wskazówkami reżyserskimi macochy, przy akompaniamencie muzyki klasycznej, dołączonej przez Gabriela podczas montażu, parodiowałyśmy jakiś program telewizyjny, prezentujący poziom pomiędzy „Apostrophes” a „Grand Echiquier”. Zanim sama pogrążyła się w otchłani, która kosztowała ją życie, nasza macocha Marie-Anne była bardzo piękną kobietą niepozabawioną fantazji. Film jest totalną improwizacją, niczego nie powtarzaliśmy. Marie-Anne najpierw przeprowadza wywiad z Manon, grającą Cunegonde Gertrudę, znaną na całym świecie piosenkarkę, w przeddzień czterotygodniowych występów na Olympii, do których się właśnie szykuje. Na widok otulonej boa Manon z brwiami namalowanymi kredką, niezdarnie naśladowującej Edith Piaf, można umrzeć ze śmiechu. Czarująca mała dziewczynka, jaką wtedy była, niepewna w roli gwiazdy, wzrusza mnie do łez. Na wzmiankę Marie-Anne o tym, że krążą plotki o jej miłostkach (wymieniani są Yves Mourousi i książę Karol), Manon odpowiada, że mogłaby zdobyć ze stu innych. Nieco później Marie-Anne przystępuje do kolejnego wywiadu. Dziś wieczorem ma przyjemność gościć Jeanne Champion, tłumaczoną na całym świecie pisarkę, której trzynasta książka, *Bracia Montaurianowie*, jest bestsellerem. Pojawiłam się na ekranie równie mocno uróżowana, z uszmińkowanymi ustami i oczami czarnymi jak węgiel, tymczasem Marie-Anne streszcza książkę, opowiadając o mojej przykrej młodości, naznaczonej kolejnymi przymusowymi pobytami matki w szpitalu psychiatrycznym, alkoholizmem ojca, jednym słowem o latach smutku, z którego, jak się wydaje, wyzwoliłam się poprzez pisanie. „Niektóre fragmenty są bardzo ciężkie”, dodaje w formie ostrzeżenia. Odpowiadam na parę pytań, wyjaśniam, że powieść przetłumaczył właśnie w Stanach Zjednoczonych Orson Welles (zapewne to pierwsze amerykańskie nazwisko, które przychodzi mi do głowy, o mały włos nie wybuchamy szaleńczym śmiechem). Nieco później Manon śpiewa piosenkę, improwizując na bieżąco (jej słowa są zabawne), ja natomiast udaję, że czytam na głos urywek powieści, zmyślając na bieżąco, chociaż coraz bardziej chce mi się śmiać. Właśnie ten głos powrócił we śnie, ten sztuczny głos małpujący melodramat, ten okropny głos mówiący „domu wariaaaaatów”. W moim występie jest coś wzniosłego, czego nie potrafię określić, co wykracza poza dziwaczne przecucie, zawarte w pytaniach macochy, jestem pomiędzy, pomiędzy dzieciństwem a młodością, pomiędzy śmiechem a łzami, pomiędzy walką a rezygnacją, noszę ohydny aparat na zębach i bezustannie podryguję. Nie cierpię tego filmu, własnego głosu, nagich ramion, licznej biżuterii.

(Ogarnięta wątpliwościami, dopiero co sprawdziłam w Internecie i stwierdziłam, że Jeanne Champion istnieje. Prawdziwa Jeanne Champion maluje, napisała sześć powieści, a w roku 1979 wydała ni mniej, ni więcej tylko książkę zatytułowaną *Bracia Montaurianowie*).

W ciągu dnia powróciło kolejne wspomnienie. Dawno temu razem z ojcem moich dzieci, który jest realizatorem, wpadliśmy na pomysł nakręcenia filmu krótkometrażowego, ja zaś napisałam do niego scenariusz. Opowiadał on o pierwszym wyjściu na przepustkę kobiety leczonej u św. Anny. Przyjeżdża po nią córka, przerażona, że jej matka ucieknie, i zabiera ją do Paryża. Dźwięki, głosy, strzępy diaJogów dobiegające z telewizora, sklepowe komunikaty dolatujące z megafonów, rozmowy zasłyszane w autobusie odgrywały tam pierwszorzędną rolę. Scenariusz, który wysłaliśmy do Narodowego Centrum Kinematografii, żeby uzyskać dofinansowanie, cudem pokonał zaporę pierwszej komisji. Cieszyliśmy się jak szaleni.

Następnie został odrzucony i wrócił do nas z takim oto komentarzem: opis świata psychicznie chorych nie jest realistyczny.

Któregoś dnia Manon mi powiedziała, że wiele osób (zwłaszcza mój ojciec i nasz brat) pytało ją, czy to, że piszę o Lucile, nie stanowi dla niej problemu, czy to jej nie niepokoi, nie przeszkadza, nie zakłóca spokoju i bo ja wiem co jeszcze. Manon odparła, że książka przedstawia moją wizję, zatem to moja sprawa, należy do mnie, zachowała się zupełnie tak samo jak Violette, która zapewniła, że będzie szczęśliwa, mogąc przeczytać o mojej Lucile. Manon posiada dzisiaj ów rodzaj mądrości pozwalającej przewyciężyć własne cierpienia.

Nie napisałam, jak po powrocie do Paryża i pobycie Lucile u św. Anny, trwającym tyle co rok szkolny, przestałam jeść, aż poczułam śmierć w ciele. Było to zresztą dokładnie to, czego chciałam: poczuć śmierć w ciele. Mając dziewiętnaście lat i ważąc trzydzieści sześć kilo przy wzroście metr siedemdziesiąt pięć, trafiłam do szpitala w stanie niedożywienia bliskim śpiączki.

W 2001 roku wydałam powieść, która opisuje pobyt w szpitalu młodej anorektyczki. Ogarniający ją chłód, odżywianie za pomocą sondy do jelitowej, poznanie innych pacjentów, stopniowy powrót wrażeń, uczuć, wyzdrowienie. *Dni bez głodu* * to powieść częściowo autobiograficzna, w której, poza kilkoma wtrętami dotyczącymi przeszłości, pragnęłam zachować jedność czasu, miejsca i akcji. Konstrukcja przeważała nad resztą, żadna z postaci drugoplanowych nie istniała naprawdę, powieść zawiera część fikcji i — mam nadzieję - poezji.

Moje obecne postępowanie wydaje mi się zarazem bardziej niebezpieczne i bardziej daremne. Dzisiaj zawsze zdarza się chwila, kiedy przedmioty wypadają mi z rąk, kiedy nie potrafię zrekonstruować faktów, ponieważ szukam prawdy, która znajduje się poza mną, jest poza moim zasięgiem.

Anoreksja nie sprowadza się tylko do tego, że niektóre dziewczyny chcą się upodobnić do modelek, coraz chudszych, to prawda, zapełniających strony kobiecych czasopism. Głodzenie się to silny i niezbyt kosztowny narkotyk, często się o tym zapomina. Stan niedożywienia uśmierza ból, emocje, uczucia i w pewnym stadium działa ochronnie. Anoreksja restrykcyjna to uzależnienie, które daje złudzenie kontroli, chociaż doprowadza ciało do zniszczenia. Miałam szczęście spotkać lekarza, który był tego świadom w czasach, kiedy większość anorektyków zamykano w czterech ścianach pustego pokoju, jako jedyną wizję dając im umowę, że przybiorą na wadze.

Nie wrócę tu do tamtego okresu mojego życia, interesuje mnie jedynie wpływ, jaki mógł on wyrzucić na Lucile, jego wydźwięk.

Lucile, bardziej bezbronna niż kiedykolwiek, przyglądała się mojemu upadkowi z daleka. Bez ani jednego gestu, ani jednego słowa gniewu czy żalu, nie będąc w stanie wyrazić czegokolwiek, przez cały czas, kiedy się staczałam, stawiała mi czoło, pozbawiona głosu, lecz nie odwracając się ode mnie. Lucile i jej spóźnione słowa „ale przecież ty umrzesz” i bezsilny ton, z jakim je wypowiedziała, uzmysłowiły mi, że za-brnęłam w ślepa uliczkę.

* *Jours sansfaim*, Grasset 2001 (jako Lou Delvig).

Parę lat później, gdy sama miałam dzieci, często myślałam o bólu, jaki sprawiłam własnej matce.

Kilka tygodni przed moim pobytem w szpitalu opiekujący się wówczas Lucile psychiatra, któremu musiała choć w minimalnym stopniu przedstawić sytuację, poprosił ją, by przyszła razem ze mną. Lucile zadzwoniła do mnie, nalegała, doktor A. uważa, że to może nam pomóc, jeśli nie dla niej, powinnam to zrobić dla siebie.

Weszłam do gabinetu za Lucile, wcale nie miałam ochoty tam być, nie mogłam znieść tego wszystkiego, doprowadzało mnie to do furii, nie miałam nic wspólnego z tymi całymi psychiatrami, psychoanalitykami i innymi psychoterapeutami, którzy nigdy nie umieli wydobyć Lucile z rozpacz, wszyscy są siebie warci, żałośni goście, którzy zrobili z mojej matki robota. Doktor A. zadał mi parę pytań, których już nie pamiętam, byłam spięta, w defensywie, nie miałam ochoty rozmawiać z tym człowiekiem, paktować z nim w jakikolwiek sposób, chciałam mu pokazać, jak bardzo mi się nie podoba to, że tam jestem, że w żadnym razie nie dam się nabrać. Co on potrafi poza przepisywaniem paru dodatkowych kropelek do rozpuszczenia w szklance? Nagle doktor A. poprosił, żebym usiadła na kolanach Lucile. Żeby zyskać na czasie, kazałam mu powtórzyć, pomyślałam sobie, za kogo ten dupek się uważa, miałam na sobie dzinsy na dwanaście lat, ciągle widzę ich kolor, zatkało mnie, powtórzył łagodnie: chciałbym, żeby pani usiadła mamie na kolanach. Wobec tego wstałam, usiadłam Lucile na kolanach i w niecałe dziesięć sekund się załamałam. Nie płakałam od miesięcy, będąc pod ochroną chłodu, niskiej temperatury krwi, stwardniała za sprawą izolacji, zaczęłam głuchnąć z powodu niedożywienia, w ciągu jednego dnia do mojego mózgu docierała bardzo ograniczona ilość informacji.

Tym razem jednak to była fala, przybój, tsunami.

Kiedy tak łkałam na kolanach matki, doktor A. zasugerował Lucile, żeby dała mi chusteczkę higieniczną. Lucile poszukała w torebce, wręczyła mi chusteczkę, doktor A. zaś rzekł:

- Widzi pani, pani Poirier, córka nadal pani potrzebuje.

Wyszliśmy z jego gabinetu w jednakowym osłupieniu i ruszyliśmy ręką w rękę jednym z tych bulwarów w XVIII Dzielnicy, którego nazwy nie pamiętam. Nie opisałam tej sceny w pierwszej książce z powodu, którego także nie pamiętam, może dlatego, że wówczas była ona dla mnie zbyt brutalna. W tej pisanej w trzeciej osobie książce, gdzie postać Laurę to mój sobowtór, opowiedziałam dla odmiany, jak jej matka odwiedzała ją w szpitalu kilka razy na tydzień, szukała właściwych słów i stopniowo nauczyła się znów mówić. Jak matka Laurę, brutalnie przeniesiona w jej rolę, wyrwała się z otchłani i odnalazła namiastkę życia.

Kolejnego dnia, kiedyśmy jadły razem obiad, Manon powróciła do naszej rozmowy na temat Lionela Duroy i tego, jak został odrzucony przez braci i siostry po ukazaniu się jego powieści. Manon pochwaliła mój plan, podtrzymywała swoje wsparcie, po zastanowieniu wszakże stwierdziła, że się boi. Bała się, że przedstawię zbyt twarde, zbyt negatywny obraz Lucile. Z jej strony nie była to odmowa, lecz wstyd. Na przykład, wyznała, scena z *Dni bez głodu*, gdzie matka, wypiwszy zbyt dużo piwa, niezdolna wstać z krzesła, na którym siedzi, sika pod siebie, wydała jej się wyjątkowo brutalna.

Przypomniałam Manon, że to naprawdę się wydarzyło (tak jakby mogła o tym zapomnieć).

Oczywiście argument ten był absurdalny i niczego nie usprawiedliwiał. Moja pamięć skrywa także inne sceny z udziałem Lucile, jeszcze bardziej brutalne, których zapewne nigdy nie opiszę.

Zanim obłęd Lucile powrócił po raz kolejny, przeżyliśmy wszystkie trzy okres łagodności, osobliwego zawieszenia: przedsmak pokoju.

Parę miesięcy po moim wyjściu ze szpitala Manon, która doświadczała u Gabriela sytuacji kryzysowej uniemożliwiającej jej życie, wyładowała u Lucile w środku roku szkolnego. Lucile najwyraźniej miała się lepiej, uczepliła się pracy, przestała pić i powoli znów zaczynała mówić.

W następnym roku, aby uniknąć przejeżdżania przez cały Paryż (Gabriel przeniósł się do Neuilly, gdzie Manon pozostała objęta obowiązkiem szkolnym), zapisano moją siostrę do gimnazjum w XV Dzielnicy.

Wraz z Manon Lucile tańczyła na koncertach zespołu Rita Mitsouko, uczęszczała na kursy angielskiego finansowane przez merostwo Paryża, komentowała głupie seriale puszczone w telewizji.

Wraz z Manon Lucile znów nauczyła się pewnego rodzaju lekkości.

Dzieliłam wówczas mieszkanie z przyjaciółką, dwa kroki od Lucile, i po kilku miesiącach niepewności powróciłam na studia. Stopniowo uczyłam się zmniejszać tempo, panować nad upojeniem, godzić się z własnym brakiem asertywności, oswajać apetyt na życie, który mnie pożarł.

Lucile próbowała pokazać każdej z nas nową twarz, była troskliwa, uprzedzająco grzeczna, znów zaczęła gotować, wymyślała nowe przepisy i co tydzień zostawiała mi wiszącą na oknie torbę pełną moich ulubionych słodczy.

Po zajęciach, wybierając się na herbatę, niespodziewaną kolację czy film w klubie filmowym, wpadałam na ulicę Entrepreneurs i zastawałam matkę i siostrę, między którymi powoli nawiązywała się więź na nowych podstawach, przybierając wyraźne kształty. Opowiadałyśmy sobie nawzajem, jak minął dzień, opowieści Lucile zawsze były krótsze od naszych, ostrożne. W niedzielę chodziłyśmy do kina w Beaugrenelle albo do Kinopanoramy, wiosną korzystałyśmy z pierwszych promieni słońca, leżąc na trawnikach skweru Saint-Lambert lub siedząc na ławkach w parku Georges'a Brassensa. Zarówno latem, jak i zimą spacerowałyśmy całymi godzinami.

Lucile zawsze lubiła się włóczyć po Paryżu, poznawać nowe dzielnice, przystawać, żeby się napić soku owocowego czy gorącej czekolady, ruszać dalej, znów iść, pozwalać się nieść i upajać fizycznemu zmęczeniu. Razem i osobno chodzenie to bez wątpienia czynność, którą ja i Manon dzieliłyśmy z nią najczęściej.

Był to łagodniejszy okres, kiedy to wszakże twarz Lucile zniecka gasła lub się zamykała, zniechęcenie potrafiło ją zniszczyć, na przykład podczas deszczowego dnia, gdy nagle

porzucała swą powściągliwość i wyrażała gniew, ponieważ czuła się odepchnięta bądź zlekceważona. Wiedzieliśmy, w jak dużym stopniu życie Lucile opiera się przede wszystkim na dawkowaniu, jak bardzo wszystko to jest kruche. Lucile była tam jednak na swój sposób: cenną i nigdy nienarzucającą się obecnością. Był to czas wyciszenia, który pozwolił nam nabrać sił.

Po raz kolejny jednak, ogarnięta falą bólu i poczucia winy Lucile roztrzaskała w drobny mak pierwsze oznaki potem, zapowiedź możliwej odbudowy.

Lucile znów zaczęła pić, Manon przekonała się o tym tuż po powrocie z wakacji. Gdy spróbowała z nią porozmawiać, Lucile odrzekła, że skończyła czterdzieści lat, nie ma przyjaciół, nie ma kochanków, wykonuje śmiertelnie nudną pracę, jest więc zupełnie normalne, wręcz pożądane, żeby uciekła w świat wyobraźni. Lucile niczego przed nami nie ukrywała, przeciwnie, nie mogliśmy nie zauważyć prowokacji, polegającej na odkapslowywaniu na naszych oczach kolejnych butelek piwa czy na pozostawieniu w łazience artykułu na temat niebezpieczeństw regularnego zażywania rohypnolu, leku nasennego, który brała od lat, i zagrożeń związanych z łączeniem go z alkoholem. W jej zachowaniu dostrzegłam najpierw rodzaj wołania o pomoc, brak zgody na to, że dorastamy i oddalamy się od niej, nieokreśloną chęć odwrócenia ról, przykucia naszej uwagi. Przez kilka tygodni Manon informowała mnie na bieżąco o postawie Lucile, która była coraz bardziej wykrętna i tajemnicza. Co do świata wyobraźni, Lucile roztrząsała złe intencje, przypisywane nielicznym otaczającym ją osobom, uważała się za ofiarę szpiegostwa i rozmaitych prób oszustwa, nie mówiąc już o gazie, który wielokrotnie zastała u siebie odkręcony.

Następnie Lucile wbiła sobie do głowy, że Ma-non pali crack, następnie Lucile wyrzuciła Manon za drzwi i odesłała do Gabriela.

Wydawca, u którego Lucile pracowała od kilku lat, zwolnił ją z powodów ekonomicznych, podobnie jak siedemnastu innych pracowników. Ogarniał ją lęk.

Będąc w stanie pobudzenia, który nie wróżył nic dobrego, agresywna, podejrzliwa Lucile mnożyła tajemnice na temat swego życia osobistego, wymyślała sobie wytworne spotkania i sekretne plany, o których wspominała nam jedynie półsłówkami, postanowiła wypowiedzieć umowę najmu mieszkania, chce je bowiem opróżnić z powodów, których nie może wyjawić, chociaż to wielka nowina, która powinna jej pozwolić obsypać każdą z nas prezentami. Kilka dni później Lucile zdecydowała oddać wszystkie swoje rzeczy (meble, ubrania, sprzęt AGD) do Emmaus i umówiła się na spotkanie ostatniego dnia okresu wypowiedzenia. Ma na oku coś wielkiego. Od przyjaciółki, z którą zamierzała wejść w spółkę, dowiedzieliśmy się, że Lucile planuje okraść Muzeum Życia Romantycznego, aby zagarnąć biżuterię Georges Sand. Nie zgodziła się na wizytę Lianę, która zjawiała się regularnie, żeby jej pomóc, odkładała słuchawkę, gdy ludzie dzwonili, niepokojąc się o jej samopoczucie.

W ciągu paru dni Lucile stała się nieuchwytna. Pewnego wieczoru, kiedy udało mi się ją namówić na spotkanie w Cafe du Commerce, Lucile wyjaśniła, że dzięki zajęciom wyrównawczym, na które uczęszczała kilka miesięcy wcześniej, teraz kontroluje cały system mikroinformatyczny Armanda Colina. Całe jej życie znajduje się zresztą obecnie pod

wpływem logiki informatycznej, w związku z czym wystarczy, że naciśnie parę guzików, aby wywołać rozmaite incydenty, mimo to zdarza się, że się myli, a wtedy, jak wyjaśniła, zapalają się mrugające światełka. Na razie nie ma powodu do paniki. Przyznała się, że odstawiła leki. Nie może dłużej żyć jak warzywo, nie chce więcej takiego życia, którym rządzą neuroleptyki, chce przeżywać różne rzeczy, czuć je, żyć.

Kilka dni później Lucile poinformowała mnie przez telefon, że rozważa przeniesienie się do służbówki, lecz nie chciała mi podać adresu. Justine i Violette zamierzały się zacząć pod jej pracą, aby namówić ją do pójścia do szpitala, tylko że Lucile nie zjawiała się tam od paru dni i zniknęła.

Przez przypadek, zapewne nie jedyny, w tej samej chwili padłam ofiarą bardzo silnej infekcji, która w ciągu kilku tygodni zawiodła mnie pewnego październikowego poranka karetką na ostry dyżur do szpitala Boucicaut. Infekcja zaatakowała wątrobę, byłam żółta i nie mogłam wykonać żadnego gestu zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Sparaliżowana bólem, nie zawiadomiłam Lucile - według ostatnich doniesień przemierzała XIV Dzielnicę, śledząc jakiegoś kloszarda, w którym się zakochała - lecz Berenice, siostrę Gabriela, która opiekowała się nami, kiedy uczęszczaliśmy do lecznicy dentystycznej przy Akademii Medycznej i której obecność wielokrotnie okazała się dla mnie zbawienna. Natychmiast przyjęto mnie na oddział.

Jeszcze tego samego wieczoru albo nazajutrz w pokoju, który miałam szczęście zajmować sama, zjawiała się wzburzona, nieprzytomna z wściekłości Lucile. Violette, która właśnie przysłała mnie odwiedzić, pozwoliła się wyrzucić za drzwi, zasypana gradem wymówek i obelg. Była lekko zaniepokojona, że zostawia mnie samą z Lucile, która właśnie podniosła rękę, by mnie spoliczkować (jej dłoń zastygła w powietrzu), wyrzucając mi, że jestem chora, i zachęcając, bym się zastanowiła, kto na tym skorzysta.

- Zrób mi ten cały cyrk, ostry dyżur, kroplówkę - rzuciła, ledwie drzwi się zamknęły.

Odmówiłam wszelkiej dyskusji. Zrezygnowałam z walki, ledwie mogłam ruszyć małym palcem, sytuacja miała tę zaletę, że była jasna, chciałam, żeby wszyscy się ode mnie odczepili, zapomnieli o mnie, chciałam się znaleźć z dala od obszernego pola bitwy, którą właśnie toczyła Lucile. Szpital gwarantował mi w pewnym sensie neutralną, chronioną przestrzeń, krótko mówiąc - wyjście polegające na wycofaniu się.

Kiedy tak leżałam przykuta do łóżka z potężną kroplówką antybiotyków i patrzyłam na matkę, która dostawała piany na ustach i krążyła po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce, nagle cała sytuacja wydała mi się w najwyższym stopniu patetyczna, a z punktu widzenia, do którego doszliśmy, komiczna.

Lucile, półprzytomna, z oczami wytrzeszczonymi z braku snu, z paczką papierosów pod pachą, zniknęła tak samo, jak się pojawiła, rzuciwszy mi mordercze „kretynka”.

Violette wróciła do pokoju po odejściu Lucile, którą spotkała pod schodami, a która zwymyślała ją od żalonych tłusciochów, co wcale nie było prawdą.

Lucile zjawiała się jeszcze wielokrotnie, coraz bardziej pobudzona, podarowała mi kopię tancerki Degasa, wykonaną z żywicy i sprzedawaną w muzeum w Luwrze, domagając się,

żebym ją postawiła na telewizorze (dla Manon kupiła kopię figurki egipskiego kota, wykonanej 300 lat p. n. e.). Lucile oznajmiła, że dzięki odszkodowaniu za zwolnienie z pracy oraz innym tajemniczym dochodom wkrótce będzie mogła nam ofiarować mnóstwo prezentów, opowiedziała mi o Grahamie Hardym, swoim kloszardzie alkoholiku i skrzyпку, który mieszkał w jednym z ostatnich domów zajętych przez nielegalnych imigrantów w XIV Dzielnicy, pomiędzy ulicą Ouest a ulicą Gergovie. Graham był upadłym potomkiem starego szlacheckiego rodu, żył z zachwycającej muzyki, którą grał w metrze, po okolicy krążyły słuchy, że podobno uciekł ze Szkocji, zabijwszy człowieka. W ciągu paru odwiedzin Lucile przyniosła mi stos niepotrzebnych rzeczy pochodzących z jej domu: właśnie opróżniała mieszkanie. Pozwalałam jej zasłać moje łóżko papierami, kartonami czy plastikowymi pojemnikami.

Pewnego wieczoru, nie wiedząc, co robić, zadzwoniłam do Justine, a potem do Violette, które miały własne życie, własne kłopoty, własne zmartwienia i wcale im się nie śniło podpisywać zgodę na przymusowe zamknięcie siostry w szpitalu psychiatrycznym. Widząc ich wahanie, ryknęłam, że już dłużej nie mogę, mam dwadzieścia jeden lat, jestem śmiertelnie zmęczona i nie zgadzam się dźwigać ten ciężar sama. Na zimno doszliśmy do wniosku, że jedynym miejscem, gdzie można ujarzmić Lucile, jest mój szpitalny pokój. Nie zapowiadało to wprawdzie najlepszych warunków do odpoczynku przed czekającą mnie operacją, lecz nie miałyśmy wyboru. Lucile na pewno wkrótce wróci.

Nazajutrz Lucile wparowała do mojego pokoju o dziesiątej rano, sina jak jeszcze nigdy, wstrząsana dreszczami. Przypomniałam jej, że odwiedziny przed godziną trzynastą są zabronione, i poprosiłam, by wróciła po południu. Lucile się zgodziła, ale przedtem pozbyła się tego, co mi przyniosła: spryskiwacza do roślin, bonsai Manon, serii niezidentyfikowanych starych pluszaków, talii absolutnie specjalnych kart, które pozwalają przepowiadać przyszłość, całej sterty niepotrzebnych dupereli. Miała ich pełne kieszenie. Lucile oznajmiła, że wygrała na loterii, trzydzieści tysięcy franków na czysto, bo udało jej się wysadzić centralę Macintosha. Ponieważ jej przypadek jest całkowicie wyjątkowy i na pierwszy rzut oka bez precedensu, dyrekcja Macintosha zaproponowała jej bardzo kreatywną i mało czasochłonną posadę. Obiecała wrócić trochę później, tymczasem ja powiadomiłam Justine.

Popołudniowe czekanie na Lucile było straszne. Justine przybyła niedługo po moim telefonie, godziny upływały nam na czyhaniu na moment, kiedy drzwi się otworzą i Lucile wpadnie w sidła, któreśmy na nią zastawiły. Po raz kolejny byłam winna potężnej zdrady.

Pod koniec dnia, podczas gdy napięcie, w jakim się znajdowałyśmy, nieustannie rosło, w moim pokoju zjawily się niespodziewanie dwie koleżanki z klasy. Towarzyszył im Barnabę, chłopak, którego poznałam parę tygodni wcześniej i z którym miałam nadzieję się zaprzyjaźnić. Kiedy próbowałam im wytłumaczyć, że lepiej by było, gdyby wrócili innego dnia, Lucile wtargnęła niczym furia, z naręczem plakatów i roślin.

- Zjeżdżać stąd wszyscy, migiem!

W kilka minut znalazłam się na korytarzu, przywiązana do stojaka z kroplówką, gdy z kolei w pokoju Lucile rzuciła się na Justine, gryząc, drapiąc i wymyślając jej od najgorszych. Justine krzyknęła, żebym wezwała pomoc psychiatryczną, jedna z koleżanek pobiegła do recepcji. Drzwi się zamknęły, zostałam na korytarzu zgięta w scyzoryk z bólu i lęku, z sercem

łomoczącym jak szalone, obok Barnabego, który najwyraźniej nagle zdał sobie sprawę, że być może wcale nie jestem panienką z dobrego domu, jaką spodziewał się poznać. Zwabieni hałasem pielęgniarki przybiegli na ratunek, wtem drzwi się otworzyły, ukazując Lucile, która leżała na ziemi i zdawała się z tego zadowolona.

Przez kilka sekund otaczająca panika przestała do mnie w ogóle docierać: wyciągnięta na podłodze Lucile, dla której wywołane przez nią samą zamieszanie stało się zniecka obce, uśmiechała się do mnie, był to dziwny, nieskończenie łagodny i bezbronny uśmiech. Czas się zatrzymał.

Justine poprosiła pielęgniarzy, żeby nie zostawiali jej samej. W korytarzu widziałam jej bladą, zniekształconą smutkiem twarz, pojęłam, jak trudne jest dla Justine tam stać, odgrywać tę rolę, przyjąc na siebie tę odpowiedzialność, oraz to, z jaką brutalnością chwila ta wpisuje się w minione cierpienia. Na korytarzu podeszła do nas Violette, pielęgniarka została z Lucile, czekaliśmy na przyjazd karetki.

* * *

Kiedy Lucile wyszła z pokoju i zaczęła spryskiwać wszystkich spryskiwaczem do roślin, jakiś przytomny lekarz chwycił mnie za ramiona, zaprowadził do małej salki, posadził siłą i przykazał się stamtąd nie ruszać.

Lucile zgodziła się w końcu zejść na ostry dyżur, gdzie podjechała karetka, która miała ją zawieźć do św. Anny. Barnabę uciekł, sytuacja go bowiem przerosła. Jedna z koleżanek została ze mną przez chwilę, tymczasem Justine i Violette podążyły za karetką, żeby być obecne przy przyjęciu Lucile. Potem zaś koleżanka musiała wrócić do domu.

Najtrudniejszym momentem było przekroczenie progu samotności, potrzebowałam jej jednak, żeby płakać.

Wieczorem pielęgniarka sprawiająca wrażenie doświadczonej przyniosła mi środek nasenny, którego nie wzięłam. Nazajutrz, wcześniej rano do moich drzwi zapukała kobieta o słabym głosie.

- Dzień dobry, jestem szpitalnym psychologiem. No cóż, podobno wczoraj wieczorem był drobny problem z pani mamą? Chce pani o tym porozmawiać?

Odparłam z westchnieniem, że nie, dziękuję, wszystko w porządku. Zagrałam tak jak Lisbeth: kwestia przyzwyczajenia.

Aby napisać te strony, przeczytałam na nowo po kolei kilka zeszytów dziennika, który przez długi czas prowadziłam. Oszołomiła mnie dokładność, z jaką przez wiele lat niemal codziennie przelewałam na papier najbardziej znamienne wydarzenia, ale także anegdoty, wieczorki, filmy, kolacje, rozmowy, pytania, najdrobniejsze szczegóły, tak jakbym musiała uwiecznić to wszystko, tak jakbym nie chciała dopuścić, żeby sprawy mi się wymknęły.

Prawda jest taka, że zapomniałam sporą część tego, co zawierały te kartki, a z czego moja pamięć zachowała jedynie to, co najbardziej uderzające, i parę bardziej lub mniej nieskalanych scen, podczas gdy reszta dawno poszła w zapomnienie. Kiedy czytam te

opowieści, uderza mnie zrazu jedno: naturalna eliminacja narzucona przez ludzki organizm, zdolność do przykrywania, wymazywania, syntetyzowania, jaką posiadamy, umiejętność dokonywania selekcji, która pozwala bez wątpienia uwolnić przestrzeń zupełnie jak na twardym dysku, zrobić wolne miejsce, iść naprzód. Czytając te strony, z dala od Lucile, odnalazłam studenckie życie, panięskie troski, miłosne uniesienia, przyjaciół, tych, którzy ciągle są przy mnie, i tych, których nie potrafiłam zatrzymać, błyskotliwość toczonych przez nich rozmów, świąteczne porywy, bezgraniczny podziw, który dla nich żywiłam, radość i wdzięczność wypływające z faktu, że mam ich przy sobie.

Pomiędzy kartkami zeszytów znalazłam kilka listów, które Manon napisała do mnie w okresie, gdy Lucile zmusiła ją do opuszczenia domu, i w ciągu paru następnych tygodni. Manon miała wtedy siedemnaście lat. Czując jej rozpacz, płakałam tak mocno, jak już dawno mi się nie zdarzyło płakać.

Myślę, że Manon była związana z Lucile bardziej, niż ja byłam kiedykolwiek, że wchłonęła jej cierpienie bardziej, niż ja kiedykolwiek na to pozwoliłam.

Cokolwiek powiem i jakkolwiek będę udawać zucha, zagłębianie się na powrót w te wspomnienia, wydobywanie na powierzchnię tego, co się rozmyło, zatarło, co zostało przysłonięte, sprawia ból. W miarę jak posuwam się naprzód, doznaję szoku pod wpływem pisania (i poszukiwań, które ono narzuca), nie mogę ignorować najważniejszego czynnika zakłócającego równowagę, który ono dla mnie stanowi. Pisanie mnie obnaża, burzy po kolei bariery ochronne, niszczy po cichu mój własny krąg bezpieczeństwa. Musiałam się czuć szczęśliwa, silna i pewna, żeby się porwać na podobną przygodę, musiałam być przekonana, że mam margines, aby wystawić w ten sposób na próbę swoją odporność, jakby istniała taka potrzeba. W miarę jak posuwam się naprzód, spieszo mi wrócić do terażniejszości, oddalić się, odłożyć wszystko na swoje miejsce, w teczki, w kartony, zanieść do piwnicy to, co trzeba.

Tymczasem ważę każde słowo, bezustannie się cofam, poprawiam, wyjaśniam, uściślam, odrzucam. Nazywam to „wozem technicznym”; przydał mi się przy wszystkich książkach i jest moim cennym sprzymierzeńcem. Tym razem zastanawiam się jednak, czy nie zmylił kierunku. Patrzę, jak nocą na próżno zatacza koła, dopadają mnie wątpliwości, zrywam się nagle o czwartej nad ranem, postanawiam zrezygnować, hamuję obiema nogami, albo przeciwnie, zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam przyspieszyć, wypić dużo wina i wypalić tony cygar, czy nie należy pisać tej książki w pośpiechu, w nieświadomości i w zaprzeczeniu.

Nadal nie jestem w stanie zgłębić zmyśleń Lucile, chociaż wymieniłam ich główne motywy (chęć władzy i kontroli, nadnaturalne zdolności, pieniądze, które płyną strumieniami, możliwość obsypania nas prezentami).

To także to, zaburzenia umysłowe, tak jak opisała je Barbara, „ów wybuch gej zera nieśmiałego lub długo tłumionego wewnętrznego protestu, nagły i brutalny wyraz niezgody na to, by nami ciągle manipulowano lub nas niszczone, przejawiający się zmianą tonu, wysokością dźwięku, nieznośnych dla normalnych uszu”.

Miałam nadzieję, że pisanie pozwoli mi usłyszeć to, co mi umknęło, owe ultradźwięki

niezrozumiałe dla normalnych uszu, tak jakby godziny spędzone na przetrząsaniu tych skrzyń albo na siedzeniu przed komputerem mogły mnie w końcu wyposażyć w wyjątkowy, bardziej wrażliwy słuch, taki, jaki posiadają niektóre zwierzęta i bodajże psy. Nie jestem pewna, czy pisanie pozwala mi na coś więcej niż stwierdzenie porażki. Trudności w opowiadaniu o Lucile wcale nie są takie odległe od popłochu, w jaki wpadałyśmy, jako dzieci czy nastolatki, kiedy znikala.

Znajduję się na tej samej wyczekującej pozycji, nie wiem, gdzie ona jest, co wyprawia, tym razem godziny także wymykają się opowieści, ja zaś mogę tylko mierzyć wielkość niewiadomego.

W czasie ostatniego pobytu u św. Anny, pośród unicestwionych marzeń i pozostałości po obłędzie, który wreszcie ustąpił, Lucile przyznała się doktor G. do wyczerpania. Nie chciała wracać do milczenia, do pustki okaleczonego z wrażeń ciała, do odnajdywania w lustrze własnej twarzy, pozbawionej emocji i wieku. Nadszedł czas zakończyć ten cykl, tę powtarzalność. Gdyby miała wybierać, wolałaby umrzeć.

Doktor G. usłyszała niemal zgaszony głos Lucile i całkowicie zmieniła sposób leczenia. Lucile przez długi czas podziwiała tę kobietę, której inteligencję i kulturę wychwalała, która potrafiła dostrzec prawdziwy rozmiar jej wewnętrznej katastrofy i wszystko podważyć.

Doktor G. leczyła ją przez wiele lat, była dla Lucile odpowiednią rozmówczynią, która w pełni pojmowała jej lęki i szalone pomysły, i towarzyszyła jej krok po kroku w powrocie do życia.

* * *

Tak więc po dziecięcim latach grzęźnięcia w bagnie Lucile powróciła z daleka, powróciła ze wszystkiego, pozostawiwszy za sobą godziny wśród cieni. Lucile, która nigdy nie umiała się wspinać po linie, wydostała się z głębin, tak naprawdę nie wiadomo jak, za sprawą jakiego porywu, jakiej energii, jakiego ostatniego instynktu przetrwania.

To była walka, to była długa i stopniowa droga ku światłu, to był niesamowity wyczyn, widowiskowa lekcja życia, to było odrodzenie.

Po wyjściu ze szpitala odzyskała swe mieszkanie przy ulicy Entrepreneurs (Justine zdołała przekonać właścicielkę, by nie brała pod uwagę wypowiedzenia umowy najmu, które skierowała do niej Lucile). Ma-non, która zdążyła już osiągnąć pełnoletność, mieszkała z nią przez kilka miesięcy.

Nie mam pojęcia, w jakich okolicznościach Lucile znalazła pracę asystentki w agencji PR. Była osłabiona, skupiła się na rzeczach najistotniejszych, na słowach, na codziennych gestach, na jeździe metrem, na komputerze, na kolegach, z którymi należało nawiązać choćby minimalny kontakt. Widywała doktor G. raz w tygodniu, mogła do niej zadzwonić, gdyby poczuła, że leci w dół.

Następnie, powoli i ostrożnie, Lucile zwiększyła margines manewru i poszerzyła zakres działania.

Lucile odkryła w sobie pasję do ogrodnictwa, flancowała, przycinała krzewy, pilnowała młodych pędów, zdobiła okna bujnym listowiem i opadającymi kaskadą kwiatami.

Lucile nosiła nowe ubrania, wróciła do fryzjera.

Lucile znów zaczęła się spotykać z przyjaciółmi, wychodzić w ich towarzystwie.

Lucile pokupowała sobie szminki, którymi malowała usta wielokrotnie w ciągu dnia i które już zawsze miała w torebce.

Lucile znowu zaczęła chodzić na obcasach.

Lucile przemierzała Paryż z nami lub bez nas.

Lucile znów zaczęła czytać i pisać.

Lucile opalała się w oknie.

Lucile zrobiła sobie zęby.

Lucile spryskiwała się Miss Dior.

Lucile sypała historyjkami, anegdotami, kawałami, wypowiadała kąśliwe uwagi.

Lucile wybuchała śmiechem.

Lucile wyjechała wraz z Manon do przyjaciół do Dorset.

Podobnie jak my wszyscy, Lucile oglądała widowiskowy szpagat, który Lianę, ubrana w obcisły zielony trykot, wykonała na swoje siedemdziesiąte urodziny.

Lucile wyjechała z przyjaciółką do Indii (podróż poruszyła ją do tego stopnia, że o mało na nowo nie wpadła w obłąd).

Lucile znów zaczęła się interesować prasą i uległa urokowi Joshki Schidlowa (krytyka z „Teleramy”), do którego napisała prawdopodobnie jeden czy dwa listy.

Za pieniądze z trzynastki Lucile wymieniła starą zmywarkę na nową.

Lucile wyjechała na kilka dni do pewnej rodziny mieszkającej w Petersburgu (wróciła z tej podróży oczarowana).

Lucile poznała nowych przyjaciół (zawsze posiadała umiejętność rozpoznawania tych, którzy, w odmienny sposób i na różnym poziomie, będą z nią dzielić na nowo maleńkie ziarno szaleństwa zdolne przystopować mechanizm).

Lucile zakochała się w miejscowym aptekarzu, którego bezskutecznie usiłowała uwieść.

Lucile przeżyła znów parę miesięcy z Edgarem, malarzem akwarelistą, tym razem próbując go wyciągnąć z alkoholizmu, również bez większych sukcesów, do końca jednak darzyła go głębokim uczuciem.

W czasie swych wędrówek Lucile miała wielu kochanków.

Tym razem terapia Lucile nie zbudowała wokół niej niepotrzebnej fortecy na receptę, w której tkwiła zamknięta przez tak długi czas. Może była to zasługa litu i molekuł. Lubię jednak wierzyć, że poza chemią coś w niej zakiełkowało, jęło stawiać opór.

Podczas pewnego Bożego Narodzenia w Pierremont, kiedy to zebraliśmy się wokół bogactwa najbardziej uroczystych i delikatnych potraw, prawdopodobnie ubrani w kolory odpowiednie na tę okazję, rozegrała się scena, która miała zaważyć na historii rodziny.

W czasie wieczery wigilijnej panowała nerwowa atmosfera, co nie było niczym niezwykłym: gdy tylko rodzina się zbierała, powietrze stawało się najpierw naładowane radosną elektrycznością, która doprowadzała wkrótce do snu. Odnosiłam wrażenie, że z każdym rokiem mojej rodzinie coraz trudniej przebywać wspólnie więcej niż parę godzin.

Tym razem dyskusja skryształizowała się wokół obecności pierwszej żony Barthelemy'ego, której Georges nigdy nie cierpiał, a która nalegała, by spędzić Boże Narodzenie w Pierremont wraz z naszym kuzynem, chociaż Barthelemy przyjechał z nową towarzyszką życia.

Zdarzyło nam się już stąpać po gorszym polu minowym i niejedno z nas przystosowało się do tej sytuacji bez trudu — wszyscy nadal darzyliśmy głębokim uczuciem pierwszą żonę, co nie przeszkadzało nam w niczym kochać drugiej - gdyby Georges nie skupił nienawiści i żalu na nieproszonym gościu.

Stopniowo napięcie wzrosło do tego stopnia, że Georges w końcu wstał od stołu, przedtem jednak wypowiedział pewne typowe dla niego zabójcze zdanie, które poraziło zebranych niczym piorun.

Wtedy Lianę, której przez całe życie nie widziałam płaczącej, zaniósł szloch. Zakryła oczy dłońmi, co udzieliło się ze zdumiewającą prędkością, zupełnie jak przy klockach domina, które upadają jeden za drugim, i wszyscy albo prawie wszyscy biesiadnicy wybuchnęli płaczem.

Po czym Lianę odsunęła dłonie od oczu, niewiarygodnie promiennych i błyszczących, obdarzyła nas swym najpiękniejszym uśmiechem i rzekła:

- To nic takiego, już po wszystkim.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że lata dziewięćdziesiąte były świadkiem gwałtownych narodzin nowej Lucile, tej z potem, tej, której część przyjaciół nigdy się nie dowiedziała, przez co przeszła, tej, która odcisnęła piętno na naszym dorosłym życiu i którą znały nasze dzieci.

Nie mam pojęcia, co dokładnie łączy tę Lucile z tamtą, którą była przed. Nie potrafię powiązać tych obrazów z obrazami, które zapamiętałam z dzieciństwa, z żółtawym halo, w którym je odnajduję, rozmyślnie je rozdzielam.

Nie ma to jednak znaczenia. Lucile przekroczyła czterdziestkę, znów stała się piękną, zgrabną kobietą, której wzrok nadal robił wrażenie, której widok pozwalał się domyślać, że kiedyś była jeszcze piękniejsza, to nie była kwestia wieku, lecz jakiejś rysy, każdy, kto spotykał Lucile po raz pierwszy, dostrzegał jej urodę i zarazem niezatarty ślad upadku. Lucile spacerowała po linie, z wdziękiem, odrobinę prowokująca, bez siatki zabezpieczającej.

Lucile miewała kaprysy, fobie, pyskówki, przypływy chandry, lubiła mówić dziwne rzeczy - w które sama wierzyła bardziej lub mniej - pleść duby smalone i opowiadać niestworzone historie, gryzła się, nie szczędziła docinków, ocierała się o granice, igrała z ogniem. Lucile lubiła płynąć pod prąd, walić prosto z mostu, zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana, niekiedy spoglądała nam wyzywająco w oczy, z upodobaniem wprawiała nas w popłoch i domagała się wyjątkowości.

Lucile nie lubiła tłoku, tłumy, ludzi, wielkich nasiadówek, uciekała przed życiem towarzyskim, pozwalała się oswajać sam na sam, albo też podczas spaceru, w ruchu. Lucile trzymała swoje uczucia w tajemnicy, nigdy nie zdradzała tego, co najbardziej intymne, zachowując najskrytsze myśli tylko dla niektórych. Stanowiła osobliwą mieszaninę chorobliwej nieśmiałości i afirmacji samej siebie.

Musiałśmy ją nauczyć ufać, nie bać się powrotu choroby. Musiałśmy się nauczyć

uśmiechać na widok jej błazeństw, bzików, fantazji, rozumieć jej nieufność, szanować jej ekstrawagancje, bez podejrzwania od razu, że zboczyła z drogi albo po raz kolejny się stoczyła. Lucile uczyła się wystawiać na próbę własne ograniczenia, lepiej je poznawać, sama dostrzegać, kiedy pograża się w smutku czy przeciwnie, kiedy ogarnia ją nadmierne pobudzenie, i odwiedzać doktor G. za każdym razem, gdy czuje się zagrożona.

W ciągu tych lat Manon wyprowadziła się od Lucile i pomieszkiwała to tu, to tam, poszukując odpowiedniej drogi, pełnej własnych meandrów.

Rozpoczęłam pracę, poznałam ojca moich dzieci, zamieszkałam z nim, zbudowałam u jego boku własne życie, pokochałam go namiętnie i byłam nadzwyczaj szczęśliwa.

Manon i ja stałyśmy się dorosłe, silne miłością do Lucile, kruche, ponieważ zbyt wcześnie się dowiedziałyśmy, że życie może się zawalić bez uprzedzenia i że nic wokół nie będzie całkiem stałe.

Lucile podążała za nami na swój sposób, zapraszała na kolacje, składała nam wizyty podczas swych weekendowych włóczęg. Nigdy nie należała do tych zaborczych matek, które wydzwanają co drugi dzień i które trzeba informować o każdym drobiazgu. Razem z Manon, podobnie jak ze mną, lubiła wyskoczyć na jednego i spacerować po ulicach ot tak, bez konkretnego celu.

Kiedy jechałyśmy z nią do Pierremont na weekend, na rodzinną uroczystość czy parę dni wakacji, Lucile zdawała się stąpać po terytorium wroga. W Pierremont zamykała się w sobie, pokazując swe najbardziej defensywne, najbardziej agresywne cechy. Na łonie rodziny stawiała się na powrót istotą będącą stale w pogotowiu, o starganych nerwach.

Lucile wołała widywać swe rodzeństwo sam na sam, u nich lub u siebie, utrzymywała z każdym szczególne relacje, przepełnione miłością, wdzięcznością i żalem. Nie była łatwa w obejściu, narzucała własny rytm i często występującą drażliwość.

Przez kilka tygodni Lucile martwiła się o Lisbeth, która według przyjaznych źródeł, szykowała się do popełnienia samobójstwa. Starsza siostra od paru lat mieszkała na Południu, jej dzieci, a następnie dzieci drugiego męża, opuściły dom. W przededniu pięćdziesiątych urodzin Lisbeth oświadczyła, że dłużej tak nie da rady. Nie ma ochoty się zestarzeć. W ciągu tygodni poprzedzających urodziny rzuciła pracę i załatwiła pewną liczbę formalności. W rodzinie wiadano, że Lisbeth ma depresję, jej zamiary w końcu wyszły na jaw, nasiliły się telefony. W wigilię urodzin do domu Lisbeth wparowały dwie przyjaciółki i zamieszkały tam na siłę. W dniu ukończenia pięćdziesięciu lat przyjęcie-niespodzianka, zorganizowane przez dzieci, wycisnęło z niej strumienie łez. Przyjaciółki spędziły u niej kilka dni, Lisbeth zrezygnowała ze swego planu.

Następnego lata Lucile pojechała do siostry na parę dni, po czym powtarzała tę wizytę niemal co roku.

(W czasie rozmów, prowadzonych na temat tej książki, Lisbeth, którą niełatwo sprowokować, z właściwym sobie poczuciem humoru do dwunastej potęgi, które opanowała do perfekcji, oświadczy, robiąc aluzję do samobójstwa Lucile:

-Wysadziła mnie z siodła, zawsze wysadzała mnie z siodła).

W swoim mieszkaniu Lucile zajmowała się różnymi porządkami i przestawianiem mebli, przystępowała do malowania lub uprawy roślin, krótko mówiąc - ciskała się. „Ciskać się” to bardzo popularny zwrot w mojej rodzinie; nie mam pojęcia, skąd się wziął, znaczy zaś tyle co: rozpocząć kilka czynności, nie poświęcając się żadnej z nich, albo też miotać się z byle powodu. Lucile ciskała się zatem, co stanowiło wspaniałą nowinę: miała dość energii, żeby móc ją marnować.

Trzeba było widzieć, jak Lucile wsiada do metra w godzinach szczytu, jak przywłaszcza sobie jedyne wolne miejsce lub uchwyt przy poręczy, tak jakby jej się to bezapelacyjnie należało albo przysługiwało na mocy statusu rozbitka, tylko jej wiadomego.

Trzeba było widzieć, jak Lucile idzie ulicą zarazem taka energiczna i taka mało pewna siebie, pochylona do przodu, z torebką przyciśniętą do biodra, jak przebija się przez tłum, prze prostą do celu niczym buldożer.

Trzeba było widzieć, jak Lucile rozpycha się łokciami w ciasnej kolejce pod kinem albo przed kasą w supermarkecie i jak jednym spojrzeniem zniechęca każdego, kto chciałby ją wyprzedzić albo, zatopiwszy się w słodkich myślach, przekroczyć choćby o parę centymetrów granice tego, co uznała za własne terytorium.

Trzeba było widzieć, jak Lucile leży na skwerkowym trawniku albo siedzi na ławce z twarzą wystawioną do słońca, jaką sprawia jej to przyjemność, jakie daje ukojenie.

Pewnej soboty w południe odebrałam telefon od matki, która właśnie pojechała do przyjaciółki na plac Republiki i uświadomiła sobie, że zostawiła czajnik na gazie. Czy mogłabym wszystko rzucić i czym prędzej pobiec do jej kuchni? Wyczerpana męczącym tygodniem, wpadłam w straszliwą furję: „Wiesz, co ci powiem? Jesteś upierdliwa, wiecznie zawracasz dupę, rzygać mi się chce, tak jakbym nie miała nic lepszego do roboty!” (zapisane słowo w słowo w moim dzienniku). Poczawszy pewną ulgę, chwyciłam klucz, który Lucile dała mi wcześniej, i poszłam wyłączyć gaz.

Ponieważ Lucile umiała wytrzymać cios, uzbroić się, stawić opór, mogłyśmy się z nią kłócić, wyrażać sprzeciw, podnosić głos. Nie żebyśmy ją oszczędzały, kiedy pogrążała się w milczeniu, lecz nasz bunt był wtedy bardziej głuchy, stłumiony (i prawdopodobnie bardziej gwałtowny).

* * *

Innego znów dnia to Lucile wpadła w silną wściekłość, bo spóźniłam się pięć minut. Na każde spotkanie, skarżyła się, przychodzę spóźniona pięć albo dziesięć minut. Była to prawda. Rolą matek jest czekać, dzwonić, zamartwiać się (świadomie czy nie, długo starałam się posadzić Lucile na miejscu, które, jak sobie wyobrażałam, było przeznaczone dla niej).

Kilka tygodni później, na ławce na skwerze Saint-- Lambert, oznajmiłam Lucile, że jestem w ciąży. Za-łkała krótko, schowała twarz w dłoniach, żeby ukryć wzruszenie. Po czym odwróciła się do mnie i zapytała: - Pozwolicie mi go popilnować?

Kiedy urodziła się moja córka i kiedy podano mi jej drobne ciało do przytulenia, wypowiedziałam na głos słowa, które napęłniły mnie zgrozą: „moje maleństwo”.

„Moje maleństwo”, właśnie tak nazywała mnie Lucile, gdy byłam dzieckiem, a także o wiele później, w chwilach zwierzeń bądź ukojenia. Przed narodzinami dzidziusia nie wiedziałam, czy będzie dziewczynką czy chłopcem. Bez względu na płeć nie zastanawiałam się ani sekundy, jakiego rodzaju głupim zdrobnieniem będę go nazywać: „mój kotku”, „mój króliczku”, „moje serduszko”, „moje kochanie”, „mój cukiereczku”, „mój skarbeńku”, „moje śliczności”, „mój aniołku”.

Moje dziecko okazało się dziewczynką, a pierwsze wypowiedziane przez mnie słowa brzmiały: „moje maleństwo”.

* * *

Odkąd ukończyłam czternaście lat, moim największym zmartwieniem, najważniejszym celem stało się nie być podobną do matki. Nie chciałam w niczym przypominać Lucile, ani wyglądem, ani psychiką, każde zaś nieopatrzne porównanie między nami przyjmowałam jako zniewagę. W rzeczywistości podobieństwo między mną a Lucile, które podkreślał niekiedy mój ojciec (a które tylko on dostrzegał, ponieważ fizycznie jestem najbardziej podobna do niego), nie było komplementem.

Przez lata wstydziałam się za matkę przed ludźmi i wstydziałam się tego, że się wstydzę. Przez lata usiłowałam wypracować własne gesty, chód, oddalić się od widma, którym była w moich oczach. Nawet teraz, kiedy czuła się lepiej, nie chciałam jej więcej przypominać, pragnęłam stać się jej przeciwieństwem, nie chciałam iść w jej ślady, przeciwnie, unikałam wszelkiego podobieństwa i starałam się podążać w jak najbardziej odwrotnym kierunku.

Przez kilka miesięcy, nieustannie poprawiając więc samą siebie, zmuszałam się, by nazywać córeczkę wszelkiego rodzaju śmiesznymi słowami, aż wreszcie skapitulowałam. Nazywałam córeczkę „moim maleństwem” i tyle, zapewne było to zaraźliwe, bo jej ojciec też.

Kiedy moja córka miała parę miesięcy, powierzyłam ją matce. Nie pamiętam już, w jaki sposób ani jakimi słowami zadałam sobie to pytanie, ani nawet czy w ogóle je sobie zadałam. Lucile lubiła brać moją córkę w ramiona, opiekować się nią, domagała się grania roli babci. Stopniowo zaczęła przychodzić do nas, żeby jej popilnować, kiedy wychodziliśmy wieczorami, później zaś zajmowała się nią we własnym domu. Wówczas Manon okazała swe niezadowolenie: jeśli kiedykolwiek będzie miała dziecko, nigdy nie zdoła go powierzyć Lucile. Zbiła mnie z tropu. Rozumiałam cierpienie Manon, jej lęk i niepewność, pytając sama siebie o własny wybór: instynktowny. (Po latach Manon miała dwie córeczki, których Lucile często pilnowała).

Lucile była wyjątkową babcią, do czego jeszcze wrócę.

Stopniowo Lucile zaangażowała się w organizację profesjonalnego salonu, zarządzanego przez agencję PR, dla której pracowała, zajmując się sprawami reklamy. Lubiała nam opowiadać o napotykanym trudnościach lub odnoszonych sukcesach, o zatargach z szefową, zdradzać szczegóły, które dodawały pieprzyku biurowemu życiu. Nigdy nie traktowała pracy

jako sposobu na realizowanie się, tym razem jednak wyobcowanie miało tę zaletę, że dostarczało jej rozrywki.

Kilka lat później poczuła, że wiatr się zmienił. Krążyły słuchy o poważnych redukcjach personelu, a nawet o nieuchronności zwolnień grupowych. Lucile miała czterdzieści dziewięć lat, słabo znała angielski i opanowała umiejętność obsługi sprzętu komputerowego w stopniu o wiele bardziej ograniczonym niż w jej fantastycznych opowieściach. Poza przestarzałym dyplomem z maszynopisania nie posiadała żadnych kwalifikacji, przerwała naukę na drugiej klasie, a tych parę kursów zawodowych, które zdołała ukończyć, już dawno przestało się liczyć. Tym razem uprzedziła fakty. Zdała odpowiednik matury, co udało jej się bez trudności, po czym stanęła do konkursu w kilku szkołach dla pracowników opieki społecznej. Przystąpiła do egzaminów pisemnych, które zaliczyła śpiewająco, następnie poprosiła nas o pomoc w przygotowaniu do ustnych. Nieśmiałość Lucile na egzaminach stanowiła najpoważniejszą przeszkodę. Manon i ja spędziłyśmy kilka popołudni, usiłując ją skłonić, by przestała dramatyzować, i odgrywając czekające ją rozmowy. Dwa pierwsze egzaminy ustne okazały się katastrofą, zdała zaś trzeci, który otworzył przed nią drzwi szkoły w XVIII Dzielnicy. Potem z kolei ją rozważać rozmaite sposoby finansowania, które pozwoliłyby jej przetrwać trzy lata studiów. Jako że odmówiono jej indywidualnego urlopu naukowego, przystąpiła z wyprzedzeniem do negocjacji w sprawie zwolnienia z przyczyn ekonomicznych, które i tak ją czekało prędzej czy później, za to zapewniało jej dwa lata zasiłku dla bezrobotnych, lecz ani dnia więcej.

Lucile chciała zmienić zawód, mimo wszystko więc postanowiła rozpocząć studia, które wybrała, i zdać się na przypadek: potem się zobaczy.

Wraz z rozpoczęciem roku akademickiego Lucile wsunęła zeszyty i pióra do studenckiej torby i wstąpiła do Wyższej Szkoły Polityki Społecznej przy ulicy Torcy.

Odjęło nam mowę.

Większość studentów z jej roku ukończyło pierwszy rok na wydziale albo licencjat, niektórzy zaś dopiero co zdali maturę. Lucile wkrótce jednak zdobyła sobie paru przyjaciół i utworzyła wokół siebie małą mieszaną bandę, którą miałyśmy kilkakrotnie okazję spotkać.

Nie miała pieniędzy, tylko tyle, żeby przeżyć i od czasu do czasu wpaść do kawiarni. Lucile była lękliwą, pilną studentką, przeświadczoną, że nie potrafi budować ani porządkować myśli. Wyniki w nauce w końcu obaliły jej pierwotne przekonanie — Lucile świetnie dawała sobie radę.

Pewnej lipcowej soboty 1997 roku Lucile wsiadła na rower i wyruszyła na przejażdżkę. Na jednej z ulic XV Dzielnicy wpadła prosto na Neba. Tak bardzo opłakiwany kochanek pedałowal akurat w przeciwną stronę. Czarne włosy zdążyły mu posiwieć, oczy wszakże pozostały takie same: przesywające i zielone.

Nie widzieli się od ponad dwudziestu lat, natychmiast rozpoznali jedno drugie.

Przez kilka miesięcy Lucile i Nebo próbowali uświadomić sobie znaczenie ponownego spotkania. Dla Lucile była to miłość, co do Neba, nie mam pojęcia. Lucile odnalazła dawną kobiecość, którą podkreślała, chodząc w spódnicach i skrapiając się perfumami, podwajając ilość szminki, po raz pierwszy w życiu do mycia naczyń wkładając

rękawiczki (odzyskany kochanek stwierdził, że ma zniszczone dłonie). Zwiedzali wystawy malarstwa, wędrowali pieszo lub na rowerach, w czasie wakacji wyjechali na parę dni do Chamonix, rozmawiali całymi godzinami.

Później Lucile zwierzyła się Manon, że Nebo był dla niej człowiekiem honoru, mężczyzną, któremu wyznała swe najgłębsze cierpienia.

Na trzecim roku studiów zasiłek dla bezrobotnych się skończył, Lucile podjęła zatem kroki, by uzyskać minimalny zasiłek socjalny. Mimo że usiłowała odkładać pieniądze, i tak nie mogła dłużej płacić za wynajem mieszkania przy ulicy Entrepreneurs i wkrótce musiała się przeprowadzić. Niedaleko szkoły znalazła służbówkę bez światła i choćby najbardziej podstawowych wygód. Pod koniec roku akademickiego napisała pracę, która miała być podsumowaniem lat studiów i umożliwić zdobycie dyplomu. Spędzała nad nią całe dnie, aż wreszcie spłodziła około pięćdziesięciu stron (*Umowa o minimalny zasiłek socjalny: w stronę pedagogiki opartej na negocjacjach*), następnie poprosiła, żebyśmy ją przeczytały, skomentowały i poprawiły. Sytuacja się skomplikowała, kiedy przyszło do przygotowań do obrony. Lucile była sparaliżowana strachem. Powtarzała odpowiedzi bez końca, z Manon albo ze mną, z trzęsącymi się rękami, ściskając kurczowo kartkę. Lucile czytała to, co powinna powiedzieć, przekonana, że zmierza ku katastrofie, niezdolna do niepomagania sobie tekstem pisanym. W dniu obrony wpadła w totalną panikę, zamknęła się, zaparła i oblała. Obawialiśmy się najgorszego.

Lucile odłożyła uzyskanie dyplomu na następny rok, znalazła pracę w stowarzyszeniu przeciwdziałającemu wykluczeniu społecznemu, gdzie przydzielono jej stanowisko w recepcji i trochę obowiązków administracyjnych.

Po paru miesiącach dzięki pomocy pracownicy socjalnej, którą poznała na miejscu, a która została jedną z jej bliskich przyjaciółek, Lucile otrzymała dwupokojowe mieszkanie w budynku socjalnym w XIX Dzielnicy. Przez cały czas myśl, że nie zdoła zaspokoić własnych potrzeb, napawała ją lękiem. Przydział owego lokum zapewniał jej pod tym względem komfort psychiczny, jakiego nigdy dotąd nie miała, cenną gwarancję na przyszłość.

Manon, która właśnie skończyła się kształcić na dekoratorkę wnętrz, potraktowała mieszkanie Lucile jak pole doświadczalne. Przekształciła miejsce pozbawione duszy w przystań barw i światła, gdzie wzrok przyciągały na wyścigi freski, patyna i malarstwo iluzjonistyczne. Lucile wprowadziła się do swego gniazdka o przepysznie zdobionych ścianach. Ich bladozielone tło, wykonane przez nią samą, przypominało oczy Neba, który po kilkumiesięcznej idylli oświadczył, i to po raz drugi, że jej nie kocha.

Lucile odnalazła jednak schronienie. Zaznała innych smutków, spoglądała na rozkwitające ogrody uczone okien: pelargonie, bluszcze, petunie, niecierpki, werbeny, abelie, gerberie, iglaki...

Na widok nieba niebieskie, purpurowe, żółte i białe myśli Lucile miały się doskonale.

Pod koniec roku znów stanęła do obrony pracy i uzyskała dyplom pracownika opieki społecznej. Było to jej największe zwycięstwo.

Pomijając *Poszukiwania estetyczne*, które pochodzą z 1978 roku i kończą się poświadczeniem kazirodstwa, oraz dziennika pustki, prowadzonego na prośbę doktor D. i nadającego rytm

latom odrętwienia, większość tekstów Lucile powstała w latach dziewięćdziesiątych. Mam na myśli te, nad którymi pracowała i które są przepisane na maszynie. Można je zatem umiejscowić między jej wyjściem po ostatnim pobycie u św. Anny a rozpoczęciem studiów, w chwili, która oznacza w pewnym sensie początek odrodzenia.

Właśnie w tym okresie Lucile stworzyła opowieść o swoim pierwszym przymusowym zamknięciu w szpitalu psychiatrycznym (z której przepisałam parę fragmentów i znalazłam egzemplarz z datą umieszczoną jej ręką), a także tekst zatytułowany *No romantica*, poświęcony Grahamowi, kłoszardowi skrzypkowi, po tym jak się dowiedziała, że znaleziono go martwego, że został zamordowany w mieszkaniu, które nielegalnie zajmował.

Tekstowi temu towarzyszył inny, o którym nie zachowałam żadnego wspomnienia i którego, jak mi się wydaje, nigdy nie czytałam przed rozpoczęciem poszukiwań. Istnieje tylko w jednym egzemplarzu i dotyczy jej dzieciństwa. Lucile pisze w nim o nagłej śmierci Antonina, o całkowitym braku wspomnień poprzedzających tę stratę i o bólu, jaki potem nastąpił: „Dzieciństwo już nigdy więcej nie było harmonią”. Na kolejnych stronach Lucile opowiada o matce, która stała się niedostępna, o sesjach zdjęciowych, na które Lianę przestała ją prowadzić, o taksówkach, którymi sama docierała na miejsce. Garść wspomnień związanych z owymi latami gwiazdy poprzedzają takie oto słowa: „Byłam bardzo piękną dziewczynką i drogo mnie to kosztowało”.

Teksty Lucile są zagmatwane, nie podlegają żadnej chronologii, żadnej logice, składają się z urywków, kończą się gwałtownie, tak jak się zaczynają.

Szperając wszakże w kartonie przekazanym mi przez Manon, natrafiłam na mnóstwo luźnych notatek i kartek, z datami lub bez, a także na pewną ilość zeszytów, w których jedynie po kilka stron zostało wykorzystanych na intymne zapiski.

Wśród owych notatek myśl o śmierci jest ciągle obecna w rozmaitych pytaniach.

Nuda nigdy nie mija. Owszem, istnieje lekarstwo na nudę, ale jest radykalne i nieprzyjemne dla innych (niektórzy się zestarzeją, inni pomrą).

Chciałabym nieuleczalnie zachorować i umrzeć młodo. W zeszłym roku nie miałam nawet kataru.

W niektórych fragmentach Lucile wykazuje jednak większą fantazję. Na przykład gdy odnajduje przyjemność podobania się i zaczyna fantazjować na temat miejscowego aptekarza, przystępuje do redakcji dzieła, któremu nadaje pragmatyczny tytuł: *Dziennik przedsięwzięcia uwiedzenia na osobie pewnego aptekarza z XV Dzielnicy*. Zdaje w nim dokładną i szczegółową relację z rozmaitych zakupów dokonanych w aptece (pasta do zębów, doli-prane, szczoteczka do zębów, cukierki bez cukru) i bardziej lub mniej prawdopodobnych wymówek, które umożliwiają jej bezpośredni kontakt ze wspomnianym farmaceutą. Płyn na odciski („Diabeł usuwa nagniotki”) wart jest długiego wywodu, jak należy go stosować i przechowywać w lodówce. Na koniec Lucile stwierdza: „Pięć minut szczęścia za 1130F”.

Po kilku wizytach Lucile jednak odkrywa, że młoda kobieta obecna w aptece, którą wzięła za zwykłą pomoc, jest według wszelkiego prawdopodobieństwa żoną właściciela. Odkrycie to nasuwa jej taką oto refleksję: „Nie powinnam tego ukrywać sama przed sobą, ale

sprowadzenie żydowskiego aptekarza na złą drogę pod okiem żony jest bardzo trudne".

Lucile bawi się jeszcze trochę, relacjonuje parę niezbyt interesujących epizodów, po czym się poddaje.

Wśród pozostawionych przez Lucile urywków, które przykuły moją uwagę: tekst o moim synku, jeszcze bobasie, który urodził się trzy lata po siostrze, a którego gładka skóra i szczebiot ją wzruszają, humorystyczne opowiadanie na cześć mojej córeczki, pełen osłupienia akapit na temat samobójstwa Pierre'a Beregovoya, tekst zainspirowany dłońmi Edgara, akwarelisty, parę naprawdę pięknych wierszy.

A potem, na fruującej kartce, to zdanie, które skłania mnie do uśmiechu: „Pierremont mówię nie”.

Nigdy sobie nie uświadamiałam tego, jak bardzo pisanie było obecne w życiu Lucile, a jeszcze mniej tego, jak mocno pragnęła publikować.

Odkryłam to, kiedy natknęłam się na podarte kartki zeszytu z 1993 roku, na których Lucile wyraźnie wspomina o owym projekcie i robi aluzje do minionych niepowodzeń.

Fragmentsy autobiografii. Myślę, że już wykorzystano ten tytuł, ale że dobrze by pasował do moich tekstów. Pokażę je znowu kilku niezdecydowanym wydawcom, dodając do tego Poszukiwania estetyczne. Nie potrafię się zanurzyć na powrót w literackiej wizji, nic mnie nie pociąga jako temat.

Manon przyniesie mi niedługo małą elektryczną maszynę do pisania, przejrzę po kolei od nowa wszystkie swoje teksty, zagłębię się w nie, a potem je przepiszę z ciągłą numeracją stron.

Pomiędzy kartkami jednego z zeszytów znalazłam list z odmową od wydawnictwa Minuit.

Parę lat później, napisawszy tekst o Nebie, Lucile oddała mi go do przeczytania, po czym wysłała pod pseudonimem Lucile Poirier (w pewnym sensie zatem Lucile sama wybrała sobie imię) do ograniczonej liczby wydawców. Ze względu na nią miałam nadzieję, że tekst ten zostanie opublikowany. Podobnie jak inne, składa się z urywków wspomnień, którym towarzyszą wiersze, listy, myśli. Ze wszystkich, jakie zostawiła, *Nebo* wydaje mi się najbardziej dokończony. Nie miałam pojęcia, że nie był jej pierwszą próbą publikacji. W ciągu następnych tygodni Lucile otrzymała same odmowy.

Dowiedziawszy się, że *Dni bez głodu* wkrótce się ukażą, dałam jej do przeczytania rękopis. Pewnego sobotniego wieczoru, kiedy Lucile miała się zająć naszymi dziećmi, przyszła pijana, z zamglonym wzrokiem. Spędziła popołudnie na czytaniu powieści, uznała, że jest piękna, lecz niesprawiedliwa. Powtórzyła: to niesprawiedliwe. Zamknęłam się z nią sam na sam, usiłowalam jej powiedzieć, że rozumiem, iż może to być bolesne, że mi przykro, wydało mi się jednak, że o ile to było w ogóle konieczne, książka wyraża również miłość, którą do niej czuję. Lucile zaprotestowała, łkając: to nieprawda, nawet w najgorszym otępieniu ona taka nie jest. Popatrzyłam na nią, powiedziałam:

- Jesteś.

Nie powiedziałam jej, że była gorsza, jeszcze gorsza.

Nie wyszliśmy tamtego wieczoru, nie chciałam jej zostawiać samej i pijanej z dziećmi.

Lucile została z nami na kolacji.

Później byłam jej wdzięczna za zaakceptowanie istnienia tej książki i uważne śledzenie zainteresowania, które wzbudziła. Po kilku latach powiedziała mi pewnego dnia, że przeczytała ją po raz drugi i że była pod wrażeniem jej mistrzostwa.

Lucile nigdy nie chciała przyjść na żadne czytanie ani moje spotkanie z czytelnikami do księgarni, choćby nawet odbywały się dwa kroki od jej domu, z powodu wstydu albo nieśmiałości. Nawet później, przy innych moich książkach. Myślę, że bała się osądzenia, tak jakby cały świat przeczytał moją pierwszą powieść, mógł ją rozpoznać i wytykać palcem.

Wobec każdej mojej książki Lucile zachowała ostrożność i okazała życzliwość, podobnie jak wobec wszystkiego, co w jej oczach dotyczyło mojego życia intymnego. Lucile nie należała do osób, które narzucają własne opinie. Często wszakże potrafiła uznać moje najbardziej ryzykowne wybory za pomocą jednego słowa bądź zdania.

* * *

Czyżbym bezwiednie spełniła pragnienie Lucile? Nie wiem. Publikując po raz pierwszy, nie miałam poczucia, że realizuję coś, o czym kiedyś marzyła, ani że kontynuuję jakieś niedokończone czy niedoskonałe przedsięwzięcie. Podczas rozmów, które udało nam się przeprowadzić, Lucile nigdy nie ustanowiła związku ani nie dokonała rozdziału między moim a swoim pragnieniem pisania i utrzymała w sekrecie większość prób publikacji. Wydaje mi się, że zarówno u niej, jak i u mnie chodziło o coś innego.

Pisarstwo Lucile jest nieskończenie bardziej tajemnicze, mętne i wywrotowe niż moje. Podziwiam jej odwagę i płomienną jej poezji.

Czasem przychodziła mi do głowy myśl, że gdyby Lucile nie była chora, pisałaby więcej i być może publikowałaby swoje teksty.

Pamiętam nadany przez France Inter wywiad z Gerardem Garouste'em, który bardzo mnie poruszył. Malarz wyrażał sprzeciw wobec panującego przekonania, jakoby dobry artysta musiał być szaleńcem. Jako przykład podał Van Gogha, o którym zwykle się mówi, że geniusz jest nierozdzielnie związany z obłądkiem. Zdaniem Garouste'a gdyby Van Gogh mógł korzystać z leków, którymi dysponuje dzisiejsza medycyna, pozostawiłby po sobie jeszcze pełniejsze dzieło. Psychoza stanowi poważne upośledzenie, dla artysty tak samo jak dla każdego innego człowieka.

Dziś do tekstów Lucile, do zawartego w nich bólu i chaosu mamy dostęp wyłącznie ja i moja siostra.

Teksty te przywołują mnie do porządku i bez przerwy stawiają pytanie o to, jaki jej obraz przedstawiam za pośrednictwem pisania, czasami mimo woli.

Kiedy opisuję jej odrodzenie, powraca moje marzenie z dzieciństwa, moja matka Courage wyniesiona na bohaterkę: „Lucile pozostawiła za sobą godziny wśród cieni. Lucile, która nigdy nie umiała się wspinać po linie, wydostała się z głębin, tak naprawdę nie wiadomo jak, za sprawą jakiego porywu, jakiej energii, jakiego ostatniego instynktu przetrwania”. Czytając to po raz drugi, nie mogę nie dostrzegać idealnej matki, która mimo

woli szybuje po tych słowach. Nie dość, że idealna matka narzuca swą obecność, chociaż jej nie wzywam, to jeszcze wpisuje się w tandetny liryzm.

Tak, Lucile w końcu wyszła z dziesięciu lat otępienia, znieczulenia. Tak, Lucile podjęła studia, zdała egzamin, znalazła schronienie. Lucile została pracownikiem opieki społecznej, który nie miał sobie równych, była zaangażowana w pracę i bardzo skuteczna. To nie jest kłamstwo, to tylko pewien aspekt prawdy. Ponieważ w głębi duszy wiem, że Lucile zawsze tkwiła zawieszona nad przepaścią i nigdy nie straciła jej z oczu. Nawet później, nawet wtedy, gdy sama znalazła się w sytuacji kogoś, kto przyjmuje na siebie rozpacz innych i próbuje jej zaradzić.

Pisanie Lucile (jej chaos, ślepe zaułki) ukazuje w o wiele większym stopniu niż moje jej złożoną osobowość, dwoistość, sekretną radość, jaką sprawiało jej przez całe życie ocieranie się o granice, nadwerężanie własnego ciała i własnej urody.

W wieku trzynastu lat Lucile paliła pierwsze papierosy, sama w swoim pokoju, mając nogi jak z waty, upadając od zawrotów głowy. Dzisiaj, kiedy ją czytam, odnoszę wrażenie, że Lucile niczego nie lubiła tak bardzo jak picia, palenia i samozniszczenia.

Po zniknięciu ostatniej agencji reklamowej Georges pracował przez kilka lat w branży kształcenia zawodowego. Opuszczał Lianę, by przemierzać drogi Francji, w paru izbach handlowych znalazł publiczność składającą się z dorosłych studentów, których uczył marketingu i reklamy, a którzy po każdym stażu byli pełni zapału i całkowicie podbici. Po przejściu na emeryturę Georges, czerpiąc siłę z sukcesu Toma w mistrzostwach osób niepełnosprawnych, zdołał stworzyć i rozwinąć kilkadziesiąt kilometrów od Pierremont klub narciarstwa wodnego dla upośledzonych umysłowo. Ciągłe się jednak starzał, kiedy zaś z wiekiem pojawiła się melancholia, stopniowo zaprzestał rozmaitych typów działalności.

Nagrywanie kaset dla Violette dało mu zajęcie na kilka miesięcy, podobnie jak humorystyczny dziennik, na który następnie przyszła kolej, a któremu poświęcał się przez dwa lub trzy lata. Po czym Georges nie miał już nic więcej do napisania poza pełnymi oburzenia i wściekłości listami adresowanymi do różnych instytucji i do mediów. Całymi godzinami tkwił w swoim gabinecie, drzemiąc na siedząco albo słuchając na starym magnetofonie starych piosenek, które tak lubił.

Z biegiem lat Georges stracił upodobanie do słowa i paradoksu, ochotę do bitki, do dyskusji. Georges był kiedyś fascynującym i niszczycielskim ojcem, postrzelonym i uroczym dziadkiem, stał się zaś zgorzkniałym starcem. Zatopił się w goryczy.

Wydaje mi się, że pod koniec życia Georges zerwał wszelkie kontakty z bliskimi, poza Lianę, której zazdrościł pobłażliwości, poza Tomem, któremu poświęcił tak wiele nadziei i cierpliwości, i z pewnością poza Violette, która w stosunku do niego zawsze dawała dowody wyrozumiałości wyższej niż rodzinna przeciętność.

Georges nie znosił już większości ludzi, myśli o ich obecności, tego, że odciągają od niego uwagę Lianę. Kilka lat wcześniej, kiedy przyjechałam oznajmić babci, że wkrótce urodzi im się pierwsze prawnuczę, Georges, rozdrażniony wybuchem radości Lianę, opuścił kuchnię z teatralnym wyrazem dezaprobaty, rzuciwszy lodowatym tonem:

- Nic tylko o tym słyhać na okrągło.

Po narodzinach mojej córki i syna pozostał niczym kamienny posąg. Georges już dostał za swoje (można to zrozumieć) i myśl o bardziej lub mniej licznych potomkach, którzy wkrótce się pojawią, nie sprawiała mu żadnej radości. Teraz Georges miał inne zmartwienia, w szczególności porę aperitifów, która z biegiem lat bezustannie nadchodziła coraz wcześniej. Wino najpierw go rozweselało, potem sprawiało, że stawał się kłótniwy, obecnie zaś go otepiało i kazało mu się kłaść do łóżka ku ogromnej uldze otoczenia. Georges człapał po schodach ciężkim krokiem, Lianę dawno już skradła mu rolę gwiazdy.

Z upływem lat Lianę stała się dla wnuków czymś w rodzaju wysportowanej i kipiącej energią ikony, której oddawaliśmy hołd, każde na swój sposób. Nie można było się oprzeć jej wesołości, wierze, zabawnemu sposobowi bycia. Lubiliśmy jej melodyjny głos i takież śmiech, poetycki język, zwracanie się do nas czule w drugiej osobie liczby mnogiej, żywcem wzięte z Hrabiny de Segur. Jej słownictwo („zdumiewające”, „wspaniałe”, „cudowne”, „przekomiczne”) znakomicie pasowało do jej osobowości i nieustannie odradzającego się entuzjazmu. Lianę, wierna swym błyszczącym obcisłym trykotom co najmniej do siedemdziesiątego piątego roku życia, dwa razy w tygodniu dawała lekcje gimnastyki słynne w całym Pierremont. Przez długi czas zapewniała tam kursy katechizmu, a także dzień dyżuru w bibliotece miejskiej.

Wybryki Lianę stanowiły pożywkę dla naszej rodzinnej gazetki. Pewnego dnia, na dnie piwnicy w Pierremont, kiedy była sama w domu i miała ponad osiemdziesiąt lat, Lianę wpadła głową w dół do wąskiej kadzi urządzenia do zmiękczenia wody. Wystawały jej tylko łydki. Za cenę nadludzkiego wysiłku udało jej się wyprostować.

Innego znów dnia babcia ku mojemu przerażeniu wypłała pół litra benzyny. Zabrała się do przelewania za pomocą wężyka paliwa, kupionego za obniżoną cenę, z kanistra do baku swego samochodu. I nie znalazła nic lepszego jak zassanie własnymi ustami, co zdaje się, doskonale się sprawdziło. Lianę kasłała, pluła, wymiotowała, mieniła się na twarzy wszystkimi kolorami tęczy, zgięła się w scyzoryk, zachwiała i o mało nie zemdląca. Przyglądając się temu bezczynnie, już myślałam, że za chwilę umrze, lecz się wyprostowała i z fioletowymi kręgami pod oczyma i uśmiechem pełnym obrzydzenia oznajmiła:

- To ohydne.

Z kolei innego dnia Lianę wisiała przez kilka minut nad przepaścią, niepewnie uczepiona krzeselka na wyciągu, na które nie zdążyła wsiąść, podczas gdy Manon i Antoinę, jej męż, spanikowani próbowali ją wciągnąć.

Lianę, której bujne kształty w końcu skłębły, stała się drobną postacią będącą w ustawicznym ruchu — z wyjątkiem sjeisty, odbywanej codziennie przy dowolnym serialu telewizyjnym - niez mordowanym chochlikiem, wchodzącym i schodzącym po schodach dziesięć razy na dzień, coraz bardziej się garbiąc. Lianę walczyła z brakiem aktywności aż do końca.

* * *

Pod koniec życia Georges mówił niewiele, ot parę kropel żółci precedzonej westchnieniem. Rozgoryczenie i nuda wykrzywiły mu twarz, na jego ustach zaś widniała nieodłączna

zmarszczka wyrażająca wstręt. Zanim człowiek wsiadł do pociągu jadącego do Pierremont, pomyślał dwa razy; stopniowe zgorzknienie Georges'a zniechęcało odwiedzających. Był chory i nie chciał się leczyć. Czasami Georges spadał na ziemię ot tak, zniecka, z krzesła czy stołka. Ciało Georges'a było ogromne i zeszywniałe, żeby go podnieść, należało wołać Toma. Wtedy Tom wkraczał do kuchni, również wzdychał, wsuwał ramiona pod pachy ojca i ciągnął. Tylko że od kilku lat Tom mieszkał w ośrodku dla upośledzonych, blisko wyspecjalizowanego zakładu, w którym pracował, i przyjeżdżał do Pierremont jedynie w weekendy.

Pewnego zimowego wieczoru, kładąc się spać, Georges runął u stóp łóżka. Leżał na podłodze, Lianę nie mogła go podnieść. Toma nie było, toteż Lianę przykryła męża, myśląc, że nazajutrz będzie miała więcej siły. Rankiem jednak nie poczyniła większych postępów. Georges sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Kiedy przyjechało pogotowie, dostał takiego ataku demencji jak nigdy dotąd, co zawiadło go do szpitala psychiatrycznego w Auxerre.

Georges cierpiał na zespół Korsakowa, jego wątroba i cały organizm były przeżarte przez alkohol.

Począwszy od tamtego dnia, przestał się odżywiać. Przeniesiono go do hospicjum, gdzie umarł po kilku tygodniach.

Obiecali sobie z Lianę, że pozostaną razem aż do końca i że umrą w domu w Pierremont.

Lianę nie mogła sobie wybaczyć, że pozwoliła Georges'owi pojechać do szpitala.

Lucile wypstrykała leżącemu na łożu śmierci Georges'owi całą kliszę zdjęć.

Mszę odprawiono w kościele w Pierremont. Tom siedział przede mną, niezgrabny w swym garniturze, pogrążony w smutku, nad którym nie mógł zapanować. Wkrótce nie słyszałam już nic innego jak tylko szloch i jęki Toma, ochryplą monotonną pieśń, która zagłuszała głos księdza i sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie miała zamilknąć, czcząc zmarłych i skrywany ból.

Lucile zaczęła karierę pracownika opieki społecznej w szpitalu Awicenny w Babigny, na oddziale chorych na AIDS. Miała świadomość, że nie dokonała najłatwiejszego wyboru, pragnęła się jednak sprawdzić w nowym zawodzie, przekonać się, co w nim naprawdę jest poza dobrymi intencjami. Została tam cztery lata, zaprzyjaźniła się z niektórymi współpracownikami, nie liczyła godzin, wykazywała się kompetencją i wojowniczością. Niekiedy Lucile opowiadała o swojej pracy, o nadziejach, o rozczarowaniach, o krokach urzędowych koniecznych do uzyskania karty pobytu, ubezpieczenia medycznego, o podaniach, składanych bez końca, żeby znaleźć ośrodek opiekuńczy, dom opieki, o rozpacz, z jaką się zderzała, o nagłej lub spodziewanej śmierci mężczyzny bądź kobiety, którymi zajmowała się od miesięcy. Powoli nauczyła się zostawiać to wszystko za sobą, kiedy wracała wieczorem do domu, cieszyć się z maleńkich zwycięstw, godzić z porażką. Lucile nauczyła się zachowywać właściwy dystans, nie poświęcać temu całych nocy.

Z tego co wiem, tylko raz złamała narzucone sobie zasady. Lucile poprosiła nas o udzielenie gościny parze Haitańczyków, aby mogli pozostać we Francji i kontynuować leczenie. Przez kilka lat służyłam im jako skrzynka kontaktowa, podczas gdy Lucile dwoiła się i troiła, aż zdobyła dla nich prawo pobytu, opiekę medyczną, często zapraszała ich na

kolację. Mimo choroby, na którą oboje cierpieli, udało im się mieć dziecko. Spotkałam ich parę razy. Kiedy dowiedzieli się o jej śmierci, napisali do Manon i do mnie cudowny list na temat Lucile i tego, co dla nich zrobiła.

Wydawało mi się, że Lucile znalazła coś w rodzaju równowagi pomiędzy swym mieszkaniem pełnym kwiatów a wymaganiami związanymi z zawodem.

Manon pojechała za Antoine'em do Meksyku, kilka miesięcy później zaś urodziła pierwszą córeczkę.

W przededniu lata 2003 roku na oddział Lucile trafiła młoda, trzydziestoczteroletnia kobieta, narkomanka chora na AIDS, ofiara przemocy i według wszelkiego prawdopodobieństwa zmuszana do prostytucji. Znaleziono ją nieprzytomną, wciśniętą za lodówkę, ze śladami od poparzeń papierosami. Stan kobiety i jej historia uderzyły Lucile jak obuchem. Wielokrotnie wspominała o tym, jak wielkiego wstrząsu doznała, widząc ją po raz pierwszy, dostrzegając przerażenie w jej oczach. Kilka tygodni później doszła do wniosku, że pora zmienić oddział, znaleźć lepszą pracę, przy której mniej by się narażała. Złożyła podanie do szpitala Lariboisiere i została przyjęta.

Obraz tamtej kobiety nadał ją jednak dręczył, upalne lato zaś dokonało reszty. Z powodu skwaru Lucile zmniejszyła dawki leków i po paru tygodniach wróciły zaburzenia paranoiczne. Lucile zaczęła sobie wyobrażać wokół młodej kobiety spisek, w który zamieszany był pewien biznesmen i który miał liczne i groźne rozgałęzienia. Wmówiła sobie, że zakradam się do jej mieszkania, by podbierać zdjęcia i papiery, i że dozorczyjni w czasie jej nieobecności odkręca gaz.

Mimo obaw wyjechałam na wakacje do Gers z rodziną i przyjaciółmi. Regularnie dzwoniłam do Lucile, która wydawała się coraz bardziej załęczniona, aż pewnego poranka poinformowała mnie, że ma „w mózgu metalowe płytki”. Manon właśnie wróciła z Meksyku, żeby spędzić w Paryżu kilka tygodni, w tym samym czasie co ja straciła kontakt z Lucile, która nagle przestała odpowiadać na telefony i zniknęła z pracy (dopiero co ją podjęła w szpitalu Lariboisiere). Przeprowadziłyśmy kilka niespokojnych rozmów. Wczesnym rankiem Manon postanowiła iść do Lucile i sprawdzić, co się dzieje. Lucile zgodziła się otworzyć drzwi, za to zatrzasnęła je natychmiast przed nosem jej męża. Manon, która trzymała córeczkę w nosidełku, znalazła się sam na sam z Lucile. Odepchnąwszy ją gwałtownie w geście paniki, zdołała wpuścić Antoine'a. Lucile była w samym środku ataku i nie spała od wielu nocy. Kiedy przyjechali strażacy, uciekła na schody, odmówiła pójścia z nimi, schowała się w windzie, skąd tamci w końcu ją zabrali.

Jeszcze tego samego ranka złapałam pociąg do Paryża. Dowiedziawszy się, że z powodu rejonizacji Lucile trafiła najpierw na ostry dyżur w Lariboisiere, zanim przeniesiono ją gdzie indziej, byłam zdruzgotana. Przecież dopiero co została tam zatrudniona i nie skończyła jeszcze okresu próbnego.

Lucile zatrzasnęła za sobą drzwi, zostawiwszy klucz w środku, toteż musiałyśmy wezwać ślusarza, żeby je otworzyć. Mieszkanie było przewrócone do góry nogami, po podłodze

walało się ze dwadzieścia pustych butelek, Lucile dosłownie odcięła nożyczkami przewody telefoniczne i umieściła notatki na pewnej liczbie przedmiotów, książek, reprodukcji malarstwa przy użyciu karteczek samoprzylepnych albo papierków, na których można było przeczytać, wypisane jej drżącym pismem, bardziej lub mniej zrozumiałe wypociny obłądu.

Po blisko piętnastu latach stabilizacji Lucile znów się załamała.

* * *

Przeniesiono ją do filii szpitala Maison Blanche, niedaleko Buttes-Chaumont, do małego pokoiku bez światła.

Ominął ją pamiętny ślub Violette, na który cała reszta rodziny wybrała się w najbarwniejszych strojach. Promienna i cudowna Violette ofiarowała domowi w Pierremont jego ostatnie wielkie przyjęcie.

Pobyt Lucile nie trwał zbyt długo, nawrót choroby został prędko opanowany, wyszła po paru tygodniach wraz z nową kuracją.

Po szybkiej rekonwalescencji Lucile wróciła do pracy, którą ledwie co zaczęła, w ZKilCZN (Zespół Koordynacji i Interwencji dla Chorych Zażywających Narkotyki) w szpitalu w Lariboisiere.

Podczas krótkiej wizyty na ostrym dyżurze została przyjęta przez psychiatrę, którą spotkała przy rozmowie kwalifikacyjnej i z którą razem pracowała. Po powrocie ze zwolnienia powierzono jej dawne stanowisko. Wyraziła przed nami głęboką wdzięczność dla tej kobiety; nie wiem, czy miała okazję jej o tym powiedzieć.

Były to jej najpiękniejsze lata jako pracownika opieki społecznej.

Kilka miesięcy później, kiedy najwyraźniej się zaadaptowała i odnalazła własny rytm, czasami dopadały ją lęki, miewała chwile zagubienia, wyrażała podejrzenia w stosunku do różnych ludzi, spośród dwóch hipotez zawsze wybierała najgorszą. Niepokojąc się trochę, postanowiłam zatelefonować do lekarza, który opiekował się nią w szpitalu. Wyjaśnił mi bardzo dokładnie całą sytuację: albo nałoży Lucile chemiczny kaftan bezpieczeństwa — w takim wypadku będzie niezdolna do pracy, albo da jej szansę na normalne życie, a wtedy będziemy musiały się pogodzić z głoszeniem przez nią irracjonalnych lub pełnych podejrzeń poglądów.

- Jak w przypadku wielu ludzi, których nie uważa się za chorych - uściślił.

Rozmowa ta utwierdziła mnie w przekonaniu, że musimy oswoić Lucile taką, jaka jest, taką, jaka przebrnęła przez okres rozpoczynania na nowo, wraz z wysokimi tonami, od których aż bolały bębenki w uszach, ponieważ to jej nie przeszkadzało żyć, pracować, kochać nas. Musimy jej zaufać, dać jej czas, by sama zapanowała nad własnymi lękami i humorami.

Wszędzie, gdzie Lucile zabawiła w ciągu piętnastu, przy dwudziestu ostatnich, lat życia, włączając w to ów krótki pobyt w szpitalu, nawiązywała przyjaźnie. Lucile roztaczała wokół siebie jakiś fantastyczny, dziwaczny urok przemieszany z wielkim zmysłem powagi. Dzięki

temu zawierała osobliwe znajomości i długotrwałe przyjaźnie.

* * *

Uważam, że sens, jaki znajdowała w pracy, poczucie bycia potrzebną, możliwość zmierzenia własnego zaangażowania, chęć wydobycia się z własnego cierpienia, aby spróbować uśmierzyć cudze, były dla niej źródłem stabilizacji, a nawet, po raz pierwszy w życiu, spełnienia.

Lucile skorzystała z wolnego czasu, by odwiedzić Manon w Meksyku, gdzie ta przebywała kilka razy. Lubiła owe okresy wytchnienia i oddalenia od codziennego świata, powitanie z Manon i rodziną, ich śliczny dom, dzielnicę Coyoacan, malarstwo Fridy Kahlo i Diega Rivery.

Po trzech latach spędzonych w Meksyku, wkrótce po narodzinach drugiej córki, Manon wróciła na stałe do Paryża.

Na życzenie Lucile najpierw moje dzieci, potem córki Manon zwracały się do niej „babciu Lucile”. Sprawy zasługiwały na to, by nazywać je po imieniu. Lucile domagała się własnego statusu na zasadach bohaterskiego wyczynu, bo rzeczywiście dla niej było to zwycięstwo: wytrzymała aż do tej pory.

Wizyty moich dzieci u babci odbywały się według niezmiennego rytuału - zapamiętały z nich dokładnie nie tylko naleśniki i nieuniknione spacery po parku la Villette. Za każdym razem gdy Lucile gościła je u siebie, pozwalała im upichcić *ratatouille* własnego pomysłu, do której przyrządzenia wolno im było użyć dosłownie każdego produktu w kuchni i której zobowiązała się skosztować bez względu na wszystko.

Tak więc pod drwiącym spojrzeniem mojej córki i syna Lucile pochłaniała najbardziej niecne mikstury na bazie przypraw, czekolady, mąki, dżemu, sosu sojowego, coca-coli, ziół prowansalskich, skondensowanego mleka, oliwy, nie mówiąc już o reszcie.

Lucile była lękliwą i supernadopiekuńczą babcią, trzęsąc się nad naszymi dziećmi o wiele bardziej niż kiedyś nad nami. Nie odstępowała ich ani na krok, wymagała, by chwyciły ją za rękę, przechodząc przez ulicę (aż do późnego wieku), nigdy nie zostawiała otwartego okna w ich obecności i spędzała czas na wyobrażaniu sobie lub na przewidywaniu katastroficznych scenariuszy wydarzeń, w wyniku których mogłaby im się stać krzywda (jak określony przedmiot, porwany przez równie silny, co nagły przeciąg, mógłby spaść i pociągnąć za sobą inny, który niechybnie by uderzył itd.).

Myślałam o godzinach, które spędziłyśmy pozostawione same sobie, poza zasięgiem jej wzroku.

Pewnego dnia, kiedyśmy się spotkały w kawiarni, Lucile wyznała, jak strasznie się boi o moje dzieci. Od jakiegoś czasu wszędzie widziała pedofilów, każdego zaś mężczyznę w wieku powyżej piętnastu lat, z naszego bliskiego lub dalekiego otoczenia traktowała jak podejrzanego. Na dłuższą metę jej lęk mnie przytłaczał i obawiałam się, że przytłaczał również

dzieci. Szybko rozgorzała dyskusja, Lucile była spięta i agresywna, ja się uniosłam. Nie pamiętam już, jakich dokładnie słów użyłam, lecz miało to związek z tym, że przenosiła na nasze dzieci lęki, które powinna była żywić w stosunku do nas. Lucile zerwała się na równe nogi i z trzaskiem przewróciła mi na kolana stolik, na którym jadłyśmy obiad. Siedząc w tej modnej kawiarni przy ulicy Oberkampf, na oczach jakichś trzydziściorga osłupiałych gości, wpatrywałam się w kurczaka z frytkami i w tosty z szynką i serem porozrzucane na moich spodniach. Lucile zniknęła. Z najwyższą godnością podniosłam stolik, pozbierałam wszystkie frytki po kolei, zostawiłam banknot i wyszłam, nie oglądając się za siebie.

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tym zdarzeniu. Z czasem obie się nauczyłyśmy, że możemy sobie na-wymyślać i przejść nad tym do porządku dziennego.

Lucile lubiła aleję Jeana-Jauresa, sklepy Fabia Luciego i Sympa, w których mieszały się wszelkiego rodzaju ubrania i dodatki wątpliwej jakości i w wątpliwym guście. Spędzała tam całe godziny, chodząc wzdłuż uginających się regałów w poszukiwaniu szminki, pary pończoch, podkoszulka, stanika, torebki, butów, które wydawały jej się bezsporne. Lucile ogołacała bazyry, paryskie sklepy z tanioczą czy outlety, gdzie potrafiła upolować mnóstwo bardziej lub mniej przydatnych i dekoracyjnych przedmiotów. Z biegiem lat rozwinęła w sobie niewątpliwe upodobanie do *cheap*, tandety i chłamu.

Lucile lubiła starocie, pchle targi, wyprzedaje garażowe, wyluskiwała dla swych wnucząt niesamowite prezenty (bibeloty, pudełka, łańcuszki, spinki do włosów, scyzoryki Opinel, oprawki na ołówki, figurki...), równie dziwaczne, co nieprzydatne, i ofiarowywała im je triumfalnie przy każdej wizycie.

Kiedy tak sobie przypominam te parę lat po powrocie Manon, odnoszę wrażenie, że dla Lucile stanowiły one okres łagodności, jeden z owych momentów ukojenia, kiedy to wszystko wydaje się wreszcie na swoim miejscu, czas ciszy, która poprzedza burzę. Świadczą o tym nieliczne zdjęcia, zrobione przez moją siostrę na ostatnich urodzinach Lucile, jej uśmiech, dumna mina, świece zdmuchnięte w obecności wszystkich.

Przed ukończeniem sześćdziesiątego roku życia Lucile podjęła odpowiednie kroki, żeby opóźnić odejście na emeryturę i kontynuować pracę w szpitalu. Brakowało jej lat pracy, żeby otrzymywać pełne świadczenia, lubiła swoje zajęcie i obawiała się bezczynności.

Wkrótce po tym, jak zrobiono dla niej ten wyjątek, Lucile, która uskarżała się na ból w łopatce, udała się po poradę do swej internistki. Lekarka zleciła prześwietlenie płuc.

Rentgen wykazał plamę na prawym płucu. Zażądano dokładniejszych badań.

Pewnego wieczoru zadzwoniła do mnie Lucile i obwieściła sobie tylko właściwym, kategorycznym i rozgorączkowanym tonem, że ma raka płuc. Nie dostała jeszcze żadnych wyników, toteż próbowałam ją uspokoić. Powinna poczekać, aż dowie się czegoś więcej, może to nic poważnego, nie należy dramatyzować, na kiedy wyznaczono tomografię?

Dokładnie pamiętam, że zakończyłam tę rozmowę lekkim tonem, że odłożyłam słuchawkę i powiedziałam sobie: ona ma raka i o tym wie.

Poprzedniego lata Lucile wielokrotnie się skarżyła na niecodzienne zmęczenie. Podczas

pewnego weekendu w Pierremont, gdzie spotykałyśmy się Manon, ja, nasze dzieci i Lucile (Lianę, która chętnie opuszczała dom latem, nie było), kładłyśmy jej wyczerpanie na karb pracy, przejazdów, braku snu, niewystarczająco wygłuszonego mieszkania w budynku socjalnym, paryskiego tempa życia, a nawet niechęci do prac domowych. Następnie Lucile pojechała do Manon na tygodniowy urlop i porządnie wypoczęła.

Po dodatkowych badaniach przecucia Lucile się potwierdziły.

W pierwszej chwili poprosiła, żebyśmy o tym nie mówiły, po czym odbyła wszelkie wizyty zgodne z procedurą. Najpierw powinna przejść operację, która pozwoliłaby na usunięcie guza (wyglądało na to, że jest dobrze umiejscowiony), potem chemioterapię, następnie radioterapię.

Z powiadomieniem rodziny Lucile czekała do ostatniej chwili.

Żaliła się na reakcję Lianę, która jej zdaniem wcale się nie przejęła. Lianę miała to gdzieś, zawsze miała to gdzieś.

* * *

Tamtego dnia, kiedy Lucile poszła do Instytutu Montsouris, zjadłyśmy razem obiad w kawiarni w XIV Dzielnicy, dwa kroki od mieszkania przy ulicy Auguste'a-Lancona (gdzie mieszkaliśmy kiedyś z nią i Gabrielem), dwa kroki od parku Montsouris, dokąd zabierała nas na spacer, gdy byłyśmy małe, dwa kroki od mieszkania Berenice, dwa kroki od szpitala Św. Anny. Lata te pojawiły się przede mną w jakimś upojeniu, rozciągnięte na papierowym obrusie, z tym że nie byłam w stanie ich ze sobą powiązać, podczas gdy Lucile siedziała naprzeciwko spięta, usiłując robić dobrą minę. Lucile przestała palić, przyszłość jawiła się jej w postaci terapii, cykliów, promieni, cewników, usiłowała wszakże rozmawiać o czymś innym, zadała mi parę pytań na temat ukazania się mojej książki i tego, jak się sprawy mają w mojej firmie, gdzie przechodziłam trudny okres.

Lucile miała operację w poniedziałek rano. Nie można jej było odwiedzić na sali pooperacyjnej; uprzedzono nas, że trzeba poczekać do wtorku. Kiedy jednak opuściła blok, zdołałyśmy uzyskać informacje. Operacja się udała, mimo że trzeba jej było usunąć dwa żebra, na których pojawiły się przerzuty.

Nazajutrz wymknęłam się z firmy jak najwcześniej, żeby odwiedzić Lucile. Zaplątana w dreny i rurki, wróciła do swojego pokoju, pomimo morfiny, która uśmierzała ból, usiłowała być przytomna i powiedziała parę słów.

Przez kilka dni na zmianę z Manon czuwałyśmy przy jej łóżku.

Czwartego lub piątego dnia po operacji zastałam Lucile siedzącą na pościeli, bardzo wzburzoną i poruszoną. Ledwie przekroczyłam próg pokoju, chwyciła mnie za ramię, błagając, żebym ją stamtąd wyciągnęła. Wyjaśniła mi w wielkim zmieszaniu, że jest ofiarą kar personelu medycznego, podając jako dowód fakt, że tak coś pokręcili w telewizorze, że ma dostęp tylko do jednego kanału szóstego, którego jak wiem, nie znosi, a na którym przez cały dzień puszczają coraz to głębsze programy, zresztą mające na celu zaszkodzenie jej.

Muszę jej uwierzyć na słowo i tak się urządzić z Manon, z którą rano rozmawiała przez telefon, żeby ją stamtąd wyciągnąć jak najszybciej.

Przy stanie osłabienia fizycznego, w jakim się znajdowała, jej panika mnie zszokowała. Od razu pojęłam, co się dzieje.

Poszłam do pielęgniarki, która z głośnym westchnieniem, jeszcze zanim zdążyłam jej zadać dręczące mnie pytanie, obwieściła, że Lucile jest trudną pacjentką. I nie bez przyczyny. Zalecenia nakazujące wznowienie leczenia, przerwane na czas operacji z powodu niewydolności oddechowej, którą mogłoby ono wywołać, zaginęły gdzieś po drodze. Lucile była pod wpływem dużej dawki morfiny i bez żadnego innego leku, który by ją zrównoważył.

Między mną a pielęgniarką, która zobowiązała się porozmawiać z lekarzem, nastąpiła dość ostra wymiana zdań. Wszystko wróciło do normy, kiedy tylko Lucile przestała brać morfinę i powróciła do zażywania swoich leków.

Lucile opuściła Instytut dwa tygodnie później. Przyjechałam po nią taksówką i zawiozłam prosto do Manon.

Manon tak się urządziła, żeby Lucile mogła u niej zamieszkać na czas rekonwalescencji. Nie zaproponowałam, że wezmę ją do siebie nie tylko z braku miejsca, ale przede wszystkim dlatego, że nie byłam w stanie. Choroba czy nie choroba, nie wyobrażałam sobie, bym zdołała znieść obecność Lucile więcej niż parę dni. Podziwiałam siostrę, że jest do tego zdolna.

Wiem, jak bardzo Lucile była jej za to wdzięczna.

Odzyskawszy zdolność poruszania się i siły w wystarczającym stopniu, Lucile powróciła do swego mieszkania, gdzie rośliny, które regularnie podlewałam, przetrwały jej nieobecność.

Pewnego niedzielnego popołudnia Lucile przyszła do mnie o umówionej godzinie na herbatę i oświadczyła prosto z mostu - podobnie jak, według jej słów, oznajmiła o tym Manon poprzedniego dnia - że nie będzie dłużej tego ciągnąć. Przemyślała wszystko, operacja była konieczna, guz został usunięty, ale ona nie chce się poddać chemioterapii.

Nie potrafię powiedzieć, co się wtedy działo w mojej głowie, jakie błyskawiczne, niezwykle gwałtowne krótkie spięcie zdołało pokonać mój wstyd i zapasy wytrzymałości: wybuchnęłam płaczem i wrzasnęłam, że nie ma prawa tego robić. Moja zapalczliwość najwyraźniej ją wstrząsnęła. Widząc, jak jestem zrozpaczona, opuściła gardę. Udało mi się na niej wymusić zgodę, żebym umówiła ją na kolejną wizytę u onkologa (z którym się już spotkała, przyznała się jednak, że nie wyjawiała mu swej decyzji), aby wyjaśnił jej przy mnie konsekwencje takiego postanowienia. Chciałam, żeby dokładnie zdała sobie sprawę ze znaczenia tego, co zamierza, a jeśli potem nadal będzie się upierała przy swoim wyborze, uszanuję go.

Lucile poszła na to.

Kilka dni później zawiozłam ją do św. Ludwika, gdzie lekarz, który nie takie rzeczy widział, w końcu ją przekonał.

Nie będę się rozwodzić nad tymi paroma miesiącami, które upłynęły Lucile na chemioterapii. Dzisiaj każdy z nas styka się z kimś, kto właśnie doświadcza albo doświadczył skrajnej

agresji raka i towarzyszących mu metod leczenia.

Lucile nie straciła włosów, przybrała na wadze, leżała całymi godzinami na łóżku w domu, wyniszczona zmęczeniem, spuchła pod wpływem kortyzonu.

Następnie przyszła kolej na promienie, które poparzyły jej skórę.

* * *

Wydaje mi się, że przez cały ten czas Manon i ja byłyśmy przy niej obecne w miarę możliwości, każda na swój sposób. Co do mnie, zbliżyłam się do Lucile, częściej telefonowałam, częściej ją odwiedzałam.

Przez cały ten czas nie było mi dane wziąć Lucile w ramiona, choć jeden raz, ani ją objąć, ani nawet położyć dłoń na jej dłoni. Lucile była sztywna, niedostępna, trzymała się na dystans, obnosząc się ze swoim bólem. Poza szybkimi pocałunkami na dzień dobry i do widzenia, których nie przeciągałyśmy, postawa Lucile od tak dawna zniechęcała do jakiegokolwiek kontaktu fizycznego.

Sama dokładnie nie wiem, kiedy się dowiedziałyśmy, że Lianę ma raka trzustki i że zostało jej zaledwie parę miesięcy życia.

Po roku leczenia Lucile była osłabiona i wycieńczona. Z przyczyn urzędowych, jako że zapadła na chorobę przewlekłą, nie wolno jej już było pracować i została zmuszona do zgromadzenia dokumentów potrzebnych do obliczenia emerytury. Był to dla niej wstrząs, miała bowiem nadzieję, że w końcu wróci do pracy.

Ze względu na klasyfikację jej raka Lucile poszukała w Internecie statystyk nawrotu choroby. Pięć lat przeżywa tylko 25% pacjentów. Sprzeciwiłam się takiemu postępowaniu, pokazując, że to nie ma żadnego sensu, i wymusiłam na niej obietnicę, że więcej tego nie zrobi.

Trzy miesiące po zakończeniu leczenia Lucile przeszła pierwszą serię badań. Przyjaciółka Maria towarzyszyła jej podczas wizyty u onkologa. Lucile mogła odetchnąć z ulgą, wyniki były dobre.

Lucile spędziła wiele dni na szukaniu i zbieraniu dokumentów potrzebnych do obliczenia emerytury. Przez całe lata pracowała na czarno u producenta skórzanych torebek, posiadała gdzieś część papierów. Kserokopie, wędrowki, pertraktacje z Kasą Ubezpieczeń na Starość wydały jej się czymś nie do przeskoczenia.

Lucile była wyczerpana, bolały ją plecy, ramiona, łopatki, codziennie przyjmowała coraz silniejsze leki przeciwbólowe, znów zaczęły jej drżeć dłonie i nogi. Leczenie raka dobiegło końca, pozostał wszakże ból, który miał z czasem osłabnąć. Lucile otrzymała zalecenie, by przeprowadzać badania kontrolne co trzy miesiące.

Zaniepokojona drżeniem Lucile obawiała się, że to początki choroby Parkinsona. Zażądała badań diagnostycznych, które dały wynik negatywny.

Powróciła do spacerów po Paryżu, zgłosiła się jako wolontariuszka do jakiegoś stowarzyszenia, żeby uczyć czytania i pisanie, zapisała się do programu urody, prowadzonego przy szpitalu przez producenta kosmetyków. Spowolniona, bez tchu, przygnębiona Lucile próbowała sobie stworzyć nowe życie.

Zadzwoiła do mnie którejś środy w porze obiadu, kiedy właśnie siedziałam z dziećmi przy stole.

- Moja matka nie żyje- oświadczyła nie bez pewnej brutalności, którą dawno już rozpoznałam jako ważniejszy element jej systemu obronnego.

Po czym Lucile, która już nie płakała, wybuchnęła płaczem.

Chce natychmiast pojechać do Pierremont, nie daje rady się spakować, jest taka słaba, nie ma siły.

Powiedziałam, że zaraz będę, zadzwoniłam do ojca moich dzieci z pytaniem, czy może po nie przyjechać, zgotził się i wyruszyłam. Zastałam Lucile zmieszaną i zagubioną.

Justine i Violette wprowadziły się do Pierremont wiele tygodni wcześniej, były przy Lianę aż do końca, pozwoliły jej umrzeć w domu, tak jak życzyła sobie moja babcia.

Lucile zatelefonowała do nich w mojej obecności, z jej protestów wywnioskowałam, że proszą, by przyjechała później, jutro lub pojutrze. Lucile odłożyła słuchawkę i rozkleiła się znowu.

Przeszłam do kuchni i czym prędzej zadzwoniłam do sióstr mojej matki, już nie pamiętam, która z nich wyjaśniła, że zamierzają pojechać po Toma do ośrodka, zabrać go do restauracji i tam przekazać mu wiadomość. To im wszystko komplikuje, to nie jest odpowiedni moment. Odparłam: nie macie prawa tego robić.

Pomogłam Lucile się spakować; cierpiała, dostawała zadyszki, nie była zdolna do żadnej inicjatywy. Zadzwoniłam na informację kolejową, żeby sprawdzić rozkład pociągów, potem zaś zatelefonowałam ponownie do Pierremont, żeby zawiadomić, o której godzinie przyjedzie. Zdaje się, że wzięłyśmy taksówkę na Dworzec Lyoński. Było już za późno, żeby Lucile zdołała kupić bilet, toteż wsadziłam ją razem z torbą do pociągu, poszukałam pieniędzy, żeby jej dać, lecz nie znalazłam, wysiadłam z wagonu, zostawiwszy ją siną i roztrzęsioną.

Pogrzeb Lianę odbył się na początku grudnia, w kościele panował lodowaty ziąb. Odczytałam mowę, którą napisałam o babci; nie byłam odosobniona, wszystkie teksty były jednakowo przepełnione miłością, składały hołd jej żywotności, wesołości, w jednakowych słowach przywoływały słoneczne wspomnienia, jakie po sobie zostawiła, świetlisty i trwały ślad. Licznie przybyła rodzina, przyjaciele, sąsiedzi.

Po powrocie do domu w Pierremont Lucile ledwie wzięła udział w stypie, którą zorganizowały jej siostry, po czym zaszyła się w pokoju Toma.

Pamiętam, że uświadomiłam sobie jej zniknięcie dopiero po długim czasie, że poszłam do niej na górę, że zastałam ją wyciągniętą na łóżku, była niesamowicie blada, woskowa, niemal przezroczysta. Miałam do niej żal, że nie jest z nami, że się odcina, nie dzieli, nastąpiła między nami krótka, pełna rozdrażnienia wymiana zdań, która prześladowała mnie przez wiele miesięcy.

Nie dostrzegłam jej bólu, nie dostrzegłam jej rozpacz, zamknęłam drzwi twardym gestem.

Pozostałam na dole, w owej nabrzmiałej od emocji i napięcia atmosferze, jaka często towarzyszy pogrzebom, śmiałam się, rozmawiałam, przywoływałam stare wspomnienia, podchodziłam to do jednych, to do drugich, jadłam kołaczki, ciasto biszkoptowe i piłam wino.

Przez długi czas nie dawała mi spokoju pewna myśl: nie znalazłam się we właściwym miejscu.

Po powrocie do Paryża Lucile znienacka, schodząc z chodnika, złamała sobie stopę. Upatrywała w tym dowodu, że jej ciało nawiewa z pola bitwy, rozkłada się.

Odwiedziłam ją wiele razy, pamiętam, że po paru dniach pojechałam kupić but ortopedyczny, który miał jej umożliwić chodzenie.

Manon też przychodziła, wzięła na siebie sprawunki; lista Lucile zawierała wyłącznie ciastka, kompoty, słodkości, Manon zaproponowała Lucile, by przyjechała do niej odpocząć na kilka tygodni, lecz ta odmówiła.

Miałam na głowie różne spotkania związane z moją książką, właśnie dobiegały końca ostatnie tygodnie wypowiedzenia umowy o pracę (jako jego przyczynę podano moją uporczywą niechęć uczestnictwa w planie strategicznym firmy), zabrałam się do porządkowania gabinetu i przekazywania dokumentów.

Na początku stycznia opuściłam pracę, czując niepokój pomieszany z ulgą.

W połowie stycznia Lucile zaprosiła nas, Manon, mnie i nasze dzieci, do siebie, zdaje się, że było to w środę, na coś w rodzaju małego Bożego Narodzenia, które przywykliśmy obchodzić w innym terminie niż wszyscy. (Co do mnie, zrezygnowałam z pamiętnych świąt w Pierremont i z wszelkich rodzinnych Gwiazdek). Lucile zaprosiła również Sandrę, moją przyjaciółkę z dzieciństwa w Yerres, oraz jej rodzinę. Wymieniliśmy się prezentami, dzieci były zadowolone, było to i radosne, i smutne popołudnie, nie umiałam dostrzec, że Lucile się z nami żegna, nie widziałam nic poza jej zmęczeniem.

Chwilami Lucile sprawiała wrażenie nieco podekscytowanej; zastanawiałam się, czy na pewno bierze leki, czy nie stoi na progu nawrotu choroby.

Kiedy Manon ponownie zadzwoniła z propozycją, by znów spędziła u niej parę tygodni, Lucile odrzekła, że jeszcze zobaczy.

W następną niedzielę Lucile zaproponowała, żebym pojechała z nią na pchli targ do Saint-Ouen; zaczęła sprawniej chodzić. Powiedziałam kiedyś, że szukam starych emaliowanych

tablic reklamowych dla przyjaciela, pomyślała, że mogę je znaleźć właśnie tam.

Byłam zmęczona i pochłonięta jałowym związkim, toteż odmówiłam.

Lucile zadzwoniła do mnie w piątek, 25 stycznia 2008 roku. Miałam właśnie wychodzić, przysiadłam na krawędzi kuchennego stołu, przy oknie, ucięłyśmy sobie pogawędkę na różne tematy. Lucile czuła się lepiej, wybierała się na weekend do swojej przyjaciółki Marie, miała wrócić w niedzielę wieczorem. Pomyślałam sobie, że to dobrze, że znów zaczyna żyć dawnym rytmem, miała radosny, jakby wyswobodzony głos, była w nim jakaś niecodzienna lekkość, nieco wysokie, otwarte brzmienie. Potraktowałam ten telefon jak każdy inny, w ogóle nie przykładając do niego wagi, jak dobry znak w przelocie. Lucile rozłączyła się w środku zdania; nasze rozmowy telefoniczne często były jakieś niespójne, dziwne, wydaje mi się, że z winy Lucile, jej wewnętrznego chaosu, Lucile zawsze poruszała różne tematy bez widocznej logiki i kończyła rozmowę w pośpiechu, przypuszczałam więc, że powiedziała już to, co najistotniejsze.

Lucile zadzwoniła do mnie tamtego piątkowego poranka, był to ostatni telefon i ona o tym wiedziała.

Przez weekend o niej nie myślałam, sama już zresztą nie wiem, co robiłam, tamte dni wymknęły się pamięci niczym czas niepotrzebny, bezcelowy, czas nieświadomości. W poniedziałek również się nie odezwałam; pracowałam nad powieścią, którą pisałam na nowo dla kogoś innego.

We wtorek zadzwoniłam do Lucile około czternastej, zostawiłam wiadomość na sekretarce. Zatelefonowałam ponownie wieczorem, w porze kolacji, ciągle jej nie było, spróbowałam na komórkę, nie odpowiedziała. Później zadzwoniłam do Manon, czasami Lucile spała u niej, kiedy opiekowała się dziećmi. Jednak nie tym razem. Manon także nie miała wieści, podobnie jak ja rozmawiała z nią w piątek, Lucile powiedziała, że wyjeżdża na weekend. Potem nic. Lucile zwykle informowała nas na bieżąco o swoich wyjazdach, zapewne był to sposób, by nas uspokoić albo wytyczyć własną trajektorię. W ciągu wieczora próbowałam się do niej dodzwonić wielokrotnie, wymyślając rozmaite wytłumaczenia dla jej milczenia, lecz żadne nie wydawało mi się satysfakcjonujące. Nazajutrz Manon zatelefonowała o wpół do siódmej, nie spała całą noc, usiłowała się dodzwonić co godzinę, ale nikt nie odbierał, ani komórki, ani stacjonarnego, jest pewna, że coś się stało, trzeba pojechać sprawdzić.

Była środa rano, wzięłam prysznic i się ubrałam, zostawiłam syna przed telewizorem, powiedziałam babcia Lucile nie odbiera telefonu, pojedę do niej i zaraz wrócę, aby się upewnić, czy wszystko w porządku. Od dawna miałam klucz do mieszkania Lucile, ponieważ przydzieliła mi zadanie podlewania kwiatów podczas swej nieobecności.

* * *

W metrze pomyślałam, że jeszcze wcześniej i że jestem sama, powiedziałam sobie dokładnie

tak: twoja matka nie odbiera telefonu, a ty tam jedziesz sama. Pomyślałam, że Lucile znów wpadła w obłąd, że zastanę ją tak samo, jak moja siostra zastała ją u niej w domu parę lat wcześniej, w stanie ogromnego pobudzenia, że będzie trzeba ją namówić na pójście do szpitala, że pewnie będzie się opierać, że trzeba będzie wezwać strażaków. Pomyślałam, że bycie dorosłym nie chroni przed bólem, który mnie czekał, że wcale nie jest łatwiej niż dawniej, kiedy byliśmy dziećmi, że chociaż człowiek dorasta, podąża własną drogą, buduje własne życie i zakłada własną rodzinę, nic nie da się zrobić, pochodzimy od niej, od tej kobiety; jej ból nigdy nie stanie się nam obcy.

Przed wyruszeniem z domu zostawiłam jeszcze ostatnią wiadomość na sekretarce, tonem nauczycielki, dobra, mamó, dość tego, Manon i ja się martwimy, zaraz u ciebie będę.

Wysiadłam z metra, poszłam Sente des Dorees, ulicą prowadzącą prosto do jej domu, minęłam plac, w powietrzu była wilgoć, niebo zupełnie zachmurzone.

Zadzwoiłam, odczekałam trochę, zanim włożyłam klucz do zamka. Zobaczyłam ją od razu, wyciągniętą na łóżku, drzwi do jej pokoju były otwarte, Lucile leżała plecami do mnie. Zawołałam mamó, mamó, w ciszy, chyba stałam tak kilka sekund, czekając na odpowiedź, po czym ruszyłam przedpokojem, mówiąc sobie, że ona śpi, zebrałam wszystkie siły, aby sobie wmówić, że śpi, weszłam do jej pokoju, zasłony były zaciągnięte, radio włączone, był to jakiś znak życia, gdzieś tam tliło się życie, przecież często tak się kładła, z uchem przy tranzystorze, podeszłam bliżej, przykucnęłam, potrząsnęłam nią łagodnie, potem mocniej, powtarzając mamó, mamó.

Nie potrafiłam dopuścić do siebie tej myśli, nie sposób było się z tym pogodzić, to było niemożliwe, wykluczone, nie.

Lucile leżała na boku z podkurczonymi ramionami, odkryta, chciałam ją odwrócić, lecz jej ciało było sztywne, stawiało opór, chciałam wyłączyć radio nastawione na France Inter, jak od zarania dziejów, nie znalazłam odpowiedniego przycisku, ręce zaczęły mi się trząść, ogarniała mnie narastająca i cicha panika, podniosłam się, podeszłam do okna, rozsunęłam zasłony, zdjęłam kurtkę i szalik, odłożyłam je na krzesło, torebkę odstawiłam pod biurko, czas jakby stanął w miejscu, w zawieszeniu, zatrzymał się, aby wszystko mogło być inne, aby wszystko mogło powrócić do normalnego rytmu do przyjęcia, abym się obudziła, tylko że nic nie drgnęło, nie wywróciło się, znów podeszłam bliżej, przyklękawszy na łóżku, pochyliłam się, żeby ją zobaczyć, w dziennym świetle jej dłonie były sine, jakby pochłapane farbą, między palcami, na policzkach granatową farbą, powiedziałam na głos: co ona zrobiła, co ona zrobiła, pomyślałam, że malowała rękami.

Słowa zostały wypowiedziane, co ona zrobiła, ale nie mogłam pojąć ich sensu, nie chciałam, nie, to wykluczone, to niemożliwe, to nie do pomyślenia, to nieprawda, to nie jest rzeczywistość, nie to właśnie przeżywam, to nie może się tak skończyć.

Wtedy zobaczyłam jej twarz, spuchniętą i także siną, nieco bledszą, i ów ślad pleśni na policzku, wysoko, obok oka, kilkucentymetrowy, okrąg pokryty bardzo delikatnym białym puszkciem, niczym na serze zapomnianym w głębi lodówki.

Poderwałam się na równe nogi, w przedpokoju z mojego gardła wydobył się krzyk, gwałtowny, potężny, krzyk przerażenia.

Wróciłam do sypialni, chwyciłam za telefon koło łóżka i właśnie wtedy zdałam sobie sprawę z kwaśnego, mdlącego odoru, otworzyłam okno, czułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, nogi wciskają mi się w parkiet, buntują się, przytrzymałam się oparcia krzesła, chwając się, zdołałam się obrócić, by opaść na siedzenie. Musiałam stamtąd wyjść, uciec przed odorem, uciec przed widokiem, wziąć nogi za pas, tylko że nogi przestały reagować, tkwiłam na tym krześle jak przybita, przyspawana, nie byłam w stanie się ruszyć, sama nie wiem, jak długo tak trwałam, jęczałam, ręce mi się trzęsły, usiłowałam odzyskać spokój, powtarzałam sobie, musisz się uspokoić, trzeba coś zrobić, trzeba do kogoś zadzwonić, akurat w tej samej chwili dostrzegłam leżącą na biurku paczkę, zawierającą prezenty, które dla nas zostawiła, i wystający z niej list. Nie wydaje mi się, żebym go w tym momencie przeczytała, chwyciłam go w drżące dłonie, chciałam stamtąd wyjść, ale nie mogłam. Zdołałam wybrać numer pogotowia, w słuchawce rozległa się melodyjka, zaczęłam, aż ktoś się odezwie, powiedziałam moja matka nie żyje, moja matka jest tutaj od pięciu dni, nie zostawiajcie mnie samej. Połączono mnie z lekarzem, objaśniono, co powinnam dalej zrobić, wydaje mi się, że właśnie wtedy zadzwoniła do mnie na komórkę Manon, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, widziałam, jak jej imię wyświetliło się na ekranie, zamierzałam odrzucić połączenie, lecz wcisnęłam zły klawisz, Manon usłyszała końcówkę mojej rozmowy z lekarzem, zanim zdążyłam się rozłączyć na dobre. Oddzwoniłam do niej natychmiast, Manon zrozumiała, Manon krzyknęła nie nie nie, to niemożliwe, pomyślałam, że jest środa i że ona jest z dziewczynkami, że dziewczynki słyszą, jak Manon wrzeszczy, sama już nie wiem, co powiedziałam, próbowałam wytłumaczyć, list, Lucile na łóżku, lekarstwa, płakałam, trzęsłam się, powiedziałam Manon, że ją kocham, nie usłyszała, kazała mi powtórzyć, zapytała, gdzie jestem, powiedziała wyjdź stamtąd, wyjdź stamtąd.

Słyszając jej głos w słuchawce, dałam radę opuścić sypialnię, głos Manon doprowadził mnie do kuchni.

Przeczytałam Manon list Lucile, list pełen miłości i wyczerpania.

Zadzwoniłam do ojca moich dzieci, po czym ostrym, zduszonym tonem poprosiłam, żeby pojechał do mnie do domu po naszego syna.

Później Manon zatelefonowała do mnie, aby uprzedzić, że zaraz będzie.

Później przyjechała policja, było ich pięciu, dowódca zamknął drzwi do pokoju Lucile.

Później Manon przyjechała razem z Antoine'em.

Usiedliśmy w salonie, ja zajęłam miejsce w wiklinowym fotelu, Manon na kanapie, mówiąc: chciałabym wziąć ją w ramiona. Widziałam zdruzgotaną twarz Manon.

Ujrzałam na niej to, co właśnie przeżywamy, i to, że śmierć jest nieodwołalna.

Później zabrali ciało Lucile zawinięte w koce, ponieważ straciła krew.

Później Manon i ja pojechałyśmy na komisariat złożyć zeznanie.

Trzeba było zawiadomić Violette, Justine, Barthelemy'ego. Lisbeth była w podróży, ktoś zostawił jej wiadomość.

* * *

Trzeba było zażądać raportu z sekcji zwłok i zaczekać na zezwolenie na pochówek. Przez dwanaście dni godzić się na to, że Lucile leży w szufladzie w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Przez cały ten czas nie byłam w stanie usiąść, to znaczy usiąść, nic nie robiąc, nie będąc do tego zmuszona, musiałam stać, żeby oprzeć się napadom przerażenia, wydalić adrenalinę, musiałam stać, żeby walczyć z tamtym obrazem, żeby trzymać go na dystans.

W dniu pogrzebu Tad i Sandra, moje przyjaciółki z dzieciństwa, przybyły z odległych krain, żeby pomóc nam wszystko zorganizować, a także Melanie, moja słodka przyjaciółka od zawsze. Poszłyśmy do supermarketu, kupiłyśmy róże, przygotowałyśmy poczęstunek przewidziany po uroczystości. Następnie spotkałyśmy się z Justine, Violette i Tomem na obiedzie w kawiarni nieopodal Pere-Lachaise.

W ciągu niecałych dwóch miesięcy straciliśmy Lianę i Lucile, tym razem również wydawało mi się, że to za dużo.

Był zimny i słoneczny lutowy dzień, nieskończenie piękny i smutny, niebo bezchmurne.

Przy krematorium przywitaliśmy się z ludźmi, którzy przybywali zewsząd i ze wszystkich minionych epok, sami lub w małych grupach, jak zawsze chciałam się utrzymać na nogach, po prostu trzymać, w miarę jednak jak napływali ludzie, wydawało mi się to coraz trudniejsze, musiałam głęboko oddychać, następnie zablokować powietrze na kilka sekund, zanim je wypuściłam. Z ogromnym wzruszeniem patrzyłam, jak zbliża się ojciec moich dzieci, z którym łączyły mnie wtedy jakże trudne relacje, później jego rodzice, widziałam przyjaciół Lucile, widziałam jej kolegów z Awicenny i z Lariboisiere, widziałam moich przyjaciół, przyjaciół Manon, widziałam kuzynów, kuzynki, wujów i ciotki, widziałam moją wydawcę, widziałam Barthelern'ego, widziałam Marie-Noelle, widziałam Camille i jej męża, widziałam Gasparda, mojego uwielbianego braciszka, widziałam Forresta i Neba, a potem podszedł do mnie mój ojciec i wtedy się załamałam.

Lucile zostawiła w mieszkaniu pewną liczbę wskazówek dotyczących darów bądź zwrotów. Dzieła wszystkie Rimbauda wydane w serii Plejada były przeznaczone dla Antoine'a, męża Manon.

W kieszonkowym egzemplarzu *Paryskiego spleenu* karteczką samoprzylepną zaznaczono *Zaproszenie do podróży*. Myślę, że Lucile kochała poezję Baudelaire'a ponad wszystko.

W obecności jakichś pięćdziesięciu osób o wstrząśniętych twarzach przeczytałam następujący tekst, jakże do niej pasujący:

*„Czy znasz tę chorobliwą gorączkę, która ogarnia nas w zimnej niedoli, nostalgię za nieznanym krajem, niespokojną ciekawość? Jest kraina do Ciebie podobna, gdzie wszystko jest piękne, bogate, spokojne i mile, gdzie fantazja zbudowała strojne Chiny Zachodu, gdzie oddycha się lekko, gdzie szczęście zaślubiło ciszę. Tam jedźmy żyć, tam jedźmy umierać!”**

Oto miałam przed sobą mały świat Lucile, całe życie złożone z pomieszanych ze sobą epok i światów, a potem nie liczyło się nic więcej, ani klęski, ani ból, ani żale.

W przedpokoju, stojąc w progu drzwi wejściowych, w absurdalnym geście pani domu obejrzałam się za siebie, aby sprawdzić, czy wszyscy na pewno wyszli, czy nie zostawiliśmy z tyłu jakichś maruderów. Wtedy ujrzałam twarz Neba wykrzywioną od płaczu. Nebo płakał, wcale się z tym nie kryjąc.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, mój ojciec uświadomił sobie, że zostawił portfel ze wszystkimi dokumentami w taksówce, która wiozła go do krematorium. Przez jakiegoś szlachetne niedopatrzenie Gabriel przybył uwolniony od samego siebie, bez tożsamości.

Charles Baudelaire, *Paryski spleen*, przeł. Joanna Guze.

Lucile zostawiła dla naszych dzieci jakieś dziesięć drobnych prezentów z etykietkami zawierającymi ich imiona.

Do szarej papierowej torby wsunięty był list, obok znalazłyśmy jeszcze dwie paczuszki, dla Manon i dla mnie, w każdej znajdował się kryształowy wisiołek od Lalique'a w kształcie serca, zawieszony na tasie.

Moje kochane Córeczki,

oto nadeszła ta chwila. Jestem u kresu i już po mnie. Tomografia wyszła świetnie, ale trzeba także słuchać własnego ciała. Nigdy nikomu nie mówię o wszystkich moich chorobach. Każdej z Was mówię co innego.

Jestem bardzo umęczona. Moje życie jest trudne i może być tylko gorzej.

Odkąd podjęłam tę decyzję, czuję się spokojna, chociaż boję się przejścia.

Obie Was kochałam najbardziej na świecie i robiłam, co tylko mogłam, wierzcie mi.

Uściskajcie mocno Wasze śliczne dzieci.

Lucile.

RS. Lepiej z łańcuszkiem. Możecie wymienić na inny kolor, ale raczej szybko, przed końcem wyprzedaży, w razie czego obie razem, bo jest tylko jeden bon prezentowy.

Wiem, że będzie Wam przykro, ale to prędzej czy później nieuniknione, a ja wolę umrzeć żywa.

Czytałam ten list z dziesięć razy, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś szczegółu, jakiejś wiadomości poza wiadomością, czegoś, co mi umknęło. Odczytywałam ciągle na nowo wstyd Lucile, ową elegancję polegającą na mieszaniu spraw prozaicznych z bólem, anegdoty z prostotą rzeczy. Ten list jest dla niej typowy, dzisiaj zaś wiem, jak bardzo przekazała nam obu ową umiejętność chwytania się śmieszności, trywialności, żeby spróbować wydostać się z mgły.

W dniach, jakie nastąpiły po znalezieniu ciała, podczas gdy ja czułam, że moje własne nie zdążyło jeszcze się pozbyć zgrozy (zgroza była w mojej krwi w moich dłoniach w moich oczach w nieregularnym biciu serca), pomyślałam, że Lucile mnie nie oszczędziła. Wiedziała, że w końcu zaczniemy się martwić, wiedziała, że mieszkam o wiele bliżej od Manon - która obecnie mieszka poza Paryżem - wiedziała, że mam klucz, wiedziała, że przyjdę sama. Mimo woli stwierdzenie to pozostawiło posmak goryczy.

* * *

Pewnego poranka, ponad dwa tygodnie po jej śmierci, zadzwoniła do mnie dozorczyńni z jej bloku. Otóż znalazła właśnie napisany przez Lucile list, który wrócił do nadawcy.

List był zaadresowany do mnie i nadany w dniu jej śmierci.

W krótkiej wiadomości, którą miałam otrzymać zaraz w poniedziałek, Lucile w sobie właściwy sposób uprzedziła mnie o swym zgonie: wysłała mi czek na osiem tysięcy euro „na [swoje] wydatki”, mając nadzieję, że zostanie coś, abyśmy sobie kupiły jakiś trwały prezent, w postscriptum wyjaśniła, że zasilila swoje konto na pokrycie wszelkich wydatków aż do końca marca.

Gdybym dostała ten list, miałabym wybór, czy pójść do niej, czy wezwać strażaków.

W zamieszaniu poprzedzającym przejście do czynu Lucile pomyliła numer domu.

Przez wiele tygodni w kółko analizowałam szczegóły, słowa, sytuacje, uwagi, chwile ciszy, które powinny wzbudzić mój niepokój, przez wiele tygodni starałam się uporządkować przyczyny samobójstwa Lucile pod względem ważności, rozpacz, choroba, zmęczenie, śmierć Lianę, bezczynność, obłąd, po czym wszystkie odrzuciłam, przez wiele tygodni zaczynałam wszystko od początku, a potem w drugą stronę, przez wiele tygodni ciągle na nowo zadawałam sobie te same pytania, którymi dzieliłam się z innymi: dlaczego targnęła się na swoje życie, skoro pozdawała egzaminy, dlaczego nie czekała na tomografię, na którą była umówiona kilka dni później, dlaczego aż do końca w chwilach załamania ciągle paliła tylko pół papierosa, zamiast znów zacząć palić na dobre, skoro i tak się to skończyło?

Dlaczego?

Byłam pewna jednego: należało być przy niej w owej chwili pustki i wyczerpania, która następuje po leczeniu. A ja właśnie wtedy dałam nogę.

Razem z Manon poszliśmy się zobaczyć z psychiatrą Lucile; chciałam wyjaśnień. Jego zdaniem istotne były nie powody, dla których Lucile wybrała akurat ten moment, ale raczej to, w jaki sposób wytrzymała przez cały ten czas, przez wszystkie te lata. Powiedział, że często o nas mówiła, że była dumna, że byłyśmy treścią jej życia.

Korzystałam z karty miejskiej Lucile przez kilka tygodni (opłata została pobrana przed zamknięciem jej konta) z osobliwą satysfakcją: w oczach Autonomicznego Zarządu Transportu Paryskiego, który rejestruje przemieszczanie się pasażerów, Lucile jeździła metrem, krążyła po całym Paryżu, ciągle istniała.

* * *

Co noc nawiedzał mnie obraz matki na łóżku, widziałam jej jasne włosy i czarną kamizelkę, jej ciało odwrócone do ściany, gdy tylko położyłam się na boku, w pozycji, w jakiej ją

znalazłam, obraz powracał, odbierał mi oddech, widziałam jej sine dłonie, karafkę z wodą i szklanekę, co noc nie mogłam przestać wyobrażać sobie Lucile, tamtego piątku 25 stycznia, owiniętej w koc, samej w swoim mieszkaniu. Wyobrażałam sobie długie minuty poprzedzające brak świadomości, nikogo, kto by pogładził ją po włosach, potrzywał za rękę, płakałam cicho łzami o smaku dzieciństwa, łzami pozbawionymi pożegnań, przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Lucile zachowała wszystko, zdjęcia, listy, rysunki, mleczne zęby, prezenty na Dzień Matki, książki, ubrania, zabawki, gadżety, papiery, dzienniki, zeszyty, teksty przepisane na maszynie.

Kiedyśmy skończyły sortować niesamowity chłam zalegający w jej mieszkaniu, urządziliśmy dzień otwartych drzwi, aby każdy mógł zabrać jakiś przedmiot, coś z biżuterii, bibelot, który przypominałby mu Lucile. Reszta miała pójść do Emmaus.

Moje dzieci zjawiły się w samym środku tłumu, cieszyły się, że mogą zobaczyć po raz ostatni zieloną kryjówkę Lucile, chciałam, żeby wybrały sobie jakąś zabawkę z drewnianej skrzyni, którą przez lata dla nich uskładała.

Wróciły z moją przyjaciółką Melanie, ona zaś zabrała samochodem kartony, których nie mogłam przewieźć metrem. Wpadły do niej, żeby zostawić parę z nich w piwnicy (nie miałam na nie miejsca), następnie przywiozły do domu zdjęcia, rośliny i kilka rzeczy, które chciałam zatrzymać.

Zastałam je pod budynkiem, otworzyłam bagażnik. Na workach i kartonach leżała dumnie tabliczka „Nie deptać trawników” spod bloku Lucile, podstawę miała powalaną ziemią. Na prośbę moich dzieci Melanie, która nie należy do tych, co to się boją deptać, wyrwała ją.

Moja córka wyjaśniła mi, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, oddany przez nich hołd.

- Babcia Lucile chciała ją zwędzić, więc to zrobiliśmy.

Kilka dni po jej śmierci, kiedy przyszło mi wypełnić zeznanie podatkowe Lucile, odkryłam, że po odwołaniu i rewaloryzacji jej miesięczna emerytura wynosiła sześćset piętnaście euro i pięćdziesiąt centów.

Lucile płaciła czynsz w wysokości dwustu siedemdziesięciu dwóch euro, rachunek był prosty.

„Wolałaby zdechnąć, niż o cokolwiek nas poprosić”, powiedziałam sobie, potem zaś pomyślałam, że właśnie dokładnie tak zrobiła, i długo płakałam.

To myśl, która często powraca.

Kiedyśmy opróżniały mieszkanie Lucile, zostawiłam sobie radio, na którym zasnęła, mały tranzystorek, który jej podarowałam parę lat wcześniej. Wahałam się, czy je wziąć; prawy policzek i ucho Lucile spoczywały na odbiorniku, gdy ją znalazłam. W końcu umyłam je i postawiłam w kącie salonu, czekając, aż podejmę decyzję o jego dalszym losie.

Przez wiele tygodni radio Lucile włączało się samo, o różnych porach. Z początku byłam przerażona, wreszcie jednak powiedziałam sobie, że Lucile daje mi jakiś znak, potem z kolei szukałam bezskutecznie tajemniczej funkcji, która je uruchamia.

W ciasnej i ograniczonej strefie okalającej jeden z przycisków regulujących odkryłam

cienką brązową, niemożliwą do zidentyfikowania błonę, która mogła ewentualnie pochodzić z resztek jedzenia. Zdziwiłam się, że umknęła mi przy pierwszym myciu, potarłam ją znowu watką nasączoną spirytusem.

Brązowy ślad powrócił.

Zmywałam go dziesięć, dwadzieścia razy, zawsze jednak brązowy ślad powracał, tak jakby w tym miejscu osiadło coś niewidzialnego gołym okiem, co pleśniało albo się utleniało.

Któregoś poranka w przypiływie paniki wyrzuciłam tranzystor.

Mniej więcej w tym samym okresie przyszedł mi do głowy pomysł, żeby napisać o Lucile, lecz z miejsca go odrzuciłam.

Po czym pomysł, niczym tamta plama, powrócił.

Kilka miesięcy temu, kiedy zaczęłam pisać tę książkę, mój syn, któremu się to często zdarzało, rozsiadł się w salonie, żeby odrobić lekcje. Miał odpowiedzieć na pytania z czytania ze zrozumieniem *Arlezyjki* Alphonse'a Daudeta, zaczerpniętej z *Listów z mojego młyna*.

Na dziewięćdziesiątej dziewiątej stronie podręcznika do francuskiego *Lettres vives, classe de 5e*, widniało następujące pytanie: „Jakie szczegóły dowodzą, że matka Jana domyślała się, iż jej syn nie wyleczył się z miłości? Czy mimo to jest ona w stanie zapobiec samobójstwu? Dlaczego?”.

Mój syn zastanawia się przez chwilę, po czym starannie zapisuje w zeszycie pierwszą część odpowiedzi. Następnie głośno, tonem nieznoszącym sprzeciwu i obojętnym, jakby to wszystko nie miało z nami żadnego związku, jakby w ogóle nas nie dotyczyło, mój syn odpowiada powoli, jednocześnie notując:

- Nie. Nikt nie jest w stanie zapobiec samobójstwu.

Czyżbym musiała napisać książkę, przepelnioną miłością i poczuciem winy, żeby dojść do tego samego wniosku?

Wśród fotografii Lucile, któreśmy u niej znalazły, na czarno-białym tableau wypatrzyłam maleńkie zdjęcie mojej matki, zrobione przy rodzinnym stole w Wersalu albo w Pierremont. Na tym samym tableau można rozpoznać Lianę, Georges'a, Gabriela, Lisbeth i innych.

Lucile jest widoczna z profilu, ma na sobie czarny sweter z golfem, w lewej dłoni trzyma papierosa, zdaje się spoglądać na kogoś bądź na coś, prawdopodobnie jednak wcale nie patrzy, jej uśmiech przesycy tajemniczą łagodność.

Czerń Lucile jest jak czerń malarza Pierre'a Soulages'a. Czerń Lucile to *Arcyczerń*, której odbłask, intensywne refleksy, tajemnicze światło wskazują jakieś gdzie indziej.

Dzisiaj już nie szukam, poprzestaję na liście, który zostawiła. Odczytuję Lucile tak, jak lubiła, żeby ją odczytywano: dosłownie.

Wiedziała i czuła, że choroba w końcu ją pokona, cierpiała, była zmęczona. Wojny, które toczyła przez całe życie, nie zostawiły jej dość sił, by mogła stoczyć tę walkę.

Lucile zmarła, mając sześćdziesiąt jeden lat, zanim zdążyła stać się starszą panią.

Lucile zmarła tak, jak tego pragnęła: żywa.

Dzisiaj jestem w stanie podziwiać jej odwagę.